



Susan May Warren

POSTAW
NA MNIE

SMAKI ŻYCIA

Opinie o powieściach Susan May Warren z cyklu o Deep Haven

Moje niemądre serce

„Lekka, pełna werwy opowieść o dwóch zranionych duszach, które odnajdują miłość i nową drogę w życiu... doskonale łączy humor i realizm”.

PUBLISHERS WEEKLY

„Uroczy i inspirujący romans Warren ma w sobie wszystko: chłopaka z sąsiedztwa i księżniczkę zamkniętą w swojej wieży, dawne dzieje i nowe początki, wzruszające momenty splecione z nadzieją na przyszłość oraz zwykłych, doświadczonych przez los ludzi, którzy robią wszystko, co w ich mocy, aby żyć w zgodzie ze swoją wiarą. Polecam serdecznie”.

BOOKLIST

„Zachwycająca... Historia, która przywodzi na myśl zarówno film *Stalowe magnolie*, jak i powieści Jan Karon o wsi Mitford, lecz posiada także swoją własną tożsamość i czar”.

CROSSWALK.COM

„Naprawdę zachwycająca opowieść płynąca prosto z serca”.

ROMANTIC TIMES

Cień twojego uśmiechu

„Warren doskonale przedstawia różne aspekty życia naznaczonego miłością, nadzieją i tragedią. To książka o drugiej szansie dla rodziny Huestonów, dla tych, którzy się o nich troszczą, oraz dla czytelników szukających jasności w swoim życiu”.

PUBLISHERS WEEKLY

„Spokojna, lecz przejmująca... Najnowsza z inspirujących powieści Warren to historia o skrywanym bólu... Nadzieja ma na końcu okazję rozkwitnąć w pełni”.

BOOKLIST

„Ciepła i urocza opowieść z wiarygodnymi bohaterami i solidną fabułą”.

LIBRARY JOURNAL

„Warren potrafi snuć opowieść z takim wdziękiem, że czytelnik daje się całkowicie wciągnąć w historię... To pięknie napisana książka”.

ROMANTIC TIMES

„Wyjątkowo przyjemna w czytaniu powieść, idealna dla dyskusyjnych klubów książki... albo do czytania samemu”.

CROSSWALK.COM

Nie znacie mnie

„Wspaniała opowieść, pełna rodziny i wiary. Choć Annalise znalazła się w sytuacji, z którą czytelnicy nie będą się bezpośrednio identyfikować, to dylematy rodzinne, z jakimi musi się zmagać, potrafią autentycznie trafić do serca”.

ROMANTIC TIMES

„*Nie znacie mnie* to perfekcyjna mieszanka inspirującej historii i romantycznego thrillera... Strony tej książki wypełnione są budującymi rozważaniami na temat Bożych obietnic, które pobłogosławią twoje serce”.

FRESHFICTION.COM

„Emocje sięgają tu zenitu. Powinnaś rozważyć czytanie z kartonem chusteczek w pogotowiu, zwłaszcza przy końcowych rozdziałach”.

INSPIREAFIRE.COM

Susan May Warren

POSTAW
NA MNIE

Tłumaczenie: Alicja Wojciechowska



Święty Wojciech
wydawnictwo

Dla Twojej chwały, Panie

*Mój najdroższy Dareku,
w chwili, kiedy piszę ten list, wiem już, że schowam go w bezpiecznym miejscu. To, co w nim napiszę, będzie raczej modlitwą do Boga niż słowami dla Ciebie. A może dzięki literom na stronach dziennika słowa te odnajdą jakoś drogę do Twojego serca. Może staną się wołaniem, które pobiegnie po cienkiej nitce łączącej matkę z dzieckiem.*

Pierworodne dziecko jest zawsze tym, które odkrywa przed dorosłymi tajemnicę bycia rodzicem. Zanim Cię urodziłam, patrzyłam na inne kobiety i ich potomstwo i zastanawiałam się nad więzią, jaka buduje się pomiędzy dzieckiem a matką, nad jej mocą, potęgą zdolną ukształtować kobietę; nad tą więzią, która sprawia, że kobieta zaczyna pokładać wszystkie swoje nadzieje i marzenia w małym kłębku życia, które będzie musiała wychować.

Narodziny dziecka są cudowne, niesamowite, przerażające, bo oto nagle twoje serce znajduje się poza twoim ciałem. Każdego dnia podejmujesz jakieś ryzyko, gdy opuszcza twoje ramiona, by poznawać świat. Ty, Dareku, nie oszczędzałeś mojego serca. Przyszedłeś na świat uparty, odważny i głodny przygód, przez co wielokrotnie stawiałam na skraju własnej wiary i nieustannie modliłam się na kolanach. Tamtego dnia, gdy pierwszy raz zobaczyłam, jak huśtasz się na tej tak kuszącej gałęzi dębu i zeskakujesz z niej do jeziora, powinnam już wiedzieć, że zostanę poddana próbie.

Twoi bracia skrócili Twoje imię do Dare[1], a Ty wziąłeś sobie to do serca. Nigdy nie bałam się tak bardzo, jak wtedy, gdy wróciłeś do domu z Montany, świeżo po pierwszym roku służby jako hotshot[2], świadom własnej siły. Wiedziałam, że Twoja przyszłość zabierze Cię daleko od jeziora Evergreen. Bałam się, że zabierze Cię też daleko od dziedzictwa twojej wiary.

Widzieć, jak syn opuszcza ramiona matki, jest niczym w porównaniu z patrzeniem, jak opuszcza on ramiona Boga. Zdawałeś się nigdy nie kwestionować wiary, którą razem z ojcem Ci wpoiliśmy. Być może właśnie to martwiło mnie najbardziej, gdyż bez wątpliwości nie można osiągnąć prawdziwego zrozumienia. Wstrzymywałam oddech, czekając na dzień, w którym to się wydarzy – gdy życie rozetrze cię na proch i sprawi, że porzucisz swoją wiarę.

Ten dzień nadszedł.

Wróciłeś do domu, na pewno ciałem, ale czy duszą? Gdyby nie Twój syn, może zrobiłabym rzecz nie do pomyślenia – stanęłabym na naszym wysypanym żwirze i zabroniła Ci wracać, zabroniła Ci się chować.

Ponieważ to właśnie robisz, mój odważny, śmiały najstarszy Synu. Chowasz się. Zgorzkniały i pogrążony w mroku, pozwoliłeś, by poczucie winy i żal zniszczyły to, na czym wyrosłeś, uwięziły cię i skradły Twoje szczęście. Może Ci się wydawać, że budujesz przyszłość dla swojego syna, ale bez wiary zabraknie Ci solidnych podstaw. Ośrodek wypoczynkowy Evergreen to coś więcej niż tylko miejsce, to dzie-

dzictwo. Fundament. Wiara.

To najlepsze, co mogę Ci ofiarować. To oraz moje nieustające modlitwy, by Bóg zburzył mury, które wzniosłeś wokół swojego serca.

Dareku, znowu stałeś się dla mnie tajemnicą. Nie wiem, jak mogę Ci pomóc się uwolnić. Albo przywrócić to, co utraciłeś. Wierzę jednak, że jeśli dasz Bogu szansę, On, uleczy Twoje serce. Podaruje Ci przyszłość. Sprowadzi Cię do domu naprawdę.

Twoja kochająca Matka

[1] *Dare*, czyli wyzwanie (przyp. tłum.).

[2] *Hotshot* – członek elitarnej, doskonale wyszkolonej drużyny strażaków, wyspecjalizowanej w gaszeniu pożarów lasów (przyp. tłum.).

jeden

Ivy Madison zrobiłaby praktycznie wszystko, aby tylko zostać w zacisznym i pięknym miasteczku Deep Haven.

Nawet jeśli musiałaby kupić mężczyznę.

Kawalera, ściśle rzecz ujmując, chociaż może niekoniecznie akurat tego, który stał właśnie na scenie podczas dorocznej aukcji charytatywnej zorganizowanej przez służby ratownicze Deep Haven. Wyglądał jak typowy burak z farm północnej Minnesoty: kręcone ciemnoblonde włosy, cień zarostu na twarzy i czarny T-shirt z napisem: *Przytul drwala – już nigdy nie wrócisz do drzew*. Jasne, koszulka ładnie opinała jego ciało i wyglądał imponująco w swoich wytartych dżinsach i traperach, ale jego uśmiech aż za bardzo mówił: „No dalej, dziewczyny, jestem wasz”.

Licytator doskonale wiedział, jak wpływać ze sceny na swoją publiczność. W regularnych odstępach czasu wywoływał ludzi z tłumu po imieniu, by zachęcić ich do wzięcia udziału w aukcji. I zdawało się, że miasteczko Deep Haven uwielbia swoich strażaków, swoich ratowników medycznych i policjantów, bo malutki pub dla weteranów pękał w szwach. Kelnerki roznosiły gościom zamówione cheeseburgery z bekonem i pikantne skrzydełka z kurczaka.

Kiedy impreza dobiegnie końca, na scenie pojawi się lokalny zespół muzyczny. Aukcja była częścią festiwalu z okazji letniego przesilenia – jednej z wielu wakacyjnych atrakcji odbywających się w Deep Haven. Szczerze mówiąc, wydawało się, że miasteczko wymyśla je tylko po to, by przyciągnąć turystów, ale Ivy uznała, że ta konkretna uroczystość odbywa się z okazji jej przyjazdu.

Och, jak bardzo kochała to miasteczko. A mieszkała tutaj tylko niecały dzień. Jak dopiero będzie musiała je kochać pod koniec lata, gdy spędzi tu trzy miesiące, ucząc się imion mieszkańców i angażując się w życie tej miejscowości położonej nad jeziorem.

Dni tułaczki z całym jej ubogim dobytkiem – czterema walizkami z second-handu, rozpadającym się kartonem pełnym zdjęć, torbą na śmieci, w której znajdowały się książki: *Podstawy redagowania tekstów prawnych*, *Jak skutecznie przekonywać... wszędzie i każdego dnia* i *Zabić drozda*, oraz przede wszystkim ze starą, zieloną damką, a wszystko to upchane z tyłu jej czerwonego nissana pathfindera – dobiegły końca.

Czas zapuścić korzenie. Znaleźć przyjaciół.

Okej, może *kupowanie* przyjaciela jest nie fair, ale fakt, że jej pieniądze zostaną przekazane lokalnym służbom ratowniczym, czynił to zbożnym celem. A jeśli Ivy nauczyła się czegoś, dorastając w rodzinach zastępczych, to tego, że należało wykorzystywać system, aby dostać to, co się chciało.

Powinna się rozpakować, gdyż nazajutrz od rana rozpoczynała nową pracę.

Ale ile czasu może jej w końcu zająć aklimatyzacja w małej, umeblowanej kawalerce nad garażem na tyłach księgarni „Na Progu Nieba”? W swojej nowej pracy jako asystentka prokuratora hrabstwa spodziewała się, że będzie mieć mnóstwo czasu wolnego. A więc gdy barwy zmierzchu kusiły ją na romantyczny spacer wzdłuż portu Deep Haven, nie potrafiła się im oprzeć.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz wybrała się na taką „leniwą” przechadzkę. Przystawała przed witrynami sklepów i czytała ogłoszenia o nieruchomościach na sprzedaż, przyklejone do okien lokalnej agencji.

Uroczy, dwupokojowy domek z bali nad jeziorem Poplar. Mogła sobie wyobrazić, jak zapach wiecznie zielonych roślin budzi ją co rano, a także ten świergot kardynałów i wróbli, gdy popija kawę na werandzie.

Jednak podobała jej się atmosfera miasteczka Deep Haven. Ta położona na północy Minnesoty, dwie godziny od najbliższych oznak cywilizacji, osada rybacka przekształcona w miejscowość turystyczną miała w sobie wystarczająco uroku, aby wyciągnąć Ivy z bliźniaka w Minneapolis i pozwolić jej snuć wielkie marzenia.

Marzenia o domu, tak naprawdę. Swoim własnym miejscu. Przyjaciołach. Może nawet o psie. Tutaj, w tym miasteczku, którego częścią mógł być każdy, ona także.

Przeszła obok sklepu ze słodyczami i pamiątkami oraz obok otwartego okienka cukierni „Najlepsze Pączki na Świecie”, skąd dobiegał tak cudowny zapach, że niemal dała się skusić, by zajrzeć do środka. Gdy stała na rogu ulicy, muzyka przyciągnęła ją do pubu dla weteranów. Fordy F-150, jeepy i kilka SUV-ów zajęły cały mikroskopijny parking o utwardzonym podłożu.

Zatrzymała się przed wejściem, przeczytała plakat informujący o imprezach odbywających się dzisiaj, po czym przez szyby okienne zlustrowała wnętrze. Za barem obitym drewnem i za mnóstwem długich prostokątnych stołów stał na scenie mężczyzna; trzymał wędkę.

I wtedy właśnie Deep Haven sięgnęło ku niej i złapało ją na haczyk.

– Wchodzisz do środka?

Obróciła się w stronę głosu i zobaczyła wysokiego, ciemnowłosego, dobrze zbudowanego mężczyznę w średnim wieku, ubranego w dżinsową kurtkę. Kobieta o blond włosach splótła z nim dłonie.

– Ja...

– No dalej, wchodź – powiedziała kobieta. – Obiecuję, że nie gryziemy. No, może poza tym tu Eli. Za niego nie mogę ręczyć. – Uśmiechnęła się i puściła do niej oko. Ivy poczuła, że jej serce rzuca się na to łapczywie. Och, dlaczego nigdy nie nauczyła się tłumić swoich oczekiwań? Przecież wiedziała lepiej.

Eli potrząsnął głową i warknął żartobliwie na kobietę. Obrócił się w stronę Ivy.

– Słuchaj, to wszystko w zbożnym celu. Naszej straży pożarnej przydałby się

nowy wóz, a ludzie z pogotowania ratunkowego, których i tak nie ma zbyt wielu, potrzebują więcej szkoleń. Nie musisz wcale niczego kupować, ale możesz pomóc podbić stawkę. – Mrugnął do niej porozumiewawczo. – Tylko nikomu nie mów, że to powiedziałem.

Ivy zaśmiała się.

– Jestem Ivy Madison – przedstawiła się, tryskając aż za dużym entuzjazmem. – Asystentka prokuratora hrabstwa.

– Oczywiście. Powinam odgadnąć. Eli i Noelle Huestonowie. – Noelle podała jej dłoń. – Eli to były szeryf. Dlatego właśnie przyszliśmy tu z naszą książeczką czekową. No chodź, powiem ci, kogo powinnaś licytować.

Kogo powinna licytować?

Ivy weszła za nimi do środka, obrzucając wzrokiem zatłoczone pomieszczenie. Zdjęcia żołnierzy wisiały w metalowych ramkach razem z listą członków stowarzyszenia weteranów oświetloną neonową reklamą baru. Zapachy smażonego w głębokim tłuszczu kurczaka *buffallo wings*, piwa i braterstwa broni wgrzyły się w ciemne panele na ścianach.

Wokół stołu bilardowego z tyłu pomieszczenia ustawił się rząd ludzi – mężczyzn wyglądających na dawne gwiazdy sportu. Na okrągłych stolikach stały ich napoje, głównie piwo lub cola. Dwóch mężczyzn grało w rzutki, celując do elektronicznej tarczy.

W pewnym momencie wzrok Ivy zatrzymał się na mężczyźnie siedzącym samotnie obok grającej szafy. Przeszył ją dreszcz, gdy go rozpoznała.

Jensen Atwood.

Przez moment zastanawiała się, czy do niego nie zagadać – może powinna się przedstawić, powiedzieć mu: *to ja byłam autorką twojej wspaniałej ugody obrończej*. Tak, to był naprawdę niezły kawał prawniczej roboty. Taki, dzięki któremu wylądowała tutaj, podejmując wyśnioną pracę w wyśnionym miasteczku.

Ale Noelle obróciła się i kiwnęła głową, by Ivy poszła za nią. Podążyła więc do wskazanego wolnego stolika.

– Co roku, w ostatni wieczór festiwalu z okazji letniego przesilenia, odbywa się tutaj aukcja charytatywna. Zrobiło się z niej prawdziwe wydarzenie – wyjaśniła Noelle, dając znak kelnerce. Kiedy ta do nich podeszła, Eli zamówił kubek skrzydełek z kurczaka i kilka koktajli czekoladowych. Ivy poprosiła o colę.

– Co wystawiają na aukcji?

– Sprzęt do wędkowania, łodzie, odśnieżarki. Czasami wakacje w Cancún. Wszystko, co ludzie chcą przekazać na cele charytatywne. Ale w tym roku przygotowali coś specjalnego. – Noelle pochyliła się bliżej. Jej oczy błyszczały figlarnie. Ivy zdążyła już ją polubić. No i podobał jej się sposób, w jaki Eli trzymał jej dłoń zamkniętą w swojej. Jakie to musi być uczucie, być tak kochanym? Miłość tego rodzaju... cóż, Ivy miała sporo marzeń, a wszystkie pokładała w życiu tutaj, w Deep

Haven.

– Co takiego? – dopytywała się Ivy.

– Wystawią na aukcji lokalnych kawalerów.

Dokładnie w tym momencie, jak na komendę, pierwszy kawaler – drwal – wyszedł na scenę.

Ivy upiła łyk coli, obserwując reakcję rozentuzjasmowanego tłumu.

– Będiesz licytować? – zapytała Noelle.

Ivy wzruszyła ramionami.

Drwal został sprzedany za dwieście dolarów – za drogo, jak na gust Ivy – kobiecie, która miała na głowie opaskę z przymocowanymi do niej rogami łosia. Mężczyzna, schodząc ze sceny, napiął dla niej mięśnie, na co tłum oszalał.

Po nim miejsce na scenie zajął gładko ogolony, przystojny młodzieniec, czemu towarzyszyły dzikie okrzyki młodszej części widowni na przedzie.

– To mój syn – powiedziała Noelle, bawiąc się świetnie. Chłopak wyglądał na jakieś dziewiętnaście albo dwadzieścia lat i miał na sobie T-shirt Uniwersytetu Minnesota Duluth. Był zbudowany jak sportowiec i roztaczał wokół siebie odpowiednią aurę pewności siebie. – Gra w koszykówkę w UMD Bulldogs – ciągnęła Noelle. Jako pierwsza wykrzyknęła kwotę, czym ściągnęła na siebie gniewny wzrok chłopaka stojącego na scenie.

W pierwszym rzędzie rozpoczęła się wojna między konkurującymi frakcjami.

– Powinnam dołączyć do licytacji? – spytała Ivy. Nie za bardzo wiedziałyby, co zrobić z kawalerem dziesięć lat młodszym od niej. Może skosiłby dla niej trawnik.

– Nie. Zachowaj swoje pieniądze na Owena Christiansena.

Pewnie to kolejny drwal prosto z lasu, we flanelowej koszuli i manierach niedźwiedzia grizli. Ivy uśmiechnęła się sztucznie.

– Może o nim słyszałaś? Gra w hokeja w Minnesota Wild.

– Nie, przykro mi.

– To taka lokalna gwiazda. Grał w naszej miasteczkowej drużynie, a potem Wild wzięło go do siebie zaraz po szkole średniej.

– Nie jestem jakąś specjalną fanką hokeja.

– Kochana, nie możesz żyć w Deep Haven i nie być fanką hokeja. – Noelle wyszczerzyła się do niej, po czym obróciła się, gdy kelnerka przyniosła skrzydełka.

Ivy zignorowała to, choć te słowa trafiły w czuły punkt i ukłuły ją w serce. Ale ona właśnie chciała żyć w Deep Haven...

Noelle podsunęła jej skrzydełko, lecz Ivy odmówiła.

– Rodzice Owena, John i Ingrid Christiansenowie, prowadzą ośrodek wypoczynkowy jakieś pięć mil za miastem. To scheda rodzinna. Jego prapradziadek przybył tutaj na początku dziewiętnastego wieku i założył obozowisko. Pracował

przy wyrębie lasu. Z czasem siedlisko to zmieniło się w modne miejsce wypoczynkowe na północnym wybrzeżu, chociaż przy dzisiejszym stanie gospodarki, pewnie mają kłopoty, tak jak reszta ośrodków w Deep Haven. Jestem pewna, że udział Owena w aukcji jest próbą uzyskania darmowej reklamy. Owen to najmłodsze z sześciorga dzieci Christiansenów. Jestem pewna, że ich spotkasz. Czwórka ich dzieci wciąż mieszka w Deep Haven.

Rudowłosa kobieta wygrała kawalera prezentującego się na scenie i pobiegła odebrać swoją nagrodę. Ivy uciekła do damskiej toalety.

A co, jeśli faktycznie wylicytuje Owena? Tak naprawdę tym, czego potrzebowała w życiu, był prawdziwy kawaler. Ktoś, w kim mogłaby się zakochać, ktoś, kto mógłby z łatwością złamać jej serce.

Może mogłaby poprosić rzeczzonego kawalera, aby oprowadził ją po Deep Haven i nauczył ją czegoś o hokeju. Na pewno pokazując się z lokalną gwiazdą, zyskałaby trochę w oczach mieszkańców miasteczka.

Słyszała stłumione słowa, gdy licytator nakręcał tłum, zapowiadając kolejnego uczestnika, a potem nikłe oklaski, gdy atrakcja wieczoru pojawiła się na scenie. Wyszła z łazienki i stanęła przy barze, by przyjrzeć się dokładnie bohaterowi miasteczka.

W tych północnych lasach naprawdę hodowano olbrzymów. Z tymi swoimi szerokimi barami zdecydowanie wyglądał na hokejowego mistrza. Na jego muskularnych ramionach opinała się ciemnozielona koszula z napisem: *Ośrodek Evergreen – wspomnienia, które będą żyć wiecznie*. Stał w pozycji spoczynnej, jak to bywa w wojsku. Miał na sobie przylegające džinsy i trapery. Mężczyzna wyglądał jak forteca nie do zdobycia, a na twarzy nie miał ani śladu chęci zareklamowania się. I to wszystko, jeśli chodzi o podbicie serc widowni.

Właściwie, używając jedyne terminu hokejowego, jaki знаła Ivy, wyglądał, jakby ktoś właśnie pchnął go mocno na bandę, co sprawiło, że nabawił się przez to permanentnego grymasu irytacji. Wcale nie podobało mu się, że stał na scenie w miejscowym pubie jako główna atrakcja wieczoru.

– No dalej, kto rozpocznie licytację naszego kawalera z Deep Haven?

Ivy rozejrzała się po pomieszczeniu. Zapadła cisza jak makiem zasiał. W powietrzu dało się wyczuć coś niedobrego. Spojrzała w stronę, gdzie siedział Jensen Atwood, ale już go tam nie było.

Mężczyzna na scenie przełknął ślinę. Poruszył się nerwowo. Zacisnął wargi. Och, biedny Owen. Serce waliło jej mocno w klatce piersiowej. Wiedziała bardzo dobrze, jakie to uczucie być niechcianym.

– Sto dolarów? Kto wyda tyle na naszego miejscowego bohatera?

Przesunęła wzrokiem po sali, widząc, jak bywalcy odwracają głowy jakby z zawstydzeniem. Nawet Eli i Noelle zapatrzyli się nagle w swoje jedzenie.

Owen westchnął i pokręcił głową.

I właśnie wtedy, wskutek tej sytuacji, z klatki piersiowej Ivy wydobyły się słowa:

– Pięćset dolarów!

Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę. Poczuła szaloną, co było zrozumiałe, chęć ucieczki. Ale słowo się rzekło, a więc zrobiła krok do przodu w stronę sceny.

– Stawiam pięćset dolarów – powtórzyła, starając się opanować drżenie głosu.

Ivy zerknęła na Noelle, spodziewając się aprobaty, ale zamiast tego zobaczyła spanikowany wyraz jej twarzy. Czy to nie ona sugerowała, by Ivy licytowała tego mężczyznę?

I wtedy ze sceny usłyszała:

– Wszystko pasuje! Sprzedany tej pięknej pani w białej kurtce. Proszę pani, proszę wejść na scenę i odebrać swoją nagrodę.

Wciąż żaden z uczestników tej zabawy się nie odezwał – nie było ani wiwatów, ani okrzyków zgrozy, nic. Ivy przełknęła ślinę i spojrzała w oczy kawalerowi stojącemu na scenie.

– Spotkam się z nim przy barze – powiedziała cichutkim głosem.

Owen, podobnie jak Ivy, poczuł ulgę, że nie muszą odstawić razem jakiegoś publicznego spektaklu. Zszedł ze sceny, a licytator zapowiedział muzyków. Mężczyźni z tyłu pomieszczenia wznowili grę w bilard.

Ivy nie mogła się powstrzymać. Przysunęła się do Noelle.

– O co chodzi? Wiem, że wydaje się trochę nieokrzesany, ale...

– To nie jest Owen – odparła Noelle, wycierając palce w serwetkę. Skierowała wzrok w jakiś punkt za plecami Ivy; pewnie spojrzała na obcego, którego ona właśnie kupiła.

– Słucham?

– Owen nie mógł przyjechać. To Darek Christiansen. Jego starszy brat.

Ivy obróciła się, odnalazła wzrokiem mężczyznę, który przedzierał się przez tłum. Nie zatrzymał się, by podać komukolwiek rękę albo nawet poklepać kumpli po plecach.

Wyglądało na to, że właśnie kupiła człowieka który w Deep Haven był outsiderem.

Noelle potwierdziła tę konkluzję.

– Przygotuj się, kochana. Kupiłaś właśnie najmniej pożądanego ze wszystkich kawalerów w miasteczku.

Darek o niczym innym nie myślał, jak tylko ruszyć przed siebie, wyjść z pubu, dotrzeć do swojego jeepa, wcisnąć gaz do dechy i ruszyć w górę wzgórza.

By się schować.

Zamorduje Owena, gdy zobaczy go następnym razem, co raczej nie zdarzy się szybko, biorąc pod uwagę status gwiazdy tego dzieciaka. *Sorry, bracie. Nie zdążę dzisiaj – mam sesję zdjęciową.* Jakby Owen nie mógł pomyśleć o tym wcześniej, może jakoś poprzestawiać swój aż tak napięty harmonogram? Ale Owen nie myślał o niczym więcej, jak o treningach, poprawie celności swoich strzałów i aktualizowaniu statusu na Facebooku. Gdy Darek sprawdzał ostatni raz, jego dwudziestojednoletni młodszy brat miał 32 876 fanów.

Darek miał u siebie może około trzydziestu ośmiu znajomych. Nie żeby liczył, ale wydawało mu się to jakimś tam podsumowaniem jego życia.

Od razu, jak tylko rozłączył się z Owenem, powinien czmychnąć – załadować Tigera do jeepa, przyczepić łódź i pojechać nad jakieś krystalicznie czyste jezioro. Chociaż to właśnie wybuch złości i zapomnienie o swoich obowiązkach sprawiły, że znalazł się w tym miejscu.

Kierowała nim wyraźnie próżna nadzieja, że piętno zniknęło, że plotki może wreszcie się skończyły i znów mógł stać się pożądanym kawalerem. Kimś, kto po prostu chciał zacząć od nowa, dla siebie i dla swojego syna.

Niemal grobowa cisza, która zapadła, gdy wywołano jego imię, a on zajął miejsce Owena, potwierdziła, że nie, nic nie zostało mu zapomniane.

Darek precyzyjnie się koło baru, gdzie oczywiście jego koledzy z liceum zaoferowali mu wymuszone uśmiechy.

Nie zauważył, aby ktoś inny z dawnej drużyny Deep Haven Huskies rwał się, aby sprzedać swoje... no, może nie do końca ciało, ale ona przecież nie oczekiwała prawdziwej randki, prawda? Sam więc nie był pewny, co tak naprawdę sprzedawał.

Darek spojrział na swojego ojca Johna, który siedział z tyłu sali i trzymał w rękach sprite'a. Był mężczyzną o posturze wspomagającego – większy od każdego ze swoich synów. W czasach swej młodości grał w Minnesota Gophers. To, że nadal jest otoczony graczami w hokeja, można przypisać lodowisku, które każdego stycznia wydzieliał na jeziorze.

– Dobra robota, synu – powiedział ojciec, łapiąc go za ramię.

– To był zły pomysł – zrzędził Darek, opóźniając swoje wyjście.

– Pięćset dolarów wcale nie brzmi jak zły pomysł. Byłeś dzisiaj najdroższym kawalerem. Na pewno wieści się rozniosą.

– Hurra – odparł Darek. Ale jego ojciec miał rację. Udało mu się wywołać nieco zamieszania, co być może przełoży się pewnego dnia na profity dla ich wakacyjnego ośrodka na brzegu jeziora – Evergreen Lodge Outfitter and Cabin Rentals. Tę nazwę większość osób skracala, mówiąc po prostu ośrodek wypoczynkowy Evergreen.

– Znasz tę kobietę, która cię wylicytowała?

Darek rozejrzał się po pubie, by ją odnaleźć. Nie mógł jej zobaczyć zbyt dobrze ze sceny, bo światła świeciły mu prosto w twarz, ale zdawało mu się, że dostrzegł rudzielca w białej bawełnianej kurtce, z włosami zebranymi w niedbały kucyk. Nie była wysoka, miała może około metra sześćdziesiąt i należała raczej do tych bardziej zaokrąglonych kobiet.

Spostrzegł ją teraz – siedziała obok Noelle Hueston. Patrzyła na niego, jak gdyby właśnie kupiła... no cóż, diabła.

Darek odwrócił głowę, zaciskając ponuro usta.

– Nie, nie znam jej.

Jego ojciec mądrze tego nie skomentował. Zamiast tego upił łyk sprite'a i rzekł:

– Jest ładna.

– Następnym razem, gdy będziesz sprzedawać swoją rodzinę, wybierz innego syna.

Gdy obracał się do wyjścia, zauważył na twarzy ojca uśmieszek, co jeszcze bardziej popsło mu humor.

Nikt z Deep Haven, dosłownie nikt, nie zdecydował się zaoferować za niego swoich pieniędzy. Co aż tak bardzo różniło go od innych, powiedzmy od tych dwóch wcześniejszych kawalerów?

Okej, może to nie było dobrze sformułowane pytanie. Żaden z nich nie miał przyklejonej łatki najmłodszego wdowca w mieście, a litość czy dezaprobata nie towarzyszyły ich każdemu krokowi.

Spojrzał w stronę, gdzie wcześniej siedział Jensen Atwood, zadowolony z siebie, bogaty, ubrany w wymyślną skórzaną kurtkę, z krótkimi włosami zaczesanymi do tyłu i pogardą w oczach. Tak, widział go, jak siedzi z tyłu, obok szafy grającej, myśląc, że nikt go nie zobaczy. Miał niezły tupet, aby się tu pojawić. Darek najchętniej rzuciłby się na niego ze sceny. Takie show dopiero skłoniłoby miejscowych do wydawania pieniędzy – konfrontacja pomiędzy Jensenem i Darekiem. Wreszcie.

Zamiast tego patrzył się na niego złym wzrokiem tak długo, aż Jensen uciekł. Podniosło mu to ciśnienie, dało Darekowi siłę, by stać tam jak idiota, podczas gdy mieszkańcy miasteczka wiercili się niezręcznie na siedzeniach.

Aż do chwili, kiedy odezwała się ta bogata panienska.

Pięćset dolarów.

Wow, naprawdę zmarnowała na niego te pieniądze.

Jaka kobieta była skłonna zapłacić pięćset dolarów za faceta, którego nawet nie znała? Oby tylko nie oczekiwała prawdziwej randki. Nie był typem faceta od prawdziwych randek.

Właściwie nie był typem od żadnych randek.

Darek pokręcił głową i wyszedł z baru.

Zatrzymał się na chwilę na chodniku, biorąc głęboki wdech świeżego powietrza, by pozbyć się smrodu starych papierosów, whisky i plotek, które oblepiały go jak sadza. Na niebie pojawił się już księżyc i zawisł nad miastem. Jego mleczne światło padało na market, kawiarnię „Blue Moose” i zbierało się w porcie jak lukier nad falami jeziora.

Czuł w klatce piersiowej łomot serca i był wściekły, że łatwo opanowywało go poczucie winy, sprawiając, że zmieniał się w gburę. Powinien przynajmniej przełknąć dumę – a przynajmniej to, co z niej zostało – i spotkać się z kobietą, która wybuliła za niego tyle pieniędzy. Na cele dobroczynne.

Zamiast tego odsunął się od drzwi i wydobył komórkę z kieszeni, by zadzwonić do domu.

– Hej, a ty dokąd się wybierasz?

Obrócił się, wciskając „zakończ”. Jego „właścicielka” wyszła za nim z pubu. Kula ognista z zielonymi oczami i piegami, w białej kurtce, którą zapamiętał, zarzuconej na T-shirt, a na szyi zielony szalik. Sięgała mu jakoś do ramienia, ale nie miała oporów, by energicznie oprzeć dłoń na biodrach i wyciągnąć się ku niemu na palcach.

– Myślałam, że mamy randkę.

– Czy tego właśnie chcesz? Randki? – Nie chciał, aby zabrzmiało to tak ostro, nawet gniewnie, więc nie mógł jej winić, że otworzyła usta i wyglądała, jakby ją spoliczkował.

– Nie, ja, hm...

– A więc czemu mnie kupiłaś? I dlaczego wydałaś aż pięćset dolarów? Rany, paniusiu, musisz być naprawdę zdesperowana czy coś.

Wow. Musiał całkiem stracić kontrolę nad wszystkim, co przyzwoite w jego wnętrzu. Ale nie podobało mu się to uczucie bycia poniżanym.

Ani bycia czyjąś własnością.

Tak naprawdę cała ta historia sprawiła, że czuł się uwięziony i mały. Miał już tego serdecznie dość, zdecydowanie.

Jej usta się zamknęły. Zmarszczyły.

– Nie jestem zdesperowana. Jeśli chcesz znać prawdę, zrobiło mi się ciebie żal.

Pewnie mu się to należało, chociaż słowa te zaskoczyły go. Jednak nie dał tego po sobie poznać. Wolał po prostu gapić się na nią zimnym wzrokiem, czego nauczył się przez lata na lodowisku.

– No dobra, a więc skończmy to szybko. Czego chcesz?

– Ja...

– Powinnaś wiedzieć, że nie jestem taki jak inni faceci tutaj. Jeśli szukasz jednorazowej przygody, trafiłaś pod zły adres. Mogę umówić cię z którymś z moich kolegów...

– Wow. Trzymaj się ode mnie z *daleka*. – Obróciła się na pięcie i zaczęła odchodzić wzdłuż chodnika. Zorientował się, że zachował się jak łajdak pierwszej klasy.

– Poczekaj!

Uniosła dłoń.

– Zapomnij! Miałaś rację, to był zły pomysł.

Pobiegł za nią. O rany, nieźle przebierała nogami, zważywszy, że jest niewysoką kobietą.

– Słuchaj, przepraszam. Naprawdę. Po prostu zdecydowanie nie chcesz iść ze mną na randkę. Mogę się założyć, że jeśli poprosisz, to oddadzą ci pieniądze.

– Nie chcę ich.

Nie zatrzymała się. Musiał iść naprawdę szybko, by dotrzymać jej kroku.

– A więc czego chcesz? Dlaczego mnie kupiłaś?

Stała wreszcie, oddychając ciężko. Przycisnęła palce do oczu. Och nie, nie płakała chyba, prawda?

Przełknął ślinę, czując, jak gardło pali go żywym ogniem. Jego słowa rozbrzmiewały mu w głowie i żałował, że jest facetem, który zawsze bezmyślnie rani ludzi.

Jesteś taki samolubny. Felicity, w jego głowie. Zawsze w jego głowie.

– Przepraszam – powiedział cicho, wkładając ręce do kieszeni. Wiatr porwał jego słowa, unosząc je w stronę jeziora. – Po prostu jestem ostatnią osobą, z którą chcesz być widziana na mieście.

Westchnęła, odwracając twarz od niego.

– Cóż, nie mam nikogo innego. – Jej głos wydawał się taki wąty, że przedarł się przez całą jego złość i irytację.

Zagnieździł się w jego wnętrzu, tam, gdzie było miejsce Tigera. Złagodził swój ton.

– Przyjechałaś tutaj na weekend?

– Nie. Mieszkam tutaj – odparła z przekonaniem, jakby przekonując samą siebie.

Naprawdę?

– Znam prawie wszystkich w tym mieście...

– Wprowadziłam się tu wczoraj. Jestem nową asystentką prokuratora hrabstwa.

Ups. Słyszał, że obecna asystentka zrezygnowała, by zostać w domu ze swoim nowo narodzonym dzieckiem. Będzie tęsknił za tym, jak tolerowała jego comiesięczne telefony. Ale ktoś musiał w końcu mieć oko na Jensena, prawda? Spojrzał na tę zdenerwowaną babkę i skrzywił się, wyobrażając sobie jej reakcję, gdy następnym razem Jensen będzie mu groził zakazem zbliżania się.

Tym razem to Darek być może stanie przed latami prac społecznych do od-

robienia.

– Przepraszam – powtórzył.

Jej ramiona drgnęły, gdy wzruszyła nimi bez przekonania.

– Może... może pomogę ci przenieść meble albo narąbię ci drewna, skoszę trawnik...

Założyła ręce na piersi.

– Wow, muszę być naprawdę wspaniałą partią, skoro wolisz skosić mi trawę, zamiast być widzianym ze mną publicznie.

– Nie, ja...

– Jak już mówiłam, możesz iść wolno.

– Nie chcę iść wolno. Kupiłaś mnie, jasno i uczciwie.

Ściągnęła wargi.

– Mam pomysł. Chodź – powiedział.

Zmarszczyła na niego brwi. Szczerze mówiąc, miał już dość proszenia. Sam nie wiedział nawet, jak w ogóle się do niego zniżył. Obrócił się więc i udał w stronę jeepa, zaparkowanego kawałek dalej.

Nie obejrzał się, ale słyszał za sobą jej kroki. Gdy doszedł do samochodu, otworzył drzwi i przytrzymał je jak džentelmen, chociaż wiedział, że na kurtuazję było już trochę za późno.

Nim wsiadła do środka, popatrzyła na niego. Jej oczy były wielkie i błyszcząły w świetle księżyca. Ich spojrzenia się spotkały i po raz pierwszy zauważył, jakie jej oczy są piękne, z drobinkami złota przy krawędziach tęczówek.

– Może i jestem draniem, ale takim niegroźnym – zapewnił ją.

– Mam przyjaciół, którzy dopadną cię i zabiją, jeśli zaginę.

– Nie wątpię w to. – Wziął głęboki oddech i wyciągnął do niej dłoń. – Darek Christiansen, przewodnik turystyczny po Deep Haven, do pani usług, milady.

Przyjrzała się przez chwilę jego ręce i wyczuł, że we wnętrzu kobiety zachodzi jakaś zmiana.

– Ivy Madison. – Podała mu swoją małą dłoń i uśmiechnęła się.

Ten uśmiech uderzył go z pełną mocą, wlewając się w niego, gorący i śmiały, przenikający go całego. Wypuścił jej dłoń, przełknął ślinę. Cofnął się o krok.

Wsiadła do jeepa i sięgnęła po pas bezpieczeństwa. Patrzyła mu w oczy, gdy zamykał drzwi.

O rany.

Może powinien uciec, gdy miał ku temu szansę.

Jensen siedział na zewnątrz pubu w furgonetce z Pine Acres – tej, którą jechał do miasta, gdy chciał się ukryć – i patrzył, jak Darek zdobywa dziewczynę. Znowu.

No i czemu właściwie nie? Darek Christiansen zawsze wygrywał.

Tego wieczoru gapił się na niego tak długo, że Jensen nie miał innego wyjścia, jak tylko się wymknąć. Ostatnią rzeczą, której potrzebował Jensen, była awantura. Zwłaszcza kiedy zostało mu tylko sześć tygodni wyroku. Nie chciał, by sędzia zdecydował, że jednak nie wykazuje wystarczającej skruchy, i zamienił jego prace społeczne na pobyt za kratkami.

Jensen powinien po prostu pogodzić się z tym, że Darek zawsze wygrywa. Jego pasmo zwycięstw rozpoczęło się w czwartej klasie, gdy obaj zaczęli grać w hokeja, i ciągnęło się dalej, gdy Jensen wyprowadził się już z miasteczka, ale powracał każdego lata, by razem z Darekiem rywalizować o względy Felicity.

Pewnie, Jensen też miał parę dobrych momentów. Na przykład to lato, gdy Darek uciekł do Montany, by razem z drużyną hotshotów z hrabstwa Jude walczyć z pożarem w Parku Narodowym Glacier, już po tym, jak Jensen zrezygnował ze swoich marzeń o byciu strażakiem. Jensen i Felicity niemal nie zbudowali razem czegoś trwałego – i pewnie tak w końcu by się stało, gdyby Darek nie wrócił do domu pięknie opalony i triumfujący.

No i oczywiście pozostawał jeszcze niezaprzeczalny fakt, że Darek w końcu poślubił Felicity. Jensen nie spodziewał się tego. Ale nie sądził też, że sam Darek się tego spodziewał.

Obserwował, jak Darek i rudowłosa kobieta wyjeżdżają z miasta jeepem wranglerem. Przez moment rozważał, czy nie wrócić do środka, by posłuchać zespołu Blue Monkeys. W końcu po to zebrał się na odwagę, by przyjść na aukcję. Zwykle spóźniony wślizgiwał się na występy zespołu, trzymając się z tyłu, więc nikt go nie widział. Ale dzisiaj przeliczył się z czasem, aukcja przeciągnęła się i cóż... wracanie tam teraz przypominałoby za bardzo powrót z podkulonym ogonem.

Miał jeszcze w sobie tę odrobinę dumy.

Jensen włączył bieg i ruszył.

Jeszcze sto godzin i będzie wolny. Będzie mógł zostawić Deep Haven i nigdy nie oglądać się za siebie. Może pojedzie aż do Kalifornii albo do Meksyku, gdzie zmieni imię i ucieknie od swojej przeszłości.

Na szczycie wzgórza górującego nad miastem Jensen zdusił w sobie impuls, by wyrzeć przez okno od strony pasażera na mozaikę świateł Deep Haven, które – jak oczy – obserwowały go, mrugały, oskarżały.

Nie spuszczał oka z drogi, zwalniając, gdy wszedł w zakręt wycięty w granicie. W tym miejscu pobocze nagle się kończyło. Spocily mu się ręce i złapał się na tym, że wstrzymuje oddech.

Nie mógł się doczekać, kiedy się stąd wyniesie. Ale żeby to zrobić, musiał najpierw znaleźć kilka innych miejsc, gdzie mógłby pójść i płaszczyć się, błagając o godziny. Deep Haven zdawało się zdeterminowane, by uniemożliwić mu wypeł-

nienie jego przykazanych prac społecznych. Zajęcia dla wolontariuszy skurczyły się do dziesięciu godzin tygodniowo, a w niektórych miejscach, jak na przykład w szkole przy realizacji programu zajęć wyrównawczych, odprawiano go z kwitkiem.

Najwidoczniej fakt, że skończył college i studiował prawo przez dwa lata, nie miał żadnego znaczenia dla nauczycieli, którzy walczyli, by nauczyć swoich szóstoklasistów czytać.

Niestety, jeśli zależałoby to od mieszkańców Deep Haven, urządziliby mu pierwsze publiczne ukamienowanie.

Skręcił na południe, gdzie ulica rozwidlała się wokół jeziora Evergreen, i pojechał aż do końca wybrukowaną drogą, zatrzymując się przed zamkniętym osiedlem Pine Acres. Elektronicznie otwierana brama i karta magnetyczna mogły pewnie zostać uznane za grubą przesadę, ale jego ojciec, gdy wkroczył w świat nieruchomości i tworzył to luksusowe wakacyjne osiedle, obiecywał bezpieczeństwo swoich domków letniskowych i dotrzymał danego słowa. Przynajmniej wobec mieszkańców.

Gdy Jensen przejeżdżał przez bramę, zauważył, że jeleń urządził sobie ucztę w krzakach porzeczek przy wejściu. Będzie musiał je przyciąć i może czymś spryskać. Zwrócił też uwagę na to, że w lampie z czujnikiem przepaliła się jedna z żarówek, a dalej, w poprzek jednej z dróg dojazdowych, leżało drzewo. Wpadnie tu jutro swoim quadem i wszystkim się zajmie.

I tak musiał skosić trawę i skończyć malować garaż Millerów – ojciec uważał, że to zajęcie wypełni mu czas i będzie miłym gestem. W końcu Millerowie ze swoją siecią kin byli jednymi z największych klientów ojca w Minneapolis.

Jensen wjechał wolno na podjazd ogromnego domu letniskowego swojego ojca i zaparkował samochód na zewnątrz. Gdy wysiadał, gwiazdy tworzyły baldachim światła, niewinny i jasny. Wydawały się tak blisko, że miał ochotę wyciągnąć dłoń i dotknąć jednej z nich. Wiatr szumiał pomiędzy sosnami i brzozaami, topolami i wierzbami, które otaczały posesję.

Gdy Jensen udał się w kierunku bocznych drzwi, lampy z czujnikami ruchu zapaliły się, oślepiając go na moment. Potem wkroczył w ciemność garażu, nie zwracając sobie głowy zapaleniem żarówki. Zrzucił buty i przebiegł po znajomych schodach aż do salonu. Światło księżyca, które wpadało do środka przez ogromne, wychodzące na jezioro okna, pokryło drewnianą podłogę warstwą jasności. Wysoki sufit sięgający drugiej kondygnacji zamykał ciszę ogromnego domu. Wszędzie pachniało jeszcze sandaczem, którego przyrzucił sobie z masłem i koprem na obiad. Rzucił klucze na granitowy blat i otworzył podwójne drzwi lodówki ze stali nierdzewnej, szukając czegoś. Czegokolwiek.

Chwycił piwo korzenne w wysokiej butelce, odkręcił kapsel i wyszedł na werandę.

Światło księżyca muskało powierzchnię jeziora, mącąc ją. Ledwo mógł do-

strzec światła u Gibsa, swojego sąsiada, które przesączały się przez las i piaszczystą plażę. Powinien sprawdzić, co tam słychać u staruszka. Przy plaży przycumowana była kanadyjka, dowód, że odwiedziła go jego wnuczka Claire. Bardzo lubiła pływać łódką po jeziorze.

Jensen wcale nie miał zamiaru jej szpiegować, ale uwielbiał na nią wtedy patrzeć. Zresztą, co innego miał do roboty?

Po drugiej stronie jeziora, niemal idealnie na wprost Pine Acres, paliły się światła w głównej, największej chacie z bali w ośrodku Evergreen.

Dawno, dawno temu, on i Darek byli królami jeziora Evergreen.

Postawił butelkę z piwem na poręczy i wyjął harmonijkę.

Dźwięk poniósł się nad jezioro, długi i nosowy. *Cry! Cry! Cry!* Johnny'ego Casha. Może i trochę sobie tym dogadzał, ale dzisiejszego wieczoru nie mógł się powstrzymać. *You'll call for me but I'm gonna tell you, bye, bye, bye...*[3]

Gdy skończył, zaczekał, aż wybrzmieją ostatnie dźwięki. Tak łatwo było czasem po prostu zamknąć oczy i pogрузić się we wspomnieniach. Ciepło słońca na jego skórze, posmak kłopotów w jego śmiechu. Stoi na dziobie kanadyjki, jego nogi balansują na burtach. Claire i Felicity siedzą pośrodku, a na rufie, przodem do niego, stoi Darek w podobnej pozycji.

Jensen widział wyzwanie w oczach Dareka, gdy ten powiedział:

– Nie uda ci się mnie zrzucić.

– Zaraz się przekonasz – Jensen rozbijał łódkę dla zabawy.

Felicity pisnęła. Lato sprawiło, że jej włosy przybrały bogaty, soczysty kolor blond. Miała na sobie kuse bikini, przez co Jensenowi mało oczy nie wyszły z orbit. Patrzyła na niego, uśmiechając się. Zastanawiał się, czy może ona słyszeć, jak głośno wali mu serce.

Claire chwyciła się brzegu siedzenia. Jensen zauważył, że spojrzała na niego. Zawsze sprawiała, że czuł się jak niegrzeczny chłopiec, nawet kiedy nie myślał akurat o rzeczach, o których nie powinien. Chociaż pewnie taka właśnie była rola córki misjonarzy. Sprawiać, że będziesz zachowywać się, jak należy.

Ale w dni takie jak ten, gdy słońce świeciło mu w plecy, a obie dziewczyny się do niego uśmiechały, nie zależało mu na dobrym sprawowaniu.

Tylko na wygranej.

Jensen mocno zabujał kanadyjką i Darek zamachał rękami. Niewiele brakowało, a zleciałby do wody, ale jakoś odzyskał równowagę i tupnął nogą, przechylając łódkę w drugą stronę.

Jensen zorientował się, co się święci, przechylił łódź w drugą stronę, szybko i mocno, i...

Darek użył całego ciężaru ciała i nagle Jensen znalazł się w powietrzu. Chłód wody w jeziorze odebrał mu oddech, ale wierzgał nogami, by się dobrze ustawić.

Gdy wynurzył się na powierzchnię, zobaczył wyciągniętą w jego kierunku

rękę Dareka. Chwycił ją, szarpnął i mocno pociągnął.

Darek wpadł do jeziora głową w dół. Wynurzył się, plując wodą, i rzucił się na Jensena. Mocowali się przez chwilę, aż obaj uczyli się brzegów kanadyjki, ciężko oddychając.

– Weźmy łódź twojego taty i zjedźmy coś w knajpie – powiedziała Felicity, gdy Darek sięgnął ku niej ręką. Pacnęła go. Spojrzała na Jensena. – Proszę?

– Jasne.

Claire wyciągnęła dłoń i pomogła Jensenowi wciągnąć się do łodzi. Darek dostał się tam tuż za nim i powiosłowali z powrotem do brzegu.

Na szczęście ojciec nie wróci przed weekendem, więc nie będzie marudził z powodu łodzi. Claire i Felicity przebrały się w letnie sukienki i popłynęli razem po Dareka na drugą stronę jeziora, po czym dalej, w kierunku restauracji i grilla na świeżym powietrzu. Jensen, gdy kierował łodzią, opierał kolano o siedzisko.

– Szybciej, Jens! – zawołała Felicity, więc dodał gazu. Darek zmarszczył brwi, a jego oczy pociemniały, ale Felicity się śmiała, a Jensen czuł to w swojej piersi.

Jej śmiech zawsze był tak słodko niebezpieczny. Gdyby słuchał go zbyt długo, mógłby go spalić. Do teraz czasami wydaje mu się, że słyszy go w ciemności nad jeziorem. Smakował wspomnienia tego dziwnego lata, gdy miał ją całą dla siebie, gdy czuł dotyk jej pocałunków. Jaki był z niego głupiec, gdy żył nadzieją, że jeśli zrobi wszystko dobrze, Felicity stanie się jego. Był przekonany, że tego właśnie naprawdę pragnął.

Jednak ona nigdy nie należała do niego. Ani wtedy, ani później.

Otworzył oczy i zapatrzył się w noc, na światła rozpraszające ciemność po drugiej stronie jeziora.

Powinien pamiętać, że Darek Christiansen zawsze wygrywa.

[3] „Zadzwonisz do mnie, ale ja powiem: pa...” (przyp. tłum.).

dwa

Jeśli to była jego mina „Witamy w Deep Haven”, Ivy wcale się nie paliła, aby zobaczyć, jak wygląda jego „marudna” strona. Mężczyzna miał w sobie tyle ciepła i życzliwości, co szyszka.

Smutne było, że przez moment tam przy plaży, gdy kibicowały jej fale, wydawało jej się, że mogliby zostać przyjaciółmi. Myślała, że zobaczyła wyłom w tym jego paskudnym zachowaniu.

Darek Christiansen, przewodnik turystyczny po Deep Haven, do pani usług, milady.

Jasne.

Powinna jednak poprosić o zwrot pieniędzy. Albo przekazać tę sumę bezpośrednio służbom ratowniczym, zamiast przeznaczać ją na tę parodię... czego? Randki?

Może powinna zaakceptować jego ofertę prac ogrodniczych.

A przede wszystkim nie mogła uwierzyć, że dopiero co spotkała tego faceta, a on już ją odrzucał.

Darek zdjął miękki dach ze swojego jeepa i siedział teraz z rękami założonymi na piersi i ponurym wyrazem twarzy, czekając aż wreszcie zostanie wyratowany z tej niewoli.

Ivy też miała prawdziwą ochotę dać sobie spokój i kazać mu się zawieźć do domu. Ale, cóż... ten *widok*. Trudno jej było się oderwać od tego miejsca z widokiem na Deep Haven.

– Nie mogę uwierzyć, że przejechaliśmy tylko pięć mil, a możemy objąć wzrokiem całe miasto, niemal zamknąć je w dłoniach.

– Jesteśmy w punkcie widokowym na Pincushion. Nastolatki lubią tu przyjeżdżać, by się trochę poobściskować.

Cóż, nie była to ciekawostka, jaką spodziewała się usłyszeć.

– Wygląda to tak, jak gdyby Deep Haven wpadło do miski i wylewało się w stronę jeziora. – Rzeczywiście, światła spływały kaskadą wzdłuż góry jak błyszcząca rzeka w kierunku plamy ciemności, czyli Jeziora Górnego. Latarnia jawiła się jako ostatni punkcik przebijający mrok. Sosny nasycaly powietrze swoim zapachem, z radia dolatywała muzyka country i pomimo chłodu, który wkradał się pod jej dzinsową kurtkę, noc wydawała się idealna na romans.

No chyba nie.

Ivy wysiadła z jeepa i podeszła do krawędzi.

– Uważaj. Droga prowadzi prosto w dół.

Potrafię się o siebie zatroszczyć, prawie odpysknęła. Robiła dokładnie to przez jakieś trzy dekady. Ale nie chciała sprowokować kłótni.

– Jak długo tu mieszkasz? – spytała, nie patrząc na niego. Łódź, samotny punkcik światła, płynęła po jeziorze.

– Urodziłem się tutaj. Wychowałem.

– Obściskiwałaś się tutaj? – Nie mogła się powstrzymać i obróciła się, by zobaczyć jego reakcję. – Och, daj spokój. Sam poruszyłeś ten temat.

Trzymał ręce na kierownicy, patrząc prosto na nią, a jego oczy były zwężone, enigmatyczne.

– Niech będzie. Tak, oczywiście. Byłem chłopakiem z Deep Haven.

No, tak lepiej. Wróciła do samochodu i wślizgnęła się na siedzenie.

– Jakie jest twoje ulubione miejsce w miasteczku?

Wzruszył ramionami, ale nie miała zamiaru tak łatwo mu odpuścić. Wiedziała, w jaki sposób czekać, aby wymusić przyznanie się do winy. Wreszcie spojrział na nią i przemówił.

– Mieszkam na terenie ośrodka wypoczynkowego przy jeziorze Evergreen. To prawdziwy plac zabaw dla chłopaka; są tam lasy, dzikie zwierzęta i krystalicznie czyste jezioro. Wszędzie masz kamienistą plażę i bagna, poza małym kawałkiem przy granicy posesji. Właśnie tam znajduje się dąb ze zwisającymi gałęziami i starą liną przywiązaną do jednej z nich. Spędzałem każde lato, skacząc do wody z tamtego drzewa albo pływając łódką po jeziorze. A większość nocy przesiedziałem przy ognisku, piekąc pianki.

No i proszę. Więcej niż kilka słów naraz.

– To brzmi tak bajkowo.

– Dorastanie w ośrodku wypoczynkowym w małym miasteczku ma swoje plusy.

– Pewnie znasz tutaj wszystkich.

Znów wzruszył ramionami.

– Wystarczająco wielu.

Ivy odchyliła głowę na oparcie, omiatając wzrokiem gwiazdy, wspaniałą Drogę Mleczną.

– Zawsze chciałam mieszkać w miasteczku takim jak Deep Haven. Gdzieś, gdzie jest cicho i bezpiecznie. Gdzie wszyscy znają twoje imię i gdzie sąsiedzi pozdrawiają cię w sklepie.

– Tego właśnie chcesz? Żeby cię pozdrawiano w sklepie?

– Może. I żeby barista w kawiarni wiedział, co zwykle zamawiam. I żeby bibliotekarka dzwoniła do mnie, gdy pojawi się moja ulubiona książka. I żeby listonosz był ze mną na „ty” i może wpadał czasem na kawę.

– Mój listonosz nazywa się Dennis i w ciągu dwudziestu lat ani razu nie wpadł na kawę.

– Chcę mieć wspomnienia. Życ w miejscu, do którego będę należeć. Gdzie mogłabym zostać na zawsze. – Wcale nie planowała, że wyrzuci z siebie to wszyst-

ko, że zabrzmiał tak desperacko. Ale on zdecydowanie nie doceniał tego, co miał.

– Byłaś w armii?

– Nie. Po prostu... nie miałam idealnego dzieciństwa. Mieszkałam w rodzinach zastępczych.

– Przykro mi.

Ivy przymknęła oczy.

– Nie można żyć przeszłością. Twoje życie jest tym, co z nim zrobisz. –

Usiadła prosto, po czym obróciła się do niego. – Zabierz mnie tam.

– Gdzie?

– Nad jezioro Evergreen. Chcę zobaczyć, jak buja się ta lina.

Nie drgnął nawet. Zbladł nieco.

– Nie mogę. Nie jestem... Cóż, po prostu nie mogę.

Och.

– A więc... czym się zajmujesz? Jesteś drwalem, jak reszta mężczyzn z aukcji?

Chciała, by zabrzmiało to jak żart, ale on nie wydawał się rozbawiony.

– Pracuję jako konserwator w ośrodku.

– Pilnujesz rodzinnego interesu, tak?

Darek gapił się na nią przez moment.

– Robi się już późno – stwierdził wreszcie, wyciągając komórkę.

No proszę. Nie była pewna, co też takiego powiedziała, ale tak, zdecydowanie zmarnowała wystarczająco dużo czasu z kawalerem numer jeden.

– O nie – powiedział, wybierając numer. – Musiałem niechcący wyciszyć dzwonek. Nawet nie słyszałem... Mamo, dopiero teraz dostałem twoją wiadomość. Co...?

Zamilkł, a na jego twarzy odmalował się grymas przerażenia.

– Zaraz tam będę.

Rozłączył się i przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Muszę odwieźć cię do domu.

Ivy zapięła pas.

– Co się stało?

Obrócił się, opierając rękę o zagłówek jej siedzenia.

– Chodzi o mojego syna. Jest na pogotowiu.

Syna? Darek był kawalerem do wzięcia, prawda? Jej wzrok pofrunął ku jego lewej dłoni. Nie nosił obrączki, może był więc rozwiedziony.

– Co się stało?

– Spadł z piętrowego łóżka. Nie wiem... – Koła zapiszczały, gdy wyjechali z punktu widokowego.

Chwyciła się poręczy.

– Kto z nim był?

– Jego babcia. – Wjechali na autostradę. – Moja mama. Odchodzi od zmysłów.

Gdzie była matka chłopca?

– Ile ma lat?

Wiatr rozwiewał mu włosy. Obie ręce zaciskał kurczowo na kierownicy.

– Pięć. – Jego głos zdawał się zdławiony, spanikowany. – Ma pięć lat.

Przycisnęła dłoń do jego ramienia.

– Jedź prosto do szpitala. Potrafię sama trafić do domu.

Spojrzał na nią i znów to dostrzegła, tę rysę w jego pancerzu, która sugerowała, że gdzieś tam pod spodem może czaić się człowiek z krwi i kości.

– Naprawdę?

– Pewnie. – Ścisnęła jego ramię. Przez sekundę patrzył na jej rękę. Popatrzył na nią.

A potem przełknął ślinę i odwrócił wzrok z powrotem na drogę.

– Dzięki – powiedział. A przynajmniej tak jej się wydawało, bo miała uszy pełne wiatru.

Pozwoliła, by jej dłoń opadła i trzymała się dalej poręczy. Gdy zjawili się przez szpitalem w Deep Haven – całkiem porządnym jak na społeczność liczącą mniej niż dwa tysiące osób – Darek zaparkował nielegalnie tuż przed wejściem i szybko wypadł z samochodu.

Oczywiście, że na nią nie zaczekał, ale przecież potrafiła dać sobie radę sama.

Zwłaszcza w szpitalu. Ile razy w nocy zwijała się w kłębek na winylowym krześle, gdy lekarze zajmowali się jej matką?

Punkciki światła rozjaśniały wejście na ostry dyżur. Drzwi rozsunęły się, gdy Darek wbiegł do środka. Kamienne kolumny, linoleum na podłodze bez jednej skazy i stonowane beżowe ściany sugerowały niedawny remont z pieniędzy podatników. Ivy deptała mu po piętach, chcąc zapytać pielęgniarkę w rejestracji o drogę do jej mieszkania albo nawet poprosić ją, by wezwała taksówkę. Nie była pewna, czy w Deep Haven mieli w ogóle taksówki. Biurko jednak było puste, pielęgniarki musiały zajmować się pacjentem.

Naprzeciwko biurka, w pokoju zabiegowym znajdowały się dwa łóżka, z czego jedno odgródzone było zasłonką.

Darek ruszył prosto do grupy kobiet, wyczekujących na środku korytarza. Najstarsza z nich – Ivy zgadywała, że była to matka Dareka – miała równo obcięte włosy i eleganckie czerwone okulary. Obejmowała się ramionami, jakby usiłowała nie rozpaść się na kawałki. Jedna z dziewczyn, może jego siostra, miała na włosach czepek ochronny i była ubrana w czarną koszulkę z logo Pizzerii Pierre’a na piersi. Druga z dziewczyn, drobna i z brązowymi włosami, wyglądała na młodszą, może nawet jeszcze chodziła do liceum. Nosiła różowy, pstrokaty T-shirt, spodnie dreso-

we z obniżonym krokiem i japonki. Różowe paznokcie u nóg wyglądały na świeżo pomalowane.

Sądząc po sposobie, w jaki Darek się do nich odezwał, Ivy słusznie uznała je za jego rodzinę. Całe hrabstwo mogłoby go usłyszeć.

– Gdzie on jest?

– Uspokój się, Darek. To tylko kilka szwów – odezwała się najstarsza blondynka, ale głos jej drżał.

– Szwów? No to ładnie. Mamo, co się stało?

– Położyłam go spać w starym łóżku Owena, ale wspiął się na wyższą pryczę. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie zaczął krzyczeć.

Darek skrzywił się, a na jego twarzy pojawił się ból.

– Cała jesteś we krwi.

Te słowa sprawiły, że Ivy przyjrzała się kobiecie bliżej. Kołnierzyk bluzki miała wysmarowany krwią.

– Rany głowy strasznie krwawią...

– Rana głowy! Czy ma wstrząs mózgu?

– Nie wiem.

Darek przepchnął się do przodu i pociągnął za zasłonkę.

Ivy zobaczyła mężczyznę – zapewne ojca Dareka, sądząc po podobieństwie, z takim samym grymasem na twarzy, niebieskimi oczami, szerokimi ramionami pod płócienną kurtką – trzymającego małego chłopca za rękę.

Słodkiego, małego chłopca. Z brązowymi oczami i kręconymi blond włosami, które tworzyły spirale wokół jego głowy. Miał bose stopy i piżamę ze Spidermanem. Krew wsiąkła w bluzkę, widoczna była także na jego buzi. Pielęgniarka przyciskała gazę do rany nad jego okiem, a chłopiec starał się powstrzymać łzy.

Ivy doskonale pamiętała, jak to jest siedzieć w szpitalu i powstrzymać łzy.

Gdy ten gburowaty mężczyzna, z którym spędziła ostatnią godzinę, uległ na jej oczach transformacji, nie mogła złapać oddechu z wrażenia.

Darek obszedł szpitalne łóżko dookoła.

– Hej, Tiger. – Zmusił się do uśmiechu pomimo cierpienia w oczach.

– Tatus! – Chłopiec zaczął kwilić i odsunął się od pielęgniarki. Zarzucił Darekowi ręce na szyję, ukrywając twarz w jego ramieniu.

Darek przytulał go mocno, kołysząc go.

– Tiger wygląda zupełnie jak Darek w jego wieku – wyszeptała matka Dareka. – Nie mogę uwierzyć, że nie sprawdziłam, czy nic mu się nie dzieje.

– W porządku, mamo. Takie rzeczy się zdarzają. Nie tylko wygląda jak Darek, ale ma też jego dzikie usposobienie. – Młodsza córka objęła matkę ramieniem.

– Dziękuję, Amelio. Chciałabym tylko, aby był trochę łatwiejszy do okiełznania. – Zwróciła się do drugiej dziewczyny – Grace, skończyłaś już swoją zmianę?

– Nie – odparła blondynka w koszulce z pizzerii. – Ale kiedy powiedziałaś mi przez telefon o Tigerze, wymknęłam się. Jedna z dziewczyn mnie zastąpiła. Nadrobię swoje godziny jakoś później w tym tygodniu.

– Biedny Darek. Słyszałaś, że sprzedano go dzisiaj na aukcji kawalerów za pięćset dolarów? Jakaś nietutejsza go kupiła – powiedziała Amelia. – Widać od razu, że nie miała pojęcia, kogo wybrała.

– Och, nie bądź niemiła, Amelio. Darek to dobra partia dla każdej kobiety.

– Mamo, bądź poważna. Darek jest taki ponury i zraniony, że już bardziej się nie da. Nigdy się już nie ożeni. Wcale by się nie ożenił, gdyby nie...

– A więc urządzamy imprezę tutaj?

Obróciły się na dźwięk głosu. Rozsuwane drzwi zamknęły się za mężczyzną o ciemnych, zmierzwionych włosach, w skórzanej kurtce, dżinsach, butach do wspinaczki. Przeszedł obok Ivy i podszedł do swojej rodziny.

– Casper! – Amelia rzuciła mu się w ramiona.

Objął ją i pocałował w czoło.

– Czołem, siostrzyczko.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała matka.

– Wysłałam mu SMS-a – przyznała się Grace, całując go w policzek. – I udało mi się zdobyć dla ciebie jakieś resztki pizzy. Jednak nie powinieneś sprawdzać telefonu, gdy jesteś na motorze.

– Zatrzymałem się w punkcie widokowym Cutaway Creek, żeby zadzwonić do domu. Wtedy zobaczyłem wiadomość od ciebie. – Przytulił matkę.

– Jak długo zostajesz?

– Muszę wracać za parę tygodni. Będziemy nurkować i eksplorować wrak niedaleko Key West.

– Przywieź mi jakiś skarb – powiedziała Amelia, łapiąc go pod ramię.

– Co z Tigerem? – spytał Casper, rozglądając się po pomieszczeniu. – Darek wygląda, jakby miał się zaraz przewrócić. Co się stało?

– Wspiął się na twoje stare łóżko piętrowe i zleciał.

– Gdzie był Darek? Dlaczego ty się nim zajmowałaś?

– Darek był na randce – odparła Grace. Miała ładne niebieskie oczy, które teraz zaśniły.

Ivy zaczęła się już wycofywać. Trzymała ją tam tylko jej niepokonana ciekawość gapia. Dlaczego Darek się ożenił? I gdzie była matka tego biednego dziecka?

– Chyba żartujesz.

– Zajął miejsce Owena na aukcji kawalerów. Nie mogli być tam z Eden o czasie więc... – powiedziała matka.

– Darek zajął jego miejsce? – Zdziwił się Casper. – Och, kim jest ta biedna dziewczyna?

Ivy właściwie polubiła Caspera – jego ciemne, kręcone włosy, tę otaczającą go aurę poszukiwacza przygód. Gdy wspomniał o nurkowaniu i Key West, brzmiał jak współczesny pirat. Dlaczego nie kupiła właśnie jego?

Nie. Chwila. Ivy wcale nie chciała mężczyzny, który zostawiłby ją samą dla jakiegoś zaginionego skarbu.

O czym ona w ogóle myślała? Wcale nie szukała *żadnego* mężczyzny. Ani żadnego związku, który bez wątplenia zakończyłby się dla niej złamanym sercem.

Przesunęła się w stronę drzwi, ale nie na tyle szybko, by nie usłyszeć wrzasku małego chłopca. Ivy obróciła się i zobaczyła, jak Darek pochyła się nad synem i trzyma go za rękę, mówiąc coś do niego łagodnie, podczas gdy lekarz wprowadzał długą igłę do rany, pewnie po to, by ją znieczulić. Dziecko zawodziło.

W tym momencie Ivy opuściła szpital.

Pewnie Darek i tak już dawno o niej zapomniał.

Chyba tak byłoby najlepiej. Chociaż pierwszy raz, odkąd go poznała, miała jednak nadzieję, że tak się nie stało.

Darekowi zdawało się, że wystarczyło, że mrugnie, a jego syn rośnie o kolejny cal. Otulił kołdrą ramiona Tigera. Włosy dziecka rozsypane wokół jego głowy przypominały aureolę. Gdy był pogrążony we śnie, wyglądał niczym cherubinek – a zmogło go szybko podczas drogi ze szpitala do domu. Darek wyjął wcześniej fotelik dla dziecka ze swojego jeepa na wypadek, gdyby jego matka go potrzebowała. Faktycznie, ona odwiozła Tigera swoim samochodem. Darek jechał za nimi, a za jego jeepem podążał Casper na starym motocyklu Dareka.

Wcześniej, gdy wyszli ze szpitala, Darek rozejrzał się za Ivy, ale ona zgodnie ze swoimi słowami potrafiła o siebie zadbać. Nie chciał myśleć o tej szalonej godzinie, którą z nią spędził, nie będąc pewnym, dlaczego nie mógł oderwać od niej wzroku, ani dlaczego czuł się z tego powodu tak okropnie.

Nie była na tyle piękna, by zwalić go z nóg. Ani szczególnie zabawna czy kokieteryjna, jak Felicity. Raczej... bezpośrednia – to byłoby dobrym określeniem. Nie prowadziła żadnych gier. To pewnie przez to, że była prawnikiem – chociaż większość prawników, jakich znał, coś ukrywała.

Coś jednak w niej było... to, że wcale się nad nim nie litowała. A nie, chwilę, przecież dokładnie to robiła – przecież dlatego właśnie go kupiła.

Świetnie.

Pewnie wisiał jej teraz pięćset dolarów, ale jeśli dopisałoby mu szczęście, uznałaby całą tę sytuację za złe doświadczenie i zapomniała o nim.

Przynajmniej do czasu aż nie zadzwoni do jej biura, by sprawdzić godziny Jensena, żywiąc nadzieję, że jednak skończy on w więzieniu. Darek będzie się wtedy zachowywał bez zarzutu.

Wyrzucił Ivy z pamięci, gdy zaparkował jeepa za samochodem matki, wziął na ręce śpiącego syna i przemaszerował przez ośrodek do swojego małego domku z trójkątnym dachem na samym końcu posesji.

Nad jeziorem stało – w różnych odległościach względem siebie – dwanaście domków dla gości. W środku nie było nikogo, chociaż jakaś młoda rodzina miała przyjechać tu w środę na tydzień. Będą mieli cały ten teren dla siebie, gdyż kiepski zimowy sezon przeciągnął się aż do czerwca.

Brak śniegu w tym roku zatrzymał napływ narciarzy i fanów skuterów śnieżnych. Nawet maszerzy z psimi zaprzęgami musieli odwołać rezerwacje. Co gorsza, wczesna wiosna sprawiła, że okolica bardzo się wysuszyła, las zamienił się w idealną podpałkę. Służba leśna już wydała ostrzeżenie i zakazała rozpalania ognisk na północnych terenach, gdzie odbywają się spływy kajakowe. Tak więc tylko uczucie nostalgii mogłoby sprowadzić turystów na brzegi Evergreen. Na szczęście służba leśna nie zabraniała rozpalania ognisk na terenie ośrodków. Na razie.

Tego wieczoru, tuż przed telefonem od Owena, Darek miał małą scysję z ojcem. Podzielił się z nim planami na zbudowanie sauny, jacuzzi na świeżym powietrzu i nawet nowoczesnego placu zabaw dla dzieci. Może mogliby przekształcić ośrodek w bardziej przyjazny dla nowej generacji. A gdyby udało im się przekonać ich sąsiada Gibsa, by sprzedał im swoją zaniedbaną posesję, mieliby w swoim posiadaniu jedyną piaszczystą plażę nad jeziorem.

Staruszek był jednak nieprzejednany, a poza tym nie mieli w tym miesiącu nawet jednej zarezerwowanej wyprawy na ryby, a więc nawet jeśli Gibsowi nagle by się odwidziało, nie mogliby mu zaoferować nic więcej niż uścisk dłoni i nadzieję.

Po stu latach prowadzenia ośrodka Evergreen może będą w końcu zmuszeni go zamknąć.

Słowa Ivy na krótko rozbrły w jego umyśle. *Pilnujesz rodzinnego interesu, tak?* Nigdy nie zależało mu na tym, by przejąć rodzinny ośrodek, ale Bóg nie zapytał go, czego chciał. A teraz nie miał żadnego wyboru.

Wciąż nie udało mu się pojednać z Bogiem po swoich stratach. Dotyczyło to także jego przyszłości. Może nigdy to nie nastąpi.

Darek nigdy nie zamykał swojego domu na klucz, więc popchnął teraz tylko drzwi i wszedł do salonu o strzelistym suficie. Zbierały się tam nocne cienie, rozłożyste gałęzie sosen odbite na ścianach. Zbudował to miejsce dla Felicity, myśląc, że może spodoba jej się widok na jezioro i na wejście do domu dziadka Claire, ale nie przewidział tego, że światła z posiadłości Atwoodów będą niemal zalewały salon, oślepiając ich. Ani tego, że Felicity będzie się przez to czuła samotna, odizolowana.

Nic dziwnego, że nie potrafiła zignorować Jensena Atwooda. Darek praktycznie sam wepchnął ją w jego ramiona.

Tiger wtulił się w niego mocniej i przez moment Darek rozważał, czy nie położyć się do łóżka razem ze smykiem. Ale wtedy musiałby się wspinać na poddasze, a poza tym i tak nie pozwalał tam wchodzić Tigerowi. Prześpi się więc po prostu na kanapie, nasłuchując płaczu.

Darek pocałował Tigera w pyzaty policzek i wsadził w jego ramiona pluszowego tygrysa – tego samego, którego Felicity kupiła mu w szpitalu po jego urodzeniu. Niestety lekarze wyrzucili do śmieci ukochaną piżamę chłopca ze Spidermanem – za bardzo przesiąkła krwią, by ją uratować – tak więc będzie musiał przejechać się jutro do Bena Franklina i kupić nową.

Och, Felicity... ma twój nos. Twoje piegi.

Pod każdym innym względem Tiger odziedziczył cechy po ojcu – jego lekomyślność, nieustraszonosc, niezależność. Czasami przerażało Dareka, jak bardzo kocha syna. I bał się takich chwil jak ta.

Gdyby Felicity tu była, nic takiego by się nie wydarzyło. Ale gdyby Felicity faktycznie tu była, może Darek nigdy nie zdałby sobie sprawy, jak wspaniały i kochany był jego Tiger. Wciąż goniłby za pożarami jako członek oddziału hotshotów hrabstwa Jude, być może byłby już teraz ogniomistrzem. Spędzałby w domu jeszcze mniej czasu – i kto wie, czy ich małżeństwo w ogóle by przetrwało?

Mógłby mieć syna, który nie wiedziałby nawet, jak jego ojciec ma na imię.

Ale to nie mogło być gorsze, niż utrata matki, prawda? Darek przyłożył rękę do klatki piersiowej, w której go zapiekło, i zamknął drzwi, upewniwszy się wcześniej, że świeci się dziecięca lampka nocna ze Spidermanem.

Felicity miała swoje wady, ale uwielbiała Tigera. Była dobrą matką i starała się być dobrą żoną. Może udałoby się im stworzyć szczęśliwe małżeństwo, może udałoby się im rozwiązać swoje problemy, gdyby tylko był lepszym człowiekiem, gdyby był gotów na małżeństwo, gotów na odpowiedzialność. Tak, za ten cały bałagan mógł winić siebie samego.

W większości.

Częściowo.

Wziął koc i poduszkę z szafy w holu i skierował się w stronę kanapy. Ich mała chatka mogła zmieścić się w salonie domu jego rodziców. Wąski korytarz łączył otwarty salon i kuchnię z sypialnią na parterze. Było jeszcze poddasze, które zbudował dla siebie i Felicity, ale pod koniec wolała spać na kanapie na dole. Twierdziła, że to dlatego, by być bliżej dziecka, ale on wiedział lepiej.

Umeblowała to miejsce – wciąż nosiło znamiona jej dobrego smaku: ogromna skórzana kanapa i pasująca do niej otomana, czerwony fotel z zamszu oraz płaski pięćdziesięciopięciocalowy telewizor, by odtwarzać programy z satelity, z której Darek już dawno zrezygnował. Ponadto akcesoria kuchenne z nierdzewnej stali i granitowe blaty w tyciej kuchni.

Upodobania arystokratki przy pensji strażaka. Wciąż spłacał karty kredyto-

we.

Skrzywił się z bólu, gdy przypomniał sobie swoje oskarżenia. *Powinnaś wyjść za Jensena Atwooda!*

A tak, i tu masz rację! Ale to nie z nim zaszłam w ciążę, prawda?

Nim doszło do tego, wiodło im się lepiej. Jak wtedy, gdy Tiger przyszedł na świat. Przez krótką chwilę myślał nawet, że im się ułoży.

Jezioro błyszczało dzisiaj, muskane światłem księżyca. Dom Atwooda widać było na drugim brzegu – ogromny pałac pośród drzew.

Darek wcisnął sobie poduszkę pod głowę. Zapatrzył się w sufit.

Starał się wymyślić jakiś sposób, aby ocalić ośrodek. To była jedyna rzecz, jaką wciąż mógł podarować swojemu synowi.

Jednak jego myśli zbłądziły w kierunku Ivy. Przesunął dłoń po swoim ramieniu, tam gdzie go dotknęła. Nie spodziewał się tego, takiej życzliwości ze strony kobiety, na którą tylko warczał.

Powinien poświęcić jej tyle uwagi, na ile zasługiwała. Ale jeśli wierzyć Felicity, nie miał pojęcia, jak dać coś z siebie innym i jak poświęcać im uwagę.

Podерwał się, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Otworzył je i ujrzał na progu swoją matkę, która obejmowała się rękami, by przytrzymać połę kardiganu. Włosy związała w kucyk, a jej twarz wydawała się wymizerowana i zmęczona.

– Mamo, co tutaj robisz? – Zapalił światło i przesunął się na bok.

Weszła do środka i dopiero wtedy zauważył, że nie ma na twarzy makijażu, a jej oczy są zaczerwienione. Płakała.

– Wszystko w porządku?

Kręciła głową raz po raz.

– Ciągle o tym myślę... A gdyby stało się coś okropnego? Mógł stracić oko. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby...

Darek utulił matkę w swoich ramionach.

– Ciii, wiem. To był wypadek, mamo. Nie możemy mieć go na oku przez cały czas. – Chociaż tak naprawdę bardzo tego pragnął. Chciał owinąć go szczelnie i chronić przed życiem. Przed złymi decyzjami. Przed błędami innych ludzi. A nawet przed głupotą jego własnego ojca.

– Jest taki do ciebie podobny – stwierdziła matka, wyplątując się z jego ramion. Otarła policzki. – Zawsze tak strasznie się bałam, że wpadniesz do jeziora i utoniesz. Albo że przekoziółkujesz przez kierownicę roweru i wybijesz sobie zęby. Albo pójdiesz do lasu...

– I zjedzą mnie niedźwiedzie?

Dała mu kuksańca.

– Wiesz, o co mi chodzi. Te lasy są niebezpieczne. I żaden z was, chłopców, nie miał w sobie nawet grama strachu. Mówię na to „chłopięcy umysł”. Zdaje się, że Tiger odziedziczył go po tobie w całości.

– Hm, dzięki, mamó.

Ujęła jego twarz w swoje dłonie.

– Nie chciałam cię krytykować. Chciałam cię ostrzec.

Chociaż zdążył przerosnąć ją o stopę, wciąż potrafiła sprawić, że czuł się jak mały chłopiec, który chciał krzyknąć: *Mamo, patrz!* i sprawić, by się do niego uśmiechnęła.

Kobieta westchnęła.

– Coś cię jeszcze gnębi, mamó?

Przeszła obok niego do kuchni i wsadziła karton z mlekiem z powrotem do lodówki. Pewnie zdążyło już skwaśnieć.

– Ojciec wspominał, że się na niego gniewasz.

Wzięła do ręki szmatę i zaczęła wycierać mały stolik, na którym Tiger rano rozchlapał zupę mleczną.

– Mamó, jestem w stanie to zrobić.

Spojrzała na niego.

– Zrobić, co?

Racja.

– Ja tylko... Cóż, nie możesz sobie nawet wyobrazić, jakie to było upokarzające, stać tam tak w miejsce Owena, jak muł na sprzedaż, tylko dla reklamy. Jeśli tato chce przyciągnąć tutaj więcej ludzi, powinien pomyśleć nad wprowadzeniem szeregu innowacji. I może ty z Grace mogłybyście trochę uaktualnić jadłospis w stołówce, oferując coś więcej niż tylko pojemniki z kanapkami oraz zestawy do przygotowania *s'mores*[4].

Matka zgarnęła do ręki rozsypane płatki.

– Zawsze powtarzaliśmy, że ośrodek Evergreen jest oazą. Miejscem, do którego można uciec od całego tego miejskiego zgiełku. – Odkręciła kran i zaczęła płukać szmatę. – Ma być tutaj cicho i spokojnie.

– A co, jeśli ludzie już wcale nie chcą uciekać? A co, jeśli pragną...

– Krzątanie? Bycia ciągle uwiązany wokół swoich spraw?

– Pozostawanie w kontakcie ze światem.

– Czasami każdy musi się wyrwać od tego wszystkiego. Posłuchać swoich własnych myśli i może nawet usłyszeć wśród nich kilka tych Bożych. – Wytarła ręce w ręcznik papierowy i wyrzuciła go do śmieci. – Mogę sprawdzić, co z nim?

Darek skinął głową i patrzył, jak matka przechodzi na palcach do pokoju Tigera.

A co, jeśli ktoś wcale nie chciał słuchać myśli Boga? A co, jeśli ktoś wolał chaos, hałas?

Może dzięki temu ten ktoś nie musiałby zaglądać w głąb siebie i przerazić się tym, co tam odnajdzie.

Jego matka wyszła z pokoju Tigera i zamknęła za sobą drzwi.

– Jest taki kochany. Zwłaszcza kiedy śpi.

Darek nie mógł się z tym nie zgodzić. Poszedł za nią na werandę. Światła głównego budynku błyszczały w oddali.

– Chcesz, żebym cię odprowadził? Tiger, gdy już zaśnie, to śpi jak kamień.

– Nie. Znam drogę. – Oczywiście, że ją znała. Chodziła tymi ścieżkami przez ponad połowę swojego życia. Ale gdy zeszła z werandy, spojrzała w kierunku wody i zatrzymała się na chwilę. – Myślisz, że on tam siedzi i obserwuje cię, tak jak ty lubisz obserwować jego?

Zamarł.

– Nie obserwuję go.

Matka spojrzała na niego.

– Zbyt często...

– Pamiętam te dni, gdy siedziałam na werandzie i patrzyłam jak wy, chłopcy, jeździliście na nartach wodnych, graliście w hokeja albo skakaliście do wody z tej niebezpiecznej liny. Tak dobrze się razem bawiliście.

– Mamo...

– To musi być straszne patrzeć codziennie na twarze ludzi, których się skrzywdziło.

– Jensena nie obchodzi to, kogo skrzywdził.

Milczała przez chwilę. Wreszcie się odezwała:

– Właściwie nie chodziło mi o niego.

– Po czyjej stronie jesteś, mamo?

– No jak to, po twojej, oczywiście. I dlatego właśnie tak bardzo współczuję ci z powodu tego wszystkiego, co utraciłeś.

– Felicity.

– Hm... – Wiatr potargał jej włosy i owiewał twarz.

Spojrzał na dom Jensena i poczuł, jak czarne emocje kłębią mu się w piersi.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że mu się upiekło, a powinien przecież iść do więzienia. Wciąż powinien tam gnić. Rozpamiętywać, co takiego mi odebrał. Nam.

– Spojrzał na nią. – Nigdy, ani razu nie poprosił o przebaczenie. I nie musiał. Jego prawnik już się o to zatroszczył.

Patrzyła na niego, a jej spojrzenie było łagodne.

– Czy ktoś musi błagać o przebaczenie, aby zostało mu przebaczone?

Zacisnął szczęki.

– Czy istnieje przebaczenie dla kogoś, kto zabił czyjąś żonę?

Wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję. Ze względu na ciebie.

– Co to właściwie ma znaczyć? Nie powinno się ode mnie oczekiwać, że przebaczę komuś, kto odebrał mi wszystko, prawda?

Poklepała go po ramieniu, wzdychając.

– Wiem, że z tym przebaczeniem proszę o wiele. – Pochyliła się i cmoknęła go w policzek. – Cieszę się, że Tiger czuje się dobrze. Dobranoc, synu. Kocham cię.

Darek odprowadzał ją wzrokiem, aż zniknęła w ciemnościach.

Tak. Tak, o zbyt wiele.

Wszedł do środka i zamknął drzwi domu po drugiej stronie jeziora, które błyszczało w świetle księżyca.

Claire Gibson nie była pewna, co przeszkadzało jej najbardziej.

Czy to, że Jensen Atwood nie siedział już z tyłu pubu jak duch na widowni podczas jej występów, czy też to, że Darek Christiansen opuścił bar z inną kobietą. Kobieta, która nie była Felicity.

Kobietą, która nie była jego zmarłą żoną, najlepszą przyjaciółką Claire.

Stała przy keyboardzie, próbując się skupić, podczas gdy reszta muzyków, Kyle Hueston i Emma Nelson, grała cover *I Heard It through the Grapevine*[5]. Ten utwór zawsze podobał się mieszkańcom miasteczka.

Emma wygrała ostatnią nutę piosenki, a widownia zaczęła bić brawo. Tak, bardzo odpowiednia piosenka dla Deep Haven, gdzie plotki rozchodziły się z prędkością światła.

Claire spodziewała się, że jeszcze przed końcem jej jutrzejszej zmiany w Pizzerii Pierre'a pozna imię tej rudej piękności, która kupiła tego wieczoru Dareka Christiansena.

Sama rozważała, czy nie włączyć się do aukcji. Ogłuszająca cisza niemal wyrwała jej słowa z gardła. Poczowała prawdziwą ulgę, gdy ktoś jednak zaproponował kwotę.

Gdy aplauz wybrzmiał, Kyle wstał od swojej perkusji i zbliżył się do mikrofonu.

– Witam wszystkich! Dzięki, że zostaliście tutaj z nami tej nocy. Zanim zagramy naszą ostatnią piosenkę, chciałbym... hm... – Kyle spojrzał na Emmę. Posłał jej dziwne spojrzenie, szeroki uśmiech zabarwiony odrobiną strachu.

Claire nie sądziła, że Kyle Hueston, ich lokalny zastępca szeryfa, mógł bać się czegokolwiek.

Nagle uklęknął przed Emmą i ujął jej dłoń, a Claire przestała oddychać.

Emma zamarła.

– Emmo Nelson. Wsączyłaś w moje serce muzykę. Moje życie jest bogatsze, lepsze, silniejsze i piękniejsze, odkąd ty się w nim zjawiałaś. Czy wyjdiesz za mnie?

Emma przycisnęła dłoń do ust. Gdy mężczyzna wyciągnął pierścienek z kieszeni, a ona potaknęła, całe miasteczko eksplodowało. Emma rzuciła się w ramiona

Kyle'a.

Claire uśmiechnęła się, ale paliło ją w gardle. Przełknęła, nienawidząc zarazem tego, jak radość, która zebrała się w jej sercu, zmieniła się w gorycz.

Kyle skończył szkołę razem z nią, a Emma trzy lata później. Wszyscy wokół niej mieli życie, plany, rodzinę, przyjaciół.

Przyszłość.

A ona miała...

– Claire, poradzisz sobie z ostatnią piosenką? – Emma zwróciła się do niej z błyszczącymi oczami. – Nie jestem w stanie śpiewać.

– Żaden problem – odparła, gdy Emma wzięła do rąk gitarę. Kyle znów zasiadł przy perkusji.

Claire przemówiła do swojego mikrofonu.

– Hej, co powiedzicie, żebyśmy skończyli na Jefferson Airplane? *Somebody to Love?*

Nic dziwnego, że to Kyle wybierał repertuar. Claire zagrała akord i pochyliła się do mikrofonu.

– *Don't you want somebody to love?*[6]

Tak, właściwie, to chciała. Ale najwidoczniej nie miała na to szans tak długo, póki mieszkała w Deep Haven. Prawdę mówiąc, wszyscy wokół niej znajdowali sobie kogoś, jakoś układali sobie razem życie, odnajdywali swoją niszę.

Claire udało się zadomowić w dwupokojowym mieszkanku na strychu nad księgarnią i kawiarnią „Na Progu Nieba”. A poza tym... cóż, została wybrana na głównego ogrodnika odpowiedzialnego za róże w parku Presleya.

No i robiła świetną szpinakową pizzę.

Utrzymując na twarzy uśmiech aż do końca, pozwoliła, by wybrzmiały ostatnie nuty, gdy tłum wziął Kyle'a i Emmę w objęcia.

Spakowała swój keyboard po cichu, mając szaloną nadzieję, że Jensen wciąż tutaj gdzieś będzie.

Nie chodziło o to, by się do niego odezwać, ale przynajmniej, widząc go w tym pomieszczeniu, wiedziała, że sama wciąż istnieje.

Czasami zastanawiała się, czy ktoś jeszcze o tym wiedział. Jej, córce misjonarzy, którzy zmieniali świat z każdym kolejnym uratowanym życiem, udało się tylko wpaść w czarną dziurę. Stała się niesamowitym rozczarowaniem.

Noc pachniała świeżo i słodko. Wiaterek znad jeziora schładzał czerwcowe powietrze. Claire pojechała wzdłuż nabrzeża, a potem na wzgórze i skręciła w północną drogę nad jezioro Evergreen, zjeżdżając z asfaltowej jezdni na polną ścieżkę. Ludzie z południowego brzegu zapłacili ciężkie pieniądze i wynajęli prywatną firmę, by wyrównała ich drogę. Ci ze strony północnej wciąż czekali, aż miasteczko otrzyma odpowiednią dotację. Któregoś dnia, być może.

Żwir i kurz ciągnęły się za toyotą yaris. Reflektory przecierały szlak w atra-

mentowej ciemności. Przejechała obok znaku kierującego do ośrodka Evergreen, mając nadzieję, że goszczą tam teraz kilku turystów. Nie zauważyła jednak żadnych samochodów na ich parkingu.

Skręciła więc w dwupasmową, porytą koleinami drogę dojazdową do dziadka, która wiała się powoli pośród drzew, obok terenów ośrodka i w kierunku zachodniej części jeziora. Za domem droga ciągnęła się dalej w kierunku starego pastwiska, gdzie dziadek trzymał kiedyś małe stado mlecznych krów. Stodoła została zburzona już dawno temu, a pastwisko zamieniło się w piękną łąkę pełną różnych kwiatów.

Czasami zabierała swoją gitarę i grała tam wśród zieleni, tylko dlatego, że było to romantyczne.

Przy bocznych drzwiach paliło się światło, a ćmy flirtowały ze śmiercią przy żarówce. Bez wątplenia dziadek żywił nadzieję, że wpadnie do niego na chwilę po występie. Cechowała go niesamowita zdolność wyczuwania, kiedy Claire miała potrzebę wrócić do domu i otulić się znajomymi zapachami ogniska domowego Gibsonów.

Zrzuciła buty w wejściowym holu wyłożonym linoleum. W kuchni paliło się światło i wyczuwała delikatny zapach tłuszczu. *Proszę, żeby tylko dziadek nie zostawił czegoś na palniku.*

Ale żeliwna patelnia była zimna, pokryta warstwą zakrzepłego tłuszczu i resztkami sarniego burgera. Wzięła talerz, który stał na okrągłym farmerskim stole, wsadziła go do zlewu, po czym przeszła do salonu.

Dziadek Gibs leżał wygodnie w fotelu, pochrapując cicho. Claire przykryła go jednym z wełnianych koców zrobionych przez babcię. Przyglądała mu się dłuższą chwilę w strumieniu światła padającego od stojącej lampy. W zmarszczkach na twarzy odcisnęła mu się wojna w Wietnamie, z jego białych włosów niewiele już zostało, a skóra stała się ziemista. Spracowane, ogromne dłonie spoczywały na podłokietnikach fotela. Szeroka pierś unosiła się i opadała wraz z oddechem.

Jeśliby go straciła, nie miałyby już nikogo.

Okej, to nie było fair. Jej rodzice wciąż żyli, ale przez ostatnich dziesięć lat ich obecność w jej życiu ograniczała się do listów, maili i od niedawna do Skype'a. Wiedzieli tyle o jej życiu, co Jensen, jej sąsiad.

Zastanawiała się, czy był w domu.

Wyłączyła lampę, a potem światło na werandzie, aby nie połknąć całego roju ciem, po czym wyszła na dwór, owinięta kolejnym kocem z kanapy. Jezioro obmywało plażę, było ciemne i tajemnicze. Szła wzdłuż ścieżki, pozwalając, by jej bosa nogi zatapiały się w piasku.

Zwróciła wzrok w kierunku domu Jensa, wakacyjnej posiadłości niczym pałac, należącej do jego ojca. Światło księżycy ślizgało się po zielonym dachu, po wypielęgnowanym trawniku, po strzelistych sosnach i jodłach balsamicznych oraz

trójce brzóz. Ponad ogromną werandą, która ciągnęła się wzdłuż całego domu, okna pozostawały ciemne. Czasami jednak, gdy przychodziła tutaj albo gdy pływała kajakiem po jeziorze, czuła na sobie wzrok Jensena.

Albo tylko to sobie wyobrażała: jego niebieskie oczy, krzywy uśmiech playboya sugerujący, że może dostać wszystko, czego tylko chciał.

Nieważne, za jaką cenę.

Claire zatopiła się w krzesło ogrodowym, owijając się szczelnie kocem. Zadrżała, gdy wiatr dobrał się do jej włosów i powyciągał kosmyki z kucyka. Odchyliła głowę, by popatrzeć na gwiazdy, słuchając wspomnień, śmiechów, łez.

Starając się nie słyszeć oskarżeń.

A przede wszystkim starała się nie złościć na Felicity za to, że zostawiła ich tutaj wszystkich samych, by musieli jakoś nauczyć się żyć bez niej.

[4] *S'more* – przysmak przypominający małą kanapkę, składający się z przypieczonej w ognisku pianki, kostki czekolady oraz dwóch krakersów (przyp. tłum.).

[5] „Dowiedziałem się tego pocztą pantoflową” (przyp. tłum.).

[6] „Nie chciałbyś mieć kogoś do kochania?” (przyp. tłum.).

trzy

– Jeśli starasz się mi zaimponować, to dobrze ci idzie.

Prokurator hrabstwa uchylił lekko drzwi do biura Ivy, zapukawszy krótko, i wsadził głowę do środka.

– To dopiero twój drugi dzień, a ty już siedzisz po nocach.

Jacob Teague wyglądał i ubierał się jak ktoś, kto powinien mieszkać w drapaczu chmur w Minneapolis i spotykać się z supermodelką. Miał skórę w kolorze czekolady, łagodne brązowe oczy, świeżo wyprasowaną niebieską koszulę, krawat i marynarkę. A to wszystko po całym dniu spotkań z różnymi departamentami hrabstwa, przygotowywania najważniejszych spraw i obrony hrabstwa przed pozwami.

Ivy odchyliła się na oparcie krzesła i wskazała dłonią na stosik papierowych teczek piętrzących się na biurku.

– Och, będę musiała tu siedzieć do rana, żeby zapoznać się z nimi wszystkimi. Czekam mnie czterdzieści rozpraw sądowych w ciągu dwóch dni – oznajmiła, unosząc brwi. – Jak do tego w ogóle doszło?

Dwa kartony stojące na podłodze kryły jeszcze więcej akt, a półki regałów przy ścianach ugięły się od różnego rodzaju książek prawniczych przydatnych w jej pracy. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła wczoraj rano po spotkaniu ze swoją sekretarką Nancy i asystentką prawną Jody, było rozpoczęcie przekopywania się przez stosy papierów piętrzących się na biurku.

Jacob wszedł do środka i zajął jedno z krzeseł.

– Dzielimy sędziego z sąsiednim hrabstwem, a więc musimy upchać jak najwięcej spraw w dwa dni. Poproś Jodi, by pomogła ci to wszystko nadrobić i przygotować się, bo w poniedziałek będzie na ciebie czekać nowa sarta spraw wymagających uwagi.

Popołudniowe słońce już dawno zniknęło za horyzontem, pozostał jedynie strumień światła z jej lampy. Nie znosiła fluorescencyjnej poświaty, więc nie włączyła górnej żarówki, ale przeniosła do siebie lampę stojącą z recepcji, która rzucała teraz światło na jej ramiona i na bałagan panujący na jej biurku w kształcie litery L.

Na ekranie komputera mrugał kursor ustawiony w streszczeniu dowodów oskarżenia, które akurat przeglądała na jutrzejszą rozprawę.

Ivy zmusiła się do uśmiechu i zaczęła rozważać podgrzanie sobie kawy, może też dokończenie kanapki, którą zamówiła sobie w kawiarni „Blue Moose”.

– Zdaje mi się, że cofnęłam się do czasów, gdy pracowałam jako sekretarka w firmie prawniczej. Wstawałam o szóstej na zajęcia, a pracowałam w firmie po nocach. Żyłam wtedy tylko o kawie i jedzeniu z mikrofalówki.

– Daniel powiedział mi, że byłaś jego najlepszą asystentką prokuratora w Anoce. – Uśmiechnął się życzliwie. – Nie mam najmniejszych wątpliwości, że sobie poradzisz.

Ścisnęło ją w gardle na wspomnienie Daniela Wainwrighta, jej mentora i przyjaciela.

– Daniel mógł być nadmiernym optymistą, jeśli chodzi o moje zdolności.

– Zawsze uważałem go za wspaniałego znawcę ludzkich charakterów i zdolności. Jeśli wierzył w ciebie na tyle, by powierzyć ci stanowisko młodszego prokuratora od razu po ukończeniu przez ciebie prawa, to ja wierzę, że zatrudniłem właściwą osobę.

Zamrugła szybko kilka razy, by przegonić zbierające się w oczach łzy.

– Dziękuję, panie Teague.

– Jacobie. I mi też go brakuje. Rak zabrał go nam zdecydowanie zbyt szybko. – Pochylił się do przodu. – Nie tylko ciebie wziął pod swoje skrzydła. – Ivy wyczuła, co teraz zacytuje, zanim jeszcze wypowiedział słowa: – „Trzymasz w swoich dłoniach sprawiedliwość. Traktuj ją z szacunkiem”.

Skinęła głową.

– Czasami wciąż słyszę w głowie jego słowa, chociaż minął już rok.

Zaśmiał się.

– Słyszę go jeszcze w głowie po *dziesięciu* latach. Ale przekonałem się, że wszystko, co mówił, trafiało w sedno. Zwłaszcza w takim małym miasteczku jak Deep Haven. Wszyscy cię tutaj obserwują. Musisz dotrzymywać danego słowa, każdą kolejną sprawą zyskiwać sobie ich zaufanie i nigdy, ale to nigdy, nie nadużywać swojej pozycji.

– Nigdy bym...

– Oczywiście, że nie. Ale to, co dla jednej osoby będzie sprawiedliwością, dla drugiej może wyglądać jak faworyzowanie. Praca tutaj może być najtrudniejszą, jakiej się kiedykolwiek podjął.

– Chcę wykonywać ją dobrze. Marzyłam, żeby tutaj zamieszkać, odkąd... – Skrzywiła się. – Cóż, od czasu sprawy Jensena Atwooda.

– To twoje pismo zalecało odstąpienie w tym wypadku od orzecniczych wytycznych i proponowało ugodę obrońcą.

– Tak. Wciąż pamiętam ten dzień, gdy Thornton Atwood przekazał mi tę sprawę. A raczej przekazał ją swojemu współpracownikowi, który wtedy przekazał ją mi. Prawdę mówiąc, nie miałam wówczas pojęcia, że pracuję nad sprawą jego syna. Powiedział mi, żebym znalazła sposób, aby oskarżony nie poszedł do więzienia. Daniel był w tym czasie jednym z moich profesorów. Przeczytał moją propozycję i stwierdził, że to doskonała prawnicza robota.

– I nie przejmowałaś się etyczną stroną tego wszystkiego?

– Dlaczego miałabym? Atwood nie reprezentował tej sprawy, a ja nawet nie

znałam Jensena. Szczerze mówiąc, myślałam, że to tylko takie ćwiczenie, dopóki nie włączyłam wiadomości już po oddaniu mu tego.

– Nie słyszałaś nic o tym wcześniej?

– Pracowałam w firmie prawniczej i studiowałam prawo jednocześnie. Nie oglądałam telewizji.

Jacob skinął głową.

– Daniel mówił, że byłaś jedną z jego najjaśniejszych gwiazd.

Najjaśniejszych gwiazd. Och, tak bardzo go jej brakowało.

Jacob wziął jedną z teczek i przejrzał pobieżnie jej zawartość.

– Jensen wciąż tutaj mieszka, wiesz? Ciągłe stara się wyrobić swoje godziny. Mitch O’Conner jest jego kuratorem sądowym. Jego biuro znajduje się tam dalej, przy końcu korytarza.

– Widziałam Jensena wczoraj wieczorem w pubie. Prawie podeszłam do niego, by się przywitać, ale on mnie przecież nie zna.

– Tak będzie pewnie najlepiej – powiedział Jacob.

– Dlaczego?

Zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Może ci nie podziękować za to, co zrobiłaś. Życie go tutaj nie rozpieszczało.

– A pójście do więzienia byłoby lepsze? Słuchaj, Deep Haven powinno się cieszyć, że w ogóle coś na niego mieli. Sprawiedliwość zwyciężyła.

– Sprawiedliwość ma różne oblicza, zwłaszcza w małym miasteczku. – Odłożył teczkę z powrotem na stosik. – W tej pracy poznasz swoich przyjaciół, swoich sąsiadów, a gdy ich życie splata się z twoim, granice zaczynają się zacierać. Zawsze musisz myśleć o kwestii konfliktu interesów. Zobacysz mroczną stronę społeczności, swoich sąsiadów.

– Deep Haven przecież nie ma swojej mrocznej strony – odparła Ivy z uśmiechem. – Nie tak jak Minneapolis.

– Wciąż tak uważasz, spędziwszy dzień na przygotowywaniu się do rozpraw?

Uśmiech spętał z jej twarzy.

– Przyjechałam tutaj, ponieważ chciałam coś zmienić. Daniel zawsze powtarzał, że małe akty sprawiedliwości rozchodzą się po społeczności jak kręgi na wodzie.

– Albo mogą ją zatopić. Jedna z naszych byłych prokurotek hrabstwa zrezygnowała z pracy po tym, jak musiała być oskarżycielem w sprawie syna swej najlepszej przyjaciółki. Syn poszedł do więzienia, ona straciła przyjaciółkę, a wszystkie gazety obsmarowywały ją przez całe tygodnie. W końcu zrezygnowała z pracy i całkiem wyprowadziła się z miasteczka.

Ivy po prostu na niego patrzyła. Och.

Podniósł się z krzesła.

– Pamiętaj, każda sprawa jest osobista. A w miasteczku takim jak to może chodzić o sprzedawcę z twojego warzywniaka, o pracownika twojego banku, lokalnego baristę, twoją ulubioną kelnerkę, a czasem nawet o diakona. O ludzi, których znasz i na których ci zależy. Kto wie, może będziesz im musiała przekazać wiadomość, że ich życie się zmieni. I że to właśnie ty będziesz sprawcą tej zmiany.

Spróbowała nadać swojemu głosowi nutkę rozbawienia.

– Cóż, dobrze więc, że nie znam tutaj nikogo. Naprawdę. Mogę być bezstronna.

Jacob uniósł ciemną brew.

– Hm... Czyżby? Czy to nie ty kupiłaś Dareka Christiansena na aukcji kawalerów?

Opadła jej szczęka.

Roześmiał się

– To małe miasteczko, Ivy. Poza tym byłem przy tym.

– To było tylko dla celów charytatywnych. Mogę przysiąc, że pomiędzy mną a Darekiem Christiansenem niczego nie ma.

Uniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Nie moja sprawa. Igrasz tutaj trochę z ogniem, ale to twoje życie. Mówię tylko, że twoja książka adresowa zapełni się szybciej, niż myślisz. – Otworzył drzwi. – Nie siedź zbyt długo. Sędzia Magnusson jest sprawiedliwa, ale nie lubi, gdy ktoś ucina sobie drzemkę w sądzie.

– Dobranoc, panie Teague.

– Jacobie – Mrugnął do niej i zamknął za sobą drzwi.

Jacob był już drugą osobą, która ostrzegła ją przed Darekiem Christiansenem. Mężczyzna ten krążył jej dzisiaj ciągle gdzieś z tyłu głowy, stał przed oczami jako człowiek, któremu Bóg odebrał serce kamienne i dał mu serce z ciała. I jego rodzina... Jakie to uczucie, mieć rodzinę, która zawsze jest gotowa ruszyć ci na pomoc? Wyobraziła sobie ich gwarny stół podczas Święta Dziękczynienia oraz ich święta Bożego Narodzenia pełne rozgardiaszu. Ujrzała oczami wyobraźni, jak Darek jako mały chłopak siłuje się ze swoim bratem, a siostry dzielą się sekretami podczas malowania paznokci u nóg.

Pomiędzy mną a Darekiem Christiansenem niczego nie ma.

I niczego nie będzie. Ponieważ nie potrzebowała niejasnych sytuacji i kłopotów w swoim życiu. Zwłaszcza jeśli w tle majaczyła jakaś szalona była żona.

Chociaż... nic by się przecież nie stało, gdyby dała mu drugą szansę, prawda? Zwłaszcza że jakoś jej się nie wydawało, by jego imię wylądowało kiedyś na biurku asystentki prokuratora hrabstwa.

Byli dokładnie takimi gośćmi, jakich potrzebował ośrodek Evergreen. Młoda rodzina z czwórką rozbrykanych dzieci – trzech chłopców poniżej ósmego roku życia i mała dziewczynka, wszyscy jeszcze zbyt mali, by brakowało im zasięgu w komórce czy Facebooka. Oczywiście wytoczyli się z SUV-a z przenośnymi konsolkami w rękach, ale ich mądry ojciec zarządził, że mają je zostawić w aucie. Darek zameldował przybyszów i oprowadził po terenie ośrodka.

– Przy domu znajduje się miejsce do zabawy. Jest tam piaskownica, huśtawka, obręcz do koszykówki – powiedział Darek, wskazując palcem na starożytny plac zabaw. – W szopie możecie państwo znaleźć podkowy, bule do gry i zestaw do badmintonu.

Niebo tego dnia wyglądało jak pomalowane akwarelkami. Pasy czerwieni, złota i fioletu układały się nad horyzontem.

– Dalej przy drodze znajduje się restauracja, lecz możecie państwo też zawsze rozpalic grilla. – Darek zakwaterował ich w największym domku, który miał trzy sypialnie z kołdrami domowej roboty oraz małą kuchnię ze stołem i krzesłami w stylu retro. – Na brzegu znajdziecie państwo kajak. Nie krępujcie się, w każdej chwili możecie nim popływać. Kamizelki ratunkowe i wiosła są w zagrodzie obok. No i oczywiście do waszej dyspozycji jest też rower wodny dostępny na wytyczonym obszarze przy nabrzeżu. Dysponujemy też dmuchaną tratwą ze zjeżdżalnią, ale w okolicy nie ma ratownika, więc będziecie musieli państwo radzić sobie sami.

– Nic nie szkodzi – odparł mężczyzna. – Przybyliśmy tutaj, aby spędzić czas razem jako rodzina. – Utkwił wzrok w swoim najstarszym synu, który najwidoczniej tęsknił za swoją konsolą. Ale chłopak odwzajemnił uśmiech, jakim obdarzył go ojciec.

– W domku znajdziecie państwo ulotkę ze wszystkimi dostępnymi atrakcjami i szlakami do wspinaczki górskiej, a jeśli będziecie chcieli wybrać się na ryby, mogę to załatwić.

– Ryby! – wykrzyknął jeden z chłopców. – Super.

Darek, słysząc to, uśmiechnął się. Dawno, dawno temu żył dla tych godzin, które razem z ojcem i braćmi spędzał nad jeziorem. Łowili sandacze.

Oprowadził rodzinę z powrotem do głównej chaty, strzelistego budynku, który był ostoją całego ośrodka. Została zbudowana z bali, które własnoręcznie przygotował jego prapradziadek, począwszy od wycięcia drzew, a skończywszy na ich ociosaniu.

– Niezbędne produkty spożywcze możecie państwo kupić w stołówce.

Wskazał na małe pomieszczenie z żywnością i przekąskami, nie zapominając też o niewielkiej zamrażarce z pizzą i lodami tuż przy recepcji. Recepcja była właściwie przedłużeniem głównej chaty. Goście mogli tu przyjść i podziwiać jezioro z ogromnej werandy albo poczytać książkę we wspólnym salonie. Rodzina Dareka miała swoje prywatne kwatery za ścianą salonu, w której znajdował się dwustronny

kamienny kominek. Ich sypialnie były na górze.

– Kochanie, powinniśmy kupić pizzę, może nawet dwie, dla dzieciaków – powiedziała kobieta trzymająca córkę opartą na biodrze.

Odchodzili akurat obładowani pizzą i kanapkami lodowymi, gdy wbiegł Tiger. Wracał od dziadka, któremu pomagał oprawiać ryby. Pachniał jeziorem i świeżym powietrzem, co obudziło w Dareku tęsknotę za dzieciństwem.

– Złapałem taką wielką rybę! – oznajmił Tiger, patrząc na gości i rozsuwając swoje ramiona.

– Osiągasz już mistrzostwo w zmyślaniu – stwierdził Darek, zerkając na bandaż na oku swojego syna. Był zabrudzony, ale nienaruszony.

– Wygląda na to, że ryba coś ci odgryzła – powiedział ojciec rodziny, na co Tiger się roześmiał.

– Mieliśmy małą przygodę z piętrowym łóżkiem – wyjaśnił Darek.

Tiger wyszczerzył się do niego.

– Nie zapomnij o Panu Muffinku, tatusiu!

Pan Muffinek. Oczywiście.

– Pomogę naszym gościom poczuć się tutaj jak u siebie w domu i zaraz jedziemy. – Wziął klucze do domku, w którym miała się zatrzymać rodzina. – Pomóc państwu z bagażami?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Po to mam chyba synów, prawda, chłopaki?

Trójka jasnowłosych chłopców skinęła głową i wybiegła na zewnątrz. Ich ojciec odebrał klucze od Dareka.

– Jest tu, u państwa, naprawdę pięknie. Byłem tutaj raz z rodzicami. Najlepszy tydzień mojego życia. Całe lata czekałem, aby tu wrócić.

– Proszę dajcie mi znać, jeżeli będziecie państwo czegoś potrzebować – powiedział Darek i zobaczył, że Tiger dobiera się do kanapki lodowej. – Jeszcze nie, stary. Idziemy.

Tiger skrzywił się, ale popędził do jeepa.

– Mamo, jedziemy – powiedział Darek, wsadzając głowę do ich prywatnej części.

Ingrid uniosła wzrok znad kuchni, gdzie piekła chleb.

– Nasi turyści już się rozgościli?

– Na to wygląda.

– Pójdę tam później i sprawdzę, czy wszystko gra.

Oczywiście, że tam pójdzie. Ze świeżą partią słodkich bułeczek. Jeden z sekretów ośrodka Evergreen – domowe gratisy.

– Pozdrów ode mnie Pana Muffinka.

– Jasne.

Gdy Darek wsiadł do jeepa, Tiger siedział już zapięty w foteliku. Czuć go

było sandaczem. No trudno, tak już pojada.

Gdy Darek wyjeżdżał z podjazdu, uchwycił kątem oka, jak trzech chłopców tarzało się po trawie niedaleko ich domku.

Tak, pamiętał czasy, gdy uważał to miejsce za raj, gdy myślał, że dorastanie tutaj to najlepsze, co mogło przytrafić się chłopcu.

Zerknął na Tigera w lusterku wstecznym, na ziemię na jego koszulce, na brudne ręce, na ślad opalenizny na jego nosie, na zmierzwiłone wiatrem włosy.

– Jak wielka była ta ryba? – zapytał.

– Taka wielka! – Tiger rozłożył ręce najszerzej, jak umiał.

Darek zaśmiał się. Tak, może to wciąż mógł być raj. Coś prostego... rodzina. Piękne lasy północy... tylko dzielić się tym ze światem. Życie, jakiego chciała dla nich Felicity. Gdyby tylko był wtedy na tyle dojrzały, aby to dostrzec.

Podjechali pod bibliotekę i Tiger odpinał już swój pas, nim Darek zdążył zaciągnąć hamulec.

– Hej, chwila...

Ale Tiger wyskoczył już z samochodu i popędził chodnikiem do biblioteki. Darek poszedł za nim. Jego oczom ukazał się wianuszek dzieci siedzących w czytelni dla najmłodszych. Pomieszczenie przystrojone było jak zoo; nie mogło tam zabraknąć niedźwiedzi, żyraf, hipopotamów, słoni i innych zwierzaków. Tiger usadowił się na krześle.

Darek usiadł, a właściwie wcisnął się w krzesło w rozmiarze dziecięcym i też słuchał Pana Muffinka. Kreatywna bibliotekarka, która czytała dzieciom swoją bajkę, miała na głowie ogromny kapelusz w kształcie muffinki i ubrana była w puchaty kostium. Dzięki wieczornym spotkaniom z bajką, odbywającym się w każdą środę, udało jej się wykrzesać iskrę, która wywołała czytelniczy pożar. To był chyba jedyny czas, gdy Tiger siedział grzecznie.

Darek uśmiechał się do innych rodziców, gdy napotkał ich wzrok. Starał się nie myśleć o tym, że jego syn wyglądał tak, jakby jakiś lokalny osiłek spuścił mu manto. *Upadł*, Darek miał ochotę wykrzyczeć, ale to przyciągnęłoby tylko większą uwagę.

Przynajmniej wśród publiczności nie było Nan Holloway, chociaż chowanie się gdzieś z tyłu byłoby bardzo w jej stylu. Rozejrzał się wokół dla pewności.

Chwila.

Jego wzrok zatrzymał się na drobnej rudej kobiecie, która przeglądała jakąś książkę w dziale z beletrystyką. Był wcześniej tak bardzo negatywnie nastawiony, że na ich tak zwanej randce nie zwrócił uwagi, jak bardzo jest urocza. Teraz – ubrana w rybaczki i różową koszulkę na ramiączkach, ze ściągniętymi gumką włosami – wyglądała bardzo przystępnie, nawet słodko.

Nie taki miał w głowie obraz prawników.

Ani też kobiety, którą potraktował tak źle. Nie dał sobie nawet chwili, by ją

poznać. Żył tylko do niej urazę, że weszła z buciarami w jego życie.

To nie jej wina, że jego bagaż emocjonalny przygniatał go i niszczył wszystkie szanse na świeży start.

No i to nie jej wina, że zaprzepaścił już swoją szansę na „i żyli długo i szczęśliwie”. Na posiadanie rodziny takiej, jaką dzisiaj spotkał. Może gdyby nie był tak pełen złości i gdyby nie zachowywał się tak okropnie... nie tylko w stosunku do Ivy, ale też Felicity...

Nie, nie zasługiwał na drugą szansę, ale...

Może wyczuła jego wzrok na sobie, gdy patrzył, jak przewraca kartki, bo uniosła głowę. Spojrzała prosto na niego.

Ich oczy się spotkały, a jej usta otworzyły się nieco.

Powinien odwrócić wzrok. Ale gapił się dalej jak sroka w gnat, a jego zbrodnia stała się jeszcze bardziej oczywista, gdy mrugnęła, rozpoznając go.

I wtedy nagle uśmiechnęła się. Słodko, powoli, co zaskoczyło go tak bardzo, że nie wiedział, co powinien zrobić. Patrzył tylko na nią jak idiota, jak jeleń w świetle reflektorów.

– Tatusiu, przeczytaj mi to!

Tiger energicznie położył na udzie Dareka *If You Give a Mouse a Cookie*, jedną ze swych ulubionych bajek. Pan Muffinek skończył już i pokazywał teraz wybrane przez siebie książki swojej publiczności.

– No dobrze, kolego – odparł Darek.

Bez wątpienia wyjdą z biblioteki z naręczem nowych książek, które wystarczą na wiele wieczorów czytania. Objął ramieniem syna i posadził go sobie na kolanie. Otworzył książeczkę.

Spojrzał na miejsce, gdzie wcześniej stała Ivy.

Nie było już jej tam. A razem z nią zniknęła jakakolwiek szansa na odwzajemnienie jej uśmiechu.

Jensen odpracował pięć godzin i trzydzieści siedem minut prac społecznych, zanim słońce osiągnęło swój najwyższy punkt na niebie.

Rozpoczął swoją czwartkową harówkę przed szóstą rano na plaży przy porcie. Wpadł do Java Cup i przyniósł waniliową latte dla Phyllis McCann z wydziału terenów zielonych i rekreacji. Zameldował się jej, po czym uzbrojony w rękawiczki, worek i szpikulec zabrał się za usuwanie śmieci, które uzbierały się przez tydzień. Było tego sporo: skórki od bananów, opakowania po hot dogach, papierki po cukierkach, drobne zabawki, butelki po napojach, ogryzki, a nawet parę kubków z Java Cup. Nim kamienie zaczęły błyszczeć w promieniach słońca jak klejnoty, plaża aż lśniła czystością.

O ósmej udał się do sklepu z używanymi rzeczami. Przyniósł Sharron świeżo

usmażonego pączka z „Najlepszych Pączków na Świecie” i spędził kolejne dwie godziny na sortowaniu ubrań z pięciu worków ze świeżej dostawy. Sprawdzał, czy rzeczy nie są uszkodzone. Te w dobrym stanie wieszał na odpowiednich wieszakach albo składał i układał na półkach, a niektóre odsyłał do pralni. Przyklejał ceny i sporządzał listę najlepszych towarów dla celów reklamowych. Wybrał dla siebie parę gumiaków na wypadek, gdyby pompa w zbiorniku ściekowym Pine Acres znowu nawaliła. Sharron podpisała jego kartę i pojechał dalej do schroniska dla zwierząt w Deep Haven.

Ślepia starego Rusty’ego rozbłysły, gdy Jensen się z nim przywitał. Pies z radości zamiótł ogonem betonową posadzkę. Mężczyzna otworzył klatkę i pozwolił, by owczarek szkocki collie polizał go po brodzie, podczas gdy on drapał psa energicznie za uszami.

– Nie mogę uwierzyć, że nikt cię jeszcze nie adoptował – powiedział. – Wziąłbym cię do domu, kolego, ale wynoszę się stąd za sześć tygodni i co byśmy wtedy zrobili?

– Weź go ze sobą – Annalise Decker stanęła w drzwiach. Także była wolontariuszką, chociaż jej praca tutaj była prawdziwie dobrowolna. Trzymała na rękach Artura, perskiego kota, który wyglądał na świeżo wyczesanego. – Potrzebuje dobrego domu i wiesz, że cię kocha.

– Nie mogę. Nie wiem, dokąd pójdę, gdy opuszczę Deep Haven.

– Naprawdę? – Wsadziła kota do klatki, podczas gdy Jensen przypiął Rusty’emu smycz. Weźmie psa na krótki spacer, wyczyści jego klatkę, a potem przyprowadzi go z powrotem. Chciał zrobić to samo z ładną suką, półlabradorem i półdobermanem, którą znaleźli biegającą po lesie bez obroży. Jak do tej pory nikt się po nią nie zgłosił i sam miał ochotę zabrać ją do siebie. Miał słabość do tych słodkich brązowych oczu.

– Tak. Muszę po prostu stąd wyjechać i jak tylko opuszczę to hrabstwo, jakoś zadecyduję, dokąd się udać. Może do Kalifornii. – Wyszczrzył się do Annalise, idąc w stronę wyjścia. – Albo na Hawaje. Będę bezdomnym mieszkającym na plaży.

– Będzie ci tego brakowało! – zawołała Annalise, gdy zamknęły się za nim drzwi.

No raczej nie. Najwidoczniej zapomniała, że jego czas nie należał do niego. Że wcale nie wyprowadzał Rusty’ego dla zdrowia.

Ale lubił mieć owczarka collie przy swoim boku, zwłaszcza że obcy ludzie uśmiechali się wtedy do niego, niektórzy nawet zatrzymywali się, by pogłaskać Rusty’ego.

Wszyscy lubili faceta z psem.

Policzył sobie w głowie całkowitą liczbę godzin po dzisiejszym dniu. Jeśli w ciągu kolejnych sześciu tygodni trafiałyby mu się dni takie jak ten, uda mu się od-

pracować wszystko.

Nie pójdzie siedzieć.

Chociaż spędzenie trzech lat w miasteczku, które go nienawidziło, przypominało trochę więzienie. Nie miał o to żalu do ludzi, nie, tak naprawdę. Po trzech latach wyrobili sobie jakąś dozę tolerancji w stosunku do niego. Tak czy siak, powinien jednak przewidzieć przyszłość, odrzucić ugodę obrończą i po prostu jakoś przetrwać cztery lata w więzieniu.

Ale był niewinny. Niewinny człowiek nie powinien iść do więzienia. Tak przynajmniej sobie powtarzał i powtarzał Bogu, gdy wydawało mu się, że On może go słuchać. Ale Bóg – tak przynajmniej sądził – zdążył już wyrobić sobie o nim opinię, podobnie jak reszta Deep Haven.

Zapach świeżych pstrągów w panierce, jaki dochodził ze sklepu rybnego, kusił go, aby tam wstąpić. Słyszał też, że lodziarnia miała w tym tygodniu specjalną ofertę – rożek z orzechami w syropie klonowym, oblane sosem angielskim. Ale nie miał czasu na lunch. Nie, jeśli chciał odrobić wszystkie swoje godziny i pojechać do domu, by usunąć ten pień z drogi, ściąć trawę i pomalować dom Millerów. Powinien zabrać się za to jeszcze w tym tygodniu, ale gdy kończy kosić licealne boisko i uprzętać sześciomilowy odcinek autostrady na północ od miasta, to wraca do siebie już po zmroku. Przynajmniej udaje mu się nabić trochę godzin.

Wrócił z Rustym do schroniska, posprzątał jego klatkę i wyczesał go. Później zajął się mieszanką labradora z dobermanem – mówił na nią Nellie – i wyczyścił jej klatkę. Tak mocno wtulała się w jego rękę, gdy drapał ją za uchem, że aż chciało mu się płakać.

Jak on nienawidził braku zainteresowania, nienawidził, gdy ludzie nie doceniali tego, co mieli, dopóki tego nie stracili.

Jensen splukał węzem wybiegi z tyłu schroniska, dokończył porządki, po czym podał Annalise do podpisania swoją kartę wolontariusza.

Przybierając najbardziej pokorną minę, wstąpił do lokalnego biura odpowiedzialnego za rozwożenie posiłków do osób, które same nie były w stanie ich sobie przygotować.

– Przykro mi, Jensen, ale mieliśmy już dzisiaj wystarczająco pomocy. Zajrzyj jutro. Albo w przyszłym tygodniu. Powinniśmy mieć jakieś wolne miejsce. – Donna uśmiechnęła się, gdy odchodził, i przez sekundę nawet jej uwierzył.

Siedział w swojej półciężarówce i znów przeliczał odpracowane godziny. Jutro podejdzie do wydziału pomocy społecznej i zobaczy, czy jacyś niepełnosprawni nie potrzebują, aby ktoś skosił im trawnik albo posprzątał dom. A może zwyczajnie przydałby się im przyjaciel.

Lubił z nimi siedzieć, słuchać ich historii. Dzięki temu zapominał o swojej własnej.

Gdy wrócił do Pine Acres, zjadł kanapkę z szynką, po czym załadował ko-

siarkę na pakę półciężarówki i zajął się trawnikami, które wymagały jego uwagi. Opryskał podniszczone krzaki porzeczek, przyciął je, po czym zabrał piłę łańcuchową z szopy i poszedł uporać się z obalonym drzewem.

Był taki czas, że nienawidził tego rodzaju pracy, dawno temu, gdy myślał, że jego dwa lata w szkole prawniczej coś znaczyły, że powinien być szanowany i podziwiany za swoje osiągnięcia naukowe. Wtedy koszenie trawników wydawało się poniżej jego godności. Ale teraz uważał, tę pracę za oczyszczającą, a pot za uczciwy. Nic więcej nie mógł zrobić, aby jakoś zrewanżować się za wikt i opierunek i może zmniejszyć trochę grymas niezadowolenia na twarzy ojca.

Jeśli w ogóle było to możliwe. Nie mógł jakoś dogadać się z ojcem od czasu wypadku. Zbyt wiele marzeń umarło tamtej nocy na autostradzie.

Jego ojciec wspominał jednak, że gdyby Jensenowi udało się pewnego dnia przekonać ich sąsiada Gibsa, aby sprzedał Pine Acres, swoją posesję, wtedy jego „wykroczenie” zostałoby wybaczone.

Wykroczenie. Jasne. Thornton Atwood zachowywał się często, jakby jego syn pojechał na jakieś długie, obowiązkowe wakacje do północnej Minnesoty.

Chociaż ten urokliwy pas piaszczystej plaży naprawdę byłby dla osiedla idealny. Problem leżał w tym, że Jensen nie rozmawiał z Gibsem od czasu tego tragicznego wypadku sprzed trzech lat. Za bardzo się bał. A Claire z pewnością nie dopuściłaby go bliżej. Miała charakter pitbulla, gdy chodziło o jej dziadka. Jensen nigdy nie odważyłby się jej rozgniewać.

Pociął drzewo na kawałki o długości stopy i ułożył je na stosie przy domu, na wypadek gdyby rodzina chciała urządzić sobie ognisko. Wrzucił gałęzie do rozdrabniarki, po czym rozrzucił trociny na grządkach przy wjeździe na teren osiedla.

Nim pomyślał o wzięciu wiadra z farbą, słońce zaczęło już rzucać długie cienie na wybrukowaną drogę posesji. Wrócił do domu, wypakował rzeczy z półciężarówki i wskoczył pod prysznic.

Ubrany w spodnie od dresu i czystą, bawełnianą koszulkę, udał się na werandę wychodzącą na jezioro. Słuchał przez chwilę nawoływania nurów, po czym wyciągnął swoją harmonijkę i odpowiedział smutną melodią.

No dobrze, tego by mu może brakowało. Ale tylko tego. Tej ciszy godziny zmierzchu, gdy bolały go mięśnie, a zmęczenie przeganiało mu z głowy wszystkie błędy i pragnienia. Kiedy miał wrażenie, że uporał się z całym stresem dnia i zasłużył sobie na to, by zatopić się w jednym z pokrytych pluszem wiklinowych foteli na werandzie i patrzeć, jak słońce podpala jezioro.

Tak, tego będzie mu brakowało, gdy wyjedzie. Tego i cierpkich wspomnień o latach, które przeminęły, i życiu w Deep Haven, nim wszystko się popsuło.

Jego wzrok przesunął się w stronę domu Gibsona. Jensen zastanawiał się, czy kajak wciąż znajduje się na brzegu.

Odłożył harmonijkę i wstał, by się dobrze przyjrzeć.

Wydawało mu się, że ktoś tam leżał. Może to tylko brezent, ale wyglądało... Nie. Dech zamarł mu w piersiach. Gibs leżał na trawie tuż nad brzegiem, obok wgniecionego quada, jakby zderzył się z drzewem i upadł.

I nie wstał.

Jensen bosy pognął przez dom, zbiegł w dół po schodach do garażu. Uderzył dłonią w przycisk otwierający drzwi, włączył światło i wskoczył na swojego quada. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zawarczał i Jensen wystartował z garażu, o włos mijając starą łódź ojca, spoczywającą teraz na ceglach w czwartym boksie.

Choć minęły lata, wciąż znał trasę na pamięć.

Jechał bardzo szybko, pochylony, by uniknąć rozrośniętych gałęzi. Cudem ominął długie i kosmate ramiona sosny. Wjechał na posesję Gibsa od strony zachodniej, tuż przy łące, i skręcił na drogę prowadzącą do podjazdu. Światło świeciło się nad bocznym wejściem, jak nędzna latarnia wołająca Claire do domu. Jensen przejechał przez podjazd, przez podwórko z przodu domu i dalej w kierunku jeziora.

W ciemności dostrzegł leżącego Gibsa. Reflektory quada oświetlały jego roztrzaskaną nogę, wykręconą pod nienaturalnym kątem. Miał na sobie roboczą kurtę, rękawice i dzinsy. Czapka drużyny Huskies spadła mu z głowy, odsłaniając krwawą ranę, powstałą w efekcie uderzenia.

Niedaleko leżał jego quad przewrócony na bok. Drzewo, w które wjechał, było wyszczerbione i chwiało się niebezpiecznie, gotowe się przewrócić. Mała przyczepa wypełniona polanami sugerowała, że wioził właśnie zakupione drewno.

No przecież ten stary mężczyzna już sam nie rąbał drewna, prawda?

Jensen kucnął przy Gibsie, przycisnął mu palce do szyi. Proszę, proszę... tak, znalazł puls. Ale staruszek się nie ruszał.

– Trzymaj się, Gibs – powiedział i popędził w stronę jego domu. Znalazł jeden ze słynnych ręcznie robionych koców pani Gibson i w drodze powrotnej chwycił też telefon. Jensen wystukał kciukiem numer ratunkowy dziewięćset jedenaście i przytrzymał sobie słuchawkę ramieniem, gdy dotarł do Gibsa i zaczął okrywać go kocem.

– Służby ratownicze Deep Haven. W czym mogę pomóc?

Rozpoznał głos Marnie Blouder.

– Chodzi o Gibsa. Jest ranny. Sądzę, że uderzył się w głowę. Ma też złamaną nogę. Potrzebny ambulans... szybko, nad jezioro Evergreen.

– Jensen, czy to ty?

Zamknął oczy.

– Tak, Marnie. Zauważyłem go od siebie. Szybko... Proszę, pospieszcie się.

– Karetka już jedzie. Nie zostawiaj go samego, Jensen.

– Nie zostawię.

cztery

Claire wydawało się, że zawsze patrzy na swoje życie tak, jakby odbijało się ono we wstecznym lusterku. Chciałaby zmienić to, co tam widzi.

Jak chociażby, dla przykładu, to, że spędzała swoje dwie wolne godziny pomiędzy zmianami w Pizzerii Pierre'a, próbując przywrócić do życia miejskie róże odmiany *American Beauty*.

Nie mogła się za to obwiniać. Większość ogrodników stawała przed dylematem późnych przymrozków. Każdego roku, gdy dni stawały się coraz dłuższe, ciepło słoneczne nakłaniało ich, by odkryli swoje peonie, swoje hortensje i, co najważniejsze, swoje róże, zdobywczynię nagród. A wtedy znad jeziora, dyskretnie jak złodziej, nadciągał późny przymrozek i niszczył pąki.

Claire straciła przed czasem wiele pięknych różanych pąków właśnie z powodu zbyt szybkiego zaufania porze roku.

A więc teraz, pomimo łagodnej zimy i braku śniegu, zdecydowała się zostawić okrycia na krzakach, nie chcąc ryzykować w obawie przed przymrozkiem. Pod styropianowym zabezpieczeniem jej róże *American Beauty* czuły się jak w saunie. Gotowały się, zamiast zamarzać na śmierć.

Dlaczego, och, dlaczego zamiast swoją intuicją kierowała się strachem?

Uklękała na ziemi w miejskim ogrodzie różanym i uniosła jeden z pojemników. Małe, zielone pączki wyrastały z przyciętych gałęzi, dowód, że nawet w ciemności róże przetrwały. Ściągnęła całkiem okrycie i krzak róży wyprostował się, jakby brał głęboki oddech.

– Przepraszam, mała różo – powiedziała, siadając na piętach i strzepując ziemię ze swoich rękawic.

– Znów rozmawiasz ze swoimi roślinami, Claire? – Edith Draper szła chodnikiem w stronę biblioteki, która znajdowała się po drugiej stronie ogrodu. Kobieta miała na sobie bluzę z wyszytym napisem: *Babcie są po to, aby je przytulać*, a w rękach niosła stertę książek.

– Mam nadzieję, że nie zabiłam ich swoją decyzją, by zostawić je okryte w obawie przed przymrozkiem.

Edith wzruszyła ramionami.

– Nie możesz żyć, zastanawiając się, co by było gdyby, kochana. Według mnie wyglądają dobrze.

– Jeśli uśmiercę te róże, ogrodnicze stowarzyszenie Deep Haven uśmierci mnie.

Edith dotarła pod drzwi biblioteki.

– Uczynili cię za nie odpowiedzialną, bo masz najlepsze podejście do roślin w miasteczku. Nie wspominając już o twoim zacięciu. Zaufaj samej sobie. – Edith

mrugnęła do niej i zniknęła w środku.

Ona sama byłaby ostatnią osobą, której by zaufała. Claire nie podjęła żadnej dobrej decyzji, odkąd... cóż, odkąd przekonała swoich rodziców, by pozwolili jej się przeprowadzić do Stanów i chodzić do liceum w Deep Haven. Ale później... na dobrą sprawę zawiodła samą siebie i wszystkich wokół swoimi kiepskimi decyzjami w życiu.

Claire zdjęła kolejne okrycie. I ten krzak róży zaczął już kwitnąć. Uff. Żył.

Ułożyła styropianowe okrycia w stosik, po czym rozsypała nawóz wokół korzeni. Róże od razu wydały się szczęśliwsze.

Spojrzała w górę, zmierzch obejmował już niebo w posiadanie. Normalnie byłaby tutaj wcześniej, ale dzisiaj miała dodatkową zmianę. *Panie, proszę, pomóż im rosnąć.*

Claire zaniósła okrycia to małego składziku za biblioteką, zostawiła tam też rękawiczki, po czym wskoczyła na rower i pojechała drogą w kierunku swojego mieszkania. Jedną z zalet zamieszkiwania w małym miasteczku – nie potrzebowała samochodu. Nie to, że nie lubiła swojej toyoty yaris, ale uwielbiała czasami jazdę do pracy na rowerze i powroty w świetle gwiazd.

Jej zmiana zaczynała się za dziesięć minut – za mało czasu, by wziąć prysznic. Wciągnęła na siebie swój firmowy uniform, na który składały się czarne dżinsy i czarna koszula, przypięła identyfikator z imieniem, przełożyła kucyk przez daszek sportowy, po czym wrzuciła fartuch do swojego plecaczka i zbiegła po schodach, wychodząc przez tylne drzwi księgarni.

Rzuciła okiem na mieszkanie swojej nowej sąsiadki – ciemno. Wyglądało na to, że asystentka prokuratora też pracowała do późna.

Wskoczyła na rower i popedałowała do Pierre'a. Odbiła kartę minutę po czasie. A niech to...

Miejsce wyglądało na opustoszałe. Tego wieczoru nie było wzmożonego ruchu; w dwudziestu boksach i przy stołach w głównej sali siedziała tylko garstka gości. Claire uwielbiała Pizzerię Pierre'a z jej przybitymi do ścian „przynętami”: wypchanym pstrągiem, raketami śnieżnymi, starymi reklamami cola-coli i zdjęciem lokalnej drużyny hokejowej. Wisiało tam też kilka oprawionych wycinków z gazet, które mówiły o ważnych dla Deep Haven wydarzeniach, jak na przykład o wygranej drużyny futbolowej w mistrzostwach stanowych albo o przyznaniu National Book Award lokalnemu pisarzowi, Joemu Michaelsowi.

W drodze do kuchni wciągnęła w nozdrza zapach świeżo pieczonych calzone, pikantnego sosu domowej roboty, świeżych warzyw. Tucker Newman stał przy stole ze składnikami i pracował nad hawajską pizzą. Jego widok, gdy w fartuchu i z siatką na głowie koncentrował się nad ciastem, jakby tworzył dzieło sztuki, zawsze poprawiał jej humor. Snowboardzista zmienił się, odkąd w zeszłym roku zaczął spotykać się z Colleen Decker. Czasami widywała go, jak jadł pizzę z jej rodziną i

śmiał się.

Przez pierwszych kilka miesięcy, jak zaczął tu pracować, nie śmiał się w ogóle. Myślała, że nie wytrzyma długo.

Ale to nie ona podejmowała tu decyzje.

Claire wczytała się w rozpiskę zadań. Miała dzisiaj wieczorem stać przy kasie, ale skoro przy ladzie warował już Curt McCormick i uzupełniał braki kubków oraz serwetek, wyglądając przy tym, jakby miał umrzeć z nudów, zdecydowała, że przyda się bardziej w kuchni, gdzie przygotowuje wszystko na jutro. Wyciągnęła z lodówki pojemnik ze stali nierdzewnej pełen świeżych pieczarek i skierowała się do stołu, gdzie przygotowywano jedzenie.

Stała tam Grace Christiansen i kroila cebulę. Blond włosy okryła siatką.

– Myślałam, że poszłaś już do domu – powiedziała. Wyglądała naprawdę nieszczęśliwie.

– Mam dzisiaj podwójną zmianę. Nie przeszkadza mi to. Nie masz dzisiaj wolnego? – Claire wzięła pieczarkę do ręki i zaczęła czyścić ją ręcznikiem papierowym.

– Mam, ale urwałam się wczoraj wcześniej i muszę odrobić godziny. Tiger wylądował na ostrym dyżurze i mama rwała sobie włosy z głowy, szukając Dareka.

Claire zamarła. Poczowała bryłę lodu w klatce piersiowej.

– Co się stało?

– Spadł ze starego łóżka Caspera i rozciął sobie czoło. Potrzebował siedmiu szwów. – Grace potrząsnęła głową, wrzucając cebulę do pojemnika ze stali nierdzewnej. – Myślę, że anioł musiał nad nim czuwać, bo mógł stracić oko. Podprowadził łyżwy Owena i bawił się nimi przed pójściem spać.

– Wszystko z nim w porządku?

– Tak, czuje się dobrze. Wyliże się z tego. Bardziej martwię się o Dareka. Praktycznie się załamał. Obwinił się, że go wtedy tam nie było...

– A gdzie był?

– Na randce. – Wzięła kolejną cebulę i skrzywiła się.

– Chcesz się zamienić?

Grace potrząsnęła głową i zaczęła obierać cebulę.

– Był na aukcji kawalerów. Jakaś kobieta go kupiła.

Claire ułożyła spory stosik oczyszczonych pieczarek.

– Ma na imię Ivy. Jest naprawdę ładna. Rude włosy, niska, ale urocza. Powiedziała mi, że jest nową asystentką prokuratora hrabstwa.

– Spotkałaś ją?

– Wprowadziła się do mieszkania nad garażem za księgarnią. Wpadłyśmy na siebie wczoraj.

Grace skinęła głową, dalej siekając cebulę.

– O co chodzi? – Claire położyła pieczarki na desce i zaczęła je kroić.

Grace zamrugnęła kilka razy, jakby powstrzymywała łzy.

– Ja tylko... Po prostu to takie smutne, że Tiger nie ma mamy. Czy nie byłoby super, gdyby Darek sobie kogoś znalazł?

– Tiger miał mamę.

Grace spojrzała na nią. Och, Claire wcale nie miała zamiaru powiedzieć tego tak ostro.

– Chodzi mi o to, że... Tak, każde dziecko potrzebuje matki. Ale on ma już tak dużą rodzinę. Ciebie i Amelię, twoich rodziców, Caspera, Owena, Eden.

– On potrzebuje *mamy*, Claire. – Grace odłożyła nóż i zgarnęła kolejną porcję cebuli do pojemnika. – A Darek potrzebuje żony.

Darek nie zasługiwał na kolejną żonę. Claire zacisnęła szczęki, by te słowa nie wyrwały się na wolność.

– Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje Tiger, jest to, by jakaś kobieta zajęła miejsce Felicity i wszystko znów nie wypaliło.

Grace zmarszczyła brwi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Claire wrzuciła grzyby do swojego pojemnika.

– Może to, że nie znasz swojego brata tak dobrze, jak ci się wydaje.

– Bardzo się zmienił od czasu, gdy Felicity umarła.

Claire odłożyła nóż.

– Miał już swoją szansę i ją zmarnował. I teraz musi sobie jak najlepiej radzić z tym, co mu zostało.

Grace otworzyła usta.

– Proszę, Grace. Nie myśl sobie, że nie współczuję Tigerowi. Ale każdy musi żyć z konsekwencjami swoich decyzji.

– Utrata Felicity nie była jego wyborem. Wypadki po prostu się zdarzają. Nie znaczy to, że nie powinien ruszyć naprzód, zrobić coś ze swoim życiem.

Claire patrzyła na nią. Te słowa ją zabolęły.

– Claire, masz chwilę?

Dziewczyna obróciła się. Pragnęła teraz rzucić się w ramiona Stuarta. Prawdopodobnie nie najlepszy to pomysł w relacji pracownik – menedżer, więc wytarła tylko dłonie i zostawiła Grace przy stole wraz z jej zbyt wybaczącą naturą. Poszła za Stuartem do jego biura.

Zaczęła przeproszać, nim jeszcze usiadła przy jego biurku.

– Wiem, że zupełnie straciłam poczucie czasu. Pracowałam w ogrodzie...

– Naprawdę, Claire? – Stuart miał na sobie swój firmowy uniform. Biały fartuch, czarna koszula kontrastująca z jego siwymi włosami. Robił pizzę przez niemal czterdzieści lat, ale jakimś cudem udało mu się zachować formę. Zdjęcie jego rodziny, zrobione nim zmarła jego żona, stało na niskim kredensie obok niego. – Myślisz, że ściągnąłem cię tutaj, by czepiać się minuty spóźnienia?

Och.

– Chciałbym dać ci podwyżkę.

Podwyżkę? Otworzyła usta, aby mu podziękować, ale wyciągnął rękę, powstrzymując ją.

– Ale nie mogę.

Zmarszczyła brwi.

– Po pierwsze, zarabiasz już maksymalną stawkę, jaką mogą otrzymać pracownicy na pół etatu. A po drugie, prawda jest taka, że nie mogę już sobie na ciebie pozwolić. – Wyglądał, jakby naprawdę było mu przykro.

– Zwalniasz mnie dlatego, że nie możesz mi dać podwyżki? Wcale o nią nie prosiłam.

– Nie, nie prosiłaś, ale zdecydowanie na nią zasługujesz. Radzisz sobie doskonale w kuchni i przy kasie, a nawet znasz lepiej stan naszych zapasów niż ja. Bez ciebie mielibyśmy tutaj niezły bałagan.

– A więc dlaczego...?

– Oferuję ci pracę jako menedżer na pełen etat. Zbliża się lato, więc muszę zatrudnić menedżera, ale nie mogę pozwolić, by pracownik na pół etatu z twoją pensją obciążał mi budżet. Proszę, czy rozważysz moją propozycję?

Praca na pełen etat jako menedżer w Pizzerii Pierre'a. Nie wiedziała, dlaczego nagle poczuła przemożną chęć, aby się rozplakać. Jakoś udało jej się uśmiechnąć pomimo płataniny emocji odczuwanych w klatce piersiowej.

– Ja nie... Ja...

Stuart pochylił się do przodu, a jego głos złagodniał.

– Kocham cię jak córkę. Przez siedem lat obserwowałam, jak dorastasz i stajesz się wspaniałą kobietą. Ale czego oczekujesz od życia? Jeśli chcesz robić karierę w branży restauracyjnej, mogę ci w tym pomóc. Przejście na pełen etat zagwarantowałoby ci dodatek do pensji i emerytalny plan oszczędnościowy. Prawdziwa praca. Ale jeśli nie tego oczekujesz... – Westchnął. – Masz dwadzieścia pięć lat, Claire. I może to nie moja sprawa, ale znam twoich rodziców i wiem, że martwią się o ciebie. O to, że jeśli wkrótce nie opuścisz Deep Haven, nie zrobisz tego nigdy.

Opuścić Deep Haven? Gardło jej się ścisnęło, jakby ktoś zaczął ją dusić.

– Rozumiem, że zbieranie pieniędzy na college zajmuje sporo czasu, ale teraz masz już coś odłożone. No i zawsze istnieją pożyczki i....

– Zastanowię się nad tym – odparła Claire. Och, tak bardzo nie chciała się rozplakać na oczach Stuarta. Zwłaszcza gdy patrzył na nią życzliwym wzrokiem, tak, jakby to robił jej ojciec.

Z wyczekiwaniem. Nadzieją.

Wstała.

– Kiedy muszę dać ci znać?

– Im szybciej, tym lepiej. Ale na pewno przed świętem czwartego lipca. Mu-

szę do tego czasu kogoś zatrudnić i przeszkolić.

Świetnie. Miała dwa tygodnie, by zastanowić się, czy chciała serwować pizzę do końca życia.

Jeśli wkrótce nie opuścisz Deep Haven, nie zrobisz tego nigdy.

Jakby nie myślała dokładnie o tym samym każdego dnia przez ostatnie siedem lat.

Skinęła głową i nacisnęła klamkę. W tym właśnie momencie zawibrował jej telefon. Skrzywiła się, oglądając się przez ramię.

– Przepraszam, zapomniałam go wyłączyć.

– Nic się nie stało, Claire – powiedział Stuart.

Gdy otworzyła drzwi, wyciągnęła telefon z kieszeni. Przeczytała na ekranie, kto dzwoni.

Szpital w Deep Haven. Oddech jej przyspieszył, gdy przykladała komórkę do ucha.

– Halo?

– Claire Gibson?

– Tak? – Spojrzała na Stuarda, który przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami.

– Dzwonię z ostrego dyżuru szpitala w Deep Haven. Pani dziadek miał wypadek. Nic nie zagraża jego życiu, ale powinna się pani tu zjawić.

Ten mężczyzna utknął w jej głowie niczym piosenka i nieważne, jak wiele razy czytałaby ostatni akapit... wciąż nie mogła zapomnieć spojrzenia, jakie posłał jej Darek Christiansen, gdy przyłapała go na gapieniu się na nią w bibliotece.

Gapił się na nią. Jak... Cóż, nie była pewna, jak powinna zinterpretować jego spojrzenie. Wyglądało to tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. I ta czysta panika na jego twarzy, gdy się do niego uśmiechnęła...

Nie wiedziała, czy powinna się śmiać, czy płakać. Z niego. Albo z samej siebie, ze swoich własnych szalonych, ciepłych, może nawet bolesnych emocji, których doświadczyła, widząc, jak bierze syna na kolana i otwiera książkę.

Prawie zaczęła żałować, że nie może cofnąć czasu do początku swojej randki z Darekiem i zacząć od nowa.

Taki mały, prosty gest. Jak bardzo chciała dawniej mieć rodzica, który by jej poczytał. Głupota. Głupstwo. Ivy zamknęła książkę i odłożyła ją na stół. Nienawidziła, gdy zniecka atakowały ją braki z przeszłości. Nie była już małą dziewczynką, która potrzebowała mamy, taty, kogoś, kto by ją przytulił.

Po prostu reagowała na uroczy widok wielkiego Dareka wciśniętego w dziecięce krzeselko, gdy słuchał bajki Pana Muffinka, a potem nachylił się, by poczytać synowi.

Może i był największym ponurakiem w mieście, ale dla swojego syna Darek okazał się wspaniały. Życzliwy. Delikatny.

A więc co wydarzyło się pomiędzy nim a jego żoną, że nie było jej już w pobliżu?

Ivy wstała i wyszła na zewnątrz. Usiadła na schodach wejściowych. Słońce już zaszło, a gwiazdy odbijały się w atramentowej powierzchni wody. Mogła wyczuć w powietrzu zapach jeziora. Upał wypuścił już świat ze swojego uścisku. Spojrzała na wiktoriańską księgarnię, spodziewając się zobaczyć światła w mieszkaniu na górze, ale najwidoczniej jej sąsiadka pracowała dzisiaj do późna. Spotkała Claire wczoraj. Ładna dziewczyna, może kilka lat młodsza od Ivy, o ciemnobrązowych oczach i włosach oraz miłym uśmiechu. Nosila koszulę i czarny daszek z Pizzerii Pierre'a, może była w drodze do pracy.

– Jak długo zostajesz w mieście? – spytała po tym, jak Ivy jej się przedstawiła.

Na zawsze, chciała odpowiedzieć Ivy, ledwo powstrzymując się przed wypowiedzeniem tych słów na głos.

– Zaczęłam tu właśnie pracę jako asystentka prokuratora hrabstwa.

Claire przytaknęła jej z uśmiechem. Na twarzy miała wyraz rozbawienia.

– Jeszcze się zobaczymy – powiedziała, wskakując na swój czerwony rower, i odjechała.

Ivy miała taką nadzieję. Przydałby jej się przyjaciel, ktoś jeszcze oprócz jej ulubionych pisarzy.

Przyciągnęła kolana do klatki piersiowej, czując delikatny wietrzyk na swojej skórze. A co, jeśli znowu zobaczy Dareka?

A co, jeśli on odpowie jej uśmiechem?

O rany. *Naprawdę* robiła się z niej desperatka.

Ale... przecież mogła dać mu drugą szansę? A co, jeśli pojawiłby się w jej domu z przeprosinami i zaproszeniem na drugą randkę?

Podjechałby na jej podjazd i uśmiechnął się – wiedziała, że mógłby się na to zdobyć – a ona zeszlaby po schodach, podeszła do niego, a on by powiedział: *Przepraszam, że byłem takim zrzędą. Spróbujemy jeszcze raz?*

Naprawdę? Och, Darek, tak się cieszę, że spytałeś...

Och, na miłość boską, wcale tego nie potrzebowała. Nie potrzebowała Dareka w swoim życiu, uśmiechającego się w jej kierunku, biorącego ją w ramiona.

Bo wtedy co? Wskoczyłaby do jego jeepa i odjechałaby razem w stronę słońca? Była za mądra na takie marzenia. Dla dziewczyny takiej jak ona nie było happy endów i szczęśliwej rodziny.

Ivy wstała i weszła z powrotem do środka. Opadła na łóżko w kącie pokoju. Włączyła iPod'a i wybrała Franka Sinatra.

Śpiewał o świetle księżycy, tańcu i zakochiwaniu się. Po chwili jednak wyłą-

czyła to nagranie.

Podeszła do okna i stała tam w ciszy.

Tylko ona i światło księżyca.

To musiało jej wystarczyć.

pięć

– Tiger, zostań tutaj przy wózku, a tata skoczy po arbuza. – Darek obrócił się i skinął palcem na swojego syna. Słodkie czerwone pręgi od lizaka, którego podarował mu kasjer w banku, znaczyły jego policzki. Stał i lizał swoje palce, chociaż w drugiej ręce trzymał jeszcze lizak. Szwy zaczęły się już rozpuszczać, zostawiając po sobie cienką czerwoną bliznę. Tiger wciąż jednak wyglądał jak nieboskie stworzenie. Jego nowa koszulka ze Spidermanem była cała brudna od „pomagania tacie w ogrodzie”. – Nie ruszaj się stąd.

– Dobrze, tatusiu.

Darek uśmiechnął się i obszedł róg stołu, sięgając po największego arbuza, jakiego mógł znaleźć. Wsadził go sobie pod pachę i wyciągnął z kieszeni listę zakupów, by się upewnić, czy czegoś nie zapomniał.

Jego matka miała genialny pomysł, aby podać na werandzie gościom, którzy przyjechali wczoraj, piwo korzenne z lodami w środku jako specjalny smakołyk na Święto Niepodległości.

Tylko jeden zajęty domek na weekend ze Świętem Niepodległości. Dobrze pamiętał czasy, gdy musieli odmawiać ludziom z powodu braku miejsc.

Darek ledwo mógł ścierpieć wyraz twarzy swojego ojca, gdy odbierał dwie rezygnacje, obie z powodu braku klimatyzacji w ich „wiejskich” kabinach.

Dlaczego wszyscy goście nie mogli być tacy jak ta rodzina sprzed paru tygodni, która chodziła na ryby, pływała w jeziorze, wspinała się po górach i cieszyła się pięknem północnych lasów, nie potrzebując wszystkich udogodnień, które miała w domu?

Nie to, żeby miał jakieś pretensje do gości. Przy temperaturach rzędu trzydziestu stopni Celsjusza małe chatki pozbawione odpowiedniego obiegu powietrza zamieniały się w sauny. Ale nie musieli być tacy niemili. Miał ochotę udusić nadętą parę, która zjawiała się w ośrodku. Młodzi ludzie podjechali pod jeden z domków, po czym zawrócili i odjechali. Zdążyli jeszcze wykrzyknąć ojcu Dareka, że ten ośrodek to okropna dziura.

Gdy ojciec uśmiechnął się i życzył im dobrej drogi, Darek miał ochotę powiedzieć im, ile dokładnie godzin jego matka spędziła na szorowaniu tego domku. Najlepiej przyciskając tego chudego, wymuskanego turystę do jego czarnego, lśniącego cadillaca escalade.

Niewdzięcznicy...

Dzięki ciężkiej pracy jego matki goście mogli jeść z podłogi w każdej z chat, a jego ojciec utrzymywał je w doskonałej kondycji. Ale ich własnoręcznie robione drewniane blaty, chodniki szmaciaki i staromodne kołdry nie mogły się równać z kuchniami pełnymi granitu, stali nierdzewnej i kafelków z trawertynu, które można

było znaleźć w kwaterach w miasteczku. Nie wspominając już nawet o płaskich telewizorach.

No, ale oni serwowali piwo korzenne z lodami i arbuza. Darek potrząsnął głową. Nigdy nie będzie takim gospodarzem, jakim byli jego rodzice, pomimo swoich wysiłków. Nadzieja, jaką żywili, że to właśnie jemu przekażą w spadku ośrodek, mogła być największym błędem w ich życiu. Tak się składa, że jeszcze pięć lat temu jego marzenia obejmowały zwiedzanie świata, przeżywanie przygód i rozwijanie kariery jako strażak gaszący pożary lasów.

Teraz jedyne płomienie, z jakimi miał do czynienia, pochodziły z okazjonalnych ognisk nad jeziorem, których iskry gasły, odpływając w noc.

Obszedł róg stołu.

Tiger zniknął.

No i widocznie nigdy nie zostanie ojcem, jakiego potrzebował jego syn.

– Tiger! – Wrzucił arbuza do wózka i rozejrzał się na boki po sklepie. Stoły uginające się pod kosztami jabłek, pomarańczy, ziemniaków, grejfrutów, kukurydzy, stosami puszek z fasolą i niezliczonymi rzędami lubianek pełnych truskawek zapewniały pięciolatkowi ogromną ilość kryjówek. – Tiger, gdzie jesteś? – Och, to dziecko. Kiedyś przez godzinę szukał go po całym ośrodku, aż nie znalazł go w pustej przestrzeni pod werandą.

– Tiger! – Starał się nie podnosić głosu, wysyczał więc imię przez zaciśnięte zęby. Kobieta przy ananasach spojrzała na Dareka. Nie rozpoznał jej, zatem zagadnął, wyjaśniając swoje zachowanie: – Mój syn gdzieś sobie poszedł. Ma pięć lat i nosi koszulkę ze Spidermanem.

Pokręciła głową, przybierając wyraz niepokoju na twarzy.

– Ciągłe to robi. Wszystko będzie dobrze. – Naprawdę. Mieszkali w małym miasteczku. Sklep spożywczy miał jakieś siedem alejek. Nienawidził jednak, gdy panika brała jego gardło w objęcia, wyciskając mu dech z piersi.

Darek zacisnął dłonie na uchwycie wózka i ruszył w kierunku strefy z gotowym jedzeniem, zaglądając po drodze w alejkę z konserwami.

– Tiger! – Nic.

Udał się w stronę mąki, olejów i makaronów. Zajrzał tam, po czym skierował się do strefy z płatkami do mleka. Tiger kochał płatki.

– Tig...

Znalazł się, ten mały nicpoń, a do tego nie był sam. Ręce splótł wokół szyi Nan Holloway.

No tak... musiała go znaleźć akurat jego babcia. Trzymała chłopca w swoich ramionach, jakby nigdy nie zamierzała go puścić.

Jeśli wszystko poszłoby po jej myśli, nigdy by tego nie zrobiła.

– Cześć, Nan.

Spojrzała na niego, a uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Ktoś mógł go złapać i porwać.
– Może powiesz to jeszcze głośniej. Nie jestem pewny, czy Tiger i wszyscy w sklepie cię słyszeli.

– Powinien wiedzieć, jak ryzykowne może być samowolne oddalanie się. I szczerze mówiąc, ty też powinienesz.

– Odszedłem tylko na chwilę, by wziąć arbuza. – Och, zabrzmiało to po prostu wspaniale. Miał ochotę cofnąć te słowa, jak tylko je wypowiedział.

– Tak właśnie zdarzają się wypadki, nieprawdaż, Dareku? Wystarczy, że ktoś odwróci na chwilę wzrok...

– Nie odwróciłem... – Wypuścił powietrze z płuc. Nie miało to żadnego znaczenia. Nan i George Hollowayowie żywili dla niego pogardę od czasu, gdy dowiedzieli się, że Felicity nosi pod sercem jego dziecko. Małżeństwo z przymusu, które zawarli parę tygodni później, pewnie w niczym mu nie pomogło.

Postarał się, by jego głos stał się mniej konfrontacyjny.

– Dziękuję, że go znalazłaś.

Wyciągnął ręce, by odebrać od niej Tigera, lecz Nan pochylila głowę, jakby wciągała w nozdrza zapach jego małego synka. Przełknęła ślinę i zmusiła się do uśmiechu.

– Pewnie nie pozwolisz nam zabrać do siebie Tigera w ten weekend czwartego lipca? Sandra przyjeżdża ze swoją rodziną i pewnie miałby sporo frajdy, bawiąc się ze swoimi kuzynami.

Gdy ostatnim razem zawiózł Tigera do Hollowayów, jego syn wrócił z kompletnie nowym zestawem ubrań, bo stare pewnie spalili razem ze śmieciami. Darek starał się tym nie przejmować, ale poczuł się wtedy jak facet, który żyje w samochodzie, żebrząc o jedzenie dla syna.

A niech to, duma przysłoniła mu rozsądek.

– Przykro mi, Nan, ale my też mamy zjazd rodzinny. – Tym razem nie czekał, aż sama puści Tigera, lecz po prostu go odebrał, opierając go sobie na biodrze.
– Co powiesz na kolejny weekend?

Zacisnęła usta, jakby próbowała pohamować łzy. O nie! Felicity robiła dokładnie taką samą minę. Zwykle tuż przed tym, nim cisnęła Darekowi w twarz czymś paskudnym, mówiąc mu coś przykrego, wypominając mu jakieś błędy.

Krew Hollowayów nie woda:

– Felicity zawsze opowiadała mi, jak bardzo jesteś samolubny. Nigdy nie sądziłam jednak, że będziesz trzymał Tigera z dala od nas.

Ludzie wokół zaczęli się na nich gapić. Pewnie przyznawali jej rację.

W końcu Hollowayowie nie byli przecież w Deep Haven anonimowi. Nie, skoro George siedział od zawsze w radzie szkoły, a Nan pracowała w administracji, wydając pozwolenia na budowę i zastawy skarbowe.

Felicity była ich złotym dzieckiem – królową balu, gwiazdą koszykówki,

dziewczyną, która miała największe szanse odnieść sukces w życiu.

Nie kimś, kto mógłby zająć w ciąży i wziąć ślub w wieku dwudziestu lat.

Oczy Nan błyszczały, napełniając się łzami.

– Nan... Zgoda. Przywiozę go do was. Co powiesz na niedzielne popołudnie?

– Nie. Zapomnij, Darek. Czas żebyśmy wkroczyli do akcji i zaczęli zadawać pytania. Na przykład, skąd Tiger ma te rany. Nie powiedziałaś nam o tym. Powinieneś przynajmniej zatelefonować. Tylko dlatego, że nie było nas w mieście przez parę dni...

Nie wiedział, komu powinien dziękować za to błogosławieństwo. Nic dziwnego, że nie widział Nan czającej się w bibliotece przez ostatnie dwa tygodnie – pojechali na swój doroczny obóz kościelny gdzieś na wyżynie Ozark.

Niestety nie miał też okazji zobaczyć Ivy. Choć i tak nie wiedział, co mógłby jej powiedzieć, gdyby ją faktycznie zobaczył.

– Spadł z piętrowego łóżka. Ale sam się na nie wspiał...

– Nikt go nie pilnował?

– Nan, Tiger jest dzieckiem. To żywe srebro.

Zacisnęła szczęki. Nagle skinęła głową.

– Niedziela brzmi dobrze.

Przepchnęła wózek obok niego, podążając w głąb alejki.

– Papa, babciu!

Nan obejrzała się przez ramię z uśmiechem. Zawróciła i pocałowała pucyłowaty policzek chłopca.

– Wkrótce się zobaczymy, Theo.

Tiger, Darek miał ochotę ją poprawić. Mówimy na niego Tiger. Ale to wcale by mu nie pomogło.

Spojrzał na syna.

– Nigdy więcej nie masz ode mnie uciekać.

Uśmiech zniknął z twarzy chłopca, a jego dolna warga zaczęła drżeć. Może Darek powinien pozwolić Nan, by zabrała go ze sobą do domu.

Pewnie nie był wystarczająco pilnowany, dokładnie tak, jak twierdziła. Jego głos złagodniał.

– Wystraszyłeś mnie, kolego. Trzymaj się mnie, okej? – Wyciągnął rękę, a Tiger przybił mu piątkę. – Super. – Postawił go na ziemi. – Weź jakieś płatki i kończymy z zakupami na dziś.

– Chcę Cap'n Crunch! – Tiger sięgnął po pudełko ustawione strategicznie na wysokości wzroku pięciolatka i przytulił karton do piersi.

– Nie, stary. Spróbujmy z czymś zdrowszym, co? Może Cheeriosy. Honey Nuts...

– Chcę Cap'n Crunch! – Maluch podniósł głos.

Darek sięgnął po karton, próbował mu go odebrać.

– Nie. Oddaj go tacie.

Ale chłopiec odwrócił się od niego, zgniatając pudełko w swoich ramionach.

– Tiger!

– *Chcę Cap'n Crunch!*

Tiger wyraźnie przekroczył zwykły poziom decybeli. Darek spodziewał się więc, że Nan przybiegnie tu w podskokach i oskarży go o znęcanie się nad dzieckiem.

– Nie – odpowiedział ostro, czując gniew pulsujący w żyłach. Miał ochotę przełożyć sobie dzieciaka przez ramię i wyjść w tej chwili ze sklepu. Wsiąść tak po prostu do auta, docisnąć pedał gazu – wynieść się z Deep Haven, uciec od tego życia, od tego brzemienia, którego nie chciał, na które nie był przygotowany, z którym nie potrafił sobie poradzić...

– Czy mogę jakoś pomóc?

Uniósł głowę i niemal całkiem stracił głos na widok Ivy Madison stojącej przed nim w czarnych spodniach, czółenkach i w świeżej białej bluzce, z którą kontrastowały ładnie związane rude włosy. Jakby właśnie wyszła z biura podczas przerwy na lunch. Wyglądała pięknie.

Kucnęła.

– Hej, Tiger. Co tam masz?

Wiedziała, jak chłopiec ma na imię. Co znaczyło, że tamtej nocy została na ostrym dyżurze wystarczająco długo, by usłyszeć, jak Darek niemal załamał się przy łóżku syna.

Świetnie.

– *Chcę Cap'n Crunch* – powtórzył mały uparciuch.

– Widzę. – Przeniosła wzrok na Dareka, po czym znów spojrzała na Tigera.

– Hej, Tiger. Widziałam cię w bibliotece. Co tam czytałeś?

Coś rozbłysło w tych wielkich, brązowych oczach.

– Książkę o myszy!

– Och, znam ją. Jeśli dasz myszy ciasteczko...

– Będzie chciała szklankę mleka!

– A jeśli dasz jej szklankę mleka... – Ivy zerknęła na Dareka. Kiwnęła głową w stronę pudełka z płatkami.

Tiger całkiem wkręcił się w zabawę.

– Będzie chciała słomkę!

Darek wykorzystał swoją szansę. Wyciągnął karton z rąk Tigera, podczas gdy Ivy zapytała:

– A jeśli dasz jej słomkę?

– Będzie chciała chusteczkę!

– Zgadza się! A potem sprawdzi, czy ma wąsy z mleka. – Zaczęła marszczyć

nos. – Czy ja mam wąsy z mleka?

Tiger potrząsnął głową, śmiejąc się.

– Ale za to on ma lizakową buzię – powiedział Darek, podnosząc chłopca i wsadzając go do środka wózka. – Nie podchodziłbym zbyt blisko.

– Hm, pycha. Mogę liza? – spytała Ivy, wciąż ignorując Dareka.

Tiger wyciągnął swoją klejącą się pięść i przez moment Darek bał się, że Ivy może naprawdę to zrobić – polizać klejącego się, brejowatego lizaka.

– Och, nie. On jest twój, kolego. Poza tym, jeśli dasz mi lizaka, mogę poprosić o...

– Szklanekę mleka!

Roześmiała się i Darek jej zawtórował. I wtedy wreszcie – wreszcie – spojrzała na niego.

Och, miała piękne oczy. Zielone ze złotymi plamkami przy krawędziach tęczy. I najpiękniejszy odcień kasztanowych włosów, jedwabistych i grubych. Dlaczego nie zauważył tego wcześniej?

– Jesteś genialna – wyszeptał Darek

Uśmiechnęła się i przez moment odebrało mu mowę. Tak bardzo żałował, że nie może wrócić do tej randki sprzed dwóch tygodni i przeżyć jej tak, jak trzeba. Być takim partnerem, na jakiego zasługiwała.

– Nie. Mieszkałam po prostu z profesjonalnymi matkami, które wiedziały, jak rozproszyć uwagę dziecka w alejce z produktami spożywczymi.

Zmarszczył brwi.

– Profesjonalnymi matkami?

– Wychowywałam się w rodzinach zastępczych, pamiętasz?

Och, racja. Spróbował się uśmiechnąć.

– W porządku. To była ciężka noc. Jak tam Tiger? – Wskazała na jego czoło.

– Wygląda na to, że ładnie się goi.

– Siedem szwów. Jestem pewny, że to nie ostatnie w jego życiu. – Wzdrygnął się. – Te zakupy naprawdę trwały wieki.

– Rozumiem. Jedna z moich zastępczych matek kazała nam pchać wózek. Dzięki temu nie mogliśmy jej uciec. Mógłbyś spróbować wziąć na zakupy wózek z wbudowanym samochodzikiem na przedzie.

– Jesteśmy w Deep Haven. Nie mamy tu takich.

– Racja. A więc co powiesz na to, by pozwolić mu robić zakupy? Niech pomaga ci znaleźć różne rzeczy. Dzieciaki to uwielbiają.

– Serio? Mogę cię zatrudnić?

Znów się roześmiała.

– Dzięki, ale już mam pracę. I zaraz muszę do niej wracać.

Ale...

Zwróciła się do Tigera.

– Nie rozdawaj żadnych ciasteczek.

Wyszczrzył się do niej.

– Miło było cię zobaczyć, Dareku. – I wtedy zaczęła odchodzić.

– Ale... Ivy!

Zabrział strasznie desperacko, ale nie mógł zapanować nad tonem swojego głosu. Zwłaszcza gdy emocje przenikały go aż do kości.

Odwróciła się do niego. Jej piękne usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Hej, nie popisałem się specjalnie tamtej nocy.

Zmarszczyła brwi.

– Chodzi o to, że nie dostałaś tego, za co zapłaciłaś.

Och. Ups. Obejrzała się przez ramię. Zaczęła kręcić głową.

– Nie, chodzi mi o to, że... mogę to zrobić lepiej.

Nie. Nie...

– Naprawdę, Dareku, zapomnijmy...

– Co powiesz na prawdziwą randkę?

Ich słowa skrzyżowały się w powietrzu i zawisły tam. Spojrzała na niego i przełknęła ślinę.

Popchnął swój wózek bliżej niej, mówiąc ciszej.

– To wszystko nie brzmi tak, jak powinno. Ale cóż... Chciałbym dostać szansę na zrehabilitowanie się.

– Wcale nie musisz się zrehabilitować. – Naprawdę wyglądała na skrupowaną. Darekowi zrobiło się żal ich obojga.

– No dobrze. Co więc powiesz na to: moja rodzina urządza małą imprezę z okazji czwartego lipca. Będzie piwo korzenne z lodami i kto wie, może nawet jakieś fajerwerki. Dołączysz do nas? Obiecuję, że za drugim razem będę o wiele miłszy.

Przybrała, jak sądził, wyraz twarzy prawnika, bo zdawała się go oceniać. Nagle stał się boleśnie świadomy swoich podartych, nieco przybrudzonych dżinsów – wymieniał akurat zbutwiałe bale na ścieżce, gdy matka wysłała go po zakupy do miasta. I ten T-shirt hotshotów z hrabstwa Jude z dziurą w rękawie... Czy w ogóle uczesał się i umył rano zęby?

Ivy musiała wyczuć jego rozterki, bo uśmiechnęła się uspokajająco. Odpowiedziała jednak:

– Nie wiem. Nie chcę się znaleźć w środku tego wszystkiego.

Zmarszczył brwi.

– W środku?

Zniżyła głos.

– Słuchaj, rozumiem, że rozwody się zdarzają. Po prostu trochę to niefajne.

Więc...

– Rozwód? Nie... – Skrzywił się. Niech to... nie wyjaśnił jej całej sytuacji.

Ale kto by to zrobił? *Moja żona została zabita* – jakby to brzmiało na pierwszej randce?

Bez względu na to, jakby nazwać to ich pierwsze spotkanie.

– Jestem wdowcem, Ivy.

Zamrugła na to.

– Och. Hm... Strasznie mi przykro. – Przez chwilę na jej twarzy widoczny był wyraz litości. I to właśnie dlatego nie... – Myślę, że mogłabym spędzić czwartego lipca z tobą... – Jej głos stał się bardziej radosny. Spojrzała na chłopca. – Ale pod warunkiem, że będzie tam też Tiger.

– Tak, na pewno – odparł Darek, czując dziwne ciepło krążące po jego ciele.

– To dobrze – powiedziała.

– Zadzwońię do ciebie i dam ci wskazówki, jak do nas dojechać. – Zawrócił wózek, nim zdążyłaby zmienić zdanie.

– Ale nie masz mojego numeru.

Zaśmiał się krótko.

– Jesteśmy w Deep Haven. Znajdę cię.

Gdy zostawiał ją za sobą, spojrzał na swojego syna. Mały wyszczerzył się. Cała jego twarz oblepiona była słodkimi pozostałościami lizaka, do których poprzyklejały się różne kłaczki.

– Dobra robota, Tiger.

Podczas dni takich jak ten Jensen myślał, że może przeżyć w Deep Haven, że mógł nawet odkupić swoje winy, chociaż trochę. Wymazać dziedzictwo swoich błędów i stać się takim człowiekiem, jakim zawsze chciał być.

– Dobrze postąpiłeś. – Pastor Dan Matthews powiedział to do niego tamtej nocy prawie dwa tygodnie temu, gdy przyjechał w tym samym czasie, co karetka, która miała zabrać Gibsa do szpitala. Wiele to dla niego znaczyło, zwłaszcza, że Dan był jedną z pierwszych osób na miejscu wypadku, gdy Felicity umierała na rękach Jensena.

Chciał oprzeć się na słowach Dana i uwierzyć, że któregoś dnia... Cóż, może Deep Haven nigdy mu nie wybaczy. Ale może zacznie w końcu czuć się źle z tym, jak go potraktowało.

Wspomnienie słów Dana pomogło mu znaleźć odwagę, by stanąć przed drzwiami do szpitalnego pokoju Gibsa. Był gotowy, by prosić go o rzecz niemożliwą.

W najgorszym razie, nawet jeśli jego odwaga go zawiedzie, powinien sprawdzić, co tam słyhać u staruszka. Jensen słyszał, że Gibs wrócił dzisiaj do Deep Haven po tygodniowym pobycie w Duluth, gdzie przeszedł operację nóg i całe mnóstwo innych ortopedycznych zabiegów.

Teraz, gdy staruszek wrócił do miasta... Cóż, Jensen cały dzień pracował nad swoją przemową, a także nad swoją ofertą. Spróbować zawsze można, prawda?

Teraz rozejrzał się dookoła, szukając Claire. Był przygotowany na odwrót, jeśli tylko by ją zobaczył. Jego obecność tutaj jedynie przypominałaby jej o tym, co utraciła. Gdy dwa tygodnie temu opuszczał szpital, spostrzegł, że zjawiła się Claire, wciąż w swoim uniformie z pizzerii i z siatką na ciemnych włosach. Wyglądała, jakby cały jej świat stanął w ogniu.

Teraz jednak krzesło obok łóżka było puste, więc Jensen po cichu wszedł do środka.

Zawsze lubił słoneczne pokoje w szpitalach – jak wtedy, gdy zakładano mu szwy, albo wtedy, gdy strach jego matki przed zapaleniem wyrostka robaczkowego sprawił, że trzymano go całą noc w szpitalu na obserwacji. Na stole obok łóżka Gibsa stał wazon z peoniami, pochodzącymi pewnie z jednego z wielu ogrodów Claire.

Gibs leżał na łóżku. Jego chude i kruche ręce spoczywały na kołdrze, która opinała jego beczkowate ciało. Wielka poduszka z pianki w kształcie trójkąta została przypięta pomiędzy jego nogami w celu unieruchomienia ich. Z jego nosa wystawała rurka wspomagająca oddychanie, a do ramienia podłączono mu kroplówkę.

Jensen stał tam przez moment. Myślał, że starszy mężczyzna ogląda telewizję. Ale teraz zdawało się, że...

– Wiem, że tam jesteś. Siadaj.

Jensen aż się wzdrygnął.

– Nie chciałem pana obudzić.

– Nie spałem. – Gibs otworzył jedno oko. – Trudno spać, gdy stoisz tam i sapiesz.

Och.

Jensen usiadł.

– A więc to ty mnie tu przywiozłeś?

Jensen pokiwał głową.

– Przykro mi, że nie znalazłem pana wcześniej...

– Jensen, na miłość boską, znamy cię od czasu, gdy próbowałeś odpalić fajerwerki na mojej werandzie. Daj sobie spokój z tym *panem*.

– Przepraszam, proszę pana...

Gibs pokręcił głową. Jensen nie spodziewał się dojrzeć w jego oczach wesołych błysków ani ciepła.

– Synu, dziękuję.

Poczuł nagłą falę ulgi, a supeł w jego klatce piersiowej rozwiązał się.

– Nie ma za co.

– A więc skąd ten ciężki oddech?

– Ja... Proszę pana... chciałem z panem porozmawiać o pańskiej posiadło-

ści...

Gibs uniósł brew

– Kopiesz leżącego? – Uśmiechnął się mimo wszystko.

– Nie, proszę pana...

– Jensen.

– Gibs. Po prostu... cóż, nie wiedziałem, jakie masz plany, a jesteś właścicielem wielkiej posiadłości po tej stronie jeziora. Mój ojciec...

– Wiem, czego chce twój ojciec. – Jego uśmiech przygasł.

– To jedyna piaszczysta plaża wokół jeziora. I tak naprawdę potrzebujemy prawa własności tylko po to, by nasi goście mogli się nią cieszyć.

– Wasze osiedle i tak już obejmuje połowę jeziora.

– Ale ty posiadasz najlepszą część. I obiecuję ci, zapłacimy ci za nią uczciwie. – Podał Gibsowi kopertę z propozycją, którą sporządził wczoraj wieczorem, odświeżając sobie nieco prawniczy żargon.

Gibs otworzył ją i przeczytał ofertę.

– Brzmi uczciwie.

– Wciąż miałbyś duży odcinek prywatnej linii brzegowej.

Mężczyzna skinął głową.

– Chciałbym podarować Claire trochę pieniędzy na college. Myślę, że mógłbym sprzedać...

– Niczego nie będziesz sprzedawać, dziadku.

Jensen wzdrygnął się, gdy się obrócił.

Właśnie tak. Claire stała w progu. Miała na sobie zieloną sukienkę, czerwony wełniany beret i sandały gladiatorki. Odstawiając kubek z kawą na nocny stolik, posłała Jensenowi mordercze spojrzenie.

– Wysłałam na dziesięć minut, by zajrzeć do Java Cup, a ty wykorzystujesz ten czas, by wyłudzić ziemię od mojego dziadka.

– Nie chciałem...

– Nie, nie możesz kupić tej ziemi, dziękuję bardzo. Dziadek wkrótce dojdzie do siebie. – Spojrzała znacząco na Gibsa.

Jakby miał jakiś wybór

– Kochanie, posłuchaj mnie. Jensen złożył mi dobrą ofertę. I dzięki niej mogłabyś zapłacić chesne za college. – Wyciągnął dłoń, by ją ujęła. Podeszła do niego nerwowo, jak robot.

Jensen musiał odwrócić wzrok od zboląłego wyrazu jej twarzy.

– Nie możesz zostać tu w Deep Haven na zawsze. – Ciągnął Gibs. – Oboje to wiemy. Musisz opuścić je któregoś dnia i może to właśnie jest twoja szansa. Doktor mówi, że przede mną są trzy do sześciu miesięcy rehabilitacji i szczerze mówiąc, nie jestem pewny czy dam sobie sam radę w domu. Z tą ofertą mógłbym dochodzić do siebie w centrum opieki...

– *Nie!* – Wyszarpnęła swoją rękę z jego. Nawet Jensen uniósł wzrok na ton jej głosu. – Nie, wracasz do domu. Możesz dochodzić do siebie tam. Zostaję. Będę się tobą opiekować.

– Claire...

Ale ona zignorowała swojego dziadka i natarła na Jensena.

– A ty zabieraj tę swoją ofertę i wynoś się stąd. – Wyrwała kopertę z ręki Gibsa i skierowała ją energicznie ku Jensenowi. – Już!

Jensen przeniósł wzrok na kopertę, ale nie zamierzał jej wziąć.

– Claire, przemyśl to...

– Już!

Zacisnął szczęki.

– Wiesz, powinnaś spojrzeć ponad to, co o mnie sądzisz, i pomyśleć o tym, co dobre dla twojego dziadka. I dla ciebie.

– Wiem, co jest dobre dla nas obojga. Trzymać się z dala od ciebie.

Auć.

Spojrzał na Gibsa.

– Dziękuję, że chociaż zechciałeś rozważyć tę ofertę.

Usta Gibsa zacisnęły się w ponurą linię.

– Jeśli miałbyś kiedyś ochotę rozegrać partyjkę w warcaby...

– Dziadku! – Wargi Claire rozchyliły się na chwilę, po czym rzuciła się przez łóżko, złapała Jensena za ramię i wycedziła: – Won mi stąd!

Nim dziewczyna wypchnęła go przez drzwi, Jensen zdążył jeszcze zobaczyć, jak Gibs puszcza do niego oko.

Stał w korytarzu. Słyszał, jak drzwi zatrzasnęły się za nim. Pielęgniarka z dyżurki spojrzała w jego stronę, a on poczuł, że gorąco rozlewa mu się po policzkach. Obrócił się na pięcie i szybko odszedł korytarzem.

Przynajmniej staruszek czuł się dobrze. No i nie zaszkodziło spróbować się go zapytać, prawda?

Won mi stąd.

No dobrze. Jej słowa zabolowały. Pomimo grzechów, jakie miał na sumieniu, myślał, że ich wspólna przeszłość ma jakieś znaczenie. Wciąż pamiętał dni, gdy potrafił doprowadzić ją do śmiechu, albo gdy siedziała z nim na plaży i piekli razem pianki w ognisku, po tym, jak Felicity i Darek już sobie poszli. Zastanawiał się, czy ona też pamiętała te dni.

Pewnie nie.

Jensen wsiadł do półciężarówki i pojechał do sądu, czując w piersi znajomą gorycz. Nawet po trzech latach, gdy wchodził do tego budynku i dalej, do biura swojego kuratora sądowego, zdawało mu się, że pokonuje wieczność.

Wbiegł po schodach po dwa stopnie, po czym przeszedł korytarzem do końca i zapukał do drzwi Mitcha O'Connera.

Jasnowłosy Mitch siedział przy biurku. Jego skóra zbrązowiała po niedawnej wycieczce na ryby.

– Hej, Jensen. Tak myślałem, że cię tu dzisiaj zobaczę. Masz jakieś wielkie plany na weekend czwartego lipca?

Jensen podał mu kartę z tygodniowym wykazem godzin.

– Pewnie zobaczę, czy uda mi się złowić sandacza, albo i dwa, na moją przynętę w jeziorze Evergreen.

Albo i nie. Nie był na rybach od... cóż, jeszcze od czasów przed wypadkiem. Ale nie chciał, by Mitch wiedział, że będzie siedział sam jak palec albo zaszyje się gdzieś w kącie pubu lub w tawernie nad jeziorem, patrząc jak Blue Monkeys grają szlagiery Casha albo Coltraine'a.

Mitch wziął swój kalkulator i zaczął wklepywać cyfry.

– Słyszałem, że ma popadać.

Jensen zatopił się w fotelu i patrzył, jak mężczyzna podlicza godziny.

– Potrzebujemy deszczu. Przejeżdżałem obok kwatery głównej służb leśnych i uznali dzisiejsze zagrożenie pożarowe za wysokie. Nawet powietrze pachnie jakoś sucho.

– Jeden piorun i cały las stanie w płomieniach. – Mitch uniósł głowę. – Okej, Jensen, musimy porozmawiać. Zgodnie z moimi wyliczeniami, jeśli nie zwiększysz ilości godzin, nie uda ci się.

Ich spojrzenia się skrzyżowały, a wszystkie mięśnie w ciele Jensena zamarły.

– Co to znaczy?

Mitch zacisnął usta.

– Warunki twojego zwolnienia warunkowego mówią, że jeśli nie uda ci się odrobić zasądzonych ci godzin prac społecznych, będziesz musiał odsiedzieć cały wyrok. Pójdiesz do więzienia.

Do więzienia.

Jensen wyrżał przez okno, czując jak klatkę piersiową przygniata mu kowadło. Pododawał sobie wcześniej wszystkie godziny i wiedział, że nie wygląda to zbyt dobrze, ale... nie mógł teraz złapać oddechu.

– Wiem, że pracujesz teraz ciężko, Jensen, ale musisz przyznać, że zmarnowałeś pierwszy rok...

– Jestem niewinny! – Słowa po prostu wystrzeliły z jego ust jak z procy. – Nawet jej nie widziałem. Uwierz mi, myślę o tamtej chwili *każdego dnia*. Analizuję każdą sekundę, każdy swój ruch. Nie przekroczyłem dozwolonej prędkości. Dotknąłem tylko radia...

– Znaleźli twój telefon, otwarty.

– Nie dotykałem go od chwili, kiedy opuściłem swój podjazd i... zapomnij o tym. To nie ma znaczenia. – Wstał z krzesła i podszedł do okna. – Prawda nie ma żadnego znaczenia. Deep Haven po prostu chciało mnie ukrzyżować.

– Przyznałeś się do winy.

Jensen naskoczył na niego.

– Bo gdybym tego nie zrobił, poszedłbym do więzienia na cztery lata za zbrodnię, której nie popełniłem! Zamiast tego dostałem trzy lata w tym miasteczku i każdego dnia staję twarzą w twarz z ludźmi, którzy mnie nienawidzą.

Mitch nie zaprzeczył jego słowom.

Jensen znów zapatrzył się w okno.

– Oddałbym wszystko, by cofnąć się w czasie do tamtej nocy... – Żeby nie widzieć, jak Felicity skręca nagle na drogę. By nie słyszeć jej krzyku, gdy ją przejechał. By nie czuć, jak auto podskakuje na jej ciele. By nie słyszeć swoich własnych krzyków, gdy znalazł ją połamaną w rowie, umierającą.

Czasami miał wrażenie, że wciąż krzyczy.

– Nie widziałem jej. Nie widziałem... – Zamknął oczy i ku własnemu przerażeniu poczuł, że może się rozplakać.

– Słuchaj, Jensen. Próbuje dalej. Kto wie? Może zdarzy się jakiś cud i nagle zaleją cię godziny.

Mitch nie uśmiechał się. Jensen nie był pewny, czy mówi poważnie, czy żartuje.

– Nie sądzę, bym mógł liczyć jeszcze na jakiś cud – odparł. – Wesołego Święta Niepodległości, Mitch.

Mężczyzna nie odpowiedział, gdy Jensen zamykał za sobą drzwi.

Ivy zamknęła drzwi swojego biura. Wychodziła ostatnia. Znowu. Ale utrzymywała tę tradycję już od dwóch tygodni i... cóż, obstawiała wcześniej, że przyjdzie do pracy także w swój wolny dzień z okazji narodowego święta. A teraz...

Teraz miała randkę. Z całą rodziną.

Wyszła przez podwójne drzwi na ulicę. Księżyc, który wisiał już na niebie, rzucał złotą poświatę w stronę jej domu. Świeży wiatr znad jeziora mieszał się z zapachem grilla. Postanowiła dzisiaj drogę do pracy i z powrotem pokonać na piechotę, ciesząc się, że sąd znajduje się tylko trzy przecznice od jej domu.

Uroki małego miasteczka.

Do tego dźwięki muzyki na żywo, które niosły się z pobliskiego ogródka przy restauracji. I nieznani jej sąsiedzi, którzy machali do niej z ganków. I... spotkanie czyjejś całej rodziny.

Ivy przycisnęła dłoń do brzucha, który pozostawał pusty, od czasu, kiedy wmusiła w siebie na lunch kanapkę z szynką kupioną w supermarkecie. Ale skurcze, jakie odczuwała, nie miały nic wspólnego z głodem.

Znów siedziała w poczekalni... za chwilę miała się spotkać z rodziną zainte-

resowaną adopcją. Wszystkie marzenia zbierały się w jej wnętrzu w jedną gorącą kulę.

Miała dziesięć lat, gdy myślała sobie, że *może*... Może polubią ją od razu. Może ojciec porwie ją na ręce, a matka uśmiechnie się do niej promiennie, nazwie ją swoją księżniczką, uczyni ją swoją córką.

Tak, może zabiorą ją do domu, którego nigdy nie będzie musiała opuszczać, gdzie będzie miała swoje własne łóżko, może też wydrapie swoje imię na drzewie w ogródku.

Przejechała dłonią po policzku, ocierając wilgoć. Głupie te wszystkie „może”. Nie będzie żadnego gdybania przy Dareku.

Co z tego, że miał takie wspaniałe oczy, które stawały się łagodne i pełne słodyczy, gdy patrzył na syna? I co z tego, że zastanawiała się więcej niż raz, jakie to byłoby uczucie dać się objąć tym ramionom ze stwardniałymi od pracy mięśniami. Pamiętała doskonale zapach nocy, gdy zaparkowali przy punkcie widokowym, i po prostu nie mogła wymazać z pamięci sposobu, w jaki ukoił niepokoje Tigera na ostrym dyżurze, przemawiając do niego łagodnie. Pamiętała też, jak posadził sobie chłopca na kolanach i czytał mu w bibliotece.

Albo nawet dzisiaj, gdy patrzył, jak chłopiec recytował razem z nią wierszyk w sklepie spożywczym. Pośród tych wszystkich uczuć czaiła się duma.

Może wpędzić się w okropne kłopoty, jeśli nie zatrzyma tego nonsensu, nim się na dobre zacznie. Tiger z pewnością ucierpi, jeśli Darek zdecyduje się, że wciąż musi odkupywać swoje grzechy.

Nie, pomimo tej nagłej przemiany z mrocznego gburą w mężczyznę, którego mogłaby polubić, zdążyła zobaczyć jego ciemne strony i to nie tylko na ich randce, ale też dzisiaj, gdy walczył ze swoim synem o pudełko płatków. Nie wiedział, że nigdy nie powinno się walczyć z dzieckiem o jedzenie?

Może nie wiedział. Może starał się to wszystko jakoś rozgryźć, próbował być zarówno matką, jak i ojcem. Ale... och nie. Skrzywiła się, zatrzymując się na chwilę. Chyba nie zaprosił jej na randkę z powodu jej zdolności rodzicielskich, prawda?

To mógł być naprawdę zły pomysł.

Skręciła za róg, gdzie naprzeciwko jeziora znajdowała się księgarnia i kawiarnia „Na Progu Nieba”. Funkie rosły wzdłuż drogi, a w powietrzu unosił się zapach róż. Wokół żarówki na ganku krążyła chmara ciem z tendencjami samobójczymi.

Pod nią, w kałuży bladego światła siedziała jej sąsiadka. Młoda kobieta, która zajmowała mieszkanie nad sklepem.

– Claire – odezwała się Ivy, otwierając furtkę. – Wszystko w porządku?

Claire siedziała na schodach przed wejściem z rękami splecionymi wokół kolan, wpatrując się w stronę jeziora. Ivy poszłaby dalej drogą na tyły budynku, ale Claire wyglądała tak nieszczęśliwie, że Ivy przystanęła przed stopniami.

Claire wreszcie spojrzała na nią.

– Przepraszam. Tak. Wszystko w porządku. Dopiero co wróciłam z Duluth.

– Zauważyłam, że twoje mieszkanie było pogrążone w ciemnościach przez ostatni tydzień... chyba. Byłaś na wakacjach?

Claire zaśmiała się krótko.

– Nie. Chciałabym. Mój dziadek parę tygodni temu wjechał quadem w drzewo. Znalazł go nasz sąsiad znad jeziora. – Skrzywiła się i podniosła komórkę. Westchnęła i odłożyła ją na bok. – Przewieźli go do Duluth na operację, a potem z powrotem do szpitala w Deep Haven.

– Czekasz na telefon?

– Tak, od moich rodziców. Chcą wiedzieć, co z dziadkiem. Martwią się. Wysłali mi maila i poprosili, bym była dzisiaj pod telefonem. Mam tutaj lepszy zasięg, a poza tym noc jest dzisiaj taka piękna, prawda?

Ivy nie musiała się rozglądać, by jej przytaknąć.

– Mieszkałam kiedyś na wsi w Bośni. Zdarzały się tam noce, gdy siedziałam poza kliniką rodziców, że niebo zdawało się być na wyciągnięcie ręki. Tylko za tym tęsknię.

– Dorastałaś w Bośni?

– Tylko do czasu, aż skończyłam czternaście lat. Potem przeniosłam się do Deep Haven. Moi rodzice są lekarzami i misjonarzami.

– Wow. Kiedy wracają?

Claire spojrzała na nią.

– Och, zostali tam. Mieszkałam z dziadkiem i z babcią. Wychowywali mnie, gdy byłam w liceum. Odwiedziłam Bośnię, wybrałam się tam na parę tygodni, gdy miałam piętnaście lat, ale... – Zawiesiła głos, a Ivy nie naciskała. – Moi rodzice przyjeżdżają co cztery lata i czasem na Boże Narodzenie. Wysyłamy sobie maile i rozmawiamy na Skypie, ale to zajęci, ważni ludzie. Lekarze... wspominałam już o tym?

– Tak – odparła Ivy. – To niesamowite.

– Co? To że mam takich utalentowanych rodziców, czy że oni mają taką beznadziejną córkę?

Że co? Ivy nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Zmarszczyła tylko brwi, patrząc na Claire.

– Przepraszam. Wiem, że tak naprawdę wcale mnie nie znasz. – Claire zmusiła się do uśmiechu. – Pracuję w Pizzerii Pierre’a. A dwa tygodnie temu mój szef powiedział mi, że jeśli nie przyjmę propozycji pracy jako menedżerka, prawdopodobnie będzie musiał mnie zwolnić. – Znów spojrzała na telefon. – Mam dwadzieścia pięć lat i jedyne, czym mogę się pochwalić, to mój fantastyczny talent do robienia pizzy.

– Niektórzy ludzie bardzo chcieliby umieć robić fantastyczną pizzę. Albo

zjeść fantastyczną pizzę. – Żołądek Ivy zaburczał na samą myśl o jedzeniu.

Claire uśmiechnęła się.

– Jesteś bardzo miła. Przepraszam. Myślę, że po prostu jestem w kiepskim nastroju. Nienawidzę, gdy moi rodzice dzwonią. Zawsze pytają mnie, czy złożyłam już podania do college'ów i jakie mam plany na życie. Czuję się jak idiotka. – Spojrzała na Ivy. – To straszne nie mieć żadnych planów.

Ivy postawiła swój neseser na schodach, wspięła się do góry i przysiadła na stopniu przy Claire. Pomyślała o swoim życiu. Tak, może. Nigdy nie żyła bez jakiegoś pomysłu na kolejny krok. Dopóki nie trafiła do Deep Haven, swojego celu.

– To nie tak, że nie mam niczego, co lubię robić. Uwielbiam ogród. I tak, Kocham pracę w pizzerii. Ale... Myślę, tak zawsze sądziłam, że powinnam robić coś ważnego, jak moi rodzice. I chociaż bardzo się staram, nie słyszę, by Bóg powiedział mi, co mam robić. Dokąd pójść. A więc siedzę tutaj, czekając, podczas gdy wokół mnie ludzie biorą śluby, zakładają rodziny i robią kariery, a ja dostaję ofertę pracy jako menedżerka pizzerii.

– Nigdy nie brałam pod uwagę tego, że Bóg może mieć jakieś zdanie na temat mojego miejsca zamieszkania. Albo tego, co robię. Wierzę w Boga. Uczęszczałam na spotkania katechetyczne wystarczająco często, by wiara się we mnie zakorzeniła, a jako dziecko chciałam, by Jezus „zamieszkał w mym sercu”. – Ivy zrobiła cudzysłowy w powietrzu. – Ale gdy dorastałam, szukałam Go, chciałam, by jakiś pokazał się w moim życiu, chociaż trochę. Myślę, że łatwiej jest myśleć, że On się tobą nie interesuje.

Ivy nie spojrzała na Claire, zamiast tego patrzyła na światła na wodzie, na jakieś odległe statki majaczące na horyzoncie.

– To duchowa pozostałość po dorastaniu w rodzinach zastępczych. Nigdy nie masz poczucia, że ludzie zostaną z tobą na dłużej. Albo że ty tak naprawdę do kogoś należysz.

– Możesz należeć do Boga, jeśli chcesz – Claire powiedziała miękko. – Bóg może milczeć, ale nigdy cię nie opuszcza.

Ivy obróciła się do Claire.

– Udało mi się zająć samej tak daleko. Wolę, by tak pozostało.

– Nigdy nie jesteś sama, Ivy.

– Tak mówi kobieta, która dorastała otoczona rodziną – powiedziała to jednak z uśmiechem.

– Może i racja – odparła Claire. – A tak przy okazji, jak ci poszło z Darekiem tamtego wieczoru? Możesz go dostać tylko w zestawie z całą rodziną.

Ivy spojrzała na nią.

– Skąd o tym wiesz?

– Byłam tam. Razem z zespołem. Widziałam, że go kupiłaś.

Oczywiście, że tam była. Zdawało się, że całe miasteczko tam było.

– To było takie okropne. Wszyscy byli tacy... cisi. Dlaczego nikt nie chciał go wylicytować?

– Ponieważ... Cóż, ponieważ w ich głowach on wciąż jest żonaty.

– Nie jest tak naprawdę...

– Nie. Jest wdowcem. Od trzech lat. Ale był żonaty z piękną, silną kobietą. Wszyscy w miasteczku ją kochali. Kiedy umarła, jakiś kawałek każdego mieszkańca umarł razem z nią. Zwłaszcza, że zostawiła Thea.

– Thea?

– Tigera. Przepraszam. – Znowu spojrzała na swoją komórkę. Westchnęła i odłożyła ją obok siebie na ganku. – Ludzie chyba nie mogą wybaczyć Darekowi, że stara się iść naprzód ze swoim życiem.

– A czy ruszył naprzód ze swoim życiem?

Spojrzała na Ivy.

– Nie wiem. Ty mi to powiedz.

– Zaprosił mnie na ognisko jutrzejszej nocy.

– O rany.

– Naprawdę?

Claire roześmiała się.

– Christiansenowie to żywił sam w sobie, to na pewno, ale myślę, że cię polubią.

No i znowu to uczucie, jakby brała udział w przesłuchaniu.

– Ilu ich jest?

– Sześcioro rodzeństwa. Darek, oczywiście. Jest najstarszy. Obrońca rodziny. Dawniej walczył z ogniem ze swoją drużyną hotshotów w Montanie. Teraz pewnie przejmie ośrodek. No i Eden. Jest dziennikarką, a przynajmniej chce nią być, chociaż wydaje mi się, że teraz pisuje nekrologi dla jakiejś gazety w Minneapolis. Jest też Grace, która pracuje ze mną w Pizzerii Pierre'a. Jest wspaniałą kucharką i oszczędza pieniądze, by pójść uczyć się w Le Cordon Bleu. Tym, kto sprawia najwięcej kłopotów, jest Casper. Uczy się w college'u w Duluth. Myślę, że chce zostać archeologiem albo łowcą skarbów, albo awanturnikiem. Myślę, że oni wszyscy tego chcą w jakimś stopniu. Po nim jest Owen, który gra w hokeja...

– W Minnesota Wild. Słyszałam o nim tamtej nocy podczas aukcji.

– Racja. To on miał być gwoździem programu.

– Biedny Darek.

– Tak. Owen jest już legendą w miasteczku. Nigdy nie poszedł do college'u. Zwerbowano go do drużyny od razu, gdy skończył liceum. Ma dopiero dwadzieścia lat, a już gra w wielkiej lidze. Najmłodsza jest Amelia. Ukończyła w tym roku liceum i zaczyna sobie wyrabiać nazwisko jako fotografka. Zrobiła sporo zdjęć do kroniki szkolnej ludziom z ostatniego roku, a parę razy jej zdjęcia trafiły na pierwszą stronę gazety.

– Myślę, że widziałam Amelię i Grace w szpitalu parę tygodni temu. Pokazały się razem z Casperem. Wielkie zamieszanie.

Claire wzdygnęła się.

– Powinnam tam też być...

Ivy zmarszczyła brwi. Dlaczego...

– Żona Dareka była moją najlepszą przyjaciółką. Pęka mi serce, gdy widzę Thea bez niej. Wiem w swoim sercu, że znalazł się w dobrych rękach. Ingrid i John są wspaniałymi dziadkami. To właściciele ośrodka Evergreen nad jeziorem. Chodzą do kościoła. John pracuje jako wolontariusz w służbach ratowniczych. Ingrid pomaga czasem w domu spokojnej starości. Należą do czwartego pokolenia, które mieszka w Deep Haven.

Ivy przełknęła ślinę i spróbowała się uśmiechnąć. Pomyślała, że to za wysokie progi na jej nogi. Rodzina z takimi korzeniami...

Claire znów spojrzała na swój telefon.

– Jak ci się pracuje w biurze prokuratora okręgu?

– Jest mnóstwo roboty. Myślałam, że Deep Haven będzie spokojniejsze.

Claire roześmiała się.

– Och, lato dopiero się zaczyna. Podczas zimy jest tutaj raczej sennie, ale w lecie robi się tłoczno, liczba przebywających tu osób wzrasta o dwieście procent. Wtedy zaczyna się zabawa.

– Super. – Westchnęła. – Jak umarła żona Dareka?

– Okropny wypadek samo...

Komórka Claire zabrzęczała na stopniu obok niej. Podniosła ją i skrzywiła się.

– Dobranoc, Claire – powiedziała Ivy, gdy sąsiadka odebrała telefon.

Claire pomachała Ivy na pożegnanie.

– Cześć, mamó.

Ivy odsunęła się poza zasięg głosu i przeszła do swojego mieszkania. Zapaliła światło i postawiła neseser na stole.

Wsluchiwała się w ciszę, w fale obmywające brzeg, wiatr igrający w gałęziach topoli i zastanowiła się, jak będzie się czuła, gdy całe plemię Christiansenów powita ją w swoim domu.

– Z dziadkiem wszystko w porządku, mamó. Przetrwiał podróż do Deep Haven bez żadnych problemów.

Claire patrzyła, jak Ivy odchodzi w swoim porządnym czarnym garniturze, stukając obcasami o chodnik. Jej kasztanowe włosy były zebrane w schludny kucyk.

Claire nie posiadała garnituru. Ściągnęła swój beret i przeczesała włosy dło-

nią.

– Nie mogę przestać myśleć o tym, co mogło się stać, gdyby go nie znalazł – powiedziała jej matka. – Zawsze uważałam, że miły z niego chłopiec.

Jensen. Mówiła o Jensenie. Jakość połączenia była w najlepszym razie okropna z piętnastosekundowym echem po każdym zdaniu. Claire słyszała swój własny głos powtarzający słowa po drugiej stronie. Dzwonili prawdopodobnie ze swojej szpitalnej linii, spędziwszy pewnie ostatnie pół godziny na próbach połączenia się. Albo może oboje byli pochyleni nad telefonem w jakiejś rozdartej przez wojnę prymitywnej wiosce, albo nawet w budce telefonicznej, gdzie w powietrzu unosił się zapach pyłu i gorąca. Żałowała, że nie zdecydowali się pojechać do kwatery głównej misji w stolicy, w Sarajewie, i zadzwonić przez Skype'a. Mogłaby wtedy widzieć ich twarze, zapewnić ich, że nie zostawiła dziadka samego, że nie była przyczyną jego wypadku.

Czy mieli chociaż blade pojęcie, jak trudno było zapanować nad weteranem wojny w Wietnamie, który miał zawsze własne zdanie?

Albo jak ciężko było przekonać jej rodziców, że tak, ma wszystko pod kontrolą? E-mail, w którym napisała im o stanie zdrowia dziadka powinien wystarczyć.

Komar zabrzęczał jej nad głową i wylądował na jej nagiej skórze. Pacnęła go dłonią, a potem pstryknęła paznokciem, posyłając go w noc. Zignorowała komentarz matki i ciągnęła dalej:

– Lekarze wspominają o okresie od trzech do sześciu miesięcy rehabilitacji, ale wiecie, jaki jest dziadek. Już mówi o powrocie do domu. Wezmę sobie trochę wolnego...

Cóż, przymusowego wolnego. Ponieważ jak mogłaby połączyć obowiązki menedżera restauracji z opieką nad dziadkiem? Wciąż się nad tym zastanawiała, ale czuła, że to dobra decyzja. Prawda?

– Nie przejmuj się tym, kochanie. Będzie mu dobrze w centrum opieki w Deep Haven. Zna tak wielu...

– Mamo, panuję nad wszystkim. Dziadek wróci ze mną do domu i będę się nim opiekować, dopóki nie stanie na nogi...

– Poza tym niedługo i tak będziemy w domu.

Te słowa sprawiły, że umilkła. Słyszała po drugiej stronie echo swojej wypowiedzi, po czym zapadła cisza.

Claire udało się jakoś wydobyć z siebie dźwięk.

– Dlaczego? Dziadkowi nic nie jest.

Niski, godny zaufania głos jej ojca rozległ się w słuchawce.

– Kochanie, spakujemy wszystkie rzeczy w domu, zrobimy wyprzedaż garażową i przygotujemy to miejsce na sprzedaż. Dostaliśmy jakiś rok temu ofertę od Christiansenów i nadszedł czas, aby przenieść dziadka w jakieś bardziej bezpieczne miejsce. No i poza tym pewnie sama nie możesz doczekać się wyjazdu, co? – Jego

słowom towarzyszył śmiech.

Nie musiała się dla nich uśmiechać, ponieważ i tak nie mogli jej zobaczyć. Właściwie wątpiła, czy kiedykolwiek byli w stanie ją naprawdę zobaczyć. Zobaczyć, jak bardzo kochała Deep Haven.

Pacnęła kolejnego komara. Noc nagle zmieniła się w strefę wojny.

– Mogę się założyć, że przez tyle lat pracy u Pierre’a udało ci się odłożyć niezłą sumkę – powiedziała matka. – Jeszcze pewnie nie jest za późno, by zacząć rozsyłać podania do college’ów. Wiesz, czytałam niedawno artykuł o kobiecie, która po raz pierwszy zdobyła dyplom z medycyny w wieku pięćdziesięciu pięciu lat. Nie jesteś więc wcale dziwadłem, kochanie. Mnóstwo ludzi zwleka z kontynuowaniem swojej edukacji.

Powtarzaj to sobie dalej, mamo, a w końcu w to uwierzysz.

– Ja... ja nie... Sprawdzę to, mamo.

Och, co było z nią nie tak, że w wieku dwudziestu pięciu lat nie potrafiła po prostu powiedzieć im prawdy?

Głos jej ojca znów rozbrzmiał na linii, tym razem łagodniej.

– Wiesz, Claire, cukiereczku, jeśli chciałabyś wrócić z nami do Bośni, zawsze będziesz mile widziana.

– Nie, tato.

– Twojej mamie przydałaby się pomoc w klinice. Może chociaż na rok.

Czekała, aż znów przebrzmi jej głos po drugiej stronie, po czym umilkł głos ojca.

– Wiem, że kochacie swoją pracę, ale...

– Kochanie, wciąż dręczą cię koszmary?

Och, jak bardzo żałowała, że pozwoliła babci im o nich opowiedzieć. Tamtego roku budziła się z krzykiem, starając się wyrzucić z pamięci wydarzenia z ostatniego lata na misji.

– Nie, wszystko dobrze – Małe kłamstwo, ale to dla ich dobra. – Po prostu... Może nie powinnam być misjonarką. – O proszę, powiedziała to. Po dwudziestu pięciu latach powinni znać prawdę.

– Claire. Wszyscy zostaliśmy powołani, by głosić Ewangelię. Pan rzekł „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody”.

Nie chciała się o to kłócić przez telefon. Zwłaszcza, że duża jej część się z nimi zgadzała. Gdy ktoś staje się chrześcijaninem, wszechogarniająca łaska powinna sprawić, że będzie sięgać ku innym.

Nie siedzieć w domu.

Nie chować się w Deep Haven.

– Porozmawiamy o tym, gdy przyjedziemy. Do tego czasu, przemyśl sobie, gdzie chciałabyś iść do college’u. Może mogłabyś pojechać tam z mamą, zwiedziłybyście to miejsce.

Wciąż starali się ją traktować, jakby miała siedemnaście lat i chodziła do ostatniej klasy liceum, a całe życie wciąż było przed nią.

A nie jak ogromne rozczarowanie, którym była.

– Kiedy przyjeżdżacie?

– Prześlemy ci szczegóły naszego przylotu mailem. Ale wypożyczymy samochód. Nie chcemy sprawiać żadnych kłopotów.

Kłopoty były dokładnie tym, co sprawiali.

– Będę was informować na bieżąco o stanie dziadka.

– Nie trzeba, kochanie. Rozmawiałam już z doktorem Samsonem wcześniej.

A więc czemu...?

– Kocham cię, Claire, cukiereczku. Idź z Bogiem.

– Ty też, mamó. – Rozłączyła się. Zabiła kolejnego komara. Pozwoliła, by owiał ją nocny wiatr, aż dostała gęsiej skórki.

Idź z Bogiem.

Dokąd?

Pewnie był nią tak samo rozczarowany jak jej rodzice. Wstała i przeszła na tyły domu do drzwi, po czym weszła do środka i wspięła się po schodach do swojego mieszkania. Dwa pokoje, dwie małe łazienki, kuchnia na parterze. Wynajęła mieszkanie, gdy gospodyni, Liza, wyprowadziła się. Pustą sypialnię przerobiła na coś w rodzaju pokoju muzycznego. Ustawiła tam keyboard oraz na specjalnym stojaku umieściła gitarę.

Weszła do środka, usiadła przy klawiszach, zagrała kilka nut z kartki, którą niedawno dała jej Emma. The Blue Monkeys mają wystąpić nazajutrz wieczorem dla tłumów, które przyjdą oglądać fajerwerki.

Kochanie, wciąż dręczą cię koszmary?

Słowa ojca zagnieździły się w jej głowie. Wyciszyła ich dźwięk, aż mogła słyszeć tylko bicie swojego serca.

Wciąż miała przed oczami tych trzech mężczyzn, którzy włamali się do biura jej ojca w klinice. Uniosła dłoń do czoła i pomacała guza, wciąż lekko wyczuwalnego. To „pamiątka” po tym, jak uderzyli metalowym prętem w jej czaszkę.

Leżała tam wtedy w kałuży własnej krwi, widząc, jak tamci okradają klinikę. Nie mogła krzyknąć po pomoc, a na ustach miała tylko jedno słowo.

Jezus.

Powtarzała je sobie raz po raz, aż w końcu straciła przytomność. Znalazł ją dopiero ojciec, gdy wrócił prosto z sali operacyjnej.

Musiał usztywnić jej szczękę drutem. Na szczęście Claire obudziła się następnego dnia bez urazu mózgu. Mogła być za to wdzięczna.

Tak, wciąż prześladowały ją koszmary. Czasem także na jawie, gdy ktoś przeszedł obok niej zbyt gwałtownie. Zmagala się z migrenami – pewnie urojonymi – a przez długi czas, może nawet rok po ataku, każdego ranka bolała ją szczę-

ka. Jakby zgrzytała zębami w nocy.

Babcia kupiła jej specjalny aparat na zęby, spała w jej pokoju na osobnym łóżku i tuliła ją w ramionach, gdy Claire budziła się z krzykiem.

Jej rodzice pewnie nigdy się o tym nie dowiedzieli.

Zwłaszcza że mieli tak wiele innych zmartwień, jak dzieci bez rodziców, dzieci bez oczu albo bez kończyn. Dzieci, które były świadkami o wiele gorszych rzeczy.

Claire przynajmniej miała swoich dziadków.

Wstała i usiadła na parapecie. Spojrzała w gwiazdy. Tak bardzo pragnęła dotknąć jednej z nich, przytulić ją do piersi.

Ale Bóg najwidoczniej przestał wysłuchiwać jej życzeń, nie mówiąc już o jej modlitwach.

Zamknęła oczy, przywołując słowa, które powiedziała Ivy. *Bóg może milczy, ale nigdy cię nie opuszcza.*

Gdyby tylko w to wierzyła.

sześć

Gdyby Darek był mądrym człowiekiem, zadzwoniłby do Ivy i powiedział jej, że popełnił ogromny błąd.

Kloc rozpadł się na pół w miejscu uderzenia siekiery. Szczapy spadły z pieńka na trociny i stertę drewna leżącego obok.

Zawadiacki uśmiech na buzi Tigera oblepionej resztkami lizaka oczarował go i sprawił, że stracił głowę.

Położył kolejny kloc na pieńku, odsunął się o krok i zamachnął się.

Co on sobie w ogóle wyobrażał? Że Ivy wkroczy do jego świata z szerokim, radosnym uśmiechem i nagle staną się rodziną, Tiger będzie miał matkę i wszystko będzie cacy?

Kloc rozpadł się, szczapy zleciały z pniaka, lądując na stercie.

Darek powinien położyć temu kres, nim ktoś – Tiger – zostanie zraniony.

Podniósł kolejny kloc drewna i ustawił go na pieńku.

– Rany, Dare, gdy ostatnio sprawdzałem, mieliśmy rozpalać małe ognisko, a nie palić Rzym. – Casper zaszedł go od tyłu. Miał na sobie koszulkę ośrodka Evergreen z oberwanymi rękawami. W rękach trzymał dwie puszkę coli. Podał jedną Darekowi. – Z pozdrowieniami od mamy.

Darek odłożył siekiere i ściągnął rękawice robocze. Drzazgi przykleiły się do jego spoconej skóry. Musiał koniecznie wziąć prysznic, nim przyjedzie Ivy. Zadzwonił do niej wczoraj do sądu i zostawił sekretarce wiadomość z wytycznymi, jak dojechać do ośrodka.

Czyżby właśnie miał nadzieję, że jej nie otrzymała?

Darek odebrał colę od brata, odchylił czapkę bejsbolówkę do tyłu i przycisnął zimną puszkę do czoła. Przymknął oczy.

Gdy je otworzył, zobaczył, jak Casper wrzuca szczapy na taczkę. Ups, narąbał więcej, niż mu się wydawało.

Ale kiedy już zaczął...

Casper oparł się o taczkę.

– Co cię gryzie?

Darek pokręcił głową. Odstawił puszkę na ziemię, wsunął dłonie w rękawice i podniósł kolejny pieńek.

– Serio, stary, mamy już wystarczająco drewna na zimę. Ostatni raz, gdy rąbałeś tak jak wściekły to... hm... ożeniłeś się z Felicity jakieś sześć tygodni później. – Casper uniósł brew.

Darek skrzywił się.

– Popiełniłem przy niej tyle błędów. Zaczynając od tego, że zaszła ze mną w ciążę.

Casper pociągnął łyk coli.

– To było nie fair w stosunku do niej. Nie chciałem brać z nią ślubu, a ona o tym wiedziała. Ale co mogliśmy zrobić?

– Nie przypominam sobie, by mama i tato zmuszali cię do tego ślubu.

– Wydawało mi się to słuszne.

– Kochałeś ją?

Darek zatopił siekiere w pieńku.

– Nie wiem. Może. Bawiliśmy się razem dobrze. Ale tamtego lata... cóż, słyszałem, że kręciła się wokół Jensena i...

– Zacząłeś się za nią uganiać, bo nie chciałeś, żeby to on ją zdobył.

Darek wziął puszkę, dopił napój do końca i wyrzucił ją do pobliskiego kubła na śmieci.

– Z drogi, bo chcę zawieźć drewno do ogniska.

Casper odsunął się, a Darek oparł się na taczce. Czuł na sobie wzrok brata, gdy zaczął pchać.

– Okej, tak. Pewnie chciałem wygrać. Miał ten swój wielki dom, łódkę, wspaniałego mustanga.

– A więc uznałeś, że to ty powinieneś dostać dziewczynę.

– Coś w tym stylu.

– Ale nie byłeś przygotowany na to, co to właściwie oznacza. – Casper skończył swoją colę i rzucił puszkę do kosza przy drodze. – Odsuń się. Ja się tym zajmę.

Darek odstąpił taczkę bratu.

Świerszcze cykały w lesie, gdy szli wzdłuż ścieżki, czując skwar uwięziony pomiędzy drzewami. Grube, suche igły chrzęściły pod stopami Dareka. W razie pożaru, stanowiłyby idealną pożywkę dla ognia.

Dni, takie jak ten, sprawiały, że włoski na karku stawały mu dęba. Całe hrabstwo Deep Haven mogło stanąć w płomieniach przez jednego nieostrożnego turystę albo z powodu pioruna, który uderzyłby celnie.

– Ciągnie cię do akcji, strażaku.

Spojrzał na Caspera.

– Widzę to po tym, jak podnosisz igły i łamiesz je, sprawdzając wilgotność. I po tym, jak patrzysz w niebo. Brakuje ci tej przygody, polowania na ogień, bitwy.

Przynajmniej to łączyło go z Casperem. Miłość do przygód. Różnica czterech lat pomiędzy nim a środkowym bratem oddalała ich od siebie. Casper i Owen byli lepszą parą, zwłaszcza pod względem zamiłowania do hokeja. Darek nie miał do tej dyscypliny serca, ale grał w niego, bo nie lubił koszykówki. Kochał za to lód i szron zbierający się na jego twarzy w mroźny zimowy dzień.

Po prostu kochał być na dworze i mieć świat na wyciągnięcie dłoni.

– Tak, chyba tak. Nigdy nie zapomnę tego dnia, gdy wszedłem do mojego

mieszkania jakieś dwa tygodnie po tym, jak wzięliśmy ślub. Czekala na mnie wiadomość od mojego kumpla Jeda z oddziału hotshotów hrabstwa Jude. Potrzebowali mnie do gaszenia ognia. Felicity patrzyła na mnie, jakbym oświadczył, że idę na wojnę. Potem się rozplakała. Spakowałem się i odszedłem. Nie widziałem się z nią przez następne trzy miesiące.

– Pożar w Colorado, prawda?

– W Montanie. Pożar w Colorado był w czerwcu kolejnego roku. Tiger miał wtedy jakieś trzy miesiące. Nie było mnie w domu aż do września.

Doszli do plaży, gdzie ich ojciec dawno temu zbudował miejsce na ognisko otoczone ławkami ustawionymi wokół. Stąd był widok na jezioro. Popołudniowe słońce zmieniło wodę w żywy szafir, a kilka łodzi rozpryskiwało diamenty w stronę nieba. Czuł zapach grilla i słyszał śmiechy dochodzące z drugiego brzegu.

Prawie instynktownie skierował wzrok w stronę domu Jensena. Nikt nie rozpałał tam grilla. Dom wyglądał na niezamieszany.

Casper postawił taczkę i Darek zaczął układać drewno w miejscu na ognisko, tworząc jakby mały wigwam.

– Nie chciałem wracać do domu. Nie tęskniłem za nią. Nie tęskniłem nawet za Tigerem. Tylko mi przeszkadzał. Miałem swoje własne plany. Chciałem zostać ogniomistrzem. I nie obchodziło mnie, że Felicity tego nienawidziła. Byłem wtedy niezłym skurczybykiem.

– Pamiętam – odparł Casper, układając resztę drewna w porządną stosik z boku ogniska.

– Tak. Niestety. Nie jestem z tego dumny. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że ostatnie słowa, jakie do mnie skierowała, brzmiały: „Jesteś taki samolubny”. I... byłem. – Spojrzał na Caspera. – Byłem. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę rozważałem oddanie Hollowayom pełnych praw do opieki nad Tigerem. Prawie go opuściłem. A teraz jest całym moim życiem.

– A więc nie jesteś już samolubnym skurczybykiem. To dobrze.

Darek przypomniał sobie spotkanie z Nan Holloway. Może wciąż nim był. Upchał korę brzozy i trociny do środka tego jakby wigwamu z drewna. Ognisko poczeka tu na nich do wieczora, aż będą gotowi, by je rozpaścić. Później udadzą się do miasta, gdzie będą podziwiać fajerwerki nad portem.

Casper skończył opróżniać taczkę.

– A więc skąd ta góra drewna?

– Ponieważ nie zasługuję na drugą szansę z kobietą.

– Z jaką kobietą?

Darek wyprostował się, otrzepując dłonie.

– Z kobietą, która wylicytowała mnie tamtej nocy. – Skrzywił się. – Źle to zabrzmiało. – Chodzi mi o tę aukcję charytatywną w pubie. Dziewczyna ma na imię Ivy. Jest nową asystentką prokuratora hrabstwa.

– Wie o Felicity... i Jensenie?

Zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Nie, nie wydaje mi się. Skąd miałyby wiedzieć? Powiedziałem jej, że moja żona nie żyje, ale szczerze mówiąc, nie mam ochoty wracać do tego tematu. Chcę ruszyć naprzód. Ułożyć sobie życie na nowo. – A przynajmniej to rozważał. – Widziałem się z nią w sklepie spożywczym i była... była miła. I dogadywała się świetnie z Tigerem. Myślę, że coś mnie wtedy opętało, bo zaprosiłem ją tutaj na dzisiejszy wieczór.

Casper uniósł brew.

– Żeby poznała się z rodziną?

– Nie wiem... tak sobie pomyślałem...

– Sądzę, że albo prowadzisz jakiś mały sabotaż względem samego siebie, albo naprawdę ją lubisz.

– Nie znam jej na tyle dobrze, by ją lubić.

– Poznasz ją podczas dzisiejszego wieczoru. – Klepnął Dareka po ramieniu.

– Możesz się zdziwić. To może być dobra rzecz. Świeży start. Nie jesteś tym samym gościem, jakim byłeś pięć lat temu. Postaw na nią, Dare. – Casper uśmiechnął się. – Ładna jest?

Darek pozwolił swoim wspomnieniom błądzić wokół kobiety, którą widział w pubie, a potem w warzywniaku. Nie mógł się zdecydować, która wersja bardziej przypadła mu do gustu.

– Tak. Ma piękne rude włosy, zielone oczy, uśmiech, który zapiera dech w piersi...

Casper kręcił głową.

– Co?

– Masz rację. Nie zasługujesz na nią. Myślę, że powinieneś mnie jej przedstawić.

Darek wyszczerzył się i chciał go złapać, ale Casper zrobił taneczny unik.

– Wiesz, mogę się założyć, że wystarczy jej jedno spojrzenie na mnie i całym o tobie zapomni, Dare.

– Chciałbyś.

Casper zaczął uciekać.

– Tak, lepiej zmiataj stąd, smarkaczu! – Darek krzyknął za nim, uśmiechając się.

Postaw na nią.

Okej. Może nadszedł już czas, by zostawić przeszłość za sobą i zacząć od nowa.

Wpadł do domu rodzinnego i zobaczył matkę, jak w wielkiej wydrążonej półowce arbuza miesza sałatkę owocową. Tiger siedział przy stole i zajmował się kolorowaniem flagi, którą wydrukowała dla niego z Internetu.

- Idę wziąć prysznic. Możesz przypilnować go jeszcze chwilę?
- Tiger i ja radzimy sobie świetnie. A Grace powinna wrócić niedługo i pomóc mi przy sałatce ziemniaczanej, więc nie musisz się spieszyć.

Cmoknął ją w policzek, po czym udał się do swojego domu. Usłyszał nad głową grzmot. Może jednak nie będą mieli dzisiaj ogniska. Ale żadna strata – zbiorą się na werandzie przy stołach piknikowych obok grilla. Może ich goście wpadną na te piwa korzenne z lodami, które obiecała im jego matka. Casper pewnie uraczy ich jakąś nową historyjką o swoich przygodach jako nurek, a Grace opowie anegdotkę o turystach w Pizzerii Pierre’a. Darek owinie Tigera w koc i mały rozrabiaka zaśnie później na jego kolanach albo u Amelii i... i później on razem z Ivy będą podziwiać fajerwerki.

Może chaos, jaki potrafiła wywołać jego rodzina, to trochę za dużo jak na pierwszą randkę.

Ale tak się złożyło, że można go było dostać tylko w zestawie, więc Ivy powinna być tego świadoma od samego początku.

Wziął prysznic, ogolił się i ubrał czysty T-shirt, krótkie bojówki i sandały. Zastanowił się jeszcze i po chwili wahania użył dla efektu odrobiny płynu po goleniu. Dostał go od matki na Boże Narodzenie.

Gdy wracał do głównej chaty, spostrzegł zaparkowany na wysypanym żwirze parking nieznanemu mu samochód. Czerwony nissan pathfinder.

Darek zwolnił kroku, oddalił od siebie dziwne sensacje w klatce piersiowej i wszedł do budynku przez werandę.

Stała tam, pochylona nad stołem, z kredką w dłoni, i pomagała Tigerowi pokolorować czerwone paski na fladze. Miała na sobie cytrynową letnią sukienkę, sandały ozdobione koralikami, a włosy zebrała w niedbały kucyk. Uszy ozdobiła kolczykami z motywem amerykańskiej flagi.

Ivy spojrzała na niego i uśmiechnęła się. W jej pięknych oczach czaiła się słodycz.

W tym momencie wszystko w nim zamarło. Jego oddech, uderzenia jego serca. Jego słowa.

To właśnie to. Wszystko, czego pragnął, pojawiło się tuż przed nim. Świeży start z kobietą, która go nie znała, która nie znała jego przeszłości.

Jego ostatnia i najlepsza szansa.

Darek nie zdawał sobie sprawy, jaki miał tutaj raj.

Christiansenowie byli właścicielami najpiękniejszych dwustu akrów ziemi w północnej Minnesocie. Ośrodek leżał nad brzegiem wspaniałego jeziora, a wysypana trocinami i ogrodzona kamieniami ścieżka wiła się przez całą posesję, łącząc ze sobą dwanaście chat z bali. W każdej drzwi świeżo pomalowane na czerwono albo

na zielono, bukietki niecierpków w oknach i kufry na rzeczy gości. Ze wszystkich roztaczał się niesamowity widok na jezioro, a drewniane krzesła na werandach zachęcały, by przysiąść, poczytać sobie książkę, posłuchać nurów w nocy.

Przy głównej chacie znajdowało się ogromne kamienne patio z murowanym grillem i stołami piknikowymi ukrytymi pod daszkiem. Dalej ścieżka prowadziła do miejsca na ognisko. Gdy iskry ulatywały w noc, ciągnęły się tu długie rozmowy.

– Pięknie tu – powiedziała Ivy do Dareka. Oprowadzał ją po posesji, pokazując miejsca, gdzie bawił się jako dziecko, między innymi drzewa, na które się wspinał, linę, na której się bujał. Wyobraziła go sobie jako nastolatka, który huśta się nad wodą.

Jakie to mogło być uczucie, dorastać w jednym miejscu, widzieć historię swojego życia za każdym razem, gdy wychodziło się na zewnątrz?

Tiger będzie to miał. Biegł przed nimi, goniąc na ścieżce biszkoptową labradorzycę.

– Jak się wabi?

– Butter. Właściwie, Butterscotch. Mój ojciec podarował ją mojej mamie, gdy straciła dziecko.

– Och, przykro mi.

– Tak, to było po Amelii. Niespodziewana ciąża. Oczywiście pies nie może zastąpić dziecka, ale Butter robiła, co mogła. Chodziła wszędzie za moją mamą. Ma już jakieś czternaście lat i boimy się, że nie zostało już jej wiele życia.

Pies podbiegł do nich, trzymając w zębach oślizgłą piłkę. Darek wyrwał ją, ale rzucił ją tylko trochę dalej na ścieżkę. Pies podreptał za nią.

– Dorastałeś w niesamowitym miejscu.

– To główna część naszego interesu. Goście, którzy spędzili tutaj czas jako dzieci i chcą teraz podzielić się tym doświadczeniem ze swoimi własnymi dziećmi. Szkoda tylko, że te dzieciaki nie są zainteresowane dziedzictwem ich rodziców.

Uniosła wzrok, zaniepokojona jego słowami.

– Dlaczego nie?

– Chcą wszystkich udogodnień, ekscytacji, jakie daje życie „podłączone do sieci”. Nie zdają sobie sprawy z tego, co tracą.

– Czyli co?

Uśmiechnął się do niej.

– Ośrodek Evergreen, oczywiście.

Zaśmiała się, a gdy Butterscotch wróciła do nich, Ivy pochyliła się i podrapała psa za uchem.

– Och, lubi cię.

– Nie. Wszystkie psy tak mają. Musisz tylko wiedzieć, gdzie je podrapać.

– Psy, dzieci. Masz ukryte talenty.

– Gdy żyjesz na walizkach, uczysz się, jak się przystosować – powiedziała,

pozwalając psu odejść.

Zmarszczył brwi, gdy weszli na patio.

Jego ojciec, John, zajmował się grillem. Przygotowywał hamburgery i kiełbaski. Zdecydowanie pełnił rolę głowy rodziny. Był wysokim mężczyzną z szerokimi barkami. Teraz podwinął do łokci rękawy brązowej koszuli w kratę, a na огоloną głowę włożył czapkę z daszkiem. John uśmiechał się w taki sposób, że każda mała dziewczynka chętnie nazywałaby go tatusiem.

Ingrid, matka Dareka, kierowała ruchem. Miała na sobie zieloną bluzkę bez rękawów i czarne dżinsowe rybaczki, a jej blond włosy podtrzymywała opaska, co nadawało jej wygląd gospodyni z lat pięćdziesiątych.

Ivy swoją matkę zapamiętała jako osobę od zawsze starą i wyniszczoną. Jej ostatnie wspomnienie dotyczące tej kobiety związane było z biurem opieki społecznej. Na twarzy jej matki rysowała się ulga, gdy się z nią żegnała.

Grace, blondynka z Pizzerii Pierre'a ubrana w biały kucharski fartuch, mieszała sałatkę ziemniaczaną. Amelia, najmłodsza siostra Dareka, robiła wszystkim zdjęcia, uwieczniając akurat Tigera, który zeskakiwał z werandy wprost w ramiona Dareka.

– Ostrożnie, kolego. Mógłbym cię nie zauważyć. Co jeśli bym cię nie złapał?
– zapytał, sadzając go sobie na barana.

– Tatusiu, zawsze mnie złapiesz! – Tiger uniósł swoje ramiona wysoko, górując nad nimi wszystkimi.

Casper, który przyjechał tu swoim motocyklem, nie wyglądał wcale na bardziej grzecznego niż wtedy w szpitalu. Podszedł do małego chłopca i przybił z nim piątkę. Tiger zaśmiał się.

Powietrze pachniało hamburgerami, bogate i ciężkie, i pomijając okazjonalny grzmot przetaczający się przez niebo, nic nie mogło popsuć tego idealnego Święta Niepodległości.

Jeśli oczywiście sama Ivy czegoś nie sknoci. *Nie bądź za bardzo entuzjastyczna.* Powtarzała te słowa jak mantrę w swojej głowie, gdy uśmiechała się, wybuchała śmiechem, słuchała. Chciała napawać się tym, spróbować zrozumieć ich oczekiwania, nim uchyliłaby przed nimi drzwi do swojego życia.

Czternaście różnych rodzin zastępczych zrobiło swoje... Tak, tak mocno pragnęła, aby ją polubili, że aż czuła to na języku.

A już myślała, że z tego wyrosła.

– Muszę podejść na chwilę do ogniska. Zaraz wracam – powiedział Darek, stawiając Tigera na ziemi.

Zostawił ją w momencie, gdy Ingrid przeszła przez rozsuwane szklane drzwi, niosąc wielką plastikową michę sałatki ziemniaczanej Grace.

– Ivy, mogłabyś przynieść ze stołu dzbanek z ponczem?

– Żaden problem – odparła Ivy i wślizgnęła się do środka, by spełnić prośbę.

Przyniosła dzbanek i postawiła go pośród różnych pyszności na stole, po czym wróciła po kubki.

– Uśmiech! – Amelia cyknęła jej zdjęcie, gdy Ivy się obróciła.

– Och. Nie byłam gotowa.

– Najbardziej lubię te niepozowane zdjęcia. – Zwróciła aparat w jej stronę. –

Widzisz, jaka jesteś urocza?

Ivy na zdjęciu miała jakiś dziwny, obcy uśmiech. Ścisnęło ją w gardle.

Postawiła szklanki na stole i patrzyła, jak Darek wraca ścieżką od ogniska.

– Przygotowałem baniaki z wodą, na wypadek gdyby coś się stało i gdyby wiatr sprawił, że ogień wymknie się spod kontroli – powiedział do ojca, który w odpowiedzi skinął głową

Ivy nie mogła się jednak powstrzymać od zadania pytania, które chodziło jej po głowie:

– Dlaczego? Znosi się na deszcz.

Spojrzał w niebo.

– Nie jestem pewny. Grzmi od godziny, ale powietrze nie pachnie deszczem. Jest po prostu ostre. Jak krzemień.

– Darek ma pajęczy zmysł, jeśli chodzi o czytanie pogody pod kątem zagrożenia pożarowego – powiedział Casper, tocząc wojnę na kciuki z Tigerem. Pozwolił, by Tiger przycisnął jego kciuk. – Och, dopadłeś mnie!

Tiger zaczął chichotać.

– Dare był kiedyś w drużynie hotshotów hrabstwa Jude – wtrąciła Amelia, uwieczniając kamerą potyczkę.

– Co to za drużyna?

– W całych Stanach znajduje się szereg wyspecjalizowanych drużyn strażaków, których praca polega na tym, że mają lecieć w dane miejsce i pomagać miejscowej ludności w zwalczaniu pożarów lasów – wyjaśnił Darek, otwierając paczkę chipsów i wkładając jednego do ust. Resztę wysypał do miski.

– Darek przechodził szkolenie na ogniomistrza – powiedział John. – Niech ktoś mi poda półmisek.

– Byłam przerażona do szpiku kości, gdy widziałam go w wiadomościach albo gdy oglądałam jego zdjęcia. W jasnopomarańczowym kasku strażackim, cały pokryty sadzą, wyglądał, jakby właśnie przeszedł przez piekło. – Ingrid trzymała talerz, podczas gdy John zrzucał na niego soczyste burgery. – Czułam się lepiej, gdy Jens... – Ugryzła się w język i uśmiechnęła się. – Nieważne. Pomodlimy się przed posiłkiem?

Darek spojrzał w jej kierunku. Pochylił głowę.

Ivy przymknęła oczy, gdy słuchała, jak John błogosławi przygotowane jedzenie. Mieszkała z wieloma rodzinami, które kultywowały tę tradycję, ale słuchanie głosu Johna, gdy prosi Boga o błogosławieństwo dzisiejszego dnia oraz uszyko-

wanego posiłku wydawało się... cóż, wcale nie jak tradycja. Raczej jakby naprawdę w to wierzył.

Powiedzieli „amen” niczym drużyna futbolowa, wszyscy jednym głosem. Darek podał jej talerz.

Położył swoją silną dłoń na jej plecach i skierował ją w stronę stołu z jedzeniem. Pochylił się do niej bliżej i wyszeptał jej do ucha:

– Jemy tu dużo i szybko. Będę odwracał od ciebie uwagę.

Spojrzała na niego przez ramię, a on puścił do niej oko.

Mogła go sobie tak wyobrazić: oczy jak szop pracz, brudny, silny, heroiczny. Tak, walka z ogniem byłaby jego żywiołem.

– Jak długo byłeś w tej drużynie? – zapytała Dareka, gdy Ingrid zamknęła jej kotleta w świeżej bułce domowej roboty. Na sam jego widok mogła się rozpłakać. Na śniadanie zjadła tosta i jogurt, siedząc przy biurku w sądzie i pracując intensywnie przez kilka godzin, nim pozwoliła sobie na ucieczkę.

Jacob miał rację – wykroczenia drogowe i skargi dotyczące zakłócania porządku publicznego podwoiły się tylko w tym tygodniu.

– Trzy lata, ale zacząłem walczyć w pożarach jeszcze tutaj, w Deep Haven. Mieliliśmy tu okropny pożar jakieś osiem lat temu, przy jeziorze, na granicy z Kanadą, na wschodnim krańcu miasteczka. Dym pokrył całe hrabstwo.

Grace ukradła chipsa.

– Kilka ładnych domków i ośrodków w Moose Valley spłonęło, nim zdołali go opanować.

– To okropne. – I wtedy stało się to, czego się właśnie obawiała. Wyrwało jej się to głupie pytanie: – Dlaczego przestałeś walczyć z pożarami?

Na patio zapadła martwa cisza. Amelia skupiła się na dodawaniu musztardy do swojego burgera. Grace nakładała sobie sałatkę ziemniaczaną.

– Ożenił się – odparł Casper, wstając od stołu i kierując się po talerz. – No i potem pojawił się Tiger.

Do swojej bułki dodała sałatę i pomidora, wyrzucając sobie, że przypomniła im o tak wielkim bólu.

– Rozumiem.

– Ale jeśli ktoś jest piromanem, to piromanem pozostaje – zażartował Casper, klepiąc brata po plecach. – Nauczył się walczyć z ogniem tylko dlatego, że całe lata spędził na wywoływaniu go.

– To nieprawda – odparł Darek. Wziął dwa talerze, jeden pewnie dla Tigera.

Ivy nałożyła sobie na talerz jeszcze sałatkę ziemniaczaną i owocową, po czym poszła po przyprawę.

– Czyżby. A więc kto spalił garaż, co? – Słowa wyszły od Grace i Ivy miała ochotę podziękować jej i Casperowi za uratowanie jej skóry.

– Nie spaliłem garażu...

– To nie była jego wina. Nie do końca. – przyznała Ingrid, sadzając Tigera na ławce. – To ja kazałam mu zrobić ładne posłanie dla psa.

Że co? Musiała zmarszczyć czoło, bo Casper roześmiał się i powiedział:

– Tylko mącimy jej w głowie. – Podszedł do Ivy i objął ją ramieniem. – Wiesz, mieliśmy taki budynek gospodarczy. Mój dziadek zbudował go całe lata temu. Właściwie to był warsztat. Dziadek nazywał go swoją budą. Zainstalował tam nawet grzejnik i elektryczność, żeby mógł słuchać w spokoju meczów drużyny Husky.

– Moja mama była fanką bejsbola – powiedział John. Zgasił grill.

– Tak czy siak, to było zanim pojawiła się Butter. Mieliśmy wtedy takiego starego psa o imieniu Chester, który uwielbiał tam spać. Wstawiliśmy mu tam nawet specjalne drzwiczki, by mógł sam tam wchodzić. Pewnego dnia mama sprzątała piwnicę i znalazła taką starą poduszkę z pianki pochodzącą z jednej z kanap, zniszczonej już dawno temu. Pomyślała, że będzie z niej doskonale łóżko dla Chestera.

– Chciałam po prostu, by zaniósł ją do budynku...

– Powiedziała temu oto Darekowi, żeby przygotował przytulne posłanie dla psa. A on to właśnie zrobił. Położył tę poduszkę przy samym grzejniku.

Ivy spojrzała na Dareka. Wzruszył ramionami, ale na twarzy igrał mu uśmiech. Usiadła przy stole piknikowym obok Caspera, naprzeciwko Ingrid.

– Jakies trzy godziny później wyjrzałam przez okno w kuchni i zobaczyłam jakąś dziwną poświatę nad lasem – kontynuowała Ingrid. – Jakoś w tym samym czasie Darek, który już dawno zapomniał o posłaniu dla psa, przyszedł do kuchni i zaczął pytać o kolację. Zobaczył poświatę, otworzył drzwi, postął tam przez chwilę i w końcu powiedział...

W tym momencie wszyscy jakby się zmówili i odezwali się chórem – jednym, pełnym zachwyty głosem:

– *Wow*.

– Wow? Właśnie *to*?

– Właśnie *to*. – Przytaknęła Ingrid. – Wtedy zamknął drzwi.

Ivy spojrzała na Dareka.

– Co sobie wtedy pomyślałeś?

Darek postawił talerz Tigera przed chłopcem.

– Pomyślałem sobie: *wow*.

Zaśmiała się i wzięła hamburgera w ręce. Trochę soku kapnęło na talerz, gdy wgrzyzła się w niego. Ledwo powstrzymała się od przewracania oczami.

– Pyszne – powiedziała do Johna.

– Dziękuję.

– Co wtedy zrobiłaś? – Ivy spytała Ingrid, biorąc kolejnego gryza.

– Cóż, zapytałam go: „co jest takie *wow*?”, po czym sama otworzyłam

drzwi. Garaż stał w ogniu, aż po piętro. Płomienie pochłaniały cały budynek.

– O rany. – Ivy niemal się zakrztusiła. Otarła twarz serwetką. Mogłaby zjeść jeszcze osiemdziesiąt takich hamburgerów.

– Dokładnie cały. Krzyknęłam na Johna i chwyciłam za telefon. Zanim przyjechał tu wóz strażacki, zdecydowaliśmy się zlewać wodą z węży pobliski las. Wiedzieliśmy, że już jest po budynku.

– Pożar nie zaatakował niczego więcej? – Zaczęła zajadać sałatkę ziemniaczaną.

– Nie. Mieliśmy szczęście. Ale następnym razem wydawałam bardziej szczegółowe polecenia.

– Byłem bardzo posłusznym dzieckiem – powiedział Darek.

Ingrid przewróciła oczami, a John zakaszał, uderzając się w pierś.

– No co? To Casper sprawiał najwięcej problemów. Czy to nie on ukradł samochód, jak miał siedem lat? Albo utopił swój skuter śnieżny w Jeziorze Górnym w lipcu? A pamiętacie, co było, gdy wróciliśmy do domu i zastaliśmy jego i całą drużynę hokeja z Deep Haven kąpiącą się nago w lutym w jeziorze Evergreen?

– To wina Owena, nie moja, i to było wyzwanie.

Wszyscy zaczęli się śmiać. Ivy nigdy nie czuła się taka pełna i taka szczęśliwa.

– Czy ktoś wspomniał moje imię?

Uniosła głowę i popatrzyła nad ramieniem Ingrid. Ujrzała młodego mężczyznę, młodszą wersję Dareka o równie szerokich ramionach, który obszedł dom wokół i znalazł się na ganku. Miał na sobie T-shirt z nazwą drużyny Minnesota Wild i luźne sportowe szorty. Za nim szła piękna kobieta – naturalna blondynka, w luźnych, wyblakłych džinsach i pomarańczowej bluzce bez rękawów.

– Owen! – Ingrid skoczyła na równe nogi, przeszła nad ławką i popędziła do swojego najmłodszego syna.

Zamknął ją w swoich ramionach i okręcił wokół.

Casper także wstał i przytulił mocno towarzyszącą bratu kobietę.

– Powinniście zadzwonić!

– Chciałam sprawić wam niespodziankę – odparła.

– To Eden, moja siostra – wyjaśnił Darek cicho. – I Owen. To za niego brałem udział w tej aukcji kawalerów.

– A więc to jego miałam wtedy kupić – powiedziała Ivy.

Darek spojrział na nią, ale ona puściła mu oko.

Uśmiechnął się, a jego oczy błyszczały. Widziała w nich jakąś słodycz i coś niebezpiecznego. I chociaż była już taka pełna, że mogła pęknąć, chłonęła to.

Tak bardzo, że aż bolało.

Tak, Darek pewnie nie miał pojęcia, jaki skarb posiadał. Ale Ivy je miała. I nie chciała go wypuszczać z rąk.

siedem

Jensen patrzył, jak Claire stoi blada z tyłu sceny niczym duch, cień samej siebie, grając i śpiewając jako wokalista wspierający, ale bez przekonania. Prawie jakby w ogóle nie było jej na dzisiejszym występie.

Po raz pierwszy od trzech lat zapragnął z nią porozmawiać. Siedział przy stole z tyłu werandy na świeżym powietrzu, obejmując dłońmi szklankę z malinową lemoniadą. Słuchał, jak Blue Monkeys wykonują swoją wersję *Go Your Own Way* Fleetwood Mac. Muzyka dodawała smaku wieczorowi. Za jego plecami turyści i miejscowi walczyli o miejsca na kamienistej plaży, rozkładając koce i krzesła w oczekiwaniu na fajerwerki.

Po tej wizytacji przebojów powinien już sobie pójść, zanim ludzie zauważą, że cieszy się swoją wolnością.

Emma nachyliła się do mikrofonu. Gitara marki Fender zwisała jej przez ramię. Słońce rzucało za nią długi cień.

– *You can go your own way! Go your own way!*[7]

Jensen pokręcił głową na ironię tych słów.

Nie, jeśli ludzie z Deep Haven mieliby coś do powiedzenia w tej sprawie, nie poszedłby nigdzie. Właściwie powinien zacząć przygotowywać się na odsiadkę. Wyobrażał sobie, że prokurator hrabstwa już wypisuje skargę dotyczącą naruszenia przez niego zasad zwolnienia warunkowego. Miał nadzieję, że nie wyląduje w Oak Park, ciężkim więzieniu. Może skończy w Stillwater albo Faribault. Albo może po prostu zamkną go w celi na miejscu, tutaj w Deep Haven.

Pewnie woleliby zakuć go w dyby na rynku.

Upił łyka lemoniady, której gorycz łagodził rozpuszczający się lód, po czym dał gestem znać kelnerce, że chce dolewkę.

Piosenka dobiegła końca i Jensen przyłączył się do aplauzu. Jeszcze jeden utwór i zmyje się stąd, pójdzie do domu. Postara się nie myśleć o reakcji Claire na jego obecność w szpitalu.

Nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego mimo wszystko przyszedł tutaj dzisiaj, żeby jej posłuchać, dlaczego wciąż trzymał się nikłej nadziei, że być może mu przebaczy, zostanie jego przyjaciółką.

Tak, był samotnym, żalonym człowiekiem.

Oklaski ucichły, gdy Emma znów zbliżyła się do mikrofonu.

– Dziękuję wam wszystkim za przyście! Zrobimy sobie teraz dziesięciminutową przerwę, nim złączym się z fajerwerkami, a potem wrócimy z nowym zestawem piosenek. Tym razem posłuchacie utworów Lynyrd Skynyrd.

Otrzymali jeszcze więcej braw, a Jensen wyciągnął portfel. Wieczorne powietrze pachniało ogniskami i świętowaniem. Chciał zostać.

Zostawił dziesięć dolarów na stoliku, pewny że pokryje to nie tylko jego rachunek za napój, ale zostanie też coś jeszcze na napiwek. Wstawał już z krzesła, gdy...

– Co ty tu robisz?

Uniósł wzrok i zobaczył, jak Claire zbiega ze sceny w jego kierunku. Jej głos niósł się w powietrzu, chociaż pewnie tylko on go słyszał, biorąc pod uwagę szum rozmów i muzykę, która dobywała się z radia. Miała na sobie niebieski top, szorty, długą kamizelkę zrobioną na szydełku i czarne balerinki. Wyglądała, jakby zamierzała dokończyć to, co zaczęła w szpitalu.

Uniósł rękę w obronnym geście.

– Już wychodziłem.

Ale to jej nie wystarczyło. Podeszła do niego, opierając ręce na biodrach.

– Jensen, przysięgam. Co ty wyprawiasz? Widzę cię na każdym koncercie. Siedzisz z tyłu jak jakiś dręczyciel. Dlaczego?

Nie spodziewał się tego. *Widziała go? Za każdym razem?* Och, był naprawdę szalony i żaloszny, bo zapalił się w nim promyk nadziei. Starał się go stłumić, ale nie dało się, rozniecał w nim ciepło, pomimo tego, że posyłała mu mordercze spojrzenie.

– Lubię... Lubię twoją muzykę. – Zabrzmiało to dobrze, więc do słów dołączył uśmiech.

Zmrużyła oczy.

Przygotował się na cios.

I nagle, ku jego przerażeniu, jej oczy wypełniły się łzami. Zauważył, że zaciśnęła szczękę.

– Claire?

– Zostaw mnie w spokoju. – Odeszła w kierunku schodów wiodących do trawiastej ścieżki, która prowadziła do jeziora.

Znał ją o wiele lepiej, niż mogło się to wydawać.

– Claire!

Nie zatrzymała się, ale wcale tego nie oczekiwał. Pobiegł za nią, zrównał się z nią.

– Co takiego zrobiłem? – Nie, chwila, to nie było właściwe pytanie. Dodał więc: – Tym razem.

Przejechała dłonią po twarzy, szybko i gwałtownie, jakby chciała otrzeć łzę.

– To nie twoja wina, Jensen. Przepraszam. Nie powinnam na ciebie krzyczeć.

Nie powinna krzyczeć...?

– Ja... Cóż, możesz na mnie krzyczeć, kiedy tylko chcesz, Claire, jeśli ci to pomaga.

Och, zabrzmiało to głupio. I tak męczeńsko. Może powinien zostawić ją w

spokoju.

Ale zatrzymała się, patrząc na niego dłuższą chwilę. Na tyle długą, że sam nabrał ochoty, aby odwrócić się na pięcie i uciec.

– Ludzie tak się zachowują wobec ciebie, prawda?

Miała piękne oczy. Bursztynowe w odpowiednim świetle. Zapomniał o tym. Albo i nie, ale na pewno próbował.

– Ja...

– Jesteś kozłem ofiarnym całego miasteczka.

Teraz przykuła jego uwagę.

– Nie jestem pewny. Myślę, że Deep Haven ma swoje powody. – Nawet jeśli nie był winny zbrodni, o którą go oskarżali, mógł bez wątpienia zgodzić się z ich złością. Z ich bólem.

– Wiem. Ale prawda jest taka, że pewnie nie zasługujesz na to, jak cię potraktowano.

Kim była teraz ta kobieta, co stało się z Claire, z tą Claire, która nie rozmawiała z nim od trzech lat?

– Nie rozumiem. Myślałem, że zgadzałaś się z...

– Z tym, jak cię potraktowano? Nie. Wierzę, że to był wypadek. Jestem na ciebie zła z innych powodów.

Cóż, skoro już tyle ustalili...

– Z jakich powodów?

Ściągnęła wargi i odwróciła wzrok.

– Nie jestem idiotką.

Wow. Nie miał bladego pojęcia. Wciąż jednak...

– Słuchaj... tak naprawdę przychodzę na twoje koncerty, bo brakuje mi ciebie.

Teraz mógłby równie dobrze otworzyć swoją klatkę piersiową i pozwolić jej przyjrzeć się całemu bólowi zgromadzonemu w środku. A że nie miał pojęcia – ze względu na jakieś dziwne ułożenie planet – kiedy będzie mógł znowu z nią porozmawiać, zwłaszcza w chwili, gdy nie nienawidziła go kompletnie, więc ciągnął dalej:

– Uwielbiałem kiedyś słuchać, jak grałaś i... tak, przychodzę na wszystkie twoje koncerty, ale to tylko dlatego, że tęsknię za tobą i Darekiem. Przepraszam, jeśli sprawiam, że czujesz się przez to niekomfortowo.

Patrzyła na niego, a jej usta otworzyły się na chwilę, nim znów je zamknęła. Wtedy jej twarz zaczęła się marszczyć jak do płaczu.

– Co takiego powiedziałem? – Skrzywił się z bólem. – Przepraszam, Claire. Nie chciałem cię skrzywdzić. Pójdę sobie.

Wzięła drżący oddech.

– Nie. Nie idź.

Nie idź?

Nie mógł oddychać. Okej.

Spojrzała w stronę portu i westchnęła słabo.

– Pamiętasz to Święto Niepodległości, gdy po fajerwerkach zrobiliśmy ognisko na Paradise Beach i zostaliśmy tam całą noc, śpiąc pod gwiazdami?

– Twój dziadek przejeżdżał tamtędy nocą trzy razy.

– Wiedział, że ty i Darek jesteście stuprocentowymi samcami i nigdy nie potrafił zrozumieć, że możemy być po prostu przyjaciółmi.

Tak, on też tego nie rozumiał. Tak naprawdę, jeśli miał być szczery, pomimo swoich wysiłków nigdy nie potrafił myśleć o Claire tylko jako o przyjaciółce. A Felicity... ona zawsze była zagadką.

– Opowiedziałas nam tamtej nocy o Bośni. – Chciał wtedy wyjść ze swojego śpiwora, wziąć Claire w ramiona i powiedzieć jej, że nigdy nie pozwoli, by coś takiego przytrafiło się jej znowu. Nigdy nie pozwoli, by czuła się uwięziona, przytłoczona, porzucona. Ale Felicity wlepiła w niego wzrok i wrzucała kamienie do jego śpiwora, a on, cóż, odrzucał je dla zabawy.

Wydawało się, że Felicity zawsze musiała skupiać na sobie jego – i Dareka – niepodzielną uwagę. Nawet w najbardziej tragicznym momencie opowieści Claire.

– To prawda. Opowiedziałam – odparła. Obdarzyła go cieniem uśmiechu.

– A potem nie spaliśmy całą noc, grając w prawdę i wyzwanie.

– Głównie w prawdę – poprawiła go.

– Chociaż rzuciłaś mi i Darekowi wyzwanie, żebyśmy wykąпали się w jeziorze o północy.

– Widziałam, jak Felicity z wami flirtuje. Pomyślałam, że powinniście trochę ochłonać.

Zaśmiał się, ale poczuł też na twarzy lekkie uderzenie gorąca. I wtedy bezwiednie wyciągnął dłoń i otarł kciukiem łzę, która srebrzyła się na policzku Claire.

– Co się stało?

Jej uśmiech zniknął. Miała w oczach udrękę. Odwróciła wzrok.

– Claire?

– Moi rodzice wracają do domu. Zamurowało go, a ona znów spojrzała na niego.

– Tak. Z Bośni. Aby sprzedać dom mojego dziadka.

Nie wiedział, jak powinien na to zareagować. Nienawidził tego zdradzieckiego salta, jakie wykonało jego serce.

– Nie tobie, Jensen. Darekowi i óśrodkowi Evergreen.

Prawda, potrafiła przejrzeć go na wylot.

– Co? Nie.

– To właśnie powiedzieli. Część tych pieniędzy przeznaczą na umieszczenie dziadka w domu opieki i... i oczekują, że pójde naprzód ze swoim życiem.

Pójść naprzód. Nie zwrócił na to wcześniej uwagi, ale... tak. Powinna pójść naprzód. Daleko od Felicity, od dziadka. Daleko od Deep Haven.

– Co zrobisz?

– O to chodzi! – Uniosła dłoń, jakby chciała prosić go o wybaczenie. – Przepraszam.

– Nie rozumiem.

– *Nie chcę* iść naprzód. Podoba mi się tutaj... i nie mam dokąd pójść.

Jensen zmarszczył na to brwi.

– O czym ty mówisz? Nie chcesz stąd odejść? Pójść do college'u albo wyprowadzić się, zacząć nowe życie?

– Dlaczego? Tu jest mój dom. Lubię go.

Tylko się na nią gapił.

– A ty nie?

Uniosł brew.

– Oczywiście, że nie. Rozumiem. Ale... widzisz, nie wiem, co mogłabym robić. Tworzyć muzykę? Przygotowywać pizzę? Robię to wszystko tutaj. I mój dziadek też tu jest. Nie chcę odchodzić. Chcę zostać i opiekować się nim.

– A więc zostań. – Jensen nie wiedział, skąd wzięły się te słowa, ale wyszły z jego ust z ogromną mocą. – Zostań.

– Jak? Dziadek nie może mieszkać w tym domu, przynajmniej dopóki mu się nie polepszy...

– A jeśli zamontujemy tam rampy, przystosujemy dom do wymagań niepełnosprawnych?

– Nie mam pieniędzy na coś takiego.

– Ale ja mam. Cały swój fundusz powierniczy, który tylko zbiera odsetki. I wierz mi albo nie, ale jestem całkiem dobry w operowaniu piłą i młotkiem.

Jensen wciąż nie mógł uwierzyć, że te słowa przeszły mu przez gardło, ale pozwolił im zawisnąć w powietrzu, nie przejmując się, że pobrzmiwa w nich jakaś smutna desperacja. I nadzieja. Prawie mógł ją poczuć. *Proszę, pozwól mi pomóc, Claire.*

Mógł się przyznać do tego, że czuł drobną satysfakcję na myśl, że Darek nie wygra po raz kolejny, nie zgarnie ziemi, na którą Jensen też miał ochotę. Ale, co ważniejsze, naprawdę chciał pomóc Claire. Wszystko, byle tylko znów mieć ją w swoim życiu. Może to będzie ostatnia dobra rzecz, jaką zrobi, nim zakują go w kajdanki. I tak nie uda mu się odpracować wszystkich godzin przed terminem. Zdawało się to lepszym sposobem na spędzenie czasu niż bezsensowna walka o wolność.

– Zrobiłbyś to dla mnie? Pomógłbyś mi opiekować się dziadkiem?

Jego uśmiech pojawił się powoli, wydobywając się z jego wnętrza.

– Jeśli pozwolisz mi zostać i posłuchać, jak śpiewasz.

Minęła chwila, nim powiedziała:

– Nie śpiewam zbyt dużo.

– A powinnaś. Masz piękny głos.

Zamrugła.

– Naprawdę?

Ściszył głos, spojrzał jej w oczy.

– Naprawdę, Claire. Jak myślisz, dlaczego zawsze kręcę się gdzieś z tyłu sali?

Gapiała się na niego. Wtedy jej usta zacisnęły się w wąską linię i odwróciła głowę.

No i skiepscił. Widział to po jej postawie, sposobie w jaki patrzyła na ciemną wodę jeziora i fale, które w świetle księżycyca rozbłyskiwały jak ostrze noża.

Postąpił zbyt pochopnie, przypomniał jej o zbyt wielu... o tym, co mogliby mieć, być może.

Wtedy nagle skinęła głową.

– Okej.

– Okej? – O rany, zdziwił się zbyt mocno. Skrzywił się, ale przestał, gdy uśmiechnęła się.

W tym uśmiechu była łagodność, nieco przyjacielskości. Nawet cień tego, co mogłoby być.

– Okej, Jensen. Możesz zostać.

Ivy dobrze wpasowywała się w nowo poznaną rodzinę. Tak dobrze, że Darekowi wydawało się, że należała do niej od zawsze. Śmiała się z kiepskich żarcików jego matki i zadawała ojcu milion pytań o ośrodek, okazując naprawdę zainteresowanie niekończącą się opowieścią o dawno minionych latach. Pochwaliła nowy przepis Grace na sałatkę ziemniaczaną i pozowała Amelii do zdjęć. Razem z Eden wspominały ich ulubione miejsca w kampusie Uniwersytetu Minnesoty, byłej uczelni Ivy, chociaż bez wątpienia spędziła w bibliotece więcej czasu niż siostra Dareka. Zadawała Owenowi fachowe pytania o hokej i nawet nie wydawała się zirytowana, gdy zaczął się on rozwodzić na temat swojej nowej kwatery oraz błyszczącego nowością samochodu sportowego.

Wyciągała opowieści z Caspera, pomagając jednocześnie Tigerowi upiec pianki i zrobić brejowate s'mores. Roześmiała się nawet, gdy pokazał jej swoje lepkie palce, a potem wytarła mu je.

Teraz Tiger siedział obok niej na plaży w porcie Deep Haven, na grubym kocu, którego nie zapomniał przynieść Darek. Ubrała bluzę Uniwersytetu Minnesoty na wierzch swojej cytrynowej sukienki. Wiatr powyciągał kosmyki z jej kucyka, rozwiewając włosy wokół jej twarzy i przynosząc delikatną nutę zapachu wanilii.

Kupiła neonową świecącą pałeczkę i zgięła ją, tworząc okrągłą koronę, którą

włożyła na głowę Tigera. Otaczało ich morze ludzi, na kocach lub składanych krzesłkach, czekających aż członkowie Elks Club zaczną, jak co roku, wystrzeliwać fajerwerki po drugiej stronie zatoki. Christiansenowie zjawili się wystarczająco wcześnie, by zająć swoje zwyczajowe miejsce – zaraz obok wielkich kamieni, które odgradzały plażę od reszty linii brzegowej. Darek i jego rodzeństwo – jako dzieci – uwielbiali wspinać się na głązy, rzucając sobie nawzajem wyzwanie, aby nie wpaść do jeziora.

Czasami, gdy myślał o swoim dzieciństwie, zastanawiał się, jakim cudem w ogóle wszyscy je przeżyli. Albo jak to się stało, że ich matka nie oszalała całkiem ze zmartwienia.

Darek przepchał się przez tłum, niosąc tacę z rozkami z lodziarni. Usiadł obok Ivy i Tigera, podając im ich zamówione smaki.

Ivy wzięła swojego loda – toffi i wanilia, dwie gałki.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Tiger, pozwól mi... – Wetknął serwetkę za kołnierzyk kurtki syna. Sterczała jak sztuczna broda, ale może przynajmniej powstrzyma pięciolatka przed przeobrażeniem się w lepiący się koszmar. Biorąc pod uwagę tempo, w jakim Tiger wszystko dzisiaj pałaszował, pewnie będzie mu niedobrze, ale Darek nigdy nie widział swojego syna tak szczęśliwego. I tak łatwego do okiełznania. Ani razu nie odszedł nigdzie samowolnie, a na twarzy nie miał jeszcze nawet śladu rozciapcianego loda.

Tak, Ivy posiadała jakieś magiczne zdolności, jeśli chodzi o dzieci.

Niebo wyglądało jak wysadzone klejnotami, gdy ciemność rozświetliły fajerwerki, które niczym diamenty odbijały się w ciemnej, aksamitnej tafli jeziora. W oddali zagrzmiął piorun, zamierając bez śladu wilgoci.

Grace i Casper wspięli się na kamienie, by oglądać spektakl, a Amelia stała na ścieżce za nimi, robiąc zdjęcia, które pojawią się później na facebookowym profilu Deep Haven. Ich matka i ojciec przynieśli składane krzesła i siedzieli teraz jak para królewska pomiędzy swoimi poddanymi. Owen oczywiście zniknął, jak tylko wjechali do miasta. Pewnie pakuje się w jakieś kłopoty ze swoimi kolegami. Eden siedziała obok matki, bawiąc się smartfonem.

– To niesamowite – powiedziała Ivy, zlizując ciekący po wafelku sos angielski. – Plaża portowa pęka w szwach.

– Zjeżdżają się tu ludzie z całego hrabstwa, by pooglądać fajerwerki – wyjaśnił Darek. – To najlepsza miejscówka w miasteczku. Patrząc na pokaz fajerwerków nad portem, widzisz też, jak odbijają się one w wodzie.

– Jesteś takim szczęściarzem, że tutaj mieszkasz. Czytałam o Deep Haven. Czasami w gazetach w Minneapolis pojawiają się jakieś wzmianki o wydarzeniach, które mają miejsce tutaj. Ale nigdy mi się nie marzyło, że będzie tu tak malowniczo.

O wydarzeniach? Takich jak zbrodnie? Śmierć Felicity i wina Jensena zyskały rozgłos nawet w Minneapolis. Ale to było trzy lata temu. Na pewno już o tym nie pamiętała.

Nie. To był jego świeży start z kobietą, która zjawiała się w jego życiu bez żadnego bagażu, bez żadnych nagłówek, które stały między nimi. Kobieta, która nie widziała jego błędów, ale jego przyszłość.

Zlizał czekoladę, która spływała z jego różka.

– Deep Haven jest świetnym miejscem, aby w nim dorastać. – Przynajmniej takie było dla niego. Chciał, żeby to była prawda także dla Tigera.

– Nigdy nie mieszkałam w jednym miejscu dłużej niż rok – powiedziała Ivy. Tiger zsunął się z koca i pobiegł usiąść na kamieniach.

Skończyła jeść górę lodu i wgrzyła się w wafelek.

– Po tym, jak sąd stanowy odebrał prawa rodzicielskie mojej matce, spędziłam jakiś rok tułając się od jednego miejsca do drugiego. Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego dłuższego pobytu. Znalazłam się tam na krótko przed Świętem Dziękczynienia. Mieszkała tam już trójka innych sierot, ale rodzice mieli szóstkę swoich własnych dorosłych dzieci, które przyprowadziły ze sobą swoich małżonków i swoje dzieci. Dom pękał w szwach. Na kolacji było jakieś pięćdziesiąt osób. Pamiętam, jak chłonełam ten gwar, śmiechy, to, że wszyscy dobrze się znali i... – Wzruszyła ramionami, po czym odwróciła wzrok, a jej głos lekko zachrypnął. – To było miłe.

Miłe. Ale mógł w jej słowach usłyszeć o wiele więcej. Wziął serwetkę i wytarł swój nadgarstek, po czym obgryzł róg wafelka. – Jak długo tam zostałeś?

– Do czerwca następnego roku.

Czy to właśnie był dłuższy pobyt? Osiem miesięcy? Poczul uścisk w gardle, aż zaczął tracić apetyt.

– W jak wielu rodzinach zastępczych mieszkałeś?

Spojrzała na niego, jakoś dała radę się uśmiechnąć.

– W sumie w czternastu.

Czternastu. Nie mógł się powstrzymać.

– Przykro mi, Ivy.

Pokręciła głową.

– Nauczyło mnie to być silną. – Skończyła lodu i sięgnęła po chusteczkę.

– Czy to dlatego zostałeś prawnikiem? Chciałeś pomagać dzieciakom w potrzebie?

– I także kobietom, takim jak moja matka. I sprawić, by tacy beznadziejni ojcowie, jak mój, pomagali wychowywać swoje dzieci. Nie ma nic gorszego niż mężczyzna, który ma dziecko, ale od niego odchodzi.

– Tak – odparł, czując ukłucie wstydu. Skończył swojego lodu, nie czując w ogóle jego smaku. Nawet dobrze, że już go zjadł. – Czy to właśnie przydarzyło się

twojej matce?

– Zaszła w ciążę, gdy miała czternaście lat i uciekła z domu. Po raz pierwszy wyłudowałam w rodzinie zastępczej, nim skończyła dwadzieścia dwa lata. Do tego czasu zdążyła związać się z dwoma mężczyznami, dokonać aborcji, gdy zaszła w ciążę z pierwszym, a drugi facet o mało co jej nie zabił. W okresie pomiędzy jednym a drugim mieszkaliśmy w kartonach i opuszczonych samochodach. Robiła wszystko, aby tylko zdobyć pieniądze...

Ciągnęła dalej.

– Skończyłyśmy w końcu w Minneapolis z facetem, którego poznała w Des Moines. Był kierowcą ciężarówki i chyba zrobiło mu się nas żal. Miał trójkę swoich własnych dzieci. Podobało mi się tam. Dzieliłam pokój z jego córką, która płała mi warkocze i pozwalała mi się bawić swoimi lalkami Barbie. Chciał pomóc mojej matce i przez chwilę się to udawało. Pracowała w sortowni przesyłek i przestała brać narkotyki. To był prawdziwy dom, wiesz? Zaczęłam chodzić do szkoły, znalazłam kolegów i koleżanki, zaczęłam wierzyć, że mogę mieć tatę. No i wtedy mojej mamie coś się stało w pracy – jak coś podnosiła, tak myślę – i nadwerżyła sobie kręgosłup. Zaczęła brać leki przeciwbólowe i wszystko zaczęło się na nowo. Pewnego dnia wróciłam do domu i znalazłam ją zemdloną na ziemi. Ledwo oddychała. Wezwałam pogotowie. To był początek końca. Zabrali mnie od niej na stałe, gdy miałam dziewięć lat.

Darek, gdy miał dziewięć lat i chodził do trzeciej klasy, spędzał lato z ojcem, ucząc się pływać i łowić ryby, podczas gdy Ivy starała się zrozumieć, dlaczego nie ma własnego domu.

Tiger podszedł do niego z wyciągniętymi rękami. Cały ociekał angielskim sosem. Darek przechwycił go i wziął serwetkę, by usunąć z niego słodką warstwę. Matka Dareka podała mu mokrą chusteczkę, by mógł wytrzeć twarz chłopca.

Ivy zaczęła, aż wypuści Tigera i chłopiec oddali się, nim zaczęła kontynuować swoją opowieść.

– Moja matka skończyła w końcu za kratkami. Odwiedziłam ją w więzieniu dla kobiet, gdy skończyłam osiemnaście lat. Była... Była smutna, że tak właśnie ułożyło się nasze życie, ale czasem tak po prostu jest. Pozwoliła, by rezygnacja przejęła nad nią kontrolę i rządziła jej życiem. Odebranie jej praw rodzicielskich było prawdopodobnie najlepszą rzeczą, jaka mogła mnie spotkać.

– Nie jesteś na nią zła?

– Gorycz tylko pożera cię od środka. – Spojrzała na niego. – Prawda?

Zmarszczył czoło, po czym skinął szybko głową.

– Prawda.

Sprawdził, co z Tigerem, który wspinał się na kamień. Casper podniósł go i postawił na szczycie.

– Casper, nie pozwól, by wpadł do wody! – Darek zawołał do brata.

– Tak czy siak, mogłam wybrać swoje własne życie, swoją ścieżkę. I wybrałam Deep Haven. Jestem teraz tutaj i nigdzie się nie wybieram. – Oparła się na dłoniach. – Nigdy.

Nigdzie się nie wybiera.

– Wiesz, fajerwerki byłyby jeszcze lepiej widoczne z latarni morskiej, o tam. – Wskazał na budynek wystający z nabrzeża. – Miałabyś ochotę się tam przejść?

– A co z Tigerem?

Darek rzucił okiem w kierunku Caspera. Jego brat patrzył na niego, poruszając znacząco brwiami. Właśnie tak to było, gdy mieszkało się w małym miasteczku. Wszyscy przyglądali się, jak zakochiwał się w nowej dziewczynie.

Nie, nie zakochiwał się. Po prostu... zaczynał od nowa. Nie był pewny, co to w ogóle znaczy zakochiwać się. To, co łączyło go z Felicity, wydawało się bardziej... W każdym razie na końcu na pewno już nie było miłością.

– Tigerowi nic się nie stanie z Casperem.

– W takim razie chętnie tam pójde – odparła Ivy.

Gdy wstał, wyciągnął dłoń, chcąc pomóc jej się podnieść, ale gdy już podała mu rękę, nie puścił jej.

Miała miękkie, drobne dłonie i czuł się jak prostak, zdając sobie sprawę, że jego są zupełnym przeciwieństwem – spracowane, z odciskami. Ale trzymał dalej dzielnie jej rękę. Przeprowadził ją przez tłum na chodnik, potem w stronę plaży i wokół kwartału na ścieżkę w kierunku latarni.

Światła uliczne nie sięgały wystarczająco daleko, dlatego zwolnił kroku, aby mogła widzieć, gdzie stawia nogi. Wspiął się na falochron i pomógł jej wejść na górę.

– Doskonale znasz tę okolicę.

– Jestem chłopakiem z Deep Haven – odparł po prostu.

– Racja. – Falochron był wystarczająco szeroki, by mogli iść ramię w ramię.

– Dziękuję, że pozwoliłeś mi poznać swoją rodzinę. Wszyscy są świetni.

– Ty jesteś świetna. – O rany. Um... – To znaczy, dzięki, że byłaś dla nich taka świetna. Casper sądzi, że odkryje jakiś zaginiony skarb, a Owen chce tylko przeżyć przed wszystkimi muskuły, aby podziwiali jego tężyznę fizyczną. Grace zawsze szuka królików doświadczalnych dla swoich nowych przepisów, a Eden myśli, że zostanie supergwiazdą dziennikarstwa. Wysłuchałaś ich wszystkich. Nawet pozowałaś dla Amelii. – Zwolnił. Obrócił się do niej. – Dziękuję ci za to. A zwłaszcza za to, że byłaś taka miła dla Tigera.

– Tiger to cudowny chłopiec. Zrezygnowałaś dla niego z tak wielu rzeczy...

Zmarszczył brwi. Ciągnęła dalej.

– Z twojego marzenia o byciu strażakiem. To takie romantyczne, że zamiast tego wybrałaś miłość. Tak mi przykro z powodu twojej żony, Dareku. Nie mówisz o niej, ale domyślam się, że bardzo ci jej brakuje.

Wiatr zarzucił kosmyki włosów na jej oczy, a on je odgarnął. Żałował, że nie mógł powiedzieć jej prawdy, nie brzmiąc przy tym jak straszny drań.

– Tak. To prawda. – Ze względu na Tigera. I także ze względu na siebie. Śmierć Felicity odebrała mu szansę, aby wszystko naprawił. Aby naprawił swoje błędy.

Nie, to Jensen odebrał mu to wszystko.

– Ale staram się iść naprzód. Zapewnić dobrą przyszłość Tigerowi. Mam nadzieję, że uda się nam rozwinąć ośrodek, aby mógł pewnego dnia go odziedziczyć.

– To piękne miejsce, ale czy... zaludnia się?

– Ostatnio nie. Mieliśmy okropną zimę. Bez śniegu. A wiosna nadeszła szybko. Zrobiło się tak nieznośnie gorąco, a bez klimatyzacji i Internetu w naszych domkach...

– Ludzie nie doceniają uroku oazy pośród lasów.

– Ciężko zaktualizować swój status na Facebooku z jeziora Evergreen. Nie ma tu anten telefonii komórkowej.

– Dzisiaj bardzo doceniłam luksus bycia nieosiągalną.

– Jesteś więc jedną z niewielu, jak się zdaje. – Spojrzał na nią, a jego słowa padały na podatny grunt. Jedną z niewielu, dokładnie. – Wiesz, rzeczą, której brakuje mi najbardziej z moich dni w drużynie hotshotów, jest mój motocykl. – No dobrze, to nie była prawda. Brakowało mu tego braterstwa, wyzwania, potrzeby mierzenia się z ogniem. Ale przyznanie się do tego, ożywiłoby tylko jego ból.

No i jak mógł porównywać tamto życie z tym, które spędzał z Tigerem? Ze swoją rodziną?

– Miałeś motocykl?

– Ten, którym jeździ teraz Casper. Kawasaki 300. Był mój. Jeździłem nim do Montany i z powrotem wiele razy.

– Ciężko do motocykla przypiąć fotelik dla dziecka.

– No właśnie.

Doszli do końca falochronu, gdzie stała latarnia. Poprowadził ją pod wielkimi dźwigarami i dalej aż do krawędzi.

Gdy spojrzeli stąd z powrotem na linię brzegową, miasteczko skrzyło się światelkami porozrzucanymi po całym porcie i dalej, na wzgórzu.

– Znasz każdy dobry punkt widokowy w mieście – zauważyła Ivy.

– Zgadza się – odparł, obracając się w jej stronę. Och, była piękna z tymi piegami, które zadawały kłam jej profesji prokuratora. Jej wielkie zielone oczy patrzyły na niego.

Miała w sobie coś, co sprawiało, że oddech uciekał mu z klatki piersiowej, a całe jego wnętrze rozgrzewało się. Może była to tylko tęsknota za czymś innym i dobrym. Za tym, aby ktoś zobaczył jego rozbite życie i posklejał je w całość.

Aby Bóg wreszcie pozwolił mu zacząć od nowa.

Darek oblizwał wargi, starał się znaleźć właściwe słowa.

– Chciałbym... – zaczął cicho. Dotknął jej twarzy, przejechał kciukiem po policzku. Spojrzał jej w oczy. – Czy mogę...? – Wziął głęboki oddech, gdy fajerwerki zaczęły wybuchać nad nimi. Słyszał szum aprobaty po drugiej stronie portu. – Bardzo chciałbym cię pocałować.

Ivy spojrzała na niego. Zamrugwała. Przełknęła ślinę. I wtedy na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Ja... Chciałabym tego.

Chciałabym tego.

A więc zaczął od czegoś delikatnego, niepewnego, muskając jej wargi swoimi. Słodki dreszcz przebiegł jemu po ciele, gdy poczuł smak lodów toffi. Waniliowy zapach jej skóry rozpałił w jego wnętrzu ogień. Wyciągnęła ręce i owinęła je wokół kołnierza jego kurtki, jakby chciała przyciągnąć go bliżej. Oparł dłoń z tyłu jej głowy, czując gęste, miękkie włosy. Ledwo się powstrzymywał, aby nie pogłębić pocałunku, aby nie pozwolić, by emocje uderzyły mu do głowy i wystraszyły ich oboje.

Gdy trzymał ją tak w ramionach i całował, uświadomił sobie, jak dużo czasu minęło, odkąd pozwolił sobie marzyć, pozwolił sobie czegoś pragnąć. Pozwolił sobie uwierzyć w łaskę.

Tak, ponieważ stanie tutaj w blasku i dymie świętowania, z rękami owiniętymi wokół pięknej kobiety, która wtuliła się w niego i całowała go z taką czułością, mogło być tylko czymś, na co nie zasłużył.

Fajerwerki skończyły się zbyt szybko. I to nie tylko ten pokaz na nocnym niebie nad portem, ale też te, które odezwały się we wnętrzu Ivy, gdy Darek trzymał ją w swoich ramionach.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz ktoś całował ją tak, jak Darek właśnie to zrobił.

No dobrze, nigdy. Bo prawda była taka, że nigdy nie miała czasu na randki. Nie, bo musiała martwić się o oceny ze względu na stypendium, pracować w kancelarii Atwood and Associates, a potem pojawiło się jej stanowisko młodszego współpracownika w firmie Daniela i nieskończone godziny nad książkami, gdy studiowała prawo.

Nic z tego. Za wyjątkiem niezbyt udanego pocałunku szesnastolatków na studniówce.... i tyle. Jej pierwszy prawdziwy pocałunek. Na taki właśnie czekała.

Nie mogła uwierzyć, jak czule ją całował. To nie był ten drażliwy mężczyzna, obnoszący się ze swoim gniewem, którego spotkała po raz pierwszy. Nie, ten mężczyzna zapytał ją najpierw o pozwolenie, nim ją pocałował, rozkoszował się pocałunkiem, sprawił, że miała poczucie, jakby naprawdę traktował to poważ-

nie.

Proszę, niech naprawdę traktuje to poważnie. Bo ona na pewno tak robiła.

Siedzieli na krawędzi falochronu i patrzyli, jak fajerwerki zataczają łuki na niebie. Trzymali się za ręce. A gdy zadrżała i podwinęła nogi pod sukienkę, Darek przesunął się za nią i przycisnął ją do piersi, zamykając ją w swoich ramionach.

Sprawił, że było jej ciepło. Właściwie miała wrażenie, że znalazła się w ogniu.

Czuła przez plecy, jak bije jego serce, rozkoszowała się leśnym zapachem ogniska, ale i odczuwała odrobinę winy, że jego żona utraciła w życiu tak wiele i że życie tej kobiety skończyło się tak szybko.

Jednak Ivy nie chciała teraz o niej myśleć. Nie tej nocy.

Gdy fajerwerki się skończyły, Darek pomógł jej zejść z falochronu i poprowadził ją przez tłum w kierunku plaży.

– Mogę iść stąd do domu na piechotę – powiedziała, ale on trzymał jej dłoń w swojej i nie puszczał.

– Odprowadzę cię do domu. Chcę tylko sprawdzić, co z Tigerem, upewnić się, że wszystko z nim w porządku.

Co za wspańiały ojciec. Rozpływała się na widok Dareka, gdy tego wieczoru delikatnie wycierał on buzię i ręce syna.

Zapach dymu po fajerwerkach wypełniał powietrze, a z daleka docierały trzaski sztucznych ogni z podejrzanych prywatnych imprez.

Darek zatrzymał się na plaży i spojrzał w tamtym kierunku.

– Co się stało?

– Zadzwońię do biura szeryfa, zobaczę, czy uda im się ich namierzyć. To idealny sposób, by zaproszyć pożar w lesie.

– Serio?

Szła z Darekiem wzdłuż brzegu, a kamienie uciekały im spod nóg.

– Las to teraz jedna wielka beczka prochu. A ludzie potrafią być tacy lekkomyślni...

Och, kochała taką odpowiedzialność...

Chwila, nie kochała. Lubiła. Bardzo. Nie mogłaby zakochać się w facecie na pierwszej randce – no dobrze, na drugiej randce. Ale fakt, że tak się martwił, i tak zrobił na niej wrażenie.

– Kochałeś bycie strażakiem, prawda?

Spojrzał na nią, a wtedy osobliwy uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– Tak, kocham las, a czytanie o tym, jak rozprzestrzenia się ogień, fascynuje mnie. To jak bitwa, a ty musisz po prostu okazać się sprytniejszy niż ogień. Ale istnieje tak wiele czynników, których nie możesz kontrolować. Pogoda, wiatr. Musisz zawsze myśleć, czego ogień chce, gdzie chce się udać.

– Mówisz tak, jakby ogień był żywy.

– Bo jest. Oddycha, potrzebuje paliwa, aby żyć, i zawsze chce więcej.
– Ale potrzebuje iskry, aby się pojawić.
– To prawda. I mam nadzieję, że tego uda nam się uniknąć. Ponieważ kocham ogień, ale nie kocham go na tyle, aby życzyć go pięknym lasom. Pożary lasów są przerażające i niebezpieczne, zwłaszcza że i ludzie tracą w nich swoje domy albo życie.

– Czy myślisz, że kiedyś do tego wrócisz?

Pokręcił głową.

– Ta część mojego życia dobiegła końca. – Powiedział to w taki sposób, jakby ktoś uderzył go w pierś, a teraz starał się złapać oddech.

– Przykro mi.

Spojrzał na nią znowu i ścisnął jej rękę.

– Dziękuję.

Gdy podeszli bliżej do miejsca, gdzie rodzina zaparkowała, zobaczyli małe zbiegowisko. Niewielkie, ale wystarczające, by kolejne osoby zaczęły się czemuś przyglądać.

– O nie – powiedział Darek.

– Co?

Puścił jej rękę i pognał na plażę. Nie mogła biec w japonkach, więc ostrożnie potruczała za nim. Zeszła jakoś z krawędzi i wtedy poczuła ochotę, żeby się rozpłakać na widok, jaki zobaczyła.

Tiger stał na środku, przemoczony do suchej nitki i trząśł się. Jego warga była spuchnięta i krwawiła. Casper owijał go kocem piknikowym.

Darek uklęknął przy synu, dokończył owijanie go kocem, po czym przytulił chłopca do piersi.

– Co się stało, kolego? – Darek spojrzał na Caspera. Jego twarz pociemniała.

– Upadłem! – Tiger rozpłakał się. Darek podniósł go i trzymał w tych swoich wielkich ramionach.

– Wspiął się na skały i chociaż podtrzymałem go, poślizgnął się, uderzył wargą o kamień i wpadł do wody.

– Stary – zaczął Darek, starając się mocno, aby nie podnieść głosu. – Nie powinienś pozwolić mu wspinać się po skałach.

– O czym ty gadasz? Robiliśmy to przez całe życie. Poza tym nic mu nie jest, prawda, mistrzu? – Pomasaował plecy Tigera. Chłopiec posłał mu żalosne spojrzenie.

Ivy podeszła do Dareka.

– Mogę wrócić do domu sama. Mieszkam po drugiej stronie ulicy, za „Na Progu Nieba”.

Darek posłał mroczne spojrzenie Casperowi, jakby miał ochotę rozszarpać go na strzępy.

– Spotkamy się przy samochodzie, synu. – John Christiansen wyciągnął rękę w kierunku Tigera.

Darek zawahał się, a Ivy już chciała powtórzyć, że naprawdę potrafi sama przejść przez ulicę, gdy Darek pocałował głowę chłopca i oddał go.

– Zaraz tam będę.

Tiger zwinął się w kulkę w ramionach dziadka.

Darek bez słowa chwycił rękę Ivy i zaczął ją ciągnąć w kierunku chodnika.

– Darek, naprawdę. Jestem dużą dziewczynką.

– Mój ojciec próbuje mnie powstrzymać przed rzuceniem się z pięściami na brata.

Och.

Wokół nich rodziny pakowały do swoich aut lodówki turystyczne, koce, składane krzesła. Inni szli do domu na piechotę, trzymając swoje dzieci za rękę. Samochody zaczęły sunąć ulicami. Darek wciąż nie puszczał jej dłoni, gdy przeszli na drugą stronę jezdni pomiędzy autami. Przez chwilę szli chodnikiem w ciszy. Jego twarz była spięta.

– Wszystko będzie z nim dobrze?

– Tak, ale Casper może nie wyjść z tego żywy – warknął.

– To był wypadek. Dzieci upadają.

Potrząsnął głową.

– Mój syn wygląda, jakby ktoś go pobił. Te szwy i rozbita warga... Wezwą do mnie opiekę społeczną.

Zmarszczyła brwi.

– Nikt nie wezwie opieki społecznej.

Ale wcale nie żartowałam, sądząc po wyrazie jego twarzy.

– Nie znasz Hollowayów.

– Kogo?

– Rodziców Felicity. Dziadków Tigera. Po tym, jak umarła, wszczęli proces o przyznanie im opieki nad nim, ale przegrali. Od tego czasu oskarżyli mnie dwa razy o zaniedbywanie dziecka. Muszę zawieźć do nich Tigera w niedzielę i... Och, nie wygląda to dobrze.

Miał minę pokonanego. Ujęła jego twarz w dłonie, spojrzała mu w oczy i powiedziała to samo, co powtarzała sama sobie, za każdym razem, gdy pracownik opieki społecznej stawał w drzwiach.

– Wszystko będzie dobrze. Nikt nie odbierze ci Tigera. Jesteś jego ojcem, a on jest normalnym, rozbrykanym pięcioletkiem. Nie znam Hollowayów, ale bez wątplenia o tym wiedzą.

Patrzył na nią, jakby spijał słowa z jej warg, pragnąc jej uwierzyć. Potem powiedział cicho,

– Jesteś taka piękna.

Och, nie spodziewała się tego. Ani tego, jak położył dłoń na jej karku, pochylił się i ją pocałował.

Tak nagle, przed całą swoją rodziną.

Gdy wypuścił ją, posłał jej rozbrajający uśmiech.

– Kiedy znów cię zobaczę?

Jutro? Powstrzymała jednak to słowo przed wydostaniem się z jej ust.

– Zadzwoń do mnie.

– Mam się nie stawiać tak po prostu „Na Progu Nieba”?

Uśmiechnęła się, gdy znów ujął jej rękę, idąc dalej wzdłuż ulicy. W oddali ponownie zagrzmiało.

– Może jednak będzie padać. – Uniosła wzrok i zobaczyła przy bramie dwie osoby. Rozpoznała Claire i był tam jeszcze... Jensen Atwood?

Tak. Jensen wyładował ze swojej półciężarówki zaparkowanej przed domem przenośny keyboard Claire i wnosił go teraz do jej mieszkania.

I wtedy nagle ku swojemu zdumieniu usłyszała:

– A on co tutaj robi?

Darek patrzył na Jensena złowrogo. Puścił jej dłoń.

– Co Jensen Atwood robi w twoim domu?

Spojrzała na niego. Ton jego głosu był taki gwałtowny, wściekły.

– Co? Ja...

– Znasz go?

– Dlaczego na mnie wrzeszczysz? – Odsunęła się od niego o krok, nagle znów zobaczyła tego mężczyznę z aukcji, złego i niegrzecznego.

Musiał dostrzec wyraz jej twarzy, bo wzdrygnął się i odwrócił głowę. Ściszył głos.

– Przepraszam. Ja... Masz rację. Po prostu... – Znów spojrzał na ulicę, gdzie Jensen wracał do swojego samochodu. – Kto jest twoją współlokatorką?

– Nie mam współlokatorki. Mieszkam na tyłach domu, w mieszkaniu nad garażem. A nad księgarnią mieszka Claire Gibson.

– Claire. – Pokręcił głową, a jego głos stał się ledwo słyszalny. – Powinienem się domyślić.

– Domyślić czego?

Wziął głęboki oddech i znów się do niej obrócił.

– Nieważne. – Dotknął jej dłoni. – Przepraszam. Po prostu... Jensen Atwood wyciąga ze mnie wszystko, co najgorsze.

– Dlaczego? Kim on jest dla ciebie?

– To długa historia. Opowiem ją innym razem. Nie chcę zepsuć ci nocy. Powiedzmy, że jeśli istnieje w tym mieście ktoś, od kogo powinnaś trzymać się z daleka, to właśnie Jensen Atwood.

– Mówiłeś to samo o sobie. – Spróbowała się uśmiechnąć.

Darek zaśmiał się bez cienia wesołości.

– Tak było, prawda? – Jego śmiech zamarł. – Ale przy Jensenie mówię absolutnie serio.

Jego słowa trafiły do jej wnętrza, przyczepiły się do niej jak rzep.

– Dlaczego tak mocno go nienawidzisz?

– Ponieważ skradł mi moje życie.

Zmarszczyła brwi, ale on pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Zadzwoń do ciebie.

Pognał od razu na drugą stronę ulicy, gdzie rodzina czekała na niego w samochodzie. Casper odjechał na motocyklu. Jeszcze było słychać ryk silnika.

A Ivy stała dalej na chodniku, czując jak lodowata obręcz zaciska się wokół jej serca.

Skąd Darek znał Jensena Atwooda?

[7] „Możesz iść swoją drogą! Idź swoją drogą!” (przyp. tłum.).

osiem

Mogła przynajmniej zrobić mu kanapkę. Claire wyjrzała przez okno, by spojrzeć na Jensena, który budował długą rampę mającą zastąpić schody prowadzące do tylnego wejścia. Zgodnie z obietnicą przyjechał jakąś godzinę temu, wypakował drewno i elektryczne narzędzia stolarskie, po czym wziął się do roboty, jakby wcale nie było jej w domu.

Jakby wcale jej nie potrzebował.

No i może tak właśnie było, bo w czasie, gdy wczoraj wzięła dwie zmiany w Pizzerii Pierre'a, on zmodyfikował werandę. Niewielka rampa wznosiła się od ziemi do wejścia, osiągała najwyższy punkt na podeście, a potem ciągnęła się dalej do holu wejściowego.

Może Jensen po prostu przyzwyczał się do pracy w samotności, przyzwyczał się do bycia, jak sądził, niewidzialnym.

Nie żeby ludzie nie zauważali go w tej czapce bejsbolówce, zapinanej na guziki koszuli z obciętymi rękawami, z której w miejscach, gdzie powinny być szwy, zwisały luźne nitki. Wytarte i wyblakłe džinsy, idealnie podkreślały jego budowę ciała. Chodził ciężko w butach roboczych – jak prawdziwy cieśla – i nosił nawet specjalny pas z narzędziami. Za uchem trzymał ołówek, który wydawał się przyprażony słońcem.

Prawdę mówiąc, Jensen prezentował się, jak żywcem wzięty z okładki katalogu L.L.Bean[8].

Nie, naprawdę nie rzucał się w oczy.

Raz wystawiła głowę przez okno i zaproponowała mu szklankę wody – tylko z grzeczności – ale zbył ją machnięciem ręki.

Uśmiechnął się jednak, a kiedy to zrobił, przypomniało jej się, jak odwiózł ją do domu po przedstawieniu. Normalnie robił to Kyle – zwykle podwoził ją i pomagał ze sprzętem – ale skoro Jensen się zaoferował...

Masz piękny głos.

Och, nie powinna pozwolić, by tak łatwo uderzyło jej to do głowy.

Powinna pamiętać, dlaczego właściwie nie rozmawiała z nim od trzech lat. I to nie dlatego, że spowodował wypadek, który zakończył życie Felicity.

Nie, o to obwiniała samą Felicity.

Ale nie uważała też, że Jensen nie powinien ponosić częściowej odpowiedzialności za swój udział w tym tragicznym wieczorze. Za kłótnię, która skłoniła Felicity do założenia butów do biegania i ucieczki.

Może myślał, że Claire nic o tym nie wie. Że nikt oprócz Dareka nie wiedział.

Ale Claire siedziała tamtej nocy na plaży i słyszała każde słowo kłótni, gdy

pełne gniewu głosy Dareka i Felicity niosły się przez jezioro.

Wiedziała dokładnie, jaką rolę Jensen odegrał w śmierci Felicity.

Ta myśl nakręcała ją, gdy o poranku sprzątała hol wejściowy i przesuwała pudła pełne starych butów oraz kapeluszy, sprzętu do wędkowania, kasków do skuterów śnieżnych. Nawet wyniosła do garażu nierówno ociosaną ławkę stojącą tam od zarania dziejów. Potem poszła popracować nad stołem kuchennym, ustawiając go na pustakach, tak aby dziadek mógł podjechać do niego na wózku inwalidzkim.

Zrobiła sobie przerwę i przetrząsnęła lodówkę w poszukiwaniu czegoś jadalnego na lunch. W zamrażarce znalazła resztki szynki, kawał sera i bochenek chleba, który upiekła jakiś czas temu. Oby tylko nie okazało się, że leżał tam za długo. Rozmroziła to wszystko, zrobiła kilka kanapek, dodała trochę przypraw i korniszony. Kanapki ułożyła na dwóch talerzach i otworzyła drzwi, opierając się o nie plecami.

– Jens?

Och, ta stara ksywka jakoś sama jej się wymknęła. Nie zrobiła tego celowo.

Podniósł głowę. Na jego twarzy malował się wyraz zaskoczenia, a Claire na sekundę wróciła myślami do przeszłości. Takiej beztroskiej i pełnej zabawy, idealnej. Poczula słońce wgrzające się w jej skórę, zapach igliwia w powietrzu, kleistą słodycz pianek na języku, słyszała trzaskanie ognia w ognisku, które przeganiało ciemności.

Miała ochotę chłonąć tamte dni, żywić się nimi, ale po prostu stłumiła te myśli.

Jensen wstał i obrócił czapkę daszkiem do tyłu. Wystawał teraz spod niej kosmyk blond włosów, kręcony i gruby.

– Co tam masz?

– Co powiesz na przekąskę w ramach lunchu? – Claire balansowała z talerzami, ale ponieważ stopnie zostały rozmontowane, utknęła na werandzie.

Jensen odebrał od niej talerze, po czym obrócił się do niej plecami.

– Wskakuj.

Nie wiedziała, co sądzić o tej propozycji. Niemal dała się skusić tęsknocie do przeszłości.

– Poradzę sobie – odparła i zeskoczyła sama. Starła się nie zwracać uwagi na rozczarowanie malujące się na jego twarzy.

Był tutaj tylko po to, aby pomóc. Im szybciej skończy, tym lepiej będzie dla wszystkich.

Położył talerze na stojącym obok stole piknikowymi i przyjrzał się swojej kanapce.

– Tylko tyle mamy. Jutro bardziej się postaram.

Jensen wślizgnął się na ławkę.

– Nie musisz mnie karmić, Claire. Mogę pójść do domu na lunch. – Uniósł kanapkę. – Nie żebym narzekał.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić – powiedziała, zajmując miejsce naprzeciwko niego. Wgryzła się w kanapkę. Smak świadczył o tym, że chleb jednak był przemrożony. – Przyniosę trochę mleka.

– Mam tu wodę. – Wskazał na baniak, który stał na pace półciężarówki.

– Robi się z ciebie niezły majsterkowicz jak na chłopaka z wielkiego miasta.

– Był opalony, ramiona ładnie mu zbrązowiły. Nie wyglądał w ogóle jak chłopak z wielkiego miasta. – Pamiętam, jak przyjechałeś tamtego lata po przeprowadzce. Ledwo cię poznałam. Miałeś takie długie włosy...

– O ile dobrze pamiętam, przezywałaś mnie Jenny, dopóki ich nie ściąłem.

– Szorstka miłość, skarbie!

– Pewnie, że byłaś szorstka. Wrzeszczałaś na mnie przez tydzień, gdy zrezygnowałem z futbolu amerykańskiego.

– Nawet nie próbowałaś dostać się do drużyny z Wayzata!

– Ta drużyna grała w lidze stanowej. Nawet tutaj prawie cały czas grzałem ławę.

– A hokej? Całkiem niezłe grałeś w hokeja.

Posłał jej znaczące spojrzenie. Przynajmniej tak jej się wydawało.

– Przeprowadzka w ostatniej klasie praktycznie zniszczyła wszystkie moje sportowe aspiracje.

– Przykro mi. Uważałam, że byłeś dobry.

– Dzięki. Ale myślę, że po prostu starałaś się być dla mnie miła.

Och. No i znowu odniósł się do przeszłości. Wypuściła powietrze z płuc, starając się pamiętać o jego licznych grzechach.

– Cóż, nie znałam nikogo oprócz ciebie, Felicity i Dareka. Nie miałam wyboru.

To nieprawda, ale może to pozwoli utrzymać go na dystans.

– Nie mogłem uwierzyć, że wróciłaś tutaj po swoim wyjeździe do Bośni w tamte wakacje. Myślałem, że wyjechałaś na zawsze, a potem pewnego dnia pojawiłaś się na nabrzeżu. Prosto z Europy, taka egzotyczna, inna i...

– A ty od razu przypląnąłeś do mnie swoją łodzią i chciałeś mnie wpędzić w tarapaty.

Uśmiechnął się szeroko, ocierając usta ramieniem.

– W jakie tarapaty?

– Prawie mnie zabiłeś! Nigdy wcześniej nie płynęłam pontonem ciągniętym przez łódź.

– Krzyczałaś, żebym płynął szybciej. Nie mówi się takich rzeczy nastolatkowi, który właśnie zrobił patent żeglarski!

Claire roześmiała się.

– Tak, może masz rację. – Spojrzała na wody jeziora omywające piaszczystą plażę, jakby wyciągały swoje ramiona i chciały zabrać ich w przeszłość. – To były dobre czasy.

Jensen nie odzywał się, gdy kończył kanapkę. Potem poszedł do samochodu, wziął butlę z wodą i zaczął pić.

– Chcesz łyka?

– Przyniosę sobie z domu.

– Jak chcesz. To woda ze studni. Pycha. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu i zakręcił butelkę.

To całe nielubienie go, niedopuszczanie, aby prowokował jej wspomnienia, mogło okazać się trudniejsze, niż zakładała.

Podniósł deskę.

Wstała.

– A więc jak to będzie wyglądać, gdy już skończysz?

– Cóż, każda pojedyncza rampa dla niepełnosprawnych nie może się wznosić na więcej niż trzydzieści cali. Tylne drzwi są za wysokie, a więc zrobimy dwie rampy. Maksymalny stosunek wymiarów werandy to jeden do dwunastu, a więc obie będą miały po sześć metrów z podestem pośrodku. – Przyłożył deskę pod kątem do ściany domu. – O tak.

– To duża rampa.

– Twój dziadek kocha swój ogródek.

To prawda. Claire poczuła, że się uśmiecha.

– Kiedy skończymy to, przeniesiemy się do środka i tu też zrobimy kilka udogodnień... Zamontuję prysznic bez brodzika, może będę musiał poszerzyć drzwi i obniżyć klamki.

– Ale ja będę mieszkać tu razem z nim.

– A co, jeśli będzie chciał skorzystać z czegoś sam? Nie chcesz chyba, żeby był uzależniony od ciebie? Nie możesz ograniczać mu wolności.

– Gdzie się tego nauczyłeś?

Odłożył deskę na bok i wziął łopatę.

– Nauczyłem się czego?

– Budownictwa. Zasad dotyczących ułatwień dla niepełnosprawnych.

Jensen podszedł do miejsca, w którym wymalował sprayem pomarańczowy kwadrat. Wbił łopatę w ziemię.

– Rok temu pracowałem w domu opieki dla seniorów w ramach moich prac społecznych i wykonywałem różne naprawy.

Racja.

– Co robisz?

– Trzeba wylać podpory, na których będzie oparta konstrukcja.

– A więc musisz wykopać dziury?

Już naruszył warstwę ziemi.

– Nie zajmie to dużo czasu. Wyleję podpory wieczorem, a rano zacznę pracować nad podstawą werandy.

– Jak długo to potrwa, jak myślisz?

Spojrzał na nią.

– Skończymy wszystko, zanim twoi rodzice wrócą do domu, choćbym miał pracować dzień i noc.

Ścisnęło ją w gardle. Wow.

Zebrała papierowe talerze, po czym wrzuciła je do wygasłego ogniska. Zapatrzyła się na ciemne, zwęglone drewno.

– A co z twoimi godzinami prac społecznych? – Skrzywiła się, gdy o tym wspomniała, ale... uświadomiła sobie, że Jensen poświęcając swój czas na pracę dla niej, nie odpracowuje godzin wynikających z jego ugody.

Kopał ziemię za jej plecami, słyszała, jak wzdycha z wysiłku. Ale nie odpowiedział. A więc obróciła się do niego, wsadzając dłonie do kieszeni z tyłu spodni.

– Jensen? Co z twoimi godzinami prac społecznych? Czy już wszystko odrobiliś?

Usypał niezły stosik, a teraz wbił łopatę głęboko w ziemię i oparł na niej nogę.

– Nie uda mi się.

Co?

– Nie rozumiem.

– Mam zbyt dużo godzin do odrobienia do końca miesiąca. Nie uda mi się. – Znów zaczął kopać. – Byłem głupi, gdy dostałem ten wyrok. A nawet wściekły. A więc nie przykładałem się i praktycznie zmarnowałem pierwszy rok. Na szczęście Mitch jakoś do mnie dotarł i sprawił, że przejrzałem na oczy. Zmusił mnie, bym pokazywał mu swoje godziny każdego tygodnia, chociaż sąd tego nie wymaga, ale... – Odrzucił na bok kolejną łopatę pełną ziemi. – Zostało mi ich za dużo.

– Co to znaczy?

Nie przestawał pracować.

– To znaczy, że za parę tygodni złamię zasady mojego zwolnienia warunkowego i wyślą mnie do więzienia.

Do więzienia.

Nie wiedziała, dlaczego te słowa uderzyły ją jakby pięścią w splot słoneczny, wyciskając jej powietrze z płuc. To nie tak, że nie myślała o tym po wypadku, ale niemal rozplakała się, czując ulgę, gdy Jensen został skazany tylko na prace społeczne. Ponieważ pomimo wszystkich jego grzechów, on też wiele wycierpiał. Ludzie jednak tego nie dostrzegali.

Ona tego nie dostrzegała. Aż do tego wieczoru, gdy był gotów opuścić koncert, bo jej przeszkadzał. Bo przeszkadzał Deep Haven.

Może... Może on naprawdę się zmienił. Patrzyła, jak pracował. Gdy patrzyła, jak prężą mu się silne mięśnie ramion i pleców, przypominała sobie tego chłopaka, który potrafił doprowadzić ją do śmiechu głupim żartem albo wychodził na werandę i wygrywał w nocy serenady na harmonijce. Który zaproponował jej, że pójdzie z nią na studniówkę, gdy była w ostatniej klasie i dowiedział się, że nie ma z kim iść. Przyjechał specjalnie z college'u, aby zabrać ją na bal.

Może wcale nie był człowiekiem, który wdał się w romans z Felicity Christiansen, który złamał jej serce i zabił ją.

Nie. Felicity przecież nie kłamałaby w takiej sprawie, prawda?

Claire zamrugnęła kilka razy, odpędzając wzbierającą falę łez, i ruszyła w kierunku domu.

Jensen nie podniósł głowy, po prostu kopał, a dziura stawała się coraz większa.

Zajmując się jedną sprawą po drugiej, Ivy w końcu spokojnie zaprowadzi sprawiedliwość w Deep Haven.

Na przykład poprzez przygotowanie ugody obrończej dla Devona Forda z powodu jego młodzieńczego wybryku – picia alkoholu przed osiągnięciem pełnoletności. To był dobry chłopak, potrzebował tylko, aby ktoś nim porządnie wstrząsnął, a więc zaproponowała dla niego zwolnienie warunkowe z wyrokiem o odroczonej wyrokowi. Jeśli przez rok będzie trzymał się z dala od kłopotów, zarzuty nie pojawią się w jego aktach.

Pozostawała jeszcze kwestia Kristy Brown i jej pierwszego wykroczenia, jakim było posiadanie marihuany. Ivy przedstawiła adwokatowi dziewczyny propozycję, by jego klientka zapłaciła grzywnę i wyraziła zgodę na leczenie odwykowe.

A wszystko to pomiędzy rozpatrzeniem pięciu wykroczeń drogowych, trzech postawień w stan oskarżenia, jedną rozprawą wstępną i jednym wyrokiem skazującym. Po lunchu miała trzy rozprawy sądowe o złamanie zasad zwolnienia warunkowego i dwie rozprawy kryminalne – wszystko w sądzie do spraw wykroczeń drogowych – a także jedną rozprawę kryminalną, gdzie obrona miała zgłosić zastrzeżenia co do niewłaściwie zebranego materiału dowodowego, oraz rozprawę rewizyjną.

No i jeszcze procedury opieki społecznej związane z dziećmi: dwie rozprawy oceniające rodziców zastępczych, jedną rozprawę o odebranie praw rodzicielskich oraz rozprawę oceniającą dłuższy pobyt dziecka w rodzinie zastępczej.

Nazajutrz na wokandzie będzie tyle samo przypadków.

Pod koniec miesiąca pewnie będzie znała połowę mieszkańców Deep Haven, a przynajmniej tych, którzy jeździli bez prawa jazdy, przekraczali prędkość albo toczyli walkę o dzieci.

– To już twoja trzecia cola light. – Diane Wolfe, pracownica opieki społecznej, usiadła na metalowym krześle, zwróconym w kierunku portu. W rękach trzymała karton z rybą i frytkami. Była wysoką kobietą, która nie pozwalała swoim ciemnym, kręconym włosom zbyt odrosnąć. Prawie nie nosiła makijażu, miała bardzo zdroworozsądkowe podejście do życia i zawsze skrupulatnie przyglądała się faktom. Przydawało jej się takie nastawienie, gdyż musiała radzić sobie z różnymi rodzinnymi niuansami. Biuro Diane znajdowało się tylko kawałek dalej i Ivy spędziła większość tych sądnych dni razem z nią. Daniel zawsze zachęcał ich do tego, by utrzymywali dobre stosunki z lokalnymi pracownikami społecznymi i przedstawicielami prawa. Dlatego właśnie Ivy zaprosiła Mitcha O’Connera, kuratora sądowego, na wspólny obiad.

Mitch siedział przodem do portu i jadł frytki zapiekane w sosie. Wystawiał twarz ku promieniom słońca. Albo może zwyczajnie marzył o łowieniu ryb. Ivy zauważyła w jego biurze mnóstwo trofeów wędkarskich.

Mewy nawoływały się nad wodą, a słońce świeciło wysoko na niebie. Jezioro wydawało się tak niebieskie, jakby specjalnie chciało ją zauroczyć i wciągnąć w swoją toń. Ivy miała na sobie czarne eleganckie spodnie i różową bluzkę bez rękawów, a włosy upięła wysoko, ale mimo tego czuła, jak pot ścieka jej po plecach. Jest jedna dobra strona siedzenia cały dzień w sądzie – klimatyzacja.

– Staram się utrzymywać zasoby swojej energii na dobrym poziomie – odparła Ivy, uważając, by składniki jej kanapki z krabem nie wypadły na stół. – Gdy tutaj przyjechałam, wydawało mi się, że miałam pecha, ale nie, jest tak samo każdego tygodnia. Cały maraton spraw.

– A lato dopiero się rozkręca – powiedziała Diane.

– Ludzie wciąż to powtarzają. Jest lipiec.

– Poczekaj do sierpnia. Wtedy jest u nas największy ruch, pełnia sezonu.

Ivy starała się nie zerkać w stronę latarni, nie pozwolić, by Darek pojawił się w jej myślach. Nie zadzwonił przez cały weekend, a ona spędziła początek tygodnia, pracując nad sprawami i przygotowując się na dzisiaj, więc ledwo to zauważyła.

No dobrze, zauważyła.

Przypomniała sobie ich pocałunek. Może i w niego, tak jak wtedy w nią, wkradła się iskierka strachu i sprawiła, że odsunął się o krok, by wziąć głęboki oddech.

– Sędzia Magnusson zdecydowanie unika wodolejstwa podczas procesów.

– Nie traci czasu – zgodziła się Diane. – Oczekuje, że będziesz przygotowana. Za każdym razem, gdy przewodniczy rozprawie, spędzam całe dni na wkuwaniu, jakbym znów była w college’u, i przypominam sobie różne przypadki, aby się nie zbłąźnić.

– Nie pozwól, by wciskała ci kit – wtrącił się Mitch, spoglądając na Ivy zza

swoich okularów lustrzanek. – I tak by to robiła, nawet gdyby rozprawie przewodniczył Święty Mikołaj.

Diane otarła usta chusteczką.

– Zdarzyło mi się tylko raz, że adwokat rozniósł mnie na strzępy w sądzie i nie pozwolę, by coś takiego zdarzyło się ponownie.

– Dzieci w Deep Haven mają szczęście, że tu jesteś – powiedziała Ivy.

– Zgadza się. – Mitch uśmiechnął się, a Ivy polubiła go od razu.

– A tak przy okazji, uprzedzam. – Spojrzał na Ivy. – Jensen Atwood nie zdąży odrobić swoich godzin. Myślę, że będziemy musieli złożyć skargę dotyczącą naruszenia postanowień zwolnienia warunkowego. – Zanurzył frytkę w ketchupie, a Ivy zamarła.

Diane odchyliła się na krześle, popijając swoją truskawkową lemoniadę.

– Nie jestem pewna, co o tym myśleć. Widuję go w miasteczku, wiem, że ciężko pracuje. Ale jednocześnie gdy spotykam Nan Holloway z Tigerem, strasznie współczuję całej tej rodzinie. Wiem, że Darek pewnie robi wszystko, co w jego mocy, ale jednak jest samotnym tatą. Nie może być to dla niego łatwe.

Darek? Ivy odłożyła kanapkę, starając się znaleźć jakiś sens ich słów. Co miał wspólnego Darek z naruszeniem zasad zwolnienia warunkowego Jensena?

– Wciąż pamiętam tę okropną noc – przyznała Diane.

– Co się stało? – spytała Ivy, sięgając po swoją szklanę. Wiedziała mniej więcej, co się stało; tego typu historia zostawała w pamięci, ale może teraz dowie się szczegółów.

– Och, to taka straszna historia – powiedziała Diane. – Było późno w nocy i Felicity Christiansen biegała po autostradzie na północ od miasteczka. Jensen wjechał za szybko w zakręt, nie zauważył jej i ją potrącił.

Felicity Christiansen.

Ivy poczuła się skołowana, świat wokół niej zakrzywił się, oddalił, rozmazał. Felicity była żoną Dareka.

– Przekroczył dozwoloną prędkość o milę – dodał Mitch.

– I pisał SMS-a.

– Nigdy mu tego nie udowodniono.

– Tylko dlatego, że sprawa nigdy nie trafiła na wokandę! Udało mu się wykręcić ugodą. Niektórzy mieszkańcy Deep Haven nadal są wściekli z tego powodu.

Ivy nie mogła złapać tchu. To jasne, że ani Diane, ani Mitch nie wiedzieli o tym, że to właśnie ona pomogła w stworzeniu tej ugody obrończej. Albo przynajmniej zasugerowała jej warunki.

– Nigdy nie mógłby liczyć na uczciwy proces tutaj, Diane, i dobrze o tym wiesz.

Usta Diane zacisnęły się.

– Być może.

– Diane...

– Po prostu strasznie współczuję rodzinie. Darek musi wychowywać tego słodkiego, małego chłopca sam. Mieli z Felicity całe życie przed sobą.

Ivy poczuła, jak w gardle zbiera się jej żółć. Zaraz chyba zwymiotuje.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że sędzia zgodził się na odejście od zwyczajowych wytycznych orzecznictwa.

– Zrzucić winę na obrany termin – powiedział Mitch. – Sędzia Carver akurat odchodził, a jeździł tą drogą zbyt wiele razy, by zgodzić się z orzeczeniem o zabójstwie drogowym.

– Gdyby ojciec Jensena nie był prawnikiem...

– Nie reprezentował go jego ojciec – wtrąciła Ivy cicho.

Diane spojrzała na nią. Zmarszczyła brwi.

– Znasz tę sprawę?

– Pisano o niej w gazetach w Minneapolis, Diane. Oczywiście, że o niej słyszałam.

Nie, nie o to chodzi. Ale nie mogła...

– Zajmowała się nią inna firma adwokacka.

– Cóż, ten ktoś znał się na prawie, bo udało mu się odkopać jakiś precedens i sporządzić niezłe memorandum. Inaczej Carver nigdy by nie pozwolił na taką ugodę obrończą.

Ivy spojrzała na jezioro, po którego powierzchni ślizgały się wydry, zanurzały się, by się ukryć, i pojawiały zaraz z powrotem w cieniu przy brzegu.

– Może i nie odsiedział wyroku w więzieniu, ale zdecydowanie zapłacił za swoje czyny – powiedział Mitch.

Diane popukała słomką w kostki lodu w szklance.

– Niby jak?

– Potrafisz sobie wyobrazić życie w miasteczku, które cię nienawidzi? Które wolałoby, abyś siedziała w więzieniu? Podporządkował się wyrokowi, a teraz naruszy postanowienia swojego zwolnienia warunkowego o mniej niż sto godzin.

– To dużo.

– Nie, jeśli weźmiesz pod uwagę, że musiał ich odrobić trzy tysiące.

Słowa Jacoba wróciły do Ivy. *Sprawiedliwość ma różne oblicza, zwłaszcza w małym miasteczku.*

No właśnie, z punktu widzenia Dareka – i Tigera – może sprawiedliwości wcale nie stało się zadość.

Nie pomyliła się w tej sprawie, prawda?

– Mógłby złożyć wniosek o ulaskawienie – zauważył Mitch.

– Co? – Diane pokręciła głową. – Słuchaj, popełniono zbrodnię, a on miał mnóstwo czasu, by odrobić te godziny. Niech idzie do więzienia.

Ivy musiała zblednąć, bo Mitch spojrzał na nią i zapytał:

– Wszystko w porządku?

Skinęła głową.

Ale jak mogła czuć się w porządku, gdy słyszała w głowie głos Dareka?
Skradł mi moje życie.

A ona tylko pogorszyła sprawę. Pozwoliła Jensenowi uniknąć więzienia.

Jakim cudem sama do tego nie doszła? Darek mówił o swojej żonie, o tym, że stracił ją tak wcześnie. Ale... Ivy nie zapytała, bo nie chciała tego wiedzieć. Tak rozpaczliwie pragnęła, żeby ją polubił...

Przerosło ją to. Powinna złożyć wszystko w całość. Dlaczego tego nie zrobiła?

To pytanie prześladowało ją przez całe popołudnie, gdy uciekła do swojego biura, zamknęła drzwi i starała się wziąć w garść. Stała teraz przy oknie i walczyła z pokusą, by spakować wszystkie swoje rzeczy i wrócić do Minneapolis.

Zanim Darek się dowie.

Zanim sama musiałaby mu wszystko powiedzieć.

Może... Może po prostu nic mu nie powie. Czy na pewno musiał znać prawdę?

Usłyszała pukanie do drzwi.

– Proszę.

Odwróciła się i zobaczyła, że do środka wszedł Jacob.

– Chciałem tylko sprawdzić, co tam u ciebie.

– Miałeś udany weekend?

Opadł na krzesło i wyszczerzył białe zęby, które stanowiły ciekawy kontrast z jego ciemną skórą.

– Powiniennem zapytać cię o to samo.

– Słucham?

– Najpierw kupujesz Dareka Christiansena, a potem go całujesz? – Oparł się o siedzenie, założył nogę na nogę.

Skrzywiła się.

– Widziałeś to?

– Całe Deep Haven to widziało. Tam na chodniku przed wejściem do portu.

Ivy zatopiła się w swoim krześle.

– Powiedz mi prawdę. Czy myślisz, że występuje tu jakiś konflikt interesów? Przez to, że się z nim spotykam? Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że napisałam ten protokół do sprawy Jensena?

Najwidoczniej aż za bardzo łamała sobie nad tym głowę, bo Jacob zmarszczył brwi.

– A więc nie wiedziałaś o związku pomiędzy Darekiem i Jensenem? Nie byłem tego pewien. – Westchnął. – Nie, nie ma tutaj konfliktu interesów. Twoja firma nie była oficjalnie wpisana w aktach, a ty wtedy nawet nie znałaś Dareka. A

więc... nie.

– A jeśli będę musiała złożyć skargę dotyczącą naruszenia warunków zwolnienia warunkowego wobec Jensena?

– Serio? Naruszył warunki zwolnienia warunkowego?

– Nie. Ale brakuje mu godzin. A więc tak może się stać.

– Wciąż nie widzę tego konfliktu. Jesteś tylko pełnomocnikiem sądu. Chociaż... – pochylił się do przodu. – Czy Darek wie, że byłaś zaangażowana w sprawę jego żony?

Skrzywiła się, pokręciła głową.

– Czy musi o tym wiedzieć?

– To już zależy od ciebie, pani mecenas. – Podniósł kamień, którego Ivy używała jako przycisk do papieru utrzymujący w ryzach policyjne skargi. – To nie ja staram się zbudować tutaj nowe życie, znaleźć swoją niszę, zakochać się...

– Wcale się nie zakochuję.

Uniósł brew.

– Znam go od dwóch tygodni.

– Hmm... – Odłożył kamień na biurko. – Wiem tylko, że sekrety nie mają długiego życia w Deep Haven. – Wstał. – A tak przy okazji, nie wiem, czy pamiętasz, ale wyjeżdżam na urlop w piątek. I nie będzie mnie przez dwa tygodnie. Ale to w końcu lipiec. Wszystko zatrzymuje się w lipcu...

– Tak, wiem. Lato dopiero się rozpoczyna.

Roześmiał się.

– Poradzisz sobie.

Gdy wyszedł, Ivy wzięła w dłonie kamień, jakby chciała go zważyć. Spojrzała na telefon.

I po raz pierwszy miała nadzieję, że Darek Christiansen nie zadzwoni.

– Cztery dni. No ładnie, ładnie, braciszku.

Eden usiadła obok Dareka przy stole piknikowym w parku przy porcie. W jednej ręce trzymała piętę zawiniętą w folię aluminiową, a w drugiej – koktajl kupiony w lodziarni. Miała na sobie koszulkę na ramiączkach i eleganckie spodnie. Rozpuściła długie blond włosy. Odziedziczyła elegancję po ich matce. Darek zawsze uważał, że powinna dążyć do tego, by znaleźć się przed kamerą, a nie za nią. Ale ona kochała słowa i pragnęła wspaniałej historii.

– Co takiego zrobiłem?

– Nie zadzwoniłeś do niej, prawda? – Pewnego dnia Eden zostanie pierwszorzędną dziennikarką. Zwłaszcza, że z pytaniami od razu rzucała się do gardła.

– Nie. Okej?

– O rany, tak tylko mówię, polubiłam ją. Wszyscy ją polubiliśmy. Minęły już

cztery dni. Zadzwoń do niej.

Ale jego mózg zatrzymał się na „wszyscy ją polubiliśmy”.

– Rozmawialiście o mojej randce?

– Pocałowałeś ją na środku chodnika. Co mieliśmy zrobić? Odwrócić wzrok?

To jak patrzenie na wypadek kolejowy. Nie mogliśmy nic na to poradzić.

– Dzięki. Urocza analogia. – Odpakował już swojego podwójnego cheeseburgera i rozsypał frytki na tacy. Teraz otworzył nuggetsy dla Tigera, który był zajęty śledzeniem mew na trawniku.

– Okej. Co powiesz na to: to już najwyższy czas i ledwo się powstrzymywaliśmy, żeby nie zacząć ci kibicować.

– To nie była też żadna impreza sportowa.

– Najwidoczniej była. A ty przegrywasz. Z samym sobą. Zadzwoń do dziewczyny. – Eden odpakowała pitę, patrząc na Tigera. – Prawie udało ci się złapać tę ostatnią, Tiger!

– Nie zachęcaj go. Już i tak wygląda tragicznie. Jeśli upadnie, znów rozwali sobie wargę, a opuchlizna zaczęła już schodzić. – Ugryzł swojego cheeseburgera.

– Nie możesz zawinać go w folię bąbelkową, Dareku.

– Chciałbym móc. – Odłożył bułkę, otarł usta. – Powinnaś zobaczyć, jak patrzyła na mnie Nan, gdy przywiozłem go do nich w niedzielę. Jakbym pozwolił mojemu synowi wyjść na środek ruchliwej ulicy.

Darek skrzywił się, gdy maluch potknął się i wylądował na czworakach. Ale wstał zaraz, śmiejąc się.

Twardy dzieciak. Zupełnie tak jak on. Chociaż wydawało mu się, że gdy sam upadł ostatni raz, to już się nie podniósł.

Aż do piątkowej nocy. Z Ivy.

Po raz pierwszy od trzech lat zobaczył na chwilę człowieka, jakim chciał być.

I tak Eden miała rację. Przegrywał. Każdy dzień mijał tak, jakby magia wygasła. Nie mógł odnaleźć w sobie odwagi, by do niej zadzwonić, i nie wiedział nawet dlaczego. Zwłaszcza, że Ivy zagnieździła się w jego głowie, rozbiła tam sobie namiot. Widział te zielone oczy, które otworzyły się szerzej, gdy ją pocałował. Wciąż smakował jej usta, czuł jej włosy pod palcami...

– Nan jest po prostu nadopiekuńcza. Taka sama była przy Felicity. – Eden wgrzyzła się w swoją kanapkę, odrywając go od rozmyślań o Ivy z powrotem do rzeczywistości, gdzie powinien zostać.

– Nic dziwnego, że mnie nienawidzi – powiedział.

Eden sięgnęła po serwetkę.

– Felicity podjęła swoje własne decyzje, Dareku. Cała wina nie leży po twojej stronie.

Tak, cóż, jego siostry nie było wtedy na plaży, gdy Tiger został poczęty.

Świeżo po miesiącach walki z ogniem w drużynie hotshotów Darek wrócił do Deep Haven jak bohater, a przynajmniej tak mu się wydawało.

No i wcale nie pomagało, że Felicity zdawała się to potwierdzać, uśmiechając się do niego, flirtując z nim, całując go. Mimo to...

– Uwierz mi, to ja ponoszę całą winę. Nie żeby nie była chętna, ale... biorąc wszystko pod uwagę, to ja powinienem wtedy powiedzieć „nie”. Wiedziałem, co powinienem, a czego nie powinienem zrobić. – Tamtej nocy skradł Felicity jej przyszłość. Jej marzenia, jej plany... i szansę, by poślubiła kogoś, kto by ją naprawdę kochał.

– No, ale naprawiłeś swoje błędy.

Odsunął od siebie burgera, czując, że stracił apetyt.

– Czyżby? Poślubiłem ją, ale może przez to tylko pogorszyłem sprawę. – Popatrzył na swojego syna, widząc w nim tak wiele z Felicity: te wielkie brązowe oczy, sposób w jaki otwierał swoje ramiona na świat. – Powinienem być być dla niej lepszy.

– Byłeś młody, Dareku. I miałeś męski mózg.

Spojrzał na nią.

– Ty i mama jesteście w zмовie. Czy powinienem wiedzieć, o co chodzi?

– Ech, możesz się sam tego domyślić – powiedziała, biorąc kolejnego gryza. Przewrócił oczami.

– Nie pozwól po prostu, żeby ten sam mózg powstrzymał cię od zadzwonienia do Ivy. Lubię ją. Bardzo. I coś czuję, że ty też. – Eden odłożyła swoją kanapkę. – Ech, ta pita jest taka byle jaka!

I takie samo może stać się jego życie, jeśli zadzwoni do Ivy. Jeśli wpuści ją dalej. Popłątane. Niebezpieczne. Przerazające.

Byle jakie.

I ta myśl osadziła go w miejscu, pozbawiła woli działania. Telefon w jego kieszeni przepalał dziurę, przypominając mu, jakim był łajdakiem.

Ale ostatnim razem, gdy pozwolił swojemu sercu sobą pokierować...

– Tiger, chodź tu i jedz swoje nuggetsy. Prawie wystygły.

Tiger spojrzał na niego, po czym ruszył pędem do stołu i wspiął się na ławkę. Sięgnął po zabawkę, ale Darek zabrał mu ją.

– Po nuggetsach.

Tiger zmarszczył czoło, ale zaczął jeść swój lunch.

Słońce stanęło w zenicie, po niebie pływało tylko kilka chmurek. Delikatny dym zabarwił powietrze. Dochodził pewnie z jakiegoś ogniska albo nawet ze sklepu rybnego, gdzie wędzono zdobycze z dzisiejszego połowu. Na plaży w porcie kilkoro dzieci rzucało kamienie do wody albo puszczało kaczkę. Jakieś małżeństwo, trzymając się za ręce, przechadzało się brzegiem kamienistej plaży.

– Kiedy wracasz? – Darek podniósł frytkę i umoczył ją w keczupie.

– Po południu. Niby mam tydzień wolnego, ale Owen jutro gra.

– Co tam u niego? – Nie spędził zbyt wiele czasu ze swoim najmłodszym bratem. Casper i ojciec sterowali wtedy rozmową, która kręciła się wokół drużyny Wild, nowych zagrywek, statystyk i szans na wygraną... Ale to nigdy nie było życie Dareka.

– Jest młody. I trochę zbyt sławny, jak na tak młodego człowieka. Pojawi się o nim wzmianka w najnowszym numerze *Sports Illustrated*, jakiś artykuł o gwiazdach tego sezonu. A ludzie od kontaktów z mediami drużyny Wild kazali mu grać w charytatywnych meczach i pojawiać się na różnych imprezach przez całe lato.

Darek upił łyka coli, po czym opróżnił puszkę do końca i zgniótł ją w ręce.

– Nigdy bym się nie spodziewał, że zobaczę kogoś z rodzeństwa na okładce *Sports Illustrated*.

– Nie ma go tam. Ale będzie.

– A co z tobą? Kiedy zobaczę twoje nazwisko pod artykułem?

Eden skończyła swoją kanapkę, zawijając resztki w folię.

– Chciałabym, gdyby tylko udało mi się dostać do działu wiadomości, zacząć opisywać prawdziwe, bieżące wydarzenia. Nekrologi to taka sztywna robota. – Mrugnęła do niego, ale zobaczył frustrację w jej oczach.

– Uda ci się, siostrzyczko.

– Jeden temat. Potrzebuję tylko jednego tematu. A na razie siedzę w Minneapolis, by pilnować Owena.

– Powodzenia – powiedział Darek. – To tak, jakby trzymać Tigera z dala od kłopotów. Prawda, kolego?

Eden roześmiała się, gdy chłopiec się do nich wyszczerzył. Biedak, wyglądał jakby zderzył się z ciężarówką. Jego podpuchnięta warga była umazana keczupem. Szwy nad okiem prawie całkiem mu się rozpuściły. Jadł frytki ubrudzonymi rękami, a na kolanach miał ślady od trawy, które zostały mu po upadku.

Słowa Nan z niedzieli wbiły się do głowy Dareka. *Nie potrafisz opiekować się nim lepiej?*

Może nie. Może powinien przyznać, że Nan i George Holloway'owie potrafiliby zajmować się Tigerem o wiele lepiej. Mogliby poświęcać mu tyle uwagi, ile potrzebował, wypełnić jego świat tą odrobiną Felicity, której mu brakowało.

A wtedy... Wtedy Darek by odszedł. Zrobiłby coś ze swoim życiem, na przykład znów zaczęłyby walczyć z ogniem. Albo dokończyłby swoje szkolenie jako ogniomistrz.

Kiedy wróciliby do domu, byłby dla swojego syna bohaterem. Byłby mężczyzną, który pojawiłby się w jego życiu i zabierałby go na ryby, nauczył go pływać, polować i kochać las.

Zamiast być tym wiecznie zmęczonym facetem, zawsze gorszym ojcem, niż by tego chciał.

– Ośrodek wygląda dobrze. Ty i tato odwaliliście kawał dobrej roboty, przebudowując werandę przy domku numer cztery. I... czyżbym, wreszcie, w biurze zauważyła plany sauny?

– Owszem, nareszcie. I nowego placu zabaw. Ale tak naprawdę przede wszystkim potrzebujemy Internetu.

Skrzywiła się.

– Eden, nie mieszkasz tutaj. To odludne miejsce. Rodziny chcą mieć kontakt ze światem. A nastolatki muszą aktualizować sobie status na Facebooku.

Zakręciła koktajlem w szklance.

– Zauważyłam, że w tym tygodniu mieliśmy wynajęte tylko dwa domki.

– Rodziny Schmittsów i Iversonsów przyjechały wczoraj. W tym samym tygodniu, jak co roku od dekady.

– Niech ich Bóg błogosławi.

– Ale ich dzieci nie przyjeżdżają. Musimy coś zrobić. Nikt nie chce przyjechać do ośrodka Evergreen i wypożyczyć sobie łódki albo posiedzieć na werandzie i poczytać.

Przyjrzała mu się w zamyśleniu.

– A więc co mamy zrobić? Przekonać mamę i tatę, by sprzedali to miejsce? Co by wtedy zrobili? Dokąd by poszli?

– Sprzedali? Oczywiście, że nie.

Wyciągnęła rękę w przepraszającym geście.

– Przepraszam. Pomyślałam po prostu, że... Cóż, zdawało mi się, że chcesz iść naprzód ze swoim życiem i...

– Chcę wprowadzić tu zmiany na lepsze, Eden. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby ośrodek Evergreen znów pojawił się na mapie, aby pękał w szwach, jak za dawnych czasów. Dla mamy i taty. I dla Tigera.

Uniosła brew.

– Co za zmiana. Przekonujesz samego siebie czy mówisz serio?

– Mówię serio. Nie wydaje ci się, że Tiger zasługuje na takie dzieciństwo, jakie my mieliśmy?

Eden skończyła koktajl, po czym pozbierała swoje śmieci.

– Chcesz, aby Tiger miał lepsze dzieciństwo? Myślisz o jego przyszłości? Zadzwon do Ivy. – Wstała, podeszła do Tigera i wytarła mu buzię. – No dalej, kolego. Wiedziałeś, że jeśli położysz sól na ogonie mewy, to będziesz mógł ją złapać?

– Serio? – Tiger wymamrotał z pełnymi ustami i ześlizgnął się z ławki.

– Super, Eden.

Posłała Darekowi szeroki uśmiech i poprowadziła Tigera w kierunku plaży.

Jej słowa wyryły się w sercu Dareka. *Chcesz, aby Tiger miał lepsze dzieciństwo?*

Tak, chciał tego.

Darek wziął głęboki oddech, wyciągnął telefon i odszedł od stołu w kierunku parkingu. Musiał po prostu do niej zadzwonić. Zapytać ją, co robi w weekend. Może mógłby ją zabrać na ryby.

Na ryby? Och, ratunku. Mógł postarać się bardziej. Gapił się na telefon, starając się przywołać słowa. Jakiegokolwiek.

Hej, Ivy, tu Darek. Tylko tyle wymyślił, gdy usłyszał, jak na parking wjeżdża jakiś pojazd. Odsunął się na trawę i podniósł głowę, jak tylko zatrzymał się obok niego.

Zamarł. Nie może być.

Pojazd przypominał karetkę z drzwiami z tyłu, za którymi znajdowały się zaplecze i łóżko. Umiejscowione wzdłuż boku furgonetki klamki wskazywały położenie czterech schowków. Pamiętał, że po drugiej stronie znajdują się identyczne przestrzenie na rzeczy osobiste, artykuły spożywcze, lekarstwa, sprzęt gaśniczy.

Świeża warstwa jasnozielonej farby pokrywała karoserię, a na górze znajdował się napis: „Hotshoci Hrabstwa Jude”.

Darek opuścił telefon.

Wóz bojowy hotshotów hrabstwa Jude właśnie przyjechał do miasteczka.

I wtedy nagle – powinien się tego spodziewać – drzwi otworzyły się i od strony pasażera wyskoczył mężczyzna, który był niegdyś szefem jego zespołu. Teraz na kieszeni koszuli Jed Ransom miał wypisane słowo „Kapitan”.

– Mówiłem wam, że go znajdziemy, chłopaki. – Jed podszedł do Dareka i wyciągnął do niego rękę. – Dare, jak leci? Masz ochotę powalczyć trochę z ogniem?

[8] Amerykańska firma zajmująca się internetową sprzedażą m.in. odzieży, obuwia i sprzętu sportowego (przyp. tłum.).

dziewięć

– Zrobiliśmy w niedzielę rano, koło szóstej, rozpoznanie lotnicze. – Jed rozwinął mapę na wielkim stole konferencyjnym w pomieszczeniu znajdującym się w budynku Narodowej Służby Leśnej. Zawsze górował nad pozostałymi strażakami przynajmniej o trzydzieści centymetrów, i to nie tylko wzrostem, ale też posturą. Ciemnowłosa mężczyzna z Montany ze śladem zachodniego akcentu, znał się na ogniu jak nikt inny. Zaczynał od najniższego stopnia, jako piechur – miał wtedy osiemnaście lat. Szybko piął się w górę po szczeblach kariery, ukończył Butte College z dyplomem technika pożarnictwa, a teraz prowadził szkolenia i czuwał nad dyscypliną jednej z najbardziej zgranych ekip na zachodzie kraju.

Był takim człowiekiem, jakim Darek niegdyś chciał zostać.

Hotshoci z hrabstwa Jude szkolili się w Ember, w Montanie, ale wyjeżdżali na akcje z Boise, z Narodowego Międzyagencyjnego Biura Pożarowego. Ich zespół często był wzywany jako pierwszy, gdy zaczynał się pożar, zwłaszcza w wyschniętych na wiór lasach regionu Boundary Waters Canoe Area, gdzie dziesięć lat temu silna wichura porzuciła martwe drzewa jak zapalki na powierzchni miliona akrów lasu.

Darek ledwo panował nad adrenaliną, która szalała w nim, gdy słuchał rozmów wchodzących hotshotów oraz szumu radia w biurze służby leśnej.

– Gdzie się zaczął?

– Sądzą, że tutaj. Na południowo-wschodnim krańcu jeziora Swan. – Jed wskazał to miejsce na mapie, dwadzieścia trzy mile na północny zachód od Deep Haven, daleko w Boundary Waters Canoe Area. – Służby pogodowe ustaliły, że to tam w piątek przeszła burza z jakimś tysiącem uderzeń piorunów. Mogła być jeszcze jedna, ale nikt nie spostrzegł żadnej aktywności aż do rana.

Darek pamiętał tamtą noc – suchą, panował niemal skwar.

Właśnie tamtej nocy pocałował Ivy.

– W tej chwili nie uda nam się tam dostać lądem. Będziemy musieli użyć drogi wodnej. Na razie oceniamy, że pożar pochłonął ponad trzynaście tysięcy akrów tajgi.

Wszystkie świerki, sosny, jodły i brzozy na tym obszarze poszły z dymem. Darek mógł sobie wyobrazić ten ogień niemal tak, jakby tam był – przepocona żółta koszulka przyklejająca mu się do ciała, topory strażackie w ruchu, pył w powietrzu, ryk pił łańcuchowych, piekący smoczy ogień na ich plecach. Mógł poczuć gryzący dym, rozżarzone węgielki padające jak śnieg, pokrywające jego kask. Nieznośne gorąco wysuszyłoby mu gardło, zmusiło go do zawiązania sobie chustki wokół nosa. Przekopywałyby ściółkę razem z dwudziestoma innymi ochotnikami, walcząc wspólnie z żywiołem.

Tak, brakowało mu tego.

– Oceniamy, że wraz z pozostałościami po nawałnicy możemy mieć pięćdziesiąt do stu ton suchego paliwa na akr. Ogień przeskakuje od jeziora do jeziora przez wyspy, a rekonesans powietrzny z dzisiejszego ranka wykazał, że płomienie sięgają nawet trzydziestu metrów długości.

Darek rozpoznał kilku hotshotów spośród tych, którzy weszli do środka. Graham, zaprawiony w boju Indianin, drwał zbudowany jak forteca. No i Pete Holt, były żołnierz, który odbył kilkakrotnie służbę w Afganistanie. Akurat gdy Darek odchodził, miało mu się urodzić dziecko. Mógł być teraz szefem całej jednostki, sądząc po tym, jak wydzierał się na młodzików – dzieciaki z college'u, które zarabiały na chesne.

W ekipie była jedna kobieta, blondynka z włosami zebranymi w długi warokocz. Od razu zaprzyjaźniła się z Tigerem, który podziwiał ich toporki, hełmy i sprzęt. Dała Tigerowi do zabawy swój gwizdek, a chłopiec zadał w niego mocno, wywołując u wszystkich śmiech.

Tiger był szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu.

Zupełnie jak jego ojciec.

W centrum dowodzenia Narodowej Służby Leśnej aż wrzało. Nadchodziły kolejne raporty z rekonesansu powietrznego, a pobliskie radio nadawało doniesienia o pogodzie.

Jed słuchał na przemian prognoz i wykładu na temat ukształtowania terenu, przygotowanego przez lokalnego pracownika Narodowej Służby Leśnej.

– Jeśli uda nam się opanować ogień, nim dotrze tutaj, do jeziora Bower Trout, wtedy nie będziemy musieli ogłaszać ewakuacji. Nad Trout położonych jest jakieś siedemdziesiąt domów.

– W okolicy nie przeprowadzano żadnych obowiązkowych wypalań. Nigdy – powiedział Darek, pokazując na mapie obszar od strefy pożaru do Trout, a potem dalej do jeziora Two Island. – Musimy powstrzymać ogień, nim dotrze do Two Island. Na południe od Two Island zaczynają się już tereny mieszkalne. Jest tam ośrodek opiekuńczy „Ogród”. – Wskazał na duży obszar na północ od jeziora Evergreen. – No i oczywiście nad jeziorem Evergreen stoi jakieś sto dwadzieścia domów, nie wspominając nawet o naszym ośrodku.

– W linii prostej stamtąd mamy Deep Haven – zauważył Graham.

– Zatrzymamy go na długo przed tym, nim dosięgnie Deep Haven. – odparł Jed. – Poprosiliśmy, by przysłali nam Bombardiera CL-215, samolot cysternę. Powinien zjawić się tutaj jeszcze dzisiaj. Zabierzemy go tam i zobaczymy, czy uda się nam zrobić jakąś wyrwę w płomieniach.

Darek spojrział na mapę, prześledził drogę pożarową, a potem trasę, którą transportuje się łódzie do jeziora Ball Club.

– Mógłbyś rozpocząć kontrolowane wypalanie roślinności po północnej stro-

nie Ball Club. Może udałoby się zawczasu zniszczyć całe paliwo, wygasić w ten sposób pożar.

Jed pochylił się nad mapą.

– Dobry pomysł. Gdy już wyślemy ten samolot, to wtedy ocenimy, czy potrzebna będzie ekipa. – Odwrócił się do Dareka. – A tak przy okazji, miło cię widzieć. Co tam u ciebie?

– Dobrze.

– Brakuje nam cię w drużynie. Nikt nie potrafi tak śpiewać Johnny’ego Casha jak ty i Jensen.

– Brakuje mi *A Boy Named Sue!* – huknął Pete Holt.

Darek nie pozwolił, by jego uśmiech przygasł. Może o niczym nie wiedzieli albo nie pamiętali, jak wszystko ułożyło się pomiędzy nim a Jensenem. A jednak to były dobre dni.

Energia buzująca w tym pomieszczeniu, pośród zebranych pochłoniętych analizą statystyk pożarowych, zdawała się zaraźliwa. Przysłano tutaj ekipę uczestniczącą w akcji gaszenia poprzedniego pożaru, całe lata temu, niedaleko jeziora Sea Gull, który pochłonął mnóstwo ośrodków i domów mieszkalnych. Najwidoczniej Narodowa Służba Leśna nie chciała ryzykować w tym suchym okresie.

Prawda była taka, że całe hrabstwo mogło pójść z dymem, jeśli nie ugaszą tego ognia, i to szybko.

Ktoś wsadził na głowę Tigera pomarańczowy hełm strażacki i pozwolił mu pogrzebać w plecaku pełnym sprzętu. Darek nie miał wątpliwości, że w głowie pięciolatka mogło właśnie kiełkować marzenie.

Do pomieszczenia wszedł mężczyzna niosący duże pudło. Miał około metra osiemdziesiąt wzrostu, ciemnoblonde włosy i żołnierską sylwetkę. Postawił pudło na podłodze, po czym podszedł do stołu i otworzył laptopa.

– Już przygotowałem mapę i naniósłem na nią warunki pogodowe, a także ilość potencjalnego paliwa. Powinno nam to powiedzieć, jak mniej więcej będzie się rozprzestrzeniał ogień. – Na ekranie wyświetlił się obraz. Zagrożony teren otoczony był czerwoną linią, mapa pokazywała też płonący obszar.

– Dare, poznaj Connera Younga. Dołączył do nas w tamtym roku i wykonywał różne zaawansowane prace związane z łącznością. Stworzył program, który pomaga nam odczytywać i przewidywać zachowanie ognia.

– Ciężko to robić, przebywając ponad dwadzieścia mil dalej. Lepiej zbliżyć się do niego, zobaczyć go, usłyszeć go. – Mimo to program mógł pomóc zaoszczędzić im cenny czas i środki, jeśli faktycznie zdoła przewidzieć, jak zachowa się ogień. – I to działa?

– Wciąż go testujemy, ale potrafi wprowadzić dane prosto na handheldy – Jed wskazał na pudło. – Coś w rodzaju smartfonów, ale z lepszym zasięgiem.

– Potrafią wytrzymać ciskanie na ziemię, kopniaki i przypalanie?

– Och nie. Od tego są hotshoci – odparł Conner, uśmiechając się.

Darek dałby mu gdzieś koło czterdziestki, może trochę więcej. W jego spojrzeniu malowało się doświadczenie. Polubił go. – Jak często odświeżają się dane?

– W tej chwili zależy to od satelity. Tego samego Dopplera, którego używają agencje meteorologiczne. Ale możemy otrzymywać dane także z samolotów, a w Montanie pracujemy na zdalnym systemem monitoringu zamontowanym na wieżach obserwacyjnych. – Spojrzał na Jeda. – Ale przyznajemy bez bicia, że nie da się niczym zastąpić doświadczenia i obserwacji bezpośredniej na miejscu.

Darek pochylił się, zebrał się na odwagę, po czym dotknął ekranu.

– Jeśli będziemy musieli, będziemy mogli pójść tędy... – Przesunął palcem wzdłuż wyznaczonej trasy do transportu łodzi, a potem skierował się na wschód i południe. – Przy drodze leśnej sto pięćdziesiąt trzy jest spora polana. Doskonałe miejsce, żeby rozbić obóz.

Jed przyjrzał się trasie na mapie.

– Dare, bardzo chciałbym, abyś dołączył do nas i pomógł mi zwalczyć ten ogień. Nawet w centrum dowodzenia. Albo, jeśli chcesz, mógłbyś pójść z nami na akcję. Znasz ten teren, wiesz, jak ogień może się tu zachować.

Tak. Słowo już prawie wyrwało się z jego ust. Prawie.

– Ja... Chciałbym bardzo, ale... – Spojrzał na Tigera. – Nie mogę.

– Nie masz nikogo, kto mógłby go popilnować?

– Nie wiem. Może. – Na pewno matka Dareka nie miałaby nic przeciwko. Albo Nan. Z ochotą skorzystałaby z okazji, by się nim zaopiekować. Może nawet przez całą noc.

Tyle, że dostarczyłoby to jej idealnego dowodu na potwierdzenie tezy, że wcale nie chciał być ojcem, że wolał pognać na łeb na szyję gasić ogień, niż opiekować się synem.

– Tato! Muszę siku! – Tiger podbiegł do niego, trzymając się za spodnie i przestępując z nogi na nogę.

Darek chwycił syna za ramię i zaprowadził do łazienki. Słyszał za sobą śmiechy chłopaków. Stał w drzwiach, a jego szyja płonęła, podczas gdy Tiger się załatwiał.

– Żaden problem, Dare. Masz pełne ręce roboty – powiedział Jed. Posłał mu uprzejmy, niemal litościwy uśmiech.

A może Darek tylko sobie wyobraził tę litość.

Wziął głęboki oddech.

– Gdzie się zatrzymacie?

– Nie wiem. Znasz tutaj jakieś dobre miejsce? Służba leśna pokryje koszty.

Darek uśmiechnął się. Istniał więcej niż jeden sposób, aby włączyć się do akcji.

– Tak się składa, że znam idealne miejsce.

– Niby dlaczego miałbyś spędzać swoją przerwę na lunch na przegrywaniu w warcaby? Myślę, że to był bardzo zły pomysł. – Gibs zdjął dwa czerwone pionki Jensena. – Damka.

– Jesteś lepszym kompanem niż mewy – powiedział Jensen, dodając czarny pionek do Gibsonowych. – Poza tym udało mi się wygrać kilka razy.

Słońce wpadało przez szpitalne okno w pokoju Gibsa, oświetlając łóżko i czerwony fotel naprzeciwko stolika nocnego, gdzie siedział Jensen. Jego niedojeziona bułka leżała obok.

Właściwie Jensen mógłby to nazwać, o ile ktoś wyciągnąłby to z niego na torturach, tchórzostwem.

Gdy przyjechał dwa dni temu budować rampę, nie miał pojęcia, że zastanie tam Claire. Jej towarzystwo rozpraszało go – jeśli nie zachowałby ostrożności, mógłby odciąć sobie palec albo przywalić sobie młotkiem prosto w kciuk.

Albo powiedzieć coś równie głupiego, jak uwaga o pójściu do więzienia. Patrzyła potem na niego dokładnie tak, jak na to zasługiwał.

To dlatego właśnie wołała siedzieć w środku. Już więcej do niego nie wysła. I dlatego właśnie nie mógł zdobyć się na powrót, dopóki Claire nie zacznie swojej zmiany o czternastej.

Mógł pracować do późna w nocy, żaden problem. Był świetny w pracy o zmierzchu.

– Jensen, skup się. Właśnie zbiłem ci dwa pionki. Jeśli nie grasz po to, aby wygrać, daj sobie spokój.

Spojrzał na Gibsa, ale ten miał uśmiech na twarzy.

– Chcesz, żebym cię pokonał, staruszkule?

– Możesz przynajmniej spróbować.

Jensen przesunął pionek, poczekał na ruch Gibsa, po czym zbił mu dwa pionki za jednym zamachem.

– Damka.

– No, o to właśnie chodzi. Grasz jak zbity pies. To nie ten Jensen, jakiego znam.

– Jensen, jakiego znałeś, był lekkomyślny, niebezpieczny i pakował ludzi w kłopoty.

– Nie, Jensen, jakiego znałem, był zarozumiałym smarkaczem, który pragnął tylko zainteresowania dziewczyn.

Jensenowi opadła nieco szczeka.

– Kiedy pierwszy raz cię spotkałem, robiłeś salto do tyłu z werandy. Jeśli dobrze pamiętam, był wtedy maj, a jezioro zbyt zimne, aby w nim pływać, ale ty i Darek popisywaliście się przed dziewczynami.

– Ja nigdy...

– Proszę cię... – Przesunął swój pionek, uniemożliwiając Jensenowi bicie. – Ty i Darek przez całe lato tylko przeżyliście muskuły i chwaliliście się swoją opalenizną przed Claire i Felicity. Nawet gdy nie pływałeś motorówką swojego ojca po jeziorze, zawsze trzymałeś się jakoś w pobliżu. Ale w czasie, gdy Darek zaczynał szukać jakiejś kolejnej przygody, ty zawsze upewniałeś się, że dziewczyny dotarły bezpiecznie do domu. Zawsze też uśmiechałeś się do mnie i do Neldy. I nie mów mi, że to nie ty przyszedłeś wcześniej i ułożyłeś w stosy moją dostawę drewna. Nie jestem głupi.

Jensen przesunął damkę na drugą stronę planszy, udając, że ma jakąś strategię.

– Po prostu cieszę się, że znów do nas wróciłeś. Zastanawiam się tylko, czy moja wnuczka ma z tym coś wspólnego.

Jensen podniósł głowę i spróbował się uśmiechnąć.

– Ale gdzie tam. Widziałem ją, gdy byłem tutaj ostatni raz. – Nie miał pewności, czy Claire wspomniała mu o przeróbkach w jego domu. – Poza tym nigdy stąd nie odszedłem, Gibs.

Gibs przesunął swój pionek do przodu. Strategia ta nie miała dla Jensena sensu.

– Oczywiście, że odszedłeś.

– Mieszkam w tym samym miejscu, w domu mojego ojca, od trzech lat. – Przesunął pionek bliżej, szykując się do ataku.

– To, że nadal tam mieszkałeś, wcale nie znaczyło, że nie odszedłeś. – Gibs odsunął swój pionek z dala od pionków Jensena. – Tamtego dnia, gdy wyszedłeś z sądu, uwięzany w Deep Haven, odszedłeś. Jensen, którego znałem, po prostu umarł. A ten dziwny młodzieniec, który chodził ze spuszczoną głową, zajął jego miejsce.

Jensen zapatrzył się na planszę.

– A co niby miałem zrobić? Musiałem tu mieszkać. Ale wcale nie musiało mi się to podobać. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie chodzić po ulicach miasta z tarczą strzelniczą na plecach, gdy ludzie rozmawiają o tobie, oskarżają cię o coś, czego nie zrobiłeś. – Przesunął pionek.

Gibs przesunął damkę na drugą stronę planszy, zachodząc z flanki pionki Jensena na wypadek, gdyby ten chciał zbić jego pionek.

– Wiem doskonale, jak się czułeś, synu. Jestem weteranem wojny w Wietnamie. Powróciłem do kraju, który mnie nienawidził, oskarżał mnie o mordowanie dzieci, o palenie wiosek. Nie raz miesza mi błotem, odmawiali mi obsługi w pubie dla weteranów. Stałem się pariasem w tym kraju, nawet w tym miasteczku. Wiedziałem, że nie zrobiłem tego, o co mnie oskarżali, ale nie miało to znaczenia. Wierzyli w to, co chcieli. Twój ruch.

Ale Jensen zamarł. Wbił wzrok w Gibsa.

– Przykro mi.

– Gdy ludzie wyrobią już sobie opinię o tobie, bardzo ciężko ją zmienić. Dusilem w sobie frustrację, walcząc z nią każdego dnia. Przez jakiś czas pozwoliłem, by zjadała mnie od środka. Zacząłem pić, stałem się prawdziwym utrapieniem. Wciąż nie mogę uwierzyć, że Nelda mnie nie porzuciła. Wykopała mnie ze swojego łóżka, ale nie z domu. Dziękuję za to Bogu. I wtedy pewnej nocy wróciłem do domu na rauszu. Zapaliłem papierosa i zasnąłem na kanapie. Mój syn, Ricky, obudził mnie, krzycząc. Miał wtedy jakieś osiem lat. Prawie przyprawił mnie o zawał, ale dywan zaczął się palić. Nelda i ja wynieśliśmy go na zewnątrz, po czym szybko zdusiliśmy płomienie na kanapie i wtedy naskoczyła na mnie.

Spojrzał Jensenowi w oczy.

– Tamtej nocy prawie straciłem ich oboje, bo nosiłem w sobie gniew z tego powodu, jak mnie potraktowano. Moja Nelda zdjęła mi bielmo z oczu, gdy powiedziała mi, że może i nie zabijałem noworodków w Wietnamie, ale wciąż byłem grzesznikiem w Deep Haven.

Jensen zmarszczył brwi. Gibs ciągnął dalej.

– Wyciągnęła z półki Biblię i wepchnęła mi ją do rąk. Nigdy nie zapomnę jej słów: „Nikt nie jest sprawiedliwy, nikt. A więc przestań obnosić się ze swoją urażoną dumą i uświadom sobie, że jesteś wrakiem, Jacku Marshallu Gibsonie”. Wystraszyła mnie niemal na śmierć, używając mojego pełnego imienia. „Dobra wiadomość jest taka, że Bóg wciąż cię kocha. I ja także”.

Skrzywił się.

– I wtedy właśnie wyrzuciła mnie z domu i zaryglowała drzwi.

– Auć.

– Poszedłem prosto do mojego kościoła na Third and Third, upadłem na kolana przed ołtarzem i zacząłem płakać. Widzisz, miała rację. Byłem zły, że tak źle mnie potraktowano, twierdziłem, że to niesprawiedliwe. I nie miało znaczenia, o co mnie oskarżali. Bo i tak byłem grzesznikiem. Nie ponosiłem winy za zbrodnie wojenne, ale uczyniłem wiele rzeczy, których mogłem się wstydzić. Prawda jest taka, że gdybyśmy wszyscy nosili swoje grzechy wypisane na plecach... Cóż, wszyscy próbowalibyśmy się schować w lesie, prawda, Jensenie?

Jensen patrzył na niego, niepewny, o kim on w ogóle mówi. Chociaż raz Jensen chciałby, aby Deep Haven przyjrzało się dobrze *Darekowi* i *jego* udziałowi w tym koszmarze, który tak wiele zniszczył.

Ale nikt nigdy nie przyjrzał się złotemu chłopcu, by dostrzec prawdę. Ławiej było im się uwziąć na bogatego dzieciaka.

Twarz Gibsa złagodniała.

– Chociaż te wszystkie oskarżenia były niesprawiedliwe, Bóg użył ich, aby przypomnieć mi, że Nelda miała rację. Żaden człowiek nie jest sprawiedliwy, gdy

stoi przed Nim. Nie mówię, że ani ja, ani ty nie padliśmy ofiarą fałszywych oskarżeń. Ale Biblia mówi, że jeśli twierdzimy, iż jesteśmy bez grzechu, to tylko oszukujemy samych siebie i żyjemy w kłamstwie. Bóg widzi twoje serce, Jensenie, i On zna prawdę. I tak, ta myśl powinna cię przerazić. Mnie przerażała.

Jensen popatrzył na swoją niedokończoną kanapkę, a potem na zegar. Starał się nie myśleć o tym, jak często budził się w nocy, cały roztrzęsiony, zlany potem, z krzykiem, który zastygł mu na ustach. Jak siedział na werandzie, czekając na wschód słońca.

– Widzisz, niektórzy ludzie złoścą się, że w ogóle muszą prosić o przebaczenie. Zwłaszcza za bycie człowiekiem, za popełnianie błędów. Chodzą i wykonują prace społeczne, by naprawić swoje błędy.

– Zostałem *skazany* na prace społeczne – wtrącił Jensen, lecz Gibs zdawał się tego nie słyszeć.

– Ale istnieje nawet większa prawda: Bóg wie, że nie możesz tych błędów naprawić. Żadnego z nich. Ale On może. W dniu, kiedy przyjrzałem się dobrze moim grzechom, moim prawdziwym grzechom, odnalazłem werset dziewiąty w pierwszym rozdziale Pierwszego Listu św. Jana: „Jeżeli wyznajemy nasze grzechy, Bóg jako wierny i sprawiedliwy odpuści je nam i oczyści nas z wszelkiej nieprawości”.

– Nie jestem nieprawym.

– Jensen, spędziłeś trzy lata, udając, że cię nie ma, starając się wszystko naprawić. Ale nie możesz odkupić sam siebie. Nie możesz sam poskładać w całość siebie ani swojego życia. Tylko Bóg to potrafi.

Może staruszek miał rację – przegrana w warcaby podczas lunchu to zły pomysł. Lepiej już stanąć twarzą w twarz z Claire. Przynajmniej przy niej nie miał ochoty uderzyć w coś bardzo mocno.

Chociaż nie, chwila... tak, miał.

Jensen odwrócił wzrok.

– Czy przyszło ci do głowy, że Bóg może chcieć przykuć twoją uwagę? Że bardziej zależy Mu na twoim sercu niż na twoich dobrych uczynkach? – powiedział Gibs.

– Nie może mieć mojego serca. Nie po tym, co zrobił z moim życiem.

– Zdaje mi się, że robisz z Bogiem to samo, co miasteczko zrobiło z tobą. niesprawiedliwie Go oskarżasz.

Jensen wziął swoją kanapkę, przyjrzał się jej z namysłem, po czym zawiązał w papier.

– Im dłużej będziesz trwał w złości na Boga i swój los, tym dłużej pozostaniesz zrujnowany.

– Nie jestem zrujnowany, staruszkule. Po prostu... Mam już dość poczucia, że nigdy nie ucieknę od tego jednego błędu.

Gibs odchylił się, opierając się na poduszkach. Spojrzał Jensenowi w oczy.
– No dobra. Wiem, że nie jestem idealny – przyznał Jensen. – Ale staram się...

– Nikt w to nie wątpi.

– A więc skąd to kazanie?

– Dlaczego warcaby? – zapytał Gibs miękko.

– Nie wiem. Może... ponieważ chcę... – Ech, nic z tego nie miało sensu. – Zapomnij.

– Jak na człowieka, który myśli, że nie potrzebuje przebaczenia, zdecydowanie starsz się usilnie na nie zasłużyć. Może powinieneś zacząć od przeprosin.

Jensen wstał. Porwał swoją kanapkę. Zagryzł zęby tak mocno, że jego siekacze aż zatrzeszczały.

– Nie możesz chodzić ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy, podczas gdy w środku chowasz taką ruinę. Wcześniej czy później wyjdzie to na światło dzienne, a wtedy ktoś zostanie zraniony. – Oczy Gibsa pociemniały. Było w nich coś ze starego weterana. – Ktoś taki, jak moja wnuczka.

Odczuł tę groźbę jak uderzenie w gardło, szybkie i bolesne.

– Nigdy nie skrzywdziłbym Claire. Niczego nie wiesz, staruszk.

Jensen obrócił się i już chciał wychodzić, ale zatrzymał się i naskoczył na Gibsa.

– W tamtej chwili, gdy Felicity umarła na moich rękach, plamiąc je swoją krwią, w tym momencie miasteczko przestało słuchać, a zaczęło wytykać palcami. Uciszyli każde przeprosiny, jakie mogliby dostać. Oczywiście, że było mi przykro! Na tak wiele sposobów, że nawet nie potrafiłbyś ich zliczyć. Ale gdy obrzucili mnie winą, zacząłem się bronić. Nie mogłem odwrócić się i przeprosić, bo by mnie ukrzyżowali. – Jego głos drżał, ale nie obchodziło go to. Nie obchodziło go także to, że naprawdę może się załamać. Oczy piekły go od wstrętnych łez. – To miasteczko skradło moje prawo do żałoby.

Przełknął ślinę. Wziął głęboki oddech.

– Spróbuj zabić kobietę, którą kochałeś, i zobaczysz wtedy, jak będziesz spał w nocy. Zobaczysz, jak będziesz mógł spojrzeć na siebie w lustrze. Jedyne, co będziesz chciał zrobić, to uciec, udawać, że nie jesteś tą osobą, którą widzisz. Ale nie mogę tego zrobić, prawda? Uwierz mi, o wiele łatwiej jest być wściekłym. – Jensen wypadł z pokoju jak burza, przemaszerował przez korytarz aż do swojego samochodu.

Siedział tam w skwarze dnia, czując jak po plecach spływa mu pot.

Jeśli chcieli go obwiniać za zbrodnię, mieć powód, by zamknąć go w więzieniu, może jakiś im da.

dziesięć

Gdyby Jensen nie chciał, aby podsłuchiwała, powinien przestać odwiedzać jej dziadka. Albo przestać krzyczeć. Claire mogłaby go usłyszeć w innym hrabstwie, może nawet w Wisconsin.

Spróbuj zabić kobietę, którą kochałeś, i zobaczysz wtedy, jak będziesz spał w nocy.

Słowa Jensena wbiły ją w podłogę w holu przy dyżurce, gdzie starała się złapać lekarza i porozmawiać z nim o stanie zdrowia dziadka.

Kochał. Oczywiście, że kochał Felicity. Wiedziała o tym. Ale usłyszeć, jak się do tego przyznaje...

Kilka godzin później Claire wciąż nie potrafiła poradzić sobie z gniewem, który rozsadzał jej serce. Była zła zwłaszcza na samą siebie, bo wątpiła w słowa Felicity. Nie, jej przyjaciółka nie powiedziała tego wprost, ale i tak poznała prawdę po sposobie, w jaki Felicity zasugerowała, że miała romans z Jensenem. Kochał ją.

Kochał.

Kiedy niemal obcięła sobie palec, odłożyła nóż na deskę do krojenia. Drżała.

Zaraz obok niej Grace rozciągała ciasto, patrząc na kartę z zamówieniem przed sobą. Spojrzała na Claire.

– Zaproponowałabym, że się z tobą zamienię, ale ten klient chce mieć grube ciasto, a nie coś ubitego na papkę.

Claire zmusiła się do uśmiechu.

– Przepraszam.

Tucker pilnował kasy przy barze, chociaż akurat w tym momencie czyścił mikrofalówkę. W samej restauracji nie było żadnych gości; to samotne zamówienie szło na wynos.

Claire pewnie wcale nie musiała kroić cebuli, ale schowa ją na jutro. Przynajmniej mogła przelać w coś swój ból.

Jaka była głupia, że znów wpuściła Jensena do swojego życia, by rozpanoszył się i zrobił kopniakiem kilka nowych dziur w jej sercu.

Może powinna opuścić miasteczko. Kiedy jej rodzice przyjadą i sprzedadzą dom, jednocześnie usuwając dziadka z jej życia, i tak nie będzie nigdzie przypisana.

Zamrugła kilka razy, czując, jak pieką ją oczy.

– Co cię gryzie? – Grace nabrała chochlą trochę białego sosu i rozprowadziła go po cieście. Musiała właśnie przygotowywać swoją specjalność, czyli pizzę szpinakową.

– Nic takiego.

Naprawdę. No bo jak Claire mogła przyznać się komuś, jak bardzo czuła się

zdradzona. Jak przez tych ostatnich kilka dni Jensen w jej głowie... może przestał być takim czarnym charakterem, a stał się bardziej przyjacielem, którego pamiętała.

I wtedy, za pomocą jednego tylko zdania, przypomniał jej dokładnie, dlaczego nie rozmawiała z nim przez ostatnie trzy lata.

– Prawie dodałaś swój palec do przybrania. – Grace zerknęła na nią, gdy Claire zacisnęła pięść. – Tak, widziałam to. – Posypała lekko górę pizzy startym serem provolone. – Brakowało nam ciebie na kręgu biblijnym.

– Byłam u dziadka.

– Modliliśmy się za niego. Co z nim?

– Nie rozumiem. Jest przykuty do łóżka, odczuwa ból, a zachowuje się, jakby w życiu się tak dobrze nie bawił.

– Twój dziadek zawsze potrafił przywołać uśmiech na mojej twarzy. Zawsze mówił mi coś miłego w kościele. Ale przegapiłaś świetne spotkanie. Mówiliśmy o psalmie sto czterdziestym piątym, wersetach od siedemnastego do dziewiętnastego. „Pan jest sprawiedliwy na wszystkich swych drogach i łaskawy we wszystkich swoich dziełach. Pan jest blisko tych wszystkich, co wzywają Go, wszystkich wzywających Go szczerze. Spełnia wolę tych, którzy się Go boją, usłyszycie ich wołanie i przyjdzie im z pomocą”.

Cała Grace, nauczyła się tego fragmentu na pamięć.

Przystroiła pizzę szpinakiem.

– Rozmawialiśmy o tym, co to znaczy, że „Bóg jest sprawiedliwy na wszystkich swych drogach i łaskawy we wszystkich swoich dziełach”.

Oczywiście. Łaskawy. Claire nie chciała się kłócić, ale, szczerze mówiąc, Bóg wydawał się ostatnio wszystkim, ale nie łaskawością.

Wsypała cebulę do pojemnika ze stali nierdzewnej, zawinęła go we folię i wsadziła do ogromnej lodówki. Zanim zamknęła jej drzwi, pozwoliła, by owiało ją chłodne powietrze.

Nie mogła znieść tego, że dalszy ciąg wypowiedzi Jensena siedział jej w głowie, grożąc, że uciszy jej gniew.

Zobaczysz, jak będziesz mógł spojrzeć na siebie w lustrze. Jedyne, co będziesz chciał zrobić, to uciec, udawać, że nie jesteś tą osobą, którą widzisz.

Claire rozumiała, jakie to uczucie, nie chcieć być osobą, którą się widzi. Patrzyła w lustro każdego dnia, na ten głupi czarny daszek i czarną poliestrową koszulkę z napisem Pizzeria Pierre’a. Tak, wiedziała, jak to jest kłaść się spać, gdy rozczarowanie ciąży ci na piersi. Rozumiała nawet chęć ucieczki.

Ale ona zrobiła coś odwrotnego. Została w Deep Haven, sparaliżowana. Zawsze sparaliżowana.

Ale jak można przebaczyć sobie zniszczenie czyjegoś życia? Nawet jeśli to był tylko wypadek? Patrzyła, jak idzie przez parking, wsiada do swojego samocho-

du i przez chwilę...

Tak, przez chwilę chciała mu przebaczyć. I może właśnie to rozgniewało ją najbardziej. Jensen nie zasługiwał na przebaczenie. Nawet o nie nie prosił.

Musiała pamiętać, że może i nie był winny nieostrożnej jazdy, ale jednak rozbił małżeństwo Felicity i przyczynił się do tego, że wybiegła z domu tamtej nocy.

Jensen miał rację. Było łatwiej, o wiele łatwiej się wściekać. Zwłaszcza na samą siebie za to, że prawie uległa temu charakterystycznemu dla Jensena urokowi.

Grace włożyła skończoną pizzę do pieca. Rolki przesunęły ją ku żarowi.

– Nie ma więcej zamówień? – spytała Tuckera.

Pokręcił głową.

– To miejsce jest martwe.

Claire spryskała swój blat ze stali nierdzewnej płynem do mycia i przejechała go szmatką.

– Grace, chcesz iść do domu?

Cisza.

Grace patrzyła na nią długo i jakoś dziwnie.

– Ja, hmm... Stuart awansował mnie na letniego menedżera. Muszę zostać tu aż do zamknięcia. Ale jeśli chcesz, możesz wrócić do domu.

Claire otworzyła usta, ale zabrakło jej słów. Och. Głupie łzy zapiekły ją w kącikach oczu.

– Racja. Gratulacje. – Właściwie nie dała odpowiedzi Stuartowi, który najwidoczniej znudził się już czekaniem. Powinna mu odpowiedzieć, ale fakt, że dał komuś tę pracę bez porozmawiania z nią... – No to dobra. – Rozwiązała fartuch. – Jasne. Mam parę rzeczy do zrobienia.

Rzeczy. Na przykład...? Odwiesiła fartuch, odbiła kartę i wyszła w noc przez tylne drzwi. Jej rower czekał oparty o ścianę budynku.

Podeszła do niego, ledwo powstrzymując się od płaczu. Przecież ta praca nic dla niej nie znaczyła.

Claire popedałowała w stronę domu, ale okna były czarne, zapomniane, nawet w mieszkaniu Ivy nie paliło się światło.

Noc rozciągała się nad nią, kilka chmur przesłaniało księżyc. Czowała w powietrzu zapach ognisk, słyszała pokrzykiwania mew.

Zawróciła i pojechała na cmentarz.

Zaparkowała rower przy bramie z kutego żelaza. Światło księżyca rzuciło na cmentarz w Deep Haven siatkę cieni, ale ona знаła drogę na pamięć. Cztery rzędy ominąć ścieżką, skręcić w prawo i dojść do siedemnastej kwatery.

Felicity spoczywała niedaleko górującego bozodrzewu, którego żółte kwiaty spadały na ziemię jak łzy. W lecie, krótko po śmierci Felicity, Claire urządziła tu niemal ogród. To była niby drobnostka, ale w jej głowie te kwiaty utrzymywały Fe-

licity przy życiu, zwłaszcza po tym, jak pani Holloway jej za to podziękowała.

Zacząła od funkcji wokół podstawy prostego marmurowego kamienia, po czym skopała ziemię wokół i w każdy Memorial Day dodawała jakieś rośliny jednoroczne – niebieski żeniszek, białą smagliczkę nadmorską, fioletową lobelię i wytrzymałe różowe geranium. Tego lata dookoła zasadziła czerwoną szalwią.

W przyszłym roku posadzi ketmię syryjską. Wzięła już szczepkę z ogrodu w mieście. Teraz rosła już w doniczce w jej domu.

Claire stanęła przed grobem i starła brud z kamienia. Może nie powinna przychodzić tutaj w nocy – ledwo była w stanie odróżnić kwiaty od chwastów – ale wiatr niósł ze sobą tyle zapachów, że po prostu siedzenie tutaj i grzebanie w ziemi na czuja pozwalało jej wyplątać się z własnego gniewu i przeżywać swój żal.

Przebiegła palcami po ziemi, natknęła się na oset i przesunęła dłoń ku jego korzeniom.

Spróbuj zabić kobietę, którą kochałeś, i zobaczysz wtedy, jak będziesz spał w nocy.

Znów usłyszała słowa Jensena, teraz doprawione bólem.

Nie, Jensen nie pasował do tego miejsca, do grobu Felicity, i Claire odmówiła mu współczucia. Wiedział, że Felicity była mężatką, wiedział doskonale, co robi.

A Claire była tego świadkiem w Pizzerii Pierre'a.

Felicity oparła Tigera na biodrze, a drugą ręką przytuliła Jensena. Nie odrywała od niego wzroku, gdy wypuściła go ze swoich objęć. Ofiarowała mu ten swój uśmiech cheerleaderki.

– Nie wiedziałam, że wróciłeś, Jens.

Claire nie była pewna, jak Felicity to robiła. Posiadała jakąś magiczną władzę nad mężczyznami, ale Jensen, który miał rozeznanie w sytuacji, wszedł prosto w jej sidła. Wysoki i opalony... krótko obcięte blond włosy... prosto po ukończeniu drugiego roku studiów prawniczych... jego widok w holu Pierre'a sprawił, że Claire straciła głos. Miała ochotę się schować, ale wtedy obrócił się do niej i zobaczył, że wciąż ma na sobie ten uniform.

Tak, nadal tutaj była. Nadal sprzedawała pizzę. Nadal miała na sobie ten głupi daszek. Nadal...

– Pewnie, pomogę ci – powiedział do Felicity. Połaskotał Tigera po brzuchu, a dwulatek wybuchnął głośnym śmiechem.

Claire wołałaby nie wiedzieć, co stało się później.

Jesteś taki samolubny!

Pamiętała, że ta myśl tkwiła jej w głowie, gdy widziała, jak Jensen pomagał zapiąć Tigera w jego foteliku, jak Felicity zarzuca ramiona wokół szyi Jensena, jak przytuliła się do niego. Nienawidziła swojej najlepszej przyjaciółki za...

Nie. *Nie*. To nie była wina Felicity. Była samotna i kto mógłby ją za to winić, skoro Darek zniknął na całe tygodnie – właściwie na całe lato – by walczyć z

ogniem?

Gdy Felicity to wyjaśniała, wszystko miało sens.

– Pomaga mi w różnych sprawach. I cóż, Jensen po prostu mnie zna. Rozumie mnie. Zawsze taki był, prawda? – Zanurzyła stopy w chłodnym, skąpanym w słońcu jeziorze. Tiger spał w przenośnym łóżeczku w cieniu pod trzema brzoźami na jej podwórku. – Zawsze był taki...

– Miły? – podsunęła Claire niewinnie.

– Czarujący. – Felicity mrugnęła do niej. – I przystojny. Nie sądzisz? – zamruczała. Robiła tak kiedyś, gdy mówiła o Dareku.

I wtedy właśnie Claire już wiedziała.

Claire wyrwała oset z cmentarnego ogródka, rzuciła go na ziemię.

– Tak, przystojny – powiedziała w ciemność. Zbyt przystojny. Tak samo przystojny jak Darek, ale w inny sposób. Bardziej wytworny. Mniej szorstki i niebezpieczny.

Słodszy.

Uroczy. To pewnie inne określenie na *przebojowy*. Albo *oślizgły*.

Playboy. Tak, to było właściwe określenie.

Przesunęła palcami po ziemi, szukając kolejnego ostu. Nic dziwnego, że Felicity się w nim zakochała i że zdradziła Dareka. Jensen zawsze jej pragnął i wykorzystał wreszcie swoją szansę.

Oset ukłuł ją w palec i Claire szybko podniosła rękę. Wsunęła palec do ust i poczuła smak krwi.

Powinna przyjść tu z rękawiczkami. Ale chwasty owinęłyby swoje korzenie wokół jej kwiatów i zdusiłyby je.

A więc znów próbowała wymacać oset. Natrafiła nań i zaczęła go wyrywać, ignorując ból.

To nie było sprawiedliwe.

– Nie rozumiem tego, Felicity. Dlaczego? Miałaś wszystko. Wszyscy cię kochali, ale ty musiałaś mieć też Jensena, co? – Claire próbowała wyrwać kolejny chwast, ale złamał jej się w dłoniach. Korzeń został w ziemi.

Świetnie.

Głupie miasteczko. Głupi ogród. Claire pomacała ręką po ziemi, złapała łodygę.

Przypadkowo wyrwała lobelię. Odrzuciła ją ze złością i znów zanurzyła dłoń w roślinach.

– Nie mogłaś zwyczajnie przyznać, że popełniłaś błąd, wychodząc za Dareka?

Szarpnęła kolejną łodygę i znalazła w swojej pięści żeniszka.

Wspaniale. Claire uklękła, nachylając się z obiema rękami w pogotowiu. Ten oset wciąż tam był. Musiała go tylko znaleźć...

W jej dłoni pojawiła się kępka smagliczek. Odchyliła się na pięty, spojrzała na kwiaty i obudziła się w niej nieopanowana wściekłość. Czując, jak wilgoć spływa jej po nosie i brodzie, wyrzuciła kwiaty i znów pochyliła się, szukając po omacku ostu.

– Nienawidzę cię, że mnie tu zostawiłaś. – Złapała jeszcze więcej kwiatów, nie przejmując się tym. Pociągnęła mocno i odrzuciła je na bok. – Że namieszałaś w życiu tylu osobom. – Znów uklęła się, a ból sprawił, że wpadła w szal. – Nienawidzę cię! – Chwyliła więcej kwiatów, a jej ręce uwalane były ziemią. – Nienawidzę cię!

– Claire, przestań!

Objęły ją czyjeś ramiona, złapały jej nadgarstki, trzymały ją mocno.

– Przestań. – Jensen powiedział jej do ucha. Cicho, silnie, delikatnie i...

– Nie dotykaj mnie! – Obróciła się, by go odepchnąć. – Trzymaj się ode mnie z daleka!

Jensen uniósł dłonie w pojednawczym geście.

– Nic ci nie zrobię.

Wstrząsnęło to nią. Opanowała się.

Kłęczał, miał zmartwione spojrzenie. Od czasu, gdy widziała go ostatni raz, musiał wziąć prysznic. Jego włosy były puszyste i czyste, roztaczał wokół siebie zapach mydła i wody kolońskiej. Przez sekundę chciała po prostu w nim zatonać.

Ale odsunęła się od niego. Starła się oddychać wolniej.

– Dlaczego niszczysz ogród Felicity? – Sięgnął ku jej dłoniom i otworzył jej pięści. Były pełne smagliczek.

– Och. – Claire odchyliła się na pięty, pozwalając, by kwiaty wypadły jej z dłoni. – Nie wiem. Ja... – Jej głos zadrżał, a z ust wyrwał się jęk. Była taka żałowna, czuła się przez to jeszcze gorzej. – Idź sobie, Jensen. Proszę. Po prostu zostaw mnie samą.

– Nie – odparł łagodnie. – Nie. – Po czym objął ją ramionami i przytulił do siebie. Nie potrafiła, a może nie chciała, się opierać.

Oparł podbródek na jej głowie, tuląc ją mocno.

– Ciii...

Jensen. Zamknęła oczy i poczuła w nozdrzach jego siłę, jego esencję. Może nie miał tego uroku niegrzecznego chłopca, co Darek, ale Jensen zawsze był łagodny, potrafił słuchać...

Claire przycisnęła dłoń do ust. Powinna uciec, zanim całkiem straci głowę.

– Wcale nie nienawidzisz Felicity – powiedział cicho, a jego serce biło koło jej ucha. – Jeśli powinnaś kogoś nienawidzić, to mnie.

Cóż, to była prawda. Ale wcale tego tak nie czuła. Już nie.

– Nie nienawidzę cię, Jensenie. – Wzięła głęboki oddech, słysząc, jak drży. – I masz rację. Wcale nie nienawidzę Felicity. Po prostu... nic nie jest tak, jak po-

winno, odkąd zginęła.

Odsunęła się od niego. Nie odwrócił wzroku, zacisnął wargi.

– Nie mogę... Nie mogę przebaczyć.

Skinął głową.

– Nie, nie rozumiesz. To nie Felicity nie potrafię przebaczyć. Ani nawet... nie tobie.

Słyszając to, przełknął ślinę. Miał jakiś desperacki wyraz twarzy. Ale nie mogła się powstrzymać. Właśnie tutaj, gdy kwiaty, które posadziła, leżały zrujnowane wokół niej, nie mogła już tego dłużej trzymać w sobie.

– Nie potrafię przebaczyć Bogu, Jens. Nie ufam Mu już. Ja... obwiniałam Felicity albo dziadka za to, że utknęłam w Deep Haven. Ale prawda jest taka, że... to tylko potwierdza, iż miałam rację.

Zmarszczył brwi.

– Bóg nie jest łaskawy. – Zatkęła sobie usta ręką, przerażona swoimi własnymi słowami. Ale mówiła dalej, przez swoją dłoń. – Nie jest łaskawy. Zabrał Felicity...

– To *ja* zabrałem Felicity.

– Nie. Bóg mógł ją ochronić, tam, na drodze. Mógł... Dlaczego jej nie ochronił? Dlaczego nie zatrzymał...? – Jej głos stał się cichszy. – Była taka przerażona.

Jensen obliznął usta, przełknął ślinę.

– Nigdy się nie obudziła, Claire. Umarła prawie od razu.

Zamknęła oczy.

– Wiem.

Gdy dotknął jej policzka, przestraszyła się. Otworzyła oczy, a on ujął jej twarz w dłonie.

– Nie mówimy teraz o Felicity, prawda?

Patrzyła na niego, zaczęła drżeć.

– Nie.

– Mówimy o tobie, tam, w Bośni. O mężczyznach, którzy zaatakowali cię, pobili, przerażili. Prawie cię zabili.

Wzięła rozdygotany oddech.

– Mówimy o tym, że przydarzyła ci się okropna rzecz i od tego czasu nie czujesz się bezpiecznie. Nawet tutaj, w Deep Haven.

Znał ją aż tak dobrze? Przełknęła ślinę, pokiwała głową.

– Ponieważ... tutaj nie chodzi o Deep Haven. – powiedział cicho. – Chodzi o Boga. Jak możesz Mu zaufać, powierzyć swoją przyszłość w Jego ręce, skoro pozwala On, by złe rzeczy przytrafiały się... ludziom takim jak ty?

Zacisnęła zęby, ale i tak wyrwał się z niej jęk. Straciła panowanie nad sobą.

– Tak. – Nabrała powietrza. – To nie powinno przytrafić się mnie.

Jensen oparł swoje czoło o jej. Jego ramiona wciąż ją oplatały.

– Jesteś tutaj bezpieczna, Claire. Nie pozwolę, by coś ci się stało. Obiecuję. Znajdę jakiś sposób, żebyś mogła tu zostać. Nie musisz opuszczać Deep Haven.

Ech, chciała mu uwierzyć. Zwłaszcza, gdy przytulił ją do siebie. Siedzieli tak pośród nocy, a ona słuchała silnego bicia jego serca przy swoim uchu.

Dopiero gdy spojrzała na moment w jego oczy, uświadomiła sobie prawdę.

Była zazdrosna. Przez te wszystkie lata, pomimo swoich największych wysiłków, trochę nienawidziła Felicity. Ponieważ Felicity miała to, czego Claire pragnęła od zawsze.

Serce Jensena Atwooda.

Claire zmieniła otoczenie grobu Felicity w wysypisko śmieci. Powyrywane kwiaty wyściełały trawnik. Nazajutrz ogrodnik cmentarny będzie przekonany, że to psy zdewastowały grób Felicity Christiansen.

Albo – co gorsza – ktoś zauważy mustanga zaparkowanego przed wejściem, skojarzy fakty i będzie wiedział, komu przypisać winę.

Jensen nie miał wątpliwości, że mogą mu grozić oficjalne zarzuty za naruszenie zasad zwolnienia warunkowego.

Wcale nie musiał opuszczać miasteczka, by wpakować się w kłopoty. Ale nie przejmował się. Nie tak naprawdę. Zwłaszcza kiedy trzymał w ramionach Claire.

Jednak było to trochę niezręczne, gdy siedzieli tak przy grobie Felicity. Nie mógł uciec przed ironią. Felicity znów pomiędzy nimi.

Powinien jechać dalej tej nocy. Powinien zostawić przeszłość za sobą, przynajmniej do czasu, dopóki władze by go nie złapały. Ale gdy zobaczył lśniący, czerwony rower Claire przed wejściem, cóż... zaczął się martwić.

Zawsze się martwił, chociaż trochę. Od czasu, kiedy podzieliła się z nim swoją historią... tak wiele lat temu. Czasami nie mógł w nocy spać, myśląc o tym, że otarła się o śmierć.

Oczywiście, że czuła się zdradzona przez Boga. Jensen też tak się czuł, chociaż wiedział, że jedyną osobą, która go zawiodła, był on sam.

– Nigdy nie spytałam. Co ty tutaj robisz? – zapytała Claire.

– Hmm...

Nie chciał jej wypuszczać ze swoich objęć. Ale ona odsunęła się od niego.

– Jensen? Dlaczego tu jesteś?

Pochylił się do przodu, zaczął zbierać kwiaty.

– Czy można zasadzić je jeszcze raz?

– Nie – odparła. – Muszę kupić nowe.

Rzucił je na stosik.

– Śledziłeś mnie?

– Nie. – Pokłął sobie rękę o kilka ostów na samym spodzie, gdy podniósł stertę roślin.

– Jens!

– No dobra, dobra. – Wstał, wyciągając do niej rękę. W drugiej trzymał kwiaty. – Ja... wybrałem się na przejażdżkę.

Chwyciła jego dłoń i pozwoliła, by pomógł jej wstać.

– Przejażdżkę? – Spojrzała ponad nim w kierunku wejścia. – Czy to twój mustang tam stoi?

Jego próba uśmiechu wypadła blado, więc podszedł tylko do kontenera i wyrzucił okaleczone kwiaty.

Poszła za nim. Po czym spytała cicho, zwracając się do jego pleców:

– Chciałeś opuścić miasto, prawda?

Przymknął jedno oko, niemal w grymasie bólu.

– Nie. – Skłamał.

– Proszę cię. Naprawdę? Znam cię, Jensen. Nie jeździłeś tym autem od trzech lat.

A jak niby miał nim jeździć? Najpierw policja je skonfiskowała, a potem nie chciał go widzieć na oczy, nawet po tym, jak jego ojciec oddał je do naprawy. Stało od tego czasu w garażu, aż do dzisiaj, gdy Gibs zwrócił się przeciwko Jensenowi.

Jensen pojechał wtedy do domu, zmienił swoje robocze ubranie na czyste, spakował torbę i pożegnał się z tym miasteczkiem. Miał plan, żeby dostać się przynajmniej do Duluth. Może wskoczyłby do jakiegoś samolotu.

Spróbowałby żyć ze sobą na Jamajce. Albo na Bahamach. Albo...

– Dokąd chciałeś jechać?

Westchnął i powiedział prawdę.

– Nie wiem. Po prostu...

– Zdecydowałeś, że po tym wszystkim, gdy zostało ci już tylko kilka tygodni zwolnienia warunkowego, uciekniesz z miasta? Wyrzucisz swoją przyszłość do kosza? Poddasz się i wreszcie pójdiesz do więzienia?

– Nie chcę iść do więzienia, Claire! – Wziął głęboki oddech, obniżył ton głosu. – Chcę, żeby to się wreszcie skończyło. Mam dość bycia rozczarowaniem. Albo chodzenia po ulicy, jakbym miał przyczepiony na szyi list gończy. Nigdy nie uda mi się odkupić moich win, jak raczył podsumować twój dziadek.

– Słucham?

– Przypomniał mi, że nieważne, co takiego zrobię, i tak jestem zrujnowany...

– Mój dziadek cię kocha. Jest pewnie jedyną osobą w tym mieście, która o ciebie walczyła. – Skrzywiła się, gdy wypowiedziała te słowa. – Przepraszam, ale strasznie się pokłóciliśmy o list, który wysłał do redakcji *Deep Haven Herald*.

– Jaki list?

– Nigdy go nie przeczytałeś? Zajął prawie całą stronę. Mówił w nim o chłopcu, jakim byłeś, o mężczyźnie, jakim się stałeś, przypomniał ludziom, że nie należy skazywać kogoś na podstawie poszlak...

– To prawda!

– Tak... Ale dwa razy grożono mu śmiercią, a ktoś wyciągnął jeden z naszych kajaków na środek jeziora i powystrzelał dziury w kadłubie.

Otrzeźwiło go to.

– Nie wiedziałem o tym.

– Może nie wiedziałeś też o tym, że poszedł na twoją pierwszą rozprawę. I rozmawiał na twój temat z prokuratorem hrabstwa.

Czuł się teraz okropnie, gdy przypominał sobie swoją rozmowę z Gibsem.

– Nie, nie wiedziałem.

– Brakowało mu ciebie, wiesz? – Przełknęła ślinę i przygryzła wargę, jakby starała się nie powiedzieć więcej.

– To nie ma znaczenia. Nie wiem, dlaczego w ogóle wciąż się staram. To miasteczko nigdy mi nie przebaczy.

– Na miłość boską, Jensen, nigdy nie prosiłeś o przebaczenie!

Spojrzał na nią z otwartymi ustami.

– Nie mogłem... Ja... Słuchaj, gdybym tylko stanął tam i zaczął prosić o wybaczenie, to byłby mój koniec. Ja... chciałem to zrobić – powiedział cicho. Bardziej, niż ludziom mogło się wydawać.

Oczy jej się zaszklily.

– Nie poddawaj się, Jensenie.

– Nie poddam się, okej? Zostaję. Ale to nie ma żadnego znaczenia, Claire, bo prawda jest taka, że i tak pójdę do więzienia. – Uniósł dłonie, jakby w geście rezygnacji. – A więc nieważne, czy naruszę swoje zwolnienie warunkowe, uciekając przed policją, czy też będę po prostu czekał na nieuniknione – to i tak się stanie.

Patrzyła na niego błyszczącymi oczami. Jej twarz wciąż była nieco wilgotna.

– Nie. Nie pójdziesz.

– Claire, o ile nie masz jakichś sekretnych wtyk w wymiarze sprawiedliwości, to jednak tak, pójdę.

– Moja sąsiadka to nowa asystentka prokuratora hrabstwa. Porozmawiamy z nią. Jest bardzo miła. Polubisz ją.

– Może zapomniałaś, ale mój ojciec jest adwokatem. Uwierz mi, gdyby chciał, abym uniknął kary, zrobiłby coś.

Kto go tam wie, ale to na pewno jego ojciec nałożył na niego te kajdany prac społecznych. Jensen nie mógł tego udowodnić, bo oficjalnie jakaś inna firma zajmowała się tą sprawą, ale wierzył, że to właśnie jego ojciec wpadł na pomysł, jak przykuć go do Deep Haven.

Może usiłował pomóc. A przynajmniej uniknąć wstydu, jaki przynosi syn w więzieniu.

I chociaż Jensen był gotów bronić się, gdy jego adwokat zaskoczył go niemiłe tą ugodą obrończą, ojciec odmówił mu pomocy finansowej. W tamtym momencie Jensen pomyślał o swojej przyszłości... i jaki miał właściwie wybór?

– Nie sądzę, aby twoja sąsiadka mogła mi pomóc.

– Może pozwolisz jej chociaż spróbować?

Ech, chciał uwierzyć tej nadziei w oczach Claire. Temu, jak na niego patrzyła, jakby widziała więcej niż człowieka, którym był.

– Przepraszam, że cię zawiodłem – powiedział cicho, nie wiedząc, skąd wzięły się te słowa.

– Nie zawiodłeś... Chodzi mi o to... – Pokręciła głową. – Słuchaj, przeszłość to przeszłość. Postarajmy się myśleć o przyszłości.

Powiedzenie tego dużo ją kosztowało. Widział to na jej twarzy.

– Jak?

Podeszła do niego, przycisnęła dłoń do jego ust. Uśmiechnęła się, jakoś tak szczerze, nie osądzając go.

Uczucia wezbrały w jego wnętrzu, zmywając z niego pragnienia i żale.

Uśmiechnął się do niej.

– Okej. Dobrze.

– Tak?

– Chodźmy porozmawiać z tą asystentką prokuratora hrabstwa. Jak się nazywa?

– Ivy. Ivy Madison.

Ivy siedziała w legginsach, pałaszując z miseczki lody, i spoglądała na komórkę. Noc napierała na jej okno. Tylko lampa nad jej głową rzucała światło na stół. Talerze piętrzyły się w zlewie, a w łazience napełniała się wanna.

Może Darek nigdy nie zadzwoni. W końcu po czterech dniach...

Czy mogła z tym żyć? Tylko jedna randka, żadnych wyjaśnień, nawet po tym, jak pocałował ją tak słodko?

Tak. Może.

Albo i nie.

Zwłaszcza, gdy myślała o Tigerze, o tym, jak umościł się wygodnie na jej kolanach, rzucając kamieniami, a potem bawiąc się pałeczką świetlną, którą mu kupiła.

Miał w sobie jakąś słodycz, urok małego chłopca. Przynajmniej namiastkę tego musiał odziedziczyć po Felicity.

Felicity Holloway Christiansen.

Jej teczka spoczywała na okrągłym sosnowym stoliku. Ivy wyciągnęła ją dzisiaj po lunchu, pomiędzy pisaniem skarg, wezwań do sądu i streszczeń dowodów oskarżenia, nie wspominając już nawet o śledzeniu kolejnych spraw i odpisywaniu na setki maili. Jej mózg zmienił się już w budyń, a raport z wypadku, dowody oskarżenia i notki służbowe ze sprawy Felicity ciężko było uznać za lekką lekturę.

Ale musiała to wiedzieć.

A więc przeczytała każdy detal, przypominając sobie, jak zapoznawała się z tym materiałem pierwszy raz. Chociaż wtedy zamiast Felicity występowała bezosobowa „ofiara”, a zamiast Jensena „oskarżony”, jak to przygotował Thornton Atwood w jej egzemplarzu. Teraz odkrywała imiona. I świadków. Wliczając w to Dareka.

Gdyby była mniej gorliwa trzy lata temu, może dowiedziałaby się czegoś więcej o sprawie, zamiast starać się usilnie zadowolić szefa. Chociaż wtedy, aż do momentu wręczenia mu swojego zalecenia, nie wiedziała, że oskarżony jest jego synem. Thornton zakonspirował całą teczkę, pozwalając jej wierzyć, że to tylko ćwiczenie.

Potrafiła wyobrazić sobie teraz całą sytuację – kłótnia z Darekiem sprawiła, że Felicity nabrała ochoty na przebieżkę. Wyszła z domu koło dwudziestej pierwszej, pewnie wciąż wściekła, wzięła swojego jeepa i zaparkowała go przy punkcie widokowym Cutaway Creek. Może po prostu chciała tam posiedzieć i pomyśleć. Później znaleziono tam jej samochód.

Jakoś po dwudziestej pierwszej trzydzięci pięć zaczęła biec w dół wzgórza, w kierunku miasteczka. Razem z ruchem ulicznym.

Jensen, który jechał do miasta zjeść pizzę, przymierzał się do pokonania zakrętu. Reflektory samochodu z naprzeciwka oślepiły go i skręcił za blisko krawędzi jezdni.

Wtedy poczuł, że samochód uderzył w Felicity. Dochodzenie wykazało, że wcale nie wjechał do rowu – wręcz przeciwnie, podejrzewali, że Felicity mogła przebiegać przez ulicę i nie zauważyła świateł jego auta.

Zmarła prawie od razu. Jej czaszka została roztrzaskana.

Ivy przeczytała też nekrolog i każdy artykuł, jaki udało jej się znaleźć w związku z tą sprawą. Jensenowi zarzucano, że pisał SMS-a. Było to bardzo nieprzekonujące oskarżenie zbudowane wokół nieuważnej jazdy, które Ivy wykorzystwała w swojej pracy, by wskazać luki w rozumowaniu prokuratora. Chociaż ta otwarta komórka i niedawno wysłany SMS...

Wciąż pamiętała tę dumę, jaką czuła, gdy wręczała swoją notatkę z opcją prac społecznych swojemu młodszemu współpracownikowi. A potem wkroczyła do biura Daniela, profesora pomocniczego na Uniwersytecie Minnesoty, i pokazała mu ją.

Był pod wrażeniem, zwłaszcza gdy informacja o ugodzie pojawiła się w wie-

czornych wiadomościach.

Wzięła kolejną łyżeczkę lodów, czując, jak przeszywa ją dreszcz.

Tak, może byłoby lepiej, gdyby Darek nigdy do niej nie zadzwonił.

Ivy odstawiła miseczkę, gdyż straciła już apetyt. Ech, dlaczego świat musiał być tak okropnie mały?

Zawsze wiedziała, że los – albo Bóg – był przeciwko niej. A oto kolejny dowód. Nieważne, jak bardzo starała się spełnić swoje marzenia, coś zawsze musiało je zniszczyć.

Udało mi się zejść samej tak daleko. Wolę, by tak pozostało.

Nigdy nie jesteś sama, Ivy. Słowa Claire rozbrzmiewały w jej głowie.

Tak, była sama. Ponieważ Bóg zdecydowanie nie był po jej stronie, a skoro Daniel odszedł... Nie, nie miała nikogo.

Wstała, by zakręcić wodę w łazience.

– Ivy? – Pukanie do drzwi. – To ja, Claire.

Claire? Ivy podeszła do drzwi i zapaliła światło na zewnątrz.

– Hej...

Jej wzrok zatrzymał się na mężczyźnie, który stał za Claire. Jensen posłał jej zażenowany uśmiech. A niech to. Miała nadzieję, że nie zrzęda jej mina, że nie zarejestrowali tego urwanego oddechu.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedział, wychylając się zza Claire, by ucisnąć jej dłoń. – Nazywam się Jensen Atwood. Przepraszam, że zawracam ci głowę...

– Potrzebujemy pomocy – wyjaśniła Claire. – Możemy porozmawiać?

Ćmy tańczyły wokół światła, a jedna wielka ruszyła w kierunku otwartych drzwi.

– Wejdźcie.

No i teraz Jensen Atwood stał w jej malutkiej kuchni. Ze swoimi zmierzwiionymi i wyblakłymi od słońca włosami przypominał jej aroganckiego playboya, jakiego pokazywali w mediach trzy lata temu. Nic dziwnego, że wszyscy w Deep Haven chcieli go ukrzyżować.

Claire spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Może jednak nie wszyscy...

– Jak mogę wam pomóc?

– Zastanawiałam się, czy mogłabyś nam udzielić porady prawnej.

Porady? Och, proszę, niech to dotyczy mandatu. Albo znalezionej portfela. A może właśnie ocalili czyjeś życie i chcieli się dowiedzieć czegoś o prawie dobrego Samarytanina? Oby.

Ivy miała złe przeczucia.

– Jest późno, Claire. Nie powinniśmy zawracać jej głowy – powiedział Jensen. Położył dłoń na jej ramieniu.

Powiedzmy, że jeśli istnieje w tym mieście ktoś, od kogo powinnaś trzymać

się z daleka, to właśnie Jensen Atwood. Ivy nie mogła oderwać wzroku od jego ręki na ramieniu Claire.

Wow, jak szybko uprzedzenia małego miasteczka opanowały jej myśli, jej światopogląd. Cofnęła się o krok.

– Nie, w porządku. Jak mogę pomóc?

– To zajmie tylko chwileczkę – powiedziała Claire. – Wiem, że jest późno, ale... Skoro jesteśmy sąsiadkami, stwierdziłam, że to będzie chyba okej.

Uhm.

– Siadajcie.

Ivy obróciła się w stronę stolika i zamarła. Teczka dotycząca Felicity Christiansen... Podbiegła, zamknęła ją i rzuciła na krzesło.

– Może na kanapie?

Odziedziczyła mebel po poprzednim lokatorze. Kanapa była zielona i trochę cuchnęła, ale skoro i tak Ivy rzadko przebywała w domu... Mimo to wzdrygnęła się, gdy Jensen i Claire usiedli. Na ich twarzach malowało się oczekiwanie, jakby mogła jakimś cudem ich uratować. Jakby nie odbyła właśnie rozmowy z kuratorem sądowym Jensena o realnym zagrożeniu naruszeniem warunków zwolnienia warunkowego.

No i pozostawała jeszcze ta drobna sprawa, że to właśnie dzięki niej był w ogóle na zwolnieniu warunkowym. Przynajmniej gdyby nie ona, trafiłby za kratki.

Co, z punktu widzenia Dareka, wyszłoby akurat na dobre.

Ale nie była związana z Darekiem, a w tej chwili Claire ścisnęła rękę Jensena w swojej.

Miasteczko zrobiło się nagle mikroskopijne.

Ivy starała się nie zerkać w kierunku teczki. Niektóre papiery rozsypały się po podłodze jak granaty.

Genialnie, Ivy.

– O co chodzi? – Założyła nogę na nogę i, machając stopą, zmusiła się do przyjaznego, sąsiedzkiego uśmiechu w stylu „w czym mogę pomóc?”.

– Cóż, Jensen jest na zwolnieniu warunkowym.

– Uhm.

– I musi odrobić określoną liczbę godzin prac społecznych.

– Hmm.

– Problem polega na tym, że brakuje mu czasu, aby je odrobić, a więc zastanawiamy się, czy istnieje jakiś sposób, aby przesunięto mu trochę termin.

– Mmm.

Claire uśmiechnęła się do Ivy.

Aha, jej kolej.

– Jensenie... masz obrońcę? Mógłby złożyć w twoim imieniu wniosek, żeby przedłużyć okres twojego zwolnienia warunkowego.

– Reprezentowałem się sam.

O rany.

– Okej. Rozmawiałeś ze swoim kuratorem sądowym? – Nienawidziła tej funkcji.

– Tak. On... Cóż, widzisz...

– Chodzi o to, że Jensen został oskarżony niesprawiedliwie. On... On nie zrobił tego, o co go oskarżają – powiedziała Claire, trochę zbyt radośnie.

Ivy przełknęła ślinę.

– Hmm.

– Zabójstwo drogowe – wyjaśniła Claire.

Jensen wzdrygnął się, odwrócił wzrok.

– Ale on był niewinny. To był wypadek.

Ivy przytaknęła.

– Nie, naprawdę! – powiedziała Claire.

Jensen zamknął oczy.

I wtedy właśnie zaczęła mu współczuć. Czy to nie dlatego właśnie przyjechała do Deep Haven? Żeby pomagać ludziom? I, szczerze mówiąc, gdy spojrział jej w oczy i uśmiechnął się do niej tak smutno, chciała go polubić. Dawno, dawno temu czytała jego zeznania po prostu jako obiektywna aplikantka i w swym ciemnym kąciuku wierzyła w jego niewinność tak mocno, że pomimo poszlak spędziła długie godziny na szukaniu dla niego jakiejś drogi wyjścia.

Może była naiwna, ale wierzyła wtedy w drugą szansę, w prawo, które pomagało ludziom zmieniać ich życie, ale przede wszystkim starało się robić wszystko, co w jej mocy, aby sprawiedliwości stało się zadość, nawet w sytuacji, gdy nikt nie mógł wygrać.

I to właśnie dlatego na jej ustach pojawiły się te słowa.

– Mógłby poprosić o ułaskawienie. Rzadko jest to uznawane, ale czasami...

– Ułaskawienie! – Claire wyprostowała się na krześle. – Tak!

– Ale ja nie mogę tego zrobić, bo jestem oskarżycielem. To ja będę musiała składać skargę *przeciwko* niemu – wypowiedziała te słowa powoli, wyraźnie.

Ale zamierzała im pomóc. Po prostu nie chciała, by ktokolwiek o tym wiedział.

Nawet Darek. Chociaż nie uganiał się za nią, nie starał się podbić jej serca, prawda?

Może to, że nie zadzwonił, wyjdzie jej na dobre, nim całkiem zapłącze się w konflikt interesów.

– Słuchaj. Poszukaj w Internecie. Są tam formularze i instrukcje. Jeśli będziesz według nich postępował, będziesz mógł złożyć wniosek o ułaskawienie. Nie mogę nic zagwarantować, ale...

– Dziękuję, Ivy. Jesteś najlepsza! – Claire zeskoczyła z kanapy i oplotła Ivy

ramionami.

Jensen wyciągnął dłoń.

– Dziękuję, Ivy. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się pomocy.

Oczywiście, że nie.

– Cieszę się, że cię poznałam, Jensenie.

Wyłączyła światło na zewnątrz, gdy wyszli. Patrzyła, jak Jensen podchodzi do lśniącego, czarnego mustanga, a Claire macha do niego z zakłopotaniem i odprowadza swój rower.

Hmm.

Okej, może życie w małym miasteczku było bardziej skomplikowane, niż jej się wydawało, ale udało jej się jakoś z tym uporać bez żadnych wpadek, prawda? Po prostu udzieliła im porady. Nie ubrudziła sobie rąk, nie wpędziła się w jakiś gąszcz naruszeń etyki.

Po prostu wykonywała swoją pracę, pomagając jednej osobie za drugą. Pozostawała bezstronna.

Gdy zamknęła drzwi, usłyszała szum wody.

Nie! Ivy pobiegła do łazienki i niemal poślizgnęła się na mokrych kafelkach. Woda przelała się przez krawędź wanny, zalała łazienkę i wlewała się teraz do holu.

– Nie, nie, nie! – Przebrnęła przez wodę i zakręciła kran. Zanurzyła rękę w otchłań wanny i wyciągnęła korek.

Woda zaczęła schodzić.

Wzięła czyste ręczniki, rzuciła je na podłogę i zaczęła wycierać nadmiar wody.

Zadzwoił telefon. Leżał na kuchennym stole.

Pobiegła do niego, niemal znów się poślizgnęła, wdepnęła w jeden z papierów i z nim, wciąż przyklejonym do stopy, podniosła komórkę, by zobaczyć, kto dzwoni.

Darek.

Zadzwoił znowu, a ona stała tam tak z kciukiem wiszącym nad przyciskiem „odbierz”.

I to tyle, jeśli chodzi o pozostawanie bezstronną.

jedenście

Ivy zasługiwała na coś lepszego i Darek o tym wiedział. Zmusił się do uśmiechu, gdy zatrzymała się przy kramie artysty wystawiającego małe witrażyki oraz różną biżuterię na żyłce wędkarskiej.

Ivy wzięła jeden z witrażyków do ręki.

– Piękny. – Uniosła go, by złapał różanozłoty odcień zachodzącego słońca.

Darek starał się wyglądać na zainteresowanego bibelotem, ale skupiał się głównie na pilnowaniu, by Tiger nie wziął niczego w swoje ręce.

– Łapy przy sobie, kolego.

Tiger skrzywił się.

– Jestem głodny.

– Wiem, stary. Niedługo zjemy jakąś kolację.

– Chcę lody!

– Ale nie przed kolacją. Nie będziesz miał później apetytu.

Ivy odłożyła witrażyk. Spojrzała na sprzedawcę z uśmiechem, po czym odwróciła się.

– Możemy zjeść ją już teraz, jeśli chcesz.

– Nie. Obejdźmy ten rząd stoisk do końca. Fajnie tu.

Uniosła brew, ale przesunęła się do kolejnego kramiku. Okazało się, że Darek znał artystkę prezentującą tu swoje wyroby i mógł zamienić z nią parę słów. Liza Beaumont, garncarka, miała włosy zebrane w kucyk, długą hipisowską spódnicę i koszulkę na ramiączkach, która odsłaniała jej umięśnione ramiona.

– Hej, Darek! – Nachyliła się. – Tiger!

– Cześć, pani B.

Liza, wyprostowawszy się, spojrzała Darekowi w oczy.

– W tamtym roku grupa z przedszkola Tigera przyszła do mojej pracowni i wszyscy lepili garnki.

– A potem je malowałem!

Ivy trzymała w ręce miskę i przyglądała się jej dnu.

– Mam kilka takich u siebie w mieszkaniu.

– Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebowała wymiany. – Mrugnęła do niej. – Słuchaj, Tiger, na plaży malują teraz kamienie. Powinieneś iść tam razem z tatą.

Akurat tego właśnie potrzebował Tiger. Farby. Kamieni. Śmiertelna kombinacja. Ale Darekowi mimo wszystko udało się uśmiechnąć.

– Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego, Dareku. To tylko akwarelki – uspokoiła go Liza. – Może sam powinieneś coś pomalować. Dobrze by ci to zrobiło. Pomogłoby ci się zrelaksować.

– Ja nie...

– No dalej, będzie fajnie – powiedziała Ivy radośnie, jakby czekała całe swoje życie na to, by móc pomalować kamienie. Albo może czuła się tak samo fatalnie jak on.

Może ona też wolałaby być gdzie indziej.

Ivy wzięła Tigera za rękę.

– Chodź, pokażemy twojemu tacie, jakimi jesteśmy wspaniałymi artystami.

Widok Tigera, który zadziera głowę i patrzy na nią z uwielbieniem, był dla Dareka budujący – mógł wreszcie przestać uważać się nad sobą i poczuć się szczęśliwym.

I mógł się przyznać, że tego popołudnia poczuł się szczęśliwy już wcześniej, gdy Ivy spotkała się z nim przed jej mieszkaniem. Miała na sobie letnią pomarańczową sukienkę i japonki.

Uśmiechnęła się. Jej zielone oczy patrzyły na niego, jakby czegoś szukały. Gdyby nie wiedział o niej nic, mógłby określić emocje malujące się na jej twarzy jako strach albo nawet smutek. Tak, jakby prawie wszystko zaprzepaścił, nie dzwoniąc do niej przez cztery dni, a teraz stał na skraju utracenia swojej ostatniej szansy.

Ale wtedy Tiger zapytał ją, czy chce ciasteczko, a ona się roześmiała. Węzeł w jego klatce piersiowej się rozluźnił.

Zwłaszcza, że Ivy wzięła go za rękę, gdy zaproponował to gestem.

Jej delikatny uścisk powinien wystarczyć, aby odciągnąć go od pomarańczowej łuny widocznej daleko na horyzoncie, od zapachu dymu w powietrzu. Od świadomości, że Jed i cała ekipa hotshotów hrabstwa Jude zaszła się w biurze służb leśnych, czytając mapy i raporty pogodowe oraz przewidując zachowanie się ognia i przygotowując plany ataku.

Ale ostatni dzień wciągnął go prosto w przeszłość. Gdy Jed i reszta wypakowali swój sprzęt w ośrodku Evergreen i siedzieli w domku, wymieniając się opowieściami, Darek miał wrażenie, że nie opuścił ich nawet na jeden dzień. Dołączył do grupy i rozśmieszył wszystkich do łez historiami o wyskokach ich szefa z czasów, gdy był żółtodziobem.

Dzięki temu poczuł się tak jak dawniej, że wszystko wraca do normy, a on staje się takim człowiekiem, jakim chciał być. To sprawiło, że zebrał się w końcu na odwagę, aby zadzwonić do Ivy, aby porozmawiać z nią i zaprosić ją na otwarcie festiwalu sztuki.

Sztuka. O czym on w ogóle myślał? Izba handlowa zablokowała ulicę i pozwoliła miejscowym artystom wystawić różne kramiki. Skazał się na popołudnie wypełnione oglądaniem garnków i udawaniem, że plecione koszyki robią na nim wrażenie. Całe Deep Haven i jego zamięłowanie do imprez...

Wolałby zamiast tego przyglądać się długości płomieni i badać zachowanie ognia. Albo nawet kopać przez dwanaście godzin pas przeciwpożarowy i czuć, jak gorące, gryzące powietrze pali mu gardło.

Okej, może nie do końca, ale... jeśli będzie musiał oglądać jeszcze jeden kawałek pomalowanej kory...

– Rozchmurz się. Nikt nie będzie cię zmuszał do malowania, Picasso – powiedziała Ivy.

Jej uśmiech potrafił zatrzymać tę nieustanną, pełną frustracji kotłowaną w jego głowie. Wszystko ucichło. Mógł po prostu cieszyć się randką z tą piękną kobietą, która miała w sobie wszystko, czego potrzebował. Dla niego zapowiadało to nowy początek, a dla Tigera – matkę. Ivy była kobietą pozbawioną przebiegłości.

– Tylko poczekaj. Chodziłem na plastykę przez całe trzy lata w liceum – odparł.

– No proszę.

Nachylił się do niej bliżej, wyczuwając jej waniliowy zapach.

– Dzięki temu zaliczyłem blok artystyczny. Moja matka ma cały kredens pełen okropnych waz i talerzy ceramicznych.

Roześmiała się i miał wrażenie, że to świeża bryza dla jego duszy.

Przeszli przez chodnik do parku przy porcie, gdzie na scenie występował flecista. Delikatna muzyka musiała walczyć z szumem wiatru i odgłosem fal rozbijających się o brzeg. Pobliski namiot dla dzieci oferował mnóstwo atrakcji, a jedną z nich był konkurs malowania kamieni. Darek posadził Tigera przy stole, podczas gdy Ivy przyniosła mu zestaw do malowania: wiaderko kamieni, pędzle i puszkę z akwarelkami.

– Hej, kolego, chcesz trochę pomalować? – Podszedł do nich Caleb Knight ubrany w czapkę bejsbolową oraz koszulkę drużyny Husky.

– Hej, Caleb – przywitał się Darek, ściskając mu dłoń. Chociaż ukończył szkołę długo przed tym, zanim trener Knight przyjechał do miasta, widział, jak zmienił on lokalną drużynę futbolową Husky w liczący się zespół. Któregoś roku, już niedługo, wygrają mistrzostwa stanowe. – Nie wiedziałem, że jesteś artystą.

– Zbieramy fundusze na szkołę – powiedział Caleb, wskazując na puszkę na datki.

Darek włożył dłoń do kieszeni, wyjął stamtąd banknot dziesięciodolarowy i wrzucił go do środka.

Caleb zawiązał fartuch wokół Tigera i pokazał mu, jak zanurzać pędzel w wodzie, a potem w farbie. Tiger wziął kamień i zaczął pokrywać go zielenią.

Darek wyszedł z namiotu i przyjrzał się falom. W świetle zachodzącego słońca woda zmieniła się w platynę. Delikatny wiatr trącał kołnierzyk jego koszulki polo.

Tego typu warunki pogodowe mogły być najbardziej niebezpieczne na pasie przeciwpożarowym. Wiatry bywały zdradzieckie, usypiały czujność strażaków, przekonując ich, że mają przewagę. Znał ekipy strażackie, które położyły się spać zbyt blisko pasa, po czym niemal znalazły się w samym centrum burzy ogniowej.

Musi wpaść do biura służb leśnych i...

– Wcale cię tutaj nie ma, prawda?

Głos Ivy wyrwał go z zamyślenia. Obrócił się, starając się na niej skupić. Minęła chwila, nim odnalazł słowa.

– Na północ od Deep Haven, w Boundary Waters Canoe Area, szaleje pożar. Grupa hotshotów z mojej dawnej drużyny jest w mieście i... – Wzruszył ramionami. – Zatrzymali się w ośrodku.

– I chciałbyś z nimi być.

Wziął ją za rękę

– Nie. Wolę być tu z tobą.

Wzięła głęboki oddech. Nie uśmiechnęła się.

– Jestem prawnikiem. Wiem, kiedy ludzie kłamią.

No tak. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Okej. No dobrze. Ale to już nie jest moje życie.

– I jesteś na siebie zły, że wciąż go pragniesz. – Jej głos był cichy. – Nie możemy obwiniać się za to, że czegoś chcemy. Tylko za to, co zrobimy, aby to dostać.

Miała takie wspaniałe zielone oczy, które błyszczały w słońcu. Przez chwilę zapomniał, za czym właściwie tęsknił.

Tak. W tym momencie wołał być tutaj z nią.

– Dziękuję, że dzisiaj tu ze mną przyszedłeś – powiedział. – Przepraszam, że trwało to tak długo, zanim do ciebie zadzwoniłem.

Uśmiechnęła się, ale znów z jakimś cieniem smutku. Aha, zranił ją.

– To nie tak, że nie chciałem. Po prostu...

– Nie jest łatwo z Tigerem.

– Tak – potwierdził. – Nie chcę... Nie chcę, żeby został zraniony.

Splotła swoje palce z jego.

– Ja też nie. – Potem odsunęła się od niego. Objęła się ramionami. – To pewnie dobrze, bo muszę z tobą porozmawiać.

Skrzywił się.

– Proszę, nie mów mi, że totalnie dałem ciała. Naprawdę, Ivy, chciałem zadzwonić, ale ja...

Uniosła dłoń.

– To nie to. Po prostu to miasteczko jest takie małe...

Małe. Poczł ucisk w piersi. *Oczywiście*, że usłyszała o nim i o Felicity. O tym, jakim był człowiekiem, dlaczego stracił swoją żonę, dlaczego nie zasługiwał na taką kobietę jak Ivy. Zdradził swoje obawy, gdy zapytał:

– Co takiego słyszałaś?

Zmarszczyła czoło.

– Nie słyszałam...

Za jego plecami Tiger się roześmiał. I wtedy usłyszał obok swojego syna

głos, głęboki i rezonujący, który rozgrzebał tyle wspomnień.

Obrócił się.

Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

Claire Gibson kuciała obok Tigera, malowała z nim kamienie, a obok niej... Jensen Atwood. Karmił syna Dareka watą cukrową.

– Co do...? – Darek urwał w pół zdania, ale złość roznieciła ogień w jego piersi, gdy sadził wielkie kroki w kierunku namiotu. – Trzymaj się z daleka od mojego syna!

Ivy jakimś cudem weszła do namiotu pierwsza i stała teraz pomiędzy Jensenem i Tigerem. Spojrzała na Dareka tak, że aż się zatrzymał i zamrugał.

– Straszysz Tigera – syknęła.

Przez moment poczuł się, jakby uderzyła go w twarz.

Uklęknęła wtedy obok chłopca.

– Hej, kolego, co powiesz na to, że umyjemy teraz ręce i może pójdziemy na jakieś lody, co?

Tiger gapił się na ojca, ręce miał upačkane czerwoną watą cukrową. Wstał z Ivy, która znów popatrzyła na Dareka.

Zmusił się do uśmiechu, czując się, jakby właśnie odczytano, jakie przyśługują mu prawa.

– Idź z Ivy, synku.

Patrzył, jak Ivy wyprowadza Tigera z namiotu, po czym naskoczył na Claire i Jensena. Fala furii wróciła, zalewając mu umysł i serce.

– Trzymaj się z daleka od mojego syna! – powiedział z naciskiem, nie podnosząc głosu, w którym czaiło się napięcie.

Jensen miał wojowniczy błysk w oczach.

– Tylko z nim rozmawiałem...

– Nie masz prawa z nim rozmawiać.

– Dare – wtrąciła się Claire. – To moja wina. Zobaczyłam go, jak maluje, i wyglądał tak słodko w tym fartuchu. Ma nos Felicity i...

– Nie wspominaj o Felicity. – Nie odwrócił wzroku od Jensena. – Nigdy.

– Była moją najlepszą przyjaciółką. Oczywiście, że będę o niej wspominać – odparła Claire. – Nie tylko ty ją utraciłeś.

Zacisnął szczękę.

– Nie chcę cię widzieć w moim mieście, Jensen.

– Uwierz mi, ja też wcale nie chcę tutaj być. Ale jestem i staram się po prostu cieszyć festiwalem z Claire. Przykro mi, że cię zdenerwowaliśmy...

Zdenerwowaliśmy? Darek miał wrażenie, że ktoś przebija go kosą, gdy zobaczył, jak Claire kładzie dłoń na ramieniu Jensena.

Czy oni byli... *razem?*

Jensen zamierzał odejść i Darek powinien mu na to pozwolić. Ale nie mógł.

Nie teraz, gdy wezbrało w nim tyle energii, nie teraz, gdy Jensen chodził sobie wolny, nieukarany.

Bez śladu skruchy.

I, co gorsza, razem z Claire.

Złapał Jensena za ramię.

Ta walka wisiała w powietrzu od dawna. Zobaczył to w oczach Jensena, gdy ten się obrócił i wyszarpnął rękę z uchwytu Dareka. Nie był pewny, kto wtedy właściwie zaczął. Czy to była pięść Jensena wymierzona w jego twarz, która sprawiła, że się na niego rzucił, czy Jensen usiłował się tylko bronić.

Czymkolwiek była ta początkowa iskra, Darek miał w sobie tyle paliwa, by spalić wszystko dookoła. Powalił Jensena z hukiem na stół do malowania, zatoczył się i wylądował obok niego na chodniku. Jensen wpakował mu łokieć w szczękę, gdy próbował się podnieść, a Darek poczuł ból nawet za gałkami ocznymi. Wyciągnął rękę, złapał Jensena za kołnierz.

Usłyszał dźwięk dartego materiału, ale nie przestał, po prostu zarzucił ramię wokół szyi Jensena.

Darek przytrzymał go w tej pozycji. Przestał myśleć, działał na czystej adrenalinie. Chwycił Jensena mocniej, odcinając mu dopływ powietrza.

Ale Jensen zawsze grał nieczysto – Darek o tym zapomniał. Mężczyzna wpakował mu kolejny łokieć, tym razem w żołądek, aż Darek zaczął się krztusić. Westchnął, wypuścił go, a Jensen odsunął się szybko.

Jego były najlepszy przyjaciel stał teraz nad nim w podartej koszuli, dysząc ciężko.

Darek uniósł się, wciąż walcząc o oddech. Czuł, jak serce tłucze mu się o żebra.

Wokół nich nawet mewy przestały skrzeczeć. Zapadła cisza. Oprócz samotnego, nieszczęsnego okrzyku.

– Tatusiu!

Cała ta randka była okropnym pomysłem. Ivy zdawała sobie z tego sprawę. Szczególnie, gdy odciągała Tigera od Dareka, który leżał na ziemi pochłapany farbą i z takim gniewem w oczach, że nawet ją to trochę przestraszyło. Obróciła Tigera wokół jego osi i kucnęła, przytulając go mocno do siebie, aby ukryć go przed przemocą Dareka.

Małe ciało chłopczyka drżało, a ona wcale się temu nie dziwiła.

Żadne dziecko nie powinno być świadkiem tego, jak jego rodzic traci nad sobą kontrolę. Nieważne z jakiego powodu. Od rodziców oczekiwano siły, kompetencji, opanowania.

Aż ją ścisnęło w gardle. Tiger owinał ramiona wokół niej, czuła jego oddech

na szyi.

Okej, może ta randka miała jakieś dobre chwile. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś wtulał się w nią w ten sposób, tak mocno, jakby jej potrzebował. Czowała nasączone słońcem i ubrudzone watą cukrową ciało Tigera, gdy drżał w jej ramionach.

– Wszystko w porządku, Tiger. Ciii... Tacie nic się nie stało.

Spojrzała wtedy na Dareka z ogniem w oczach, mając nadzieję, że będzie w stanie odczytać jej myśli.

Wstawaj. Straszysz swojego syna.

A co gorsza, twoja teściowa ci się przygląda.

Zerknęła na miejsce, z którego Nan Holloway gapiała się na Dareka z otwartymi ustami, nawet nie próbując zamaskować przerażenia.

Raczej nie najlepszy moment, aby poznać matkę Felicity. Ivy myślała ręce Tigera w fontannie, gdy kobieta zaszła ją od tyłu i przedstawiła się. Tiger rzucił się jej w objęcia, potwierdzając jej słowa.

Matka Felicity. Nan Holloway.

Czy Darek nie wspominał czasem, że chciała odebrać mu Tigera?

I wtedy wydarzył się ten incydent, kolejna wpadka, jedna za drugą.

Ivy powinna powiedzieć mu prawdę od razu, oderwać strup od rany, porazić siebie z krwią i bólem. Mieliby to już z głowy, a on zniknąłby z jej życia, przestaliby marnować sobie nawzajem czas.

Chyba że Darek mógłby jej przebaczyć... i właśnie ta myśl i to, jak przywitał ją Tiger, uciszyły ją. Może przez trzy lata zdołał odnaleźć w sercu jakieś przebaczenie. Może wysłuchałby jej opowieści i zdałby sobie sprawę... że co, że wcale nie chciała wypuścić Jensena na wolność?

Chociaż, czy ten człowiek był naprawdę wolny?

Zwłaszcza teraz, gdy stał w samym środku tłumu i wyglądał, jakby chciał uciec.

Jensen spojrzał na nią. A potem na Tigera. I znów na nią.

Jakby go zdradziła.

Obrócił się i odszedł, przepychając się między ludźmi. Claire deptała mu po piętach.

Darek właśnie dźwigał się na nogi. Mężczyzna z logo drużyny futbolowej na koszulce pomógł mu wstać. Poklepał go po plecach, jakby Darek po prostu się przewrócił.

Po raz pierwszy nie chciała znać żadnych drastycznych szczegółów.

Tiger wciąż trzymał się jej kurczowo.

– Ja go wezmę – zarządziła Nan. Stała tak blisko, że Ivy aż podskoczyła. Nan kucnęła obok nich i Ivy wypuściła Tigera, przekazując go kobiecie. W końcu nie miała do niego żadnych praw. Ale pogłaskała go po plecach, gdy uczeplił się

babci, wciąż szlochając.

– Ciii... – powiedziała Nan, mierząc Dareka morderczym wzrokiem.

Podszedł do nich. Jego zaciśnięte usta przypominały cienką kreskę. Oddychał ciężko i wyglądał niemal, jakby miał się rozpłakać. Jego oczy były zaczerwienione. *Ona sama* miała ochotę się rozpłakać, widząc zboląły wyraz jego twarzy.

– Daj mi go, Nan – powiedział Darek.

Ale Nan podniosła Tigera, który od razu objął ją nogami w talii, i trzymała go mocno.

– Myślę, że powinieneś trochę ochłonać, Dareku – stwierdziła, niemal na niego warcząc.

Wziął głęboki oddech, spojrzał na Ivy, a potem znów na Nan.

– Czuję się dobrze.

Ale Nan nie dała się nabrać.

– Nie czujesz się dobrze. Publiczna burda? Co dalej, Dareku? Najpierw pojawia się u nas w niedzielę z Theo wyglądającym, jakby stado dzikich zwierząt przegoniło go po ulicy, a dzisiaj widzę, jak walczysz niby jedno z nich! Nie jestem przekonana, czy takiego rodzica potrzebuje mój wnuk.

Ivy dostrzegła błysk wściekłości w oczach Dareka i prawie położyła mu uspokajająco rękę na ramieniu.

– Wiem, że Felicity by się to nie spodobało, niech spoczywa w pokoju. Byłaby przerażona, gdyby zobaczyła, jak się zachowujesz.

– Może powinna o tym pomyśleć, nim zdecydowała się wybiec... – Ugryzł się w język.

Ale Nan wyglądała, jakby ją uderzył.

– Wiem, że nigdy nie kochałeś mojej córki, Dareku. Ale ona cię uwielbiała i nie ważyła się nawet bezcześcić jej pamięci! Była dla ciebie dobrą żoną i wspaniałą matką...

– Nan, przepraszam. Nie chciałem...

Nan sama była na krawędzi utraty kontroli nad sobą. Chwyliła Tigera mocniej, cofnęła się o krok.

– Zabieram Thea ze sobą do domu. Umyję go, nakarmię i oddam ci go jutro.

Tym razem Ivy położyła dłoń na ramieniu Dareka.

– Nie.

– Dareku, on przeżył wstrząs emocjonalny...

– To ja przeżyłem wstrząs emocjonalny! Nie widziałaś, jak człowiek, który zabił twoją córkę, bawi się z twoim wnukiem?

Jego głos zabrzmiał jak huragan. Tiger szarpnął się w ramionach Nan. Twarz miał wykrzywioną w takim grymasie przerażenia, że Ivy miała ochotę się rozpłakać.

– Dareku! – Nie wytrzymała Nan.

Tiger obrócił się znów do Nan, obejmując ją mocniej za szyję.

Darek wzdrygnął się. Zacisnął zęby. Odwrócił wzrok.

Jego ramiona unosiły się i opadały w rytm oddechu. Ivy chciała przycisnąć dłoń do jego pleców w geście pocieszenia. Ale nagle, gdy Nan na nią patrzyła – gdy patrzyło na nią całe miasteczko – uświadomiła sobie, że w tej historii to właśnie ona może być czarnym charakterem.

Który zajmuje miejsce Felicity.

Prawda wezbrała w niej. Ivy nie należała do tego miejsca. Powinna stąd wyjechać. W tej chwili.

Nie mogła oddychać.

Uciekaj stąd.

Kamienie zachrzęściły pod jej stopami, gdy się cofnęła. Na ten dźwięk Darek uniósł wzrok i spojrzał na nią.

Proszę. Powiedział to samymi oczami. Ból w nich widoczny osadził ją w miejscu. *Nie idź.*

Albo może tylko miała nadzieję, że to właśnie mówił. Tak czy siak, zatrzymała się.

Darek znów powoli obrócił się do Nan, jego ramiona unosiły się i opadały. Położył dłoń na plecach Tigera i powiedział cicho:

– Jutro. W południe.

Nan przez moment zabrakło słów. A potem ściszyła głos.

– Postępujesz słusznie, Dareku.

Przytaknął, chociaż na jego twarzy nie było ani śladu zgody, i pochylił się, by pocałować Tigera w policzek.

– Bądź grzeczny u babci.

Darek stał tam, gdy Nan odchodziła z Tigerem. W jego oczach czaiło się tyle bólu, że Ivy wzięła go za rękę.

Nie spojrzał na nią. Po prostu spleł palce.

– Chodź – powiedziała cicho. – Mam dość sztuki na dzisiaj.

Nic nie odpowiedział, gdy prowadziła go wzdłuż ulicy, obok sprzedawców, obok tłumów. Nie była do końca pewna, dokąd właściwie idzie, a gdy wylądowali przy jego samochodzie zaparkowanym przed jej domem, myślała, że po prostu ją tutaj zostawi.

I wtedy niespodziewanie obrócił się do niej.

– Wiem, że nie byłem dzisiaj dobrym kompanem. Ale... – spojrzał na ich palce, wciąż połączone. – Czy chciałabyś zjeść ze mną kolację?

Kolację?

Robi się już późno. Mam jutro dużo pracy. Powinna wypowiedzieć którąś z tych możliwości. Zamiast tego przytaknęła.

Wsiadła do jego samochodu. Pojechała z nim do ośrodka Evergreen. Wie-

działa już, gdzie dokładnie umarła Felicity, i złapała się na tym, że szacuje szerokość drogi, gdy w ciszy przejechali zakręt.

Ręce Dareka zacisnęły się na kierownicy i wziął długi oddech.

Wreszcie, gdy wjechali na polną drogę prowadzącą do ośrodka, powiedział:

– Przepraszam. – Oczy trzymał utkwione w drogę, ale jego słowa odbiły się w wyrazie jego twarzy.

– Co się stało? – zapytała cicho. – W jednej minucie stałeś sobie spokojnie, a w następnej wróciłam i zobaczyłam, że tarzasz się po ziemi z Jensenem.

– Nie wiem.

Zaparkował na parkingu, teraz wypełnionym furgonetkami i samochodami osobowymi hotshotów.

Darek siedział przez moment nieruchomo, po czym spojrzał na nią.

– Jensen zabił moją żonę.

Wiedziała o tym, ale gdy usłyszała, jak wypowiada te słowa, takie proste, a zarazem pełne emocji, ból odmalował się także na jej twarzy.

– Jechał samochodem, a ona poszła pobiegać i... – Zamknął oczy, potrząsając głową. – Nie chcę o tym mówić.

Przełknęła ślinę, przytaknęła. Była pewna, że to jeszcze nie koniec tej sprawy.

Darek wysiadł z samochodu.

– Mam w lodówce parę steków, a moja siostra upiekła wczoraj świeży chleb. Zaraz wracam. – Zostawił ją stojącą na ścieżce, podczas gdy sam zniknął w domu rodziców.

Lasy więziły w sobie ciepło, zapach grubego dywanu sosnowych igieł, wiatr, który szumiał w gałęziach brzozy. Przeszła obok chaty i zobaczyła na plaży kajak, a na nabrzeżu ponton. Na pobliskiej gałęzi krakała wrona.

– Człowiek może tutaj zapomnieć – powiedział Darek, stając za nią. Trzymał w dłoniach miskę ze stali nierdzewnej, z główką sałaty, pomidorem, czerwoną cebulą i ogórkiem. Z jego palców zwisała torba z bochenkiem chleba.

Odebrała od niego miskę. Przyjrzała mu się przez chwilę.

– Albo może próbować.

Darek uśmiechnął się blado, po czym skinął głową, przechodząc obok niej.

Ivy zrównała się z nim. Ich stopy uderzały miękko o ścieżkę poprzecinaną korzeniami, która wiła się przez las, prowadząc do jego małego domku.

Darek zostawił wszystkie produkty na stole na zewnątrz.

– Zaraz wracam.

Ivy czekała na niego na ganku, patrząc na jezioro. Jakie to mogło być uczucie, dorastać tutaj, w tym miejscu otoczonym spokojem? Pamiętającym przeszłość? Z jego rodziną zaraz na końcu ścieżki, z jego imieniem wydrapanym na drzewie? To była ziemia Dareka – Evergreen.

Nie miała pojęcia, jakie to uczucie zostać wyrwanym z korzeniami.

Darek wyszedł z domu z deską do krojenia, talerzami, kilkoma nożami, sztuccami zawiniętymi w dwie serwetki i z dwoma świeżymi stekami na półmisku. Za drugim razem przyniósł jeszcze kilka puszek z colą, sól i pieprz, czosnek, sos do sałatek z niebieskim serem i położył to wszystko na stole na werandzie.

– Wspaniałe miejsce – powiedziała, pokazując na drugą stronę jeziora.

Nie podniósł głowy.

Oho, to może jednak był zły pomysł.

– Jensen Atwood mieszka tam, w tamtym dużym domu. – Odpakował steki i obrócił się, by rozpaść grilla na gaz, z sześcioma palnikami. Grill zahuczał, budząc się do życia. Darek przykręcił trochę płomień i zamknął pokrywę. Gapił się na niego przez chwilę, a potem powiedział: – Dorastaliśmy razem.

– Ty i Jensen?

– I Felicity, i Claire. Były o dwa lata młodsze od nas, a więc zawsze poza naszym zasięgiem. Spędzaliśmy każde lato wspólnie nad tym jeziorem. – Wskazał wodę szczypcami. – Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, nawet po tym, jak się wyprowadził.

Podniosła nóż, zaczęła kroić ogórka w plasterki.

– Dlaczego się wyprowadził?

– Jego rodzice rozwiedli się, a matka ponownie wyszła za męża. Ojciec był rozgoryczony, przeniósł się z nim do Minneapolis. – Posolił steki. – Jensen nienawidził tamtego miejsca. Uwielbiał mieszkać tutaj, a przeprowadzka do wielkiego miasta wyróciła jego życie do góry nogami. Wracał tu każdego lata.

Spojrzała na niego, zaskoczona brakiem urazy w jego głosie.

– Przebywał tutaj także podczas tych letnich miesięcy, gdy pracowałem w drużynie hotshotów w Montanie. Cóż, przybywało mi tych miesięcy w pracy. Pierwszego roku pojechał razem ze mną do Montany, ale... nie wyszło.

Sięgnęła po pomidora.

– Pamiętam ten rok, gdy przyjechałem do domu z wizytą w czasie lata i usłyszałem plotki, że on i Felicity kręcili ze sobą. – Wziął cebulę i zaczął ją kroić. Opadała na deskę w cienkich krążkach. – Nie byłem zaskoczony. Zawsze konkurował ze mną o wszystko. Hokej. Oceny. Felicity.

– Ty i Felicity chodziliście ze sobą w liceum?

Darek zamrugał, jakby walczył z pieczeniem oczu spowodowanym przez cebulę.

– Nie, właściwie to nie. – Odwrócił głowę, rozszerzając oczy. – Wow, mocna.

Ivy sięgnęła ręką i skradła mu cebulę. Dokończyła ją kroić. Ona nigdy nie była podatna na te ostre soki.

Odłożył nóż.

– Poszliśmy razem na studniówkę. Podwójna randka z Jensenem i Claire. Myślę, że Felicity ubzdurała sobie, że powinniśmy być razem i... cóż, zaczęła bardzo mocno naciskać, zwłaszcza gdy wróciłem tamtego lata, pomimo tego, że chodziła z Jensenem. – Uniósł pokrywę grilla i za pomocą szczypiec położył steki na ruszcie. Doprawił je czosnkiem. – Nie żebym się specjalnie bronił. – Westchnął. – Powinnaś wiedzieć, że Felicity i ja nie byliśmy małżeństwem, gdy został poczęty Tiger.

Tego Ivy się nie spodziewała. Ale cóż...

Spojrzał na nią, z bólem w oczach.

– Prawda jest taka, że wcale nie chciałem się z nią ożenić. Byłem na nią zły. Czulem się, jakby złapała mnie w pułapkę. – Zamknął pokrywę, zmniejszył płomień. – Nie byłem dla niej dobrym mężem. Byłem sfrustrowany i pełen pretensji. No i przez większość czasu nie było mnie w domu, bo spędzałem czas z drużyną hotshotów. Pracowałem wtedy przez cały rok, a gdy akurat nie zajmowałem się czymś na zlecenie służb leśnych, to przechodziłem szkolenia. Nic dziwnego, że zwróciła się do Jensena.

Jego słowa sprawiły, że uniosła wzrok.

– Czy ona i Jensen...?

– Nie wiem. Po trzech latach rozmyślania o tym, nie wydaje mi się, ale wtedy...

To wydawało się takie... wielkoduszne jak na człowieka, który właśnie rzucił się publicznie na swojego nemezis. Ivy dodała cebulę do miski. Wzięła sałatę i zaczęła drzeć ją rękami.

Wziął głęboki oddech, spoglądając w kierunku domu po drugiej stronie jeziora.

– Głęboko w środku byłem na nią i na życie taki wściekły. – Zadrzał mu mięsień w szczęce. – Tamtej nocy oskarżyłem ją o romans, i wtedy... – Westchnął. – Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłem. Wciąż czasem go słyszę, mój głos w swojej głowie, który kazał mi przestać. Kazał mi się po prostu zamknąć. Ale nie mogę cofnąć tych słów. Nie mogłem powstrzymać tej fali oskarżeń. Tak wiele ich padło. Obwiniłem ją za wszystko. Za to, że zaszła w ciążę, za to, że skradła moje życie. A ona mi się zrewanżowała. Powiedziała mi, że powinienem być bardziej jak Jensen. Że on by od niej nie uciekał. I to wtedy właśnie zasugerowałem, że pewnie miała ochotę na nowego męża, na chłopaka z sąsiedztwa.

Ivy przestała drzeć sałatę i po prostu patrzyła, jak uchodzi z niego powietrze, na wyraz porażki na jego twarzy.

– Niestety, miała rację. Jensen był mężczyzną, na którym mogła polegać. Zawsze taki był i wiedziałem o tym. Pomimo tego, że małżeństwo jego rodziców się rozpadło, on zostałby w Deep Haven, ułożył sobie z nią życie. W głębi duszy jest chłopakiem z małego miasteczka. I w pewnym sensie to ja ukradłem Felicity *jemu*.

Jego słowa sprawiły, że poczuła próżnię, nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Kochał ją? – spytała.

– Nie wiem. Może. Zawsze miał słabość do Claire, ale Felicity była piękna i promienna. Przyciągała naszą uwagę. – Pozwolił sobie na pozbawiony wesołości śmiech. – Jensen był moim drużbą podczas naszego przymusowego ślubu.

– Przymusowego?

– Nie, nie do końca, tak myślę. Chociaż dla Nan i George’a pewnie tak było, woleliby mnie przepędzić na cztery wiatry. – Posłał jej blady uśmiech.

Zawahała się, ale w końcu odpowiedziała mu uśmiechem.

Za jego plecami zaczął unosić się dym z grilla.

– Steki! – Otworzył energicznie pokrywę. W powietrze buchnął kłęb dymu. Złapał mięso i przewrócił je.

– Mam nadzieję, że lubisz węgielki – powiedział. – Przepraszam.

Nie przyszedł tu po to, żeby jeść. Nie, żeby pozwoliła to sobie wypowiedzieć na głos, ale gdy patrzyła, jak miesza sałatkę, nabrała ochoty, by wsunąć mu się w ramiona. Zbliżyć się do niego, poczuć jego usta na swoich.

Sprawić, by zapomniał o wszystkich swoich błędach, żalach i...

Zostać tutaj, jakby tutaj należała.

Może któregoś dnia, jeśli Darek przebaczy Jensenowi, wtedy zdoła również przebaczyć jej. Może powinna tak po prostu powiedzieć mu prawdę – powiedzieć, że z daleka Jensen wydawał się niewinny. Pewnie był, ale o tym już nie musiała wspominać. Powiedziała mu o wszystkim, pokazałaby Darekowi, że nigdy nie chciała skrzywdzić ani jego, ani Deep Haven.

Starala się po prostu pozostać bezstronna. Pomóc sprawiedliwości.

– Wybaczam ci – powiedziała, sięgając po sałatkę. – Po prostu nie podpal już niczego więcej.

Zaśmiał się, ten dźwięk był bogaty i piękny.

Ups. Chyba już za późno.

Darek nie był pewny, jak udało mu się przejść od burzy swych uczuć, które kłębiły się w nim, w środku, do stanu, kiedy miał ochotę zapomnieć o stekach i po prostu porwać Ivy w ramiona.

Co on w ogóle sobie myślał, wylewając przed nią swoje żale, swoje błędy, aby mogła się im dokładnie przyjrzeć?

Z Ivy po prostu tak łatwo się rozmawiało. Słuchała, nie wydając osądów. Ze współczuciem. I rozmowa z nią jakoś rozwiązała w nim supeł gniewu.

Darek wziął głęboki oddech i obrócił się do grilla, rozpędzając rękawicą dym.

– Pomyślą sobie, że podpáliliśmy cały las. – Serce waliło mu o żebra, czuł jej

obecność za plecami.

To wszystko wina adrenaliny, sposobu, w jaki Ivy ujęła jego dłoń, jak nie pozwoliła mu się najeść więcej wstydu w mieście. Zgodziła się pójść z nim kolację, dając mu kolejną szansę.

Spojrzał na drugą stronę jeziora, gdzie zapaliły się światła w domu Jensena.

Dziwna, nieproszona tęsknota objęła go w posiadanie. *Hej, Jens, idziemy na ryby?*

Darek wypuścił powietrze z płuc, sprawdził co ze stekami. Pomimo tego, że na zewnątrz były spieczone, wydawały się soczyste. Pozwolił im się ześlizgnąć na półmisek.

– Chcesz zjeść nad jeziorem?

Gdy się obrócił, Ivy miała już w ręce miskę sałaty, a w drugiej talerze z serwetkowymi zawiniątkami. Wziął colę, wsadził sobie butelkę sosu pod pachę i wskazał głową w stronę stołu piknikowego przy wodzie.

Szła pierwsza, wyglądając tak pięknie w swojej letniej sukience, gdy wiatr igrał z jej włosami. Pewnie zrobi jej się zaraz zimno, gdyż słońce prawie już zaszło. Może będzie mógł jej w tym jakoś pomóc.

Ech, i znowu chciał działać zbyt szybko.

Ivy postawiła miskę na stole i rozłożyła talerze obok siebie, aby mogli pa-trzeć razem na jezioro. Położyła jeszcze serwetki i usiadła na ławce.

– Kiedy miałam dwanaście lat, rodzina, z którą mieszkałam, wybrała się na kemping. Leżałam w namiocie, nie śpiąc całą noc, drżąc, przerażona każdym dźwiękiem. Ale podobał mi się pomysł jedzenia na dworze. A pod koniec tygodnia nie mogłam się doczekać kolejnej przygody za rok.

– Bałaś się następnym razem?

Nałożyła sobie sałatę na talerz, po czym dziabnęła widelcem jeden ze ste-ków.

– Wygląda pysznie.

Zmarszczył czoło.

– Ivy?

– Przeniesiono mnie trzy miesiące później, zaraz przed Bożym Narodzeniem. Nigdy więcej nie widziałam już tej rodziny.

Aha.

– Przykro mi.

Wzruszyła ramionami.

– Przez większość czasu było w porządku. Przyzwyczaiałam się do tych cią-głych przeprowadzek. Najciężej było mi wtedy, gdy prawie zostałam adoptowana.

– Patrzył, jak zabiera się za mięso, kroi je na małe kawałeczki, podnosi i wsadza sobie do ust.

– Co się stało?

Westchnęła.

– To była starsza para. Intelktualiści. Nie mieli własnych dzieci, a chcieli syna i córkę. Wzięli więc mnie i chłopca starszego o jakiś rok. Był uroczy, dobrze zbudowany. Trzymał się z dala od kłopotów. Ja za to byłam mołem książkowym. – Spojrzała na niego z uśmiechem.

Darekowi wcale nie było do śmiechu.

– Pewnego dnia mężczyzna zostawił na stole zwitek banknotów i zniknęło stamtąd dwadzieścia dolarów. Nie byłam pewna, czy to Brooks je zabrał, ale wiedziałam, że to na pewno nie ja. Przesłuchali mnie, i chociaż mówiłam im prawdę, nie uwierzyli mi. Mam wrażenie, że Brooks zwałił to na mnie, ale... odesłali mnie jakiś tydzień później. – Wzięła kolejny kęs.

Stracił apetyt. Właściwie zrobiło mu się niedobrze.

– Tak mi przykro.

– W porządku. Przeżyłam.

– Jesteś niesamowitą kobietą, Ivy.

Zmarszczyła lekko czoło.

– Dlaczego?

– Dlaczego nie jesteś zdruzgotana, wściekła i...? Jesteś taka dobrze ułożona.

Śmiech, jaki wydała, nie miał nic wspólnego z humorem. Może raczej z rozgoryczeniem.

– Ja... zawsze marzyłam o czymś więcej, wiesz? Robiłam wszystko, aby nie przywiązywać się do ludzi. Musiałam wierzyć, że któregoś dnia... cóż... – Zdawała się szukać czegoś w jego oczach. Po drugiej stronie jeziora zawył nur, długo i nisko.

– Musiałaś wierzyć, że któregoś dnia... co? – zapytał cicho.

Ivy odwróciła wzrok, pokręciła głową.

– Tu jest tak pięknie. Gdybym tutaj mieszkała, nigdy bym stąd nie odeszła. – Zamknęła oczy, biorąc głęboki oddech.

– Nie chcę, żebyś odchodziła. – Nie wiedział, skąd się to wzięło, jakim cudem w ogóle wypowiedział te słowa, ale zaskoczyły go tak samo jak ją, bo otworzyła szeroko oczy.

Położył jej dłoń na policzku.

– Jesteś taka piękna – powiedział. Po czym nachylił się do niej i pocałował ją.

Było dokładnie tak, jak zapamiętał z ich randki pod fajerwerkami, właśnie o takiej chwili usiłował zapomnieć – no, może nie usiłował, ale miał poczucie, że nie należało jej wtedy całować.

Może to był przypadek, to wszystko. Ta kobieta, która mu się poddała, pozwalając mu się całować, położyła dłonie na jego piersi. Podczas tej chwili z nią czuł się, jakby odkupił swoje winy. Jakby ta bliskość mogła uleczyć ostatnie pięć

lat jego życia.

Objął ją i przyciągnął do siebie. Ivy. Spróbował, jak to imię smakuje na jego wargach, wyszeptane w jej szyję. Odsunął się i ujął jej twarz w dłoń.

Przełknęła ślinę.

– Dzięki tobie czuję się jak nowy człowiek, Ivy. Nie noszę tego całego bagażu. Jakbym wcale nie rzucił się na faceta, który był moim najlepszym przyjacielem. Jakbym wcale nie wystraszył mojego syna. Sprawiasz, że mam wrażenie, jakbym mógł zacząć od nowa i pewnego dnia, być może, mógłbym się stać tym mężczyzną, którym powinienem być od początku. Przy tobie ta cała gwałtowna złość, jaką czuję w swojej głowie, po prostu znika, i mogę o niej zapomnieć. Może nawet ruszyć naprzód.

Znów przełknęła ślinę, jej oczy błyszczały. Później znów je zamknęła, odwracając głowę.

Co?

– Jesteś... na mnie zła?

Skrzywiła się, pokręciła głowę, ale uwolniła się z jego objęć.

– Ivy, co się dzieje? – A więc jednak *zadziałał* zbyt szybko, podpalając rzeczy, które wcale nie należały do niego.

– Ja nie... Wiedz, że nie planowałam tego. Ja nie... – Spojrzała na niego, odetchnęła. – Przyjechałam tutaj, bo chciałam pomagać ludziom. Chciałam zmieniać ich życie. Chciałam zrobić coś dobrego. Nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić... – Położyła dłoń na ustach i zeskoczyła z ławki.

Darek ruszył za nią.

– Nikogo nie skrzywdzisz.

– Ja po prostu... Słuchaj, może to nie jest dobry pomysł.

Złapał ją za ramię.

– O czym ty mówisz?

Ale odepchnęła go.

– Nic. Przepraszam. – Odeszła od niego. – Myślę, że muszę już iść.

– Iść? Nie, Ivy. Co się dzieje?

Jej twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie, jakby usiłowała się nie rozpłakać.

– Nie rozumiesz. Ja już tak mam. Mam coś dobrego w życiu, a potem wszystko psuję. I wtedy nadchodzi koniec. – Cofała się. – Po prostu... koniec.

Aha. Zrozumiał.

– Opieka społeczna puka do drzwi i cię zabiera.

Zbladła. Ale skinęła głową.

– Nie mam żadnego bagażu, bo wiem, że nic nie trwa długo. Nigdy. Ludzie tylko... Dają sobie ze mną spokój. A więc nauczyłam się nie oczekiwać zbyt wiele. A teraz ty... I Tiger, i...

Zaśmiała się ostro, prawie gorzko.

– Albo to może Bóg po prostu dał sobie ze mną spokój. Nienawidzi mnie.

– Co? Ivy, dlaczego Bóg miałby cię nienawidzić?

Kolejny ostry śmiech.

– Nie, czekaj. Wcale mnie nie nienawidzi. To by wymagało jakiegoś zaangażowania. On po prostu... Cóż, On nie jest po mojej stronie.

– Ivy...

– Wcale się tym nie przejmuję. Po prostu... Chcę jakiejś chwili wytchnienia, wiesz? Żeby chociaż jedna rzecz poszła zgodnie z moimi planami.

– Nie rozumiem.

– Nieważne. Nie powinnam pozwolić, by to stało się ważne.

Odchodziła w stronę parkingu, jakby... Szlag, chyba nie chciała go zostawić?

– Idę do domu, Dareku – Jej głos drżał. Czyżby płakała?

Podbiegł do niej, obrócił ją w swoją stronę. Po twarzy spływały jej łzy. Co do...?

– Słuchaj, przyznam, że nie jestem z Bogiem w najlepszych stosunkach, ale wiem, że On wcale cię nie nienawidzi. I nie pozwolę, żebyś tak po prostu ode mnie odeszła. Nie zrezygnuję z ciebie. Ani... – Przełknął ślinę. – Z nas. Nie zrezygnuję z nas.

Zmarszczyła brwi, zaskoczona jego słowami.

– Z nas?

Nas. Słowo zagnieździło się także w jego głowie. Ale wypowiedział je naprawdę i nie było już odwrotu, a więc skinął głową.

– Ja... Ja nigdy nie byłam częścią... nas.

Pogłaskał kciukiem jej policzek, znajdując słowa łatwiej, niż myślał.

– Może nadszedł wreszcie czas, abyś została. Może nadszedł czas, aby ktoś w ciebie uwierzył, trzymał się ciebie, sprawił, że uwierzysz w swoją wartość.

Zamrugła i łza spłynęła jej z podbródka.

Czuł te słowa, nawet gdy je wypowiadał.

– Jesteś ważna, Ivy. – Uniósł jej podbródek i pochylił się nieco, by przebiec ustami po jej wargach. – Dla mnie. Chcę nas.

Pocałował ją czule, bo wydawało się to słuszne. I potem jeszcze raz, bo jego serce przejęło nad nim kontrolę.

Nie odpowiedziała, nie od razu. A potem objęła go za szyję ramionami. Westchnęła, gdy oddawała pocałunek.

Była taka mała, ale idealnie układała się w jego ramionach, a gdy otoczyły ich cienie drzew, pozwolił sobie wierzyć, że tak, że może być dobrym człowiekiem. Takim człowiekiem, jakim powinien być dla Felicity.

Człowiekiem, na którego Ivy zasługiwała.

dwanaście

To, czego Darekowi nie udało się osiągnąć fizycznie, udało mu się osiągnąć psychicznie. Albo duchowo. Bo gdy Claire patrzyła teraz na Jensena, widziała, że coś w nim umarło.

Stał na werandzie nieruchomości, patrząc, jak cienie wypełniają wszystkie zakamarki nad jeziorem. Jakby wciąż przeżywał ten moment, gdy Darek złapał go za ramię.

Claire czuła przemożną chęć, aby do niego podejść i otoczyć go ramionami. Powiedzieć mu, że wcale nie był takim człowiekiem, za jakiego miał go Darek.

Wierzyła w to. Kimkolwiek Jensen był, przez ten krótki okres trzy lata temu, zmienił się. Nie był człowiekiem, który mógłby odbić komuś żonę. Nie był człowiekiem, który mógłby zdradzić przyjaciół.

Człowiek tego pokroju nie pracowałby od świtu do północy, budując rampę dla swojego niepełnosprawnego sąsiada, poszerzając mu framugi, podwyższając stoły i obniżając łóżko. Nie odłożyłby młotka na godzinę, żeby potowarzyszyć jej w spacerze, by obejrzyć festiwal sztuki.

Claire tak bardzo pragnęła cofnąć czas i wymazać te koszmarne chwile w mieście.

– Tak mi przykro, że cię w to wciągnęłam.

– To nie twoja wina, że Darek mnie nienawidzi. – Jensen nie odwrócił się od bariery. – Nie wiem, co sobie myślałem. Stać mnie na coś więcej.

– Niby na co? Na niechodzenie do miasta?

– Nie powinienem ryzykować, że ktoś zobaczy mnie publicznie. Zwłaszcza Darek.

Podawała mu szklankę lemoniady.

– To była moja wina. Zobaczyłam Tigera i tak mocno się za nim stęskniłam...

– Jest taki podobny do Felicity... Te urocze piegi, ten nos. Ma też jej oczy.

Nie wiedziała, co o tym sądzić.

– Ostatnim razem pobiliśmy się z Darekiem w dniu, kiedy opuściłem drużynę hotshotów.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– To właściwie nie była nawet bójka. Zaczął robić mi wyrzuty, że odchodzę, nazwał mnie tchórzem. I zrobiło się nieprzyjemnie. – Zapatrzył się w szklankę. – Nawet nie spytałem ojca o zgodę, nim pojechałem tam razem z Darekiem prosto po ukończeniu szkoły, marząc, że obaj zostaniemy bohaterami. Mój ojciec mnie odnalazł. Dosłownie: wszedł w samolot i odnalazł mnie. Dopiero co skończyliśmy miesiąc treningu i walki z ogniem w Idaho, a on pojawił się w obozie w Montanie. –

Pokręcił głową. – Nie chciałem wyjeżdżać, ale... nie miałem niczego innego. Moja mama wyprowadziła się do Kalifornii, do swojego nowego męża. Może Darek miał rację. Byłem tchórzem.

– Nie byłeś tchórzem...

– Byłem. Powinienem był postawić się ojcu. Ale dałem się skusić podszep-
tom, że stać mnie na więcej, że Deep Haven nie jest najważniejsze. Że powinienem
wznieść się ponad nie.

– A więc dlaczego wracałeś każdego lata?

Spojrzał na nią, przełknął ślinę, po czym odwrócił wzrok.

– Miałem swoje powody.

No tak, oczywiście. Takie jak Felicity. Nie dało się uciec od tego tematu.

– Myślę, że zazdrościłem Darekowi, że żył w zgodzie ze swoimi marzenia-
mi, że został hotshotem. A potem, oczywiście, ożenił się z Felicity.

Westchnęła, rozpaczliwie pragnąc zmienić temat.

– Dziękuję za tę całą ciężką robotę, jaką wykonujesz przy przebudowie. Nie
mogę się doczekać, aż dziadek to zobaczy. Na pewno mu się spodoba.

Jensen upił łyk lemoniady.

– Jesteś pewna, że dasz sobie radę? Opieka nad dziadkiem nie będzie łatwa
i...

– Tak. – Nie chciała odpowiadać tak szybko, ale... – Tak. Dam radę. Dlatego
tu jestem.

Skinął głową, przyjrzał się szklance.

– Oczywiście. Twój dziadek ma szczęście, że cię ma.

– To ja mam szczęście, że mam jego. Rozmyślałam, co by się ze mną stało,
gdyby dziadkowie mnie do siebie nie wzięli, gdyby.... gdyby moi rodzice zmusili
mnie do pozostania w Bośni.

– Powinni byli zostać z tobą w domu – powiedział, a w jego głosie zaszła ja-
kaś zmiana.

– Nie mogłam ich o to prosić. Byli misjonarzami. Lekarzami. – Potrząsnęła
głową, starając się nie słyszeć w głowie echa przeszłości. Tych chwil, gdy płakała
tak długo, aż nie zasnęła wyczerpana. Albo słów jej matki: *Mamy pracę i obowiąz-
ki wobec Boga, Claire. Nie możesz prosić nas, abyśmy zdradzili Boga.*

I to dlatego, rzecz jasna, Bóg z nią nie rozmawiał. Zdradziła Go swoimi
oskarżeniami. Swoimi wątpliwościami.

Bóg nie jest łaskawy.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że powiedziała to na głos. Siedziała wczoraj wie-
czorem w łóżku, żalując tych słów, nie mogąc znieść faktu, że, owszem, gdzieś w
głębi duszy czasami właśnie tak czuła.

Ale musiała wierzyć w łaskawego Boga, Boga, który się troszczy. Inaczej
życie wydawałoby się takie pozbawione jakiegokolwiek kontroli. Przypadkowe. A w

chaotycznym, przypadkowym świecie nie można było czuć się bezpiecznie.

– Ty byłaś ważniejsza. Powinni jednak wrócić do domu.

Ech. Głupie łzy zapiekły ją w kącikach oczu. Odwróciła głowę.

Jak zwykle Jensen ją wyratował.

– Nie musiałaś robić kolacji.

Claire szybko wzięła oddech, przywołała na twarz uśmiech.

– To jedna z rzeczy, które robię dobrze. Pizza zaraz będzie gotowa.

Spojrzał na nią, przemknął wzrokiem po jej twarzy. Jego niebieskie oczy zawsze przypominały jej, jaką kobietą chciałaby być. Piękną, zalotną, taką flirtującą jak Felicity. Silną. Taką, która bierze od życia to, co chce, zamiast pozwalać, by po prostu przytrafiały się jej różne rzeczy.

– Z tego, co pamiętam, wszystko robisz dobrze.

Wydała z siebie dźwięk, który przypominał śmiech.

– No co? Naprawdę. Miałaś w szkole świetne stopnie. Nie byłaś jakoś szóstą w klasie?

– Piąta. – Ciekawe, że pamiętał coś takiego.

– I potrafisz grać niemal na każdym instrumencie. Siedziałem tutaj czasem na werandzie w nocy, mając nadzieję, że wyjdiesz na nabrzeże z gitarą. Czasami wyciągałem swoją harmonijkę i grałem razem z tobą.

– Powinieneś kiedyś ze mną zagrać.

Teraz to on zaśmiał się tonem pozbawionym wesołości.

– Czemu nie? Mógłbyś dołączyć do zespołu...

– Jak tylko wszystko skończę, wyjeżdżam.

Szorstkość jego tonu uciszyła ją. Musiał to zauważyć, bo spojrzał na nią.

– Po prostu myślałam... Myślałam, że kochasz to miejsce – powiedziała miękko. Znow łzy zapiekły ją w oczach. Odwróciła się od niego, spojrzała na wodę. – Powiedziałeś mi kiedyś, że nie mogłeś się doczekać, aby tu zamieszkać. Powiedziałeś, że po skończeniu prawa chciałeś tu wrócić, otworzyć kancelarię, ocalić świat.

– To było, zanim sam potrzebowałem ocalenia.

Racja. Przełknęła gulę w gardle.

– Tak, chciałem tutaj kiedyś mieszkać... Ale teraz... – Wzruszył ramionami.

– Hawaje brzmią nieźle.

Nie odwzajemniła uśmiechu.

– Tam jest gorąco.

Z kuchni dobiegł dźwięk minutnika w piecyku. Claire zmusiła się do odejścia, wyciągnęła pizzę, zsunęła ją na drewnianą deskę do krojenia i wróciła z nią do stołu na patio.

Jensen odsunął krzesło z kutego żelaza i zapalił elektryczną latarenkę. Claire rozłożyła talerze na stole i też usiadła.

– Pycha. – Sięgnął po kawałek i wyszczerzył się, jakby bardzo chciał zapamiętać o tym feralnym dniu. Złapał dyndający kawałek stopionego sera i położył go na pizzie.

Och, był takim przystojnym mężczyzną. Zmienił podarty T-shirt na porządną niebieską koszulę, do której założył modne dżinsy i lekkie buty. W takim stroju wyglądał zupełnie jak bogaty dzieciak z miasta, którym się stał.

Prawnik, którym chciał być.

Niełatwo było jej myśleć o nim w ten sposób, zwłaszcza, gdy podwijał rękawy, nosił swoją spłowiełą bejsbolówkę Husky tyłem do przodu i biegał w tych ciężkich buciorach.

– Pobrałam z Internetu podanie o ułaskawienie – powiedziała, nakładając sobie na talerz kawałek pizzy. – Nie jest skomplikowane.

– Przeczytałem je. – Upił łyk ze szklanki. – Nie sądzę, by to coś dało, Claire. Wymagany jest list polecający. A po tym, co się dzisiaj stało w mieście...

– Nie wszyscy zgadzają się z Darekiem. Nie wszyscy widzą w tobie czarny charakter.

Wpatrywał się przez chwilę w swoją lemoniadę.

– Kiedy twoi rodzice tutaj przyjadą?

Spojrzała na niego. Zdziwiło ją, że zmienił temat.

– Powiedzieli, że za kilka tygodni. Nie wiem. Jeśli będę mieć szczęście, w ogóle się nie zjawią.

– Wcale tak nie myślisz.

Oparła stopy o krawędź siedzenia.

– Znów sprawią, że będę się czuła jak jedna wielka porażka. Będą mi przypominać, że nie zrobiłam niczego ze swoim życiem.

– Gdybyś mogła być kimkolwiek tylko zechcesz, kim byś była?

– Nie wiem. Może zawodowym ogrodnikiem.

– Nie muzykiem?

– Nie. Nie mam do tego tyle pasji, co Kyle i Emma.

– Ale kochasz kwiaty.

– Uwielbiam pracować w ziemi, patrzeć, jak nasiona ożywają, patrzeć, jak kwitną. Uwielbiam wyrywanie chwastów i przycinanie roślin.

– To ty zajmujesz się różami w Deep Haven, prawda?

Skinęła głową.

– Są piękne.

– Odporne. Każdego roku toczy się dyskusja, kiedy powinniśmy ściągnąć z nich okrycia. Tym razem ja... cóż, prawie je zabiłam. Bałam się późnych przymrozków, mamy je prawie co roku. Ale nigdy nie nadeszły, a róże prawie się udużyły.

– Ale przywróciłaś je do życia, Claire. – Przyglądał się jej z jakimś dziwnym

wyrazem twarzy. – Masz do tego dar, Claire. Potrafisz przywrócić coś do życia.

Nie mogła się poruszyć, niepewna tych słów, emocji tkwiących w jego spojrzeniu.

Po drugiej stronie jeziora zaskrzeczał nur, a dźwięk uniósł się echem nad wodą.

– Jestem ci winna przeprosiny – powiedziała cicho.

Zmarszczył brwi.

– Myślałam, że miałeś romans z Felicity. – Claire wyczuła w nim napięcie po krótkim oddechu, jaki wzięła. – Felicity... Powiedziała mi, że przychodziła do niej i pomagała zbudować ten plac zabaw dla Tigera. I mówiła o tobie tak... jakby żywiła do ciebie jakieś uczucia. Tamtej nocy... – Skrzywiła się, niepewna, czy powinna mu o tym powiedzieć. – Cóż, myślę, że Darek też mógł tak uważać.

Zamknął oczy, jakby właśnie ktoś go uderzył.

– Tak mi przykro...

– Nie miałem romansu, Claire. – Otworzył oczy, wbił w nią spojrzenie. – Przysięgam ci, nie miałem.

– Wierzę ci. – odparła, może zbyt szybko. Ale wtedy uśmiechnęła się. – Wierzę.

– A więc, jeśli mogłabyś zajmować się czymkolwiek, byłyby to ogrody? – zapytał błyskawicznie.

– Tak. Tak myślę. Chciałabym otworzyć szkółkę w mieście, może zajmować się architekturą krajobrazu. Wiem, że to nie jest tak wspaniałe zajęcie jak praca moich rodziców, ale... – Gdy tylko wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie, że nie, tak naprawdę to nie było nic wspaniałego.

Podniosła papryczkę pepperoni z talerza.

– A więc nie ma szans, byś został w Deep Haven?

– Za kilka tygodni nie będę miał wyboru.

– Nie mów tak.

– Musimy być realistami, Claire. Rozpaczliwie potrzebuję tych brakujących godzin prac społecznych. Ale po prostu nie mam szans ich odrobić, nie ma tylu zleceń. A po dzisiejszym dniu... Nie ma dla mnie taryfy ulgowej. Myślałem sobie, że jeśli tylko będę odpowiednio ciężko pracował, wtedy może pewnego dnia to miasteczko... Darek... będą w stanie mi przebaczyć. Albo przynajmniej przestać mnie nienawidzić.

– Nikt cię nie nienawidzi. Wszyscy po prostu są pogrążeni w bólu.

Spojrzał na nią. Miał w oczach coś tak smutnego, że odsunęła talerz na bok i pochyliła się, by być bliżej niego.

– Ja cię nie nienawidzę.

Przełknął ślinę.

– Dziękuję, Claire. Nie masz pojęcia... – Odwrócił wzrok. – Wiesz, brako-

wało mi twojej przyjaźni. Tego, jak spędzaliśmy razem czas. Zawsze traktowałaś mnie poważnie. Zdawałaś się widzieć prawdziwego mnie.

Dotknęła jego ręki, nie mogąc się powstrzymać.

Spojrzał na jej dłoń, a potem w jej oczy.

– Wciąż cię widzę, Jens – powiedziała łagodnie.

Wciąż cię widzę.

Jensen nie potrafił uciec od spojrzenia Claire, od tonu jej głosu. Chciał upajać się, żyć nimi. Ale... nie, tak naprawdę wcale go nie widziała. Niby jak to możliwe?

Może Gibbs miał rację. Nie był winny tej zbrodni, o jaką oskarżało go Deep Haven, ale nosił w sobie ciemność. Zdecydowanie chciał dzisiaj rzucić się na Dareka i coś mu zrobić.

Naprawdę coś mu zrobić.

I to go przeraziło. Ją też powinno, gdyby tylko o tym wiedziała.

To jeszcze nie wszystko – nosił w sobie rzeczy, którym bał się stawić czoło. Jak na przykład to, że gdzieś w głębi duszy cieszył się, że Felicity i Darek nie byli razem szczęśliwi. Że zwróciła się do Jensena, żeby ją wysłuchał, był jej przyjacielem.

Ale nie, nie posunął się do tego, by zdradzić przyjaźń Dareka fizycznie. Nie kusił Felicity, by złamała swoją przysięgę małżeńską. Przeprosiny Claire, jej wyznanie, prawie powaliły go na ziemię, ale chyba zrozumiał, dlaczego tak myślała...

Cofnął rękę przed jej dotykiem. Wstał i znów podszedł do barierki na werandzie. Wypatrzył światło dobiegające z ośrodka Evergreen i przecinające zmierzch.

– Co się stało, Jens? – Claire podążyła za nim. Nie mógł tego znieść, choć tak bardzo potrzebował jej tam, tuż przy swoim boku.

– Ja... Ja nie jestem mężczyzną, którego widzisz.

Nie odpowiedziała.

– Wydawało mi się, że jeśli będę postępować dobrze, uśmiechać się, pracować, jak mi kazano, zdołam uwolnić się od tego gniewu, tego bólu, w środku.

– Mój dziadek mówi, że kiedy sami pracujemy nad naszym odkupieniem, wtedy znajdujemy się daleko od Boga. Chrześcijaństwo jest jedyną religią, która mówi, że nasze uczynki nie mają nic wspólnego z naszym ocaleniem. Tylko nasza akceptacja łaski sprawia, że stajemy się całością. Musimy zbliżyć się do Boga i pozwolić, żeby to On nas odkupił.

Łaska. Nie był do końca pewien, jak ona w ogóle wygląda. A jeśli chodzi o bycie całością... wystarczyłoby mu, gdyby odnalazł spokój. Taki, który pozwoliłby mu spać w nocy bez koszmarów i patrzeć na siebie rano w lustrze.

– Nie sądzę, żeby istniała dla mnie jakaś łaska. – Wziął głęboki oddech.

Równie dobrze mógł jej od razu powiedzieć prawdę. – Jestem cały czas taki wściekły, Claire. I to nie tylko na Dareka albo na Deep Haven, ale też na samego siebie. Nie wiem, jak mam żyć z tym wszystkim, co się stało. I z każdą kolejną odrobioną godziną czuję się jeszcze gorzej. Jakby to mogło przywrócić Felicity życie. To taka farsa. Zaczynam się w końcu kłócić z samym sobą, że to wcale nie była moja wina i wtedy... Wtedy pojawia się gniew. To błędne koło, którego nie potrafię przerwać.

Patrzyła w ciemność.

– Zaczynasz widzieć wszystkie rzeczy, które powinnaś zrobić. Że mogłaś być ostrożniejsza. Zamknąć drzwi. Krzyknąć.

– Nie dotykać radia albo może wejść w ten zakręt wolniej.

– Przeżywasz na nowo ten moment, gdy obróciłaś się, a oni tam byli.

– Gdy słyszysz ten krzyk, ten upiorny głuchy odgłos.

– Kiedy świat zaczął poruszać się w zwolnionym tempie.

– I zatrzymał się.

Zamknęła oczy.

– I zatrzymał się.

Bóg nie jest łaskawy. Słyszał jej słowa, delikatne echo w swoim wnętrzu. Czuł je jak sztylet w swojej duszy. Nic dziwnego, że wciąż był wściekły.

Gdy Claire dotknęła jego dłoni, otworzył ją. Spletli palce.

Kocham cię, Claire.

Ta myśl sprawiła, że zamarł, a oddech utkwiał mu w płucach.

Ale gdy stała tu przy nim, a wiatr rozwiewał jej ciemne włosy, przeszłość wydawała się taka bliska, taka... możliwa do odkupienia.

– Dziękuję, że byłaś dzisiaj moją przyjaciółką. – Ech, jak kiepsko to zabrzmiało. Ale co innego miał powiedzieć? *Kochałem cię od momentu, gdy wprowadziłaś się do Deep Haven, ale za bardzo się bałem, aby ci o tym powiedzieć? Zamiast tego chodziłem z twoją najlepszą przyjaciółką, a nawet zakochałem się w niej?*

Był potwornym głupcem i zdawał sobie z tego sprawę nawet wtedy. Ale zakochanie się w Claire to trochę tak jak zakochanie się w świętym. Niestosowne. Ponieważ wtedy widziałyby go, poznałyby go... no i oczywiście pozostawała jeszcze Felicity. Z nią było jakoś łatwiej flirtować, przekomarzać się. Głównie dlatego, że odrzucenie przez Felicity nie rozdarłoby jego serca na strzępy.

Ponieważ tak naprawdę jej nie kochał. Nie w taki sposób, jak kochał Claire. I jeszcze zawsze miał to okropne podejrzenie, że służył Felicity za narzędzie, by mogła dostać tego, kogo naprawdę chciała – Dareka.

Tak czy siak, wypowiedziawszy te słowa do Claire, czuł się, jakby wystawił kawałek serca na pokaz. *Dziękuję, że byłaś moją przyjaciółką.*

Zadrzała, gdy nagły powiew wiatru poruszył drzewami.

I ponieważ nie odrzuciła go, ponieważ nie patrzyła na niego, jakby nie za-

sługiwał na bycie tutaj z nią, nie potrafił się powstrzymać, by przytulić ją do piersi. Objął ją. Zdarzył się niemal cud, gdy oparła się o niego, oplatając ręce wokół jego talii.

A więc może mogli zapomnieć o przeszłości, tak jak mówiła.

Może nie będzie musiał zostawiać Deep Haven, aby zacząć od nowa.

– Claire...

Spojrzała na niego. I w świetle wschodzącego księżyca, przy zapachu lata w powietrzu – przy delikatnym uśmiechu, który zagościł na jej twarzy – znów czuł się młody, jak wtedy, gdy zabierał piękną Claire Gibson na studniówkę, żałując, że nie jest jego dziewczyną.

Przez chwilę badał wzrokiem jej twarz. Nie zastanawiając się, nie słuchając ostrzeżeń w swojej głowie, tak po prostu pochylił się i pocałował ją.

Spodziewał się jakiegoś zawahania. Bał się nawet, że posunął się za daleko, że go odrzuci... Znów czuł to znajome poczucie winy, które go paraliżowało.

Ale ona odwzajemniła pocałunek. Uniosła twarz, zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła się w niego. Trzymał ręce na jej plecach i przytulił ją mocniej, pogłębiając pocałunek. Czuł smak lemoniady na jej języku, delikatne muśnięcia jej włosów na swoim policzku.

Była delikatna i idealna. Dlaczego właściwie nie zrobił tego całe lata temu?

Prawdę mówiąc, to *ona* była powodem, dla którego wracał tutaj każdego lata. *Claire*.

Wydała z siebie cichutki dźwięk radości, jakby wcale wszystkiego nie sknocił. Wręcz przeciwnie. Odchylił lekko głowę i spojrzał jej w oczy.

– Może i powinienem przeprosić za wiele rzeczy, ale za to nie będę. Chciałem pocałować cię od lat.

Otworzyła szerzej oczy.

– Naprawdę?

Skinał głową i zachęcony uśmiechem, który rozświetlił jej twarz, znów sprawił, że ich wargi się spotkały.

Tak, całował właśnie Claire Gibson. Na swojej werandzie, otoczony pięknym lasem, z nawoływaniem nurów jako serenadą. Wiatr szmerzący w gałęziach drzew zdawał się jakąś aprobatą od wszechświata.

Może, w rzeczy samej, taka była definicja łaski.

Nas. Darek pozwolił, aby to słowo zawisło w jego głowie, ponad rykami piły łańcuchowej, którą trzymał w dłoni.

On i Felicity nigdy nie byli *nami*. *Nimi*, może, ale...

Tak, to była też jego wina. Jak wiele razy powtarzała, że pragnęła prawdziwego małżeństwa, takiego, by traktowali swoje przyrzeczenia na serio?

Nas.

Cofnął się o krok od drzewa, które miało jakieś piętnaście centymetrów średnicy, i pchnął je. Zwalilo się na ziemię, zabierając ze sobą po drodze gałęzie topoli i puchate ramiona iglaków. Piła zawyła, gdy zwiększył obroty, po czym zaczął ciąć pień na łatwe do składowania polana. Wióry leciały w powietrze, a świeży zapach trocin mieszał się z odległą wonią pożaru.

Za daleko, by zacząć się martwić, ale nie zaszkodzi zrobić porządek na posesji.

Wyłączył piłę, zdjął gogle i zaczął wrzucać polana na taczkę.

– Casper! Przynieś mi frezarkę do pni!

Casper, ubrany w podobne spodnie ochronne, rękawice, pomarańczowy hełm i gogle, podszedł do niego z maszyną.

– Następnym razem, gdy będziesz chciał ochronić nasz ośrodek przed ogniem, wyślij mi maila. Będę pamiętał, by nie wracać wtedy do domu.

– Idź i usuń te młode drzewka, które oznaczyłem.

Casper uniósł piłę łańcuchową.

– Się robi, szefie. Coś jeszcze, wasza ogniowa wysokość?

Warstwa kłujących trocin oblepiała podbródek Caspera, ozdabiała też jego ciemne włosy. Śmierdział niczym bagno i dorobił się opalenizny jak strażak.

– Ciężka praca dobrze ci robi. Zmiękniesz przez tę swoją archeologię. Kopanie w ziemi szczoteczką do zębów. Też coś.

Casper opuścił gogle na oczy, włączając piłę.

– Ogień nad jeziorem Swan jest wciąż jakieś dwadzieścia mil od nas. Słyszałeś Jeda. Ugaszą go na długo, zanim w ogóle zbliży się do Deep Haven.

Darek zignorował go i zaczął usuwać pniak, odtwarzając sobie w głowie rozmowę, jaką odbył tego ranka z Jedem.

Przyszedł do głównej chaty niedługo po świcie i znalazł Jeda oraz Connera Younga, guru łączności, pochylonych nad mapą. Jego ojciec, z wyrazem niepokoju na twarzy, stał u szczytu stołu, ściskając kubek z kawą. Jed pokazał mu właśnie, jak bardzo ogień rozprzestrzenił się przez ostatni tydzień.

Rzeczywiście, tego ranka dym zdawał się nasycać powietrze, jak gdyby wiatr w nocy rozbuchał go do niebotycznej dzikości.

Jed narysował kredką świecową czerwoną linię na mapie. Tylko niewielka jej część pozostawała niebieska, tam gdzie hotshoci udali się wczoraj i opanowali skraj pożaru. Większość z nich wciąż pozostawała w obozie przy pasie przeciwpożarowym.

– Wiatry wczoraj w nocy sprawiły, że pożar mocno przybrał na sile. Rekonesans powietrzny dzisiejszego ranka wykazał, że ogień pokonał jezioro Ball Club, przenosząc się z wyspy na wyspę. – Pokazał te miejsca na mapie. – I dobił do stałego lądu tutaj, dwadzieścia mil na północ od Deep Haven.

Do pomieszczenia wszedł wtedy Casper ubrany w szorty i rozpiętą koszulę. Włosy sterczały mu na wszystkie strony. Stał obok ojca, z rękami założonymi na piersi. Matka Dareka przysłuchiwała się wszystkiemu z kuchni. Rękawice kuchenne na jej dłoniach wskazywały na to, że czekała, aż coś się dopieczce. Dom pachniał cynamonem i gałką muszkatołową.

– Mamy kilka naturalnych pasów przeciwpożarowych pomiędzy czołem pożaru a zamieszkałym terenem. – Jed wskazał kilka dróg leśnych, mniejsze jezioro i większe jezioro Two Island, które obejmowało całe mile i stanowiło blokadę na drodze do terenów mieszkalnych hrabstwa. – Weźmiemy jutro samolot-cysternę i zobaczymy, czy uda nam się spowolnić czoło. Prognoza pogody ostrzega jednak przed silnymi podmuchami wiatru, a przy tych wszystkich połamanych drzewach mamy w tym rejonie mnóstwo paliwa. Musimy być gotowi na to, że drzewa będą się zapalać jedno od drugich, a rozżarzone węgielki rozniosą się w powietrzu. – Zakreślił niezamieszkałą część lasu; przewidywał, że tam rozprzestrzeni się ogień.

Za niebieską linią, tylko na odcinku wzdłuż drogi, lasy zaczynały być przetykane chatami mieszkalnymi.

Darek pochylił się nad mapą.

– Myślę, że ta część linii może być kontrolowana przez oddział strażaków. Naszą najlepszą szansą ataku jest zebranie drużyn tutaj... – Przejechał palcem wzdłuż leśnej drogi jakieś dwie mile na południe od płomieni. – Wcześniej rano, gdy prędkość wiatru wciąż utrzymuje się na poziomie pięciu mil na godzinę. Może uda się wam nawet ściągnąć tam spycharkę. Ale zacząłbym kontrolowane wypalanie roślinności. Może uda nam się popchnąć ogień w kierunku jeziora Hand.

Jed rozważył tę opcję.

– Ekipa już się tam udała i przesłała nagrany filmik do dwóch remiz, tutaj... – Conner Young wskazał znaczek na mapie. – I na północy, tutaj. Powinniśmy mieć nowy materiał tego ranka, co pozwoliłoby nam zobaczyć, jak ogień się porusza.

– Myślisz, że dojdzie aż tak daleko na południowy wschód? Zbliża się całkiem szybko – powiedział ojciec Dareka. Pracował ze strażakami dawno temu, w czasach pożarów parków narodowych. Mógł opowiedzieć mnóstwo historii o odważnych ludziach, którzy walczyli z żywiołem tylko za pomocą toporów i łopat. Współczesne wyposażenie obejmowało piły, spycharki, samoloty i latarki. Ciężka praca pozostawała jednak taka sama.

– Istnieje taka możliwość, chociaż mało prawdopodobna. Może posunąć się aż do jeziora Evergreen, ale mamy nadzieję zatrzymać go do tego czasu – odparł Jed. – Należy zabezpieczyć to miejsce przed ogniem, tak na wszelki wypadek. – Zwrócił się do Dareka. – Mam szczerą nadzieję, że do nas dołączysz.

On też tego chciał. Ale po wczorajszym wieczorze...

– Przykro mi, Jed. Muszę zostać tutaj, upewnić się, że ośrodek jest bezpiecz-

ny.

– W porządku. A tak przy okazji, przyleci tutaj ekipa z Sacramento razem z kilkoma pilotami i spadochroniarzami z bazy hrabstwa Jude w Ember. Powiedziałem im, że mogą się tu zatrzymać. Rozbijamy obóz na drodze leśnej numer sto pięćdziesiąt trzy dla ground poundersów i centrali dowodzenia. Ale chcę, by moi piloci i operatorzy spycharek byli wypoczęci. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. – Jed zrolował mapę.

– Znajdziemy dla nich miejsce – oświadczył ojciec Dareka.

Jed poczęstował się kromką cynamonowego chleba, podanego przez matkę Dareka na papierowej serwetce.

– Dziękuję, pani C.

– Bądźcie tam ostrożni, chłopcy.

– Filmiki? – Darek zwrócił się do Connera. – Serio?

– Technologia – odparł Conner. – Mógłbyś rozważyć wprowadzenie jej tutaj.

– Mamy instalację sanitarną. Czego chcesz więcej? – zapytał jego ojciec, a Conner wybuchnął śmiechem.

Tak, cóż, to wcale nie był taki zły pomysł.

A jednak, po raz pierwszy, Darek cieszył się zachodem słońca bez Internetu, bez telewizji, bez komórek, które mogłyby wyciągnąć Ivy z jego ramion.

Wyłączył teraz frezarkę, otrzepał trociny ze swoich ramion i ściągnął gogle. Jego żołądek zaryczał – miał nadzieję, że matka czeka już z jakimiś kanapkami. No i Tiger powinien niedługo wrócić.

Pewnie powinien podziękować Nan. Nie był wczoraj w najlepszym stanie, a ona w pewnym sensie go uratowała. Chociaż nigdy, nawet za tysiąc lat, nie zrobiłby umyślnie niczego, co mogłoby wystraszyć Tigera.

Podniósł wzrok, gdy zobaczył, jak ojciec wynurza się z lasu. Miał na sobie długą, roboczą flanelową koszulę i rękawice. Ciągnął martwe drzewo, rzucił je koło taczki, po czym odwrócił się w stronę jeziora, ocierając czoło rękawem.

– Żałuję, że nie wzięliśmy tej dotacji od rządu i nie zainstalowaliśmy systemu spryskiwaczy.

– Nie byłoby nas na niego stać, nawet z dotacją – przypomniał Darek. – To dla... – Wskazał dłonią na drugi brzeg jeziora, na Pine Acres. Potem podszedł do ojca. – Zatrzymają ogień, nim dojdzie do Evergreen, tato. Jed wie, co robi.

– Ty też.

Wiedział? Darek starał się zwalczyć dziwne ciepło, które go wypełniło.

– Nikomu innemu nie powierzyłbym tej posesji, jak tylko tobie, Dareku. Znasz las. Znasz ogień. – Obrócił się do syna. – Ta posiadłość ma ponad sto lat. Pięćdziesiąt lat temu była najbardziej rozchwytywanym miejscem nad tym jeziorem. Urządzaliśmy potańcówki o tam, w tym starym pawilonie. – Wskazał na zniszczoną szopę, tę, którą Darek usilnie pragnął zburzyć. Zabronił Tigerowi się

tam bawić i odgrodził ją liną, trzymając gości z dala od tego miejsca. Żółta flaga, przywiązana do liny, łopotała na wietrze.

– Twój praprapradziadek zbudował nasz dom własnymi rękami, a twoja matka i ja wzięliśmy ślub tutaj, w tym miejscu. – Jego ojciec uniósł wzrok ku niebu, gdzie ciemna, dymna chmura przetaczała się nad jeziorem. Opary dymu zawisły nad lasem, pewnie sięgając aż do miasta. Powietrze zmieniało się w popiół.

– Zrób wszystko, co w twojej mocy, by ocalić ośrodek Evergreen, Dareku. Powierzam go w twoje ręce.

Casper przyglądał się im obu. Ściągnął nauszники, które wisiały teraz wokół jego szyi.

– Nie martw się, tato. Panuję nad sytuacją – zapewnił go Darek.

Ojciec klepnął go dłonią w ramię i lekko je ścisnął.

– Evergreen znajduje się w dobrych rękach moich synów. Przy okazji, tak sobie myślałem, że dzięki tym wszystkim twoim ludziom, którzy się tu teraz zatrzymali, może uda nam się wykrobać wystarczająco dużo pieniędzy, by zapłacić zaliczkę za posesję Gibsa? Wyszedł już ze szpitala, ale przez jakiś czas pomieszka w centrum opieki. Myślałem, żeby do niego wpaść, zobaczyć, co powie...

– Darek!

Darek podniósł wzrok i zmarszczył czoło na widok Diane Wolfe, która szła ścieżką w ich kierunku.

– Wygląda, jakby przyszła tu w jakiejś poważnej sprawie – stwierdził jego ojciec.

W rzeczy samej, wydawało się to oficjalną wizytą – widział już tę minę na jej twarzy. Jak wtedy, gdy Holloway'owie wytoczyli mu proces o przyznanie im praw do opieki nad Tigerem. I jeszcze dwa razy, gdy oskarżali go o zaniedbywanie dziecka.

Zignorował supel w klatce piersiowej i starał się zachować spokój.

– Cześć, Diane. Co tam?

– Dzień dobry, Dareku. Johnie. Casperze. – Pracownica opieki społecznej, nieustraszona kobieta, przeszła od razu do sedna, widocznie pragnąc zakończyć to jak najszybciej. – Wpłynęła na ciebie skarga, Dareku.

Wspaniale.

– Co tym razem?

– Muszę przyznać, że są ku temu podstawy. Tiger wygląda na porządnie pobitego.

Pobitego? Poczul dłoń ojca na ramieniu.

– Upadł. Z górnej pryczy łóżka piętrowego parę tygodni temu. I potem podczas oglądania fajerwerków z okazji czwartego lipca. Ale teraz nic mu nie jest.

– Mamy zdjęcia. Pozostaje jeszcze kwestia skargi z wczoraj.

Darek zrobił krok do przodu, poza zasięg ojca.

– Jakiego rodzaju skargi?
– Awanturowanie się. Przemoc. Zarzuty mówią o „poważnym incydencie z udziałem dziecka”. Rzekomo mogła z tego wyniknąć emocjonalna trauma...
– Tigerowi nic się nie stało! – Darek zmusił się, by przyciszyć ton głosu. – Posłuchaj, tylko trochę się wystraszył, nic poza tym.
Jej usta zacisnęły się w cienką, nieprzejednaną linię.
Wziął głęboki oddech.
– Diane. Nan mnie nienawidzi. Wiesz o tym. Nie może pogodzić się z tym, że Felicity umarła, a ja nie. I stara się odebrać mi Tigera od momentu pogrzebu Felicity.
– Muszę przyjrzeć się każdej skardze, Dareku.
– Ostatnim razem wywróciłaś nam życie do góry nogami. Tiger musiał zostać w rodzinie zastępczej. Wiesz, jak po tym świrował? Znow zaczął moczyć się w nocy i...
– To są poważne oskarżenia o zaniedbanie i spowodowanie emocjonalnej traumy, Dareku. Wiesz, że musisz współpracować. Radzę ci, abys poddał się kolejnej ocenie warunków domowych...
– Po co? Żebyś mogła popatrzeć, jak karmię syna i kładę go spać? Jak czytam mu bajkę? Jak tłumaczę mu, dlaczego jego babcia sądzi, że mógłbym go skrzywdzić? Diane, to ja. Znasz mnie. Na miłość boską, chodzisz ze mną do tego samego kościoła.
– Nie twierdzimy, że mógłbyś go skrzywdzić. Tylko że możemy mieć do czynienia z przypadkiem zaniedbania. – Spojrzała na Johna. Jej twarz była napięta.
– Zwłaszcza o tej porze roku.
– Co, myślisz, że przez to, że prowadzę ośrodek, *zapomnę*, że mam dziecko? Jeśli już, Tiger jest pilnowany lepiej niż kiedykolwiek przy tyłu osobach w domu. Nie. To idiotyczne. Mam już dość współpracowania. Idź stąd, Diane. I przekaż Nan, że jeśli ma ochotę jeszcze kiedyś zobaczyć Tigera, musi przestać oskarżać mnie o krzywdzenie mojego własnego syna! – Nie przejmował się tym, że krzyczy, a dźwięk niósł się przez las. – Wynoś się z mojej posesji!
Nie ruszyła się z miejsca.
Spojrzał w stronę pustego parkingu. Nic dziwnego, że Nan spóźniła się z przywiezieniem *jego syna*. Ściągnął gwałtownie rękawiczki i cisnął je do taczki. Przeszedł obok niej.
– Dokąd idziesz?
Darek obrócił się i szedł teraz tyłem.
– Idę odebrać swojego syna, nim jego babcia zdecyduje się uciec z nim z miasta.
Oczy Diane zwęziły się.
– Ostrzegam cię, Dareku...

– Lepiej żeby cię tu nie było, jak wrócę.

Ivy zmarnowała połowę popołudnia, gapiąc się w monitor, podczas gdy słowa Dareka dalej rozbrzmiewały jej w głowie.

Nie zrezygnuję z nas.

Takie dziwne, obce słowa, które nie miały dla niej prawie żadnego sensu.

Nie zrezygnuję. Z nas.

Nie potrafiła ich tak po prostu przyjąć do wiadomości, nie mogły się rozgościć w jej głowie. Nie, gdy wbrew nim świadczyło tak wiele.

Na przykład prawda. Jej własna przeszłość. Jensen. Felicity.

Przy tobie ta cała gwałtowna złość, jaką czuję w swojej głowie, po prostu znika i mogę o niej zapomnieć. Może nawet ruszyć naprzód.

Miała ochotę spalić się ze wstydu, gdy przypominała sobie swoją tyradę. Bóg nie był po jej stronie? To prawda, oczywiście, ale nigdy dotąd nie pozwoliła, by ta prawda wydostała się na zewnątrz. Brzmiało to tak... słabo. Żałośnie. O, jaka ja biedna.

W rodzinach zastępczych nauczyła się bardzo szybko, by zachowywać takie emocje dla siebie. Nikt do niczego nie doszedł, uzalając się nad sobą.

A ona nie dochodziła do niczego z tym nakazem.

Zapisała go, przejrzała ponownie, skończyła spisywać okoliczności zdarzenia i wydrukowała go.

Stosik skarg dotyczących jazdy po pijanemu z ostatniego weekendu i jedna rozprawa o przyznanie praw do opieki nad dzieckiem – to wszystko wymagało jeszcze jej uwagi. Miała ochotę uderzyć czołem o biurko.

– Wybrałeś sobie idealny moment, aby mnie tu zostawić samą, Jacobie.

Rano, gdy zbierał się do wyjazdu z miasta, zajął do niej, by spytać:

– Poradzisz sobie?

– Oczywiście – odpowiedziała wtedy, jakby wcale nie tonęła pod nawalem obowiązków. – Baw się dobrze w Yellowstone.

– Będziemy poza zasięgiem komórek do czwartku. Ale masz wszystko pod kontrolą. A Jodi ci pomoże.

– Żaden problem. – Ivy dokładnie tak odpowiedziała i pomachała mu na pożegnanie, jakby szesnaście spraw, którymi musiała zająć się dzisiaj do siedemnastej, nie stanowiło żadnego problemu.

Tyle że wcale nie mogła przestać myśleć o Dareku.

Powinna mu powiedzieć o Jensenie. Powinna pozwolić, aby prawda wyszła na jaw i zakończyła wszystko między nimi. Ale, cóż... *Jesteś ważna*, powiedział wtedy, a jej serce to kupiło. Wyłączyło jej zdrowy rozsądek.

A gdy Darek trzymał ją tak w ramionach, nigdy nie chciała ich opuszczać.

Nie, postąpiła słusznie, o niczym mu nie mówiąc. Zdawało się, że Darek i tak pragnie zostawić to wszystko za sobą, w przeszłości. A co dobrego mogłoby przynieść rozwodzenie się nad jakimś odległym wspomnieniem, które prawdopodobnie tylko wzmogłoby żal? Co się stało, to się nie odstanie.

Przemilczy to, a Darek nigdy się o tym nie dowie. W końcu nawet Jensen nie miał pojęcia, że była zaangażowana w tę sprawę.

Wcale nie musiała wszystkiego zniszczyć.

Ponieważ pomimo jej ataku paniki, tego, który prawie sprawił że uciekła, zostawiła kogoś, nim ten ktoś zostawił ją... *Nie zrezygnuję z nas.*

Tak. Może uda jej się zbudować sobie tutaj życie z Darekiem Christiansem i jego uroczym synkiem.

Ivy uśmiechnęła się i zabrała się za kolejny raport, przeglądając go. Trzecia już jazda pod wpływem alkoholu. Wyszukała pusty formularz skargi i zaczęła go wypełniać, stukając w klawiaturę.

Darek odwiózł ją późno do domu, odprowadził ją do drzwi i pocałował znowu, trzymając ją w tych swoich ramionach strażaka.

O rany. Skasowała ostatnie zdanie w formularzu.

Przez długi, szalony moment prawie zaprosiła go do środka. A sądząc po wyrazie jego oczu, wcale by nie odmówił.

Ale... może i jest staroświecka... ale zawsze chciała z tym poczekać do... Do czego? Ślubu?

Pokręciła głową, przeganiając tę myśl. Małżeństwo? Znała tego człowieka góra trzy tygodnie.

Trzy wspaniałe, zapierające dech w piersiach tygodnie...

Pukanie do drzwi wyrwało ją z ramion Dareka.

– Proszę. – Och, miała nadzieję, że się nie rumieni.

Diane otworzyła drzwi.

– Masz chwilę?

– Jasne, oczywiście. Siadaj.

Diane przysunęła sobie krzesło i usiadła, kładąc sobie teczkę na kolanach. Włosy miała upięte w ciasny kok, a w połączeniu z garniturem wyglądała jak jedna z tych pracownic socjalnych, które mogą zdecydować o całym twoim życiu, a ty nie będziesz mieć nic do gadania. Ivy nigdy nie lubiła tego typu ludzi – bała się ich.

Ale teraz nie była bezsilna. Złożyła dłonie na biurku.

– W czym mogę ci pomóc, Diane?

– Myślę, że mamy do czynienia z sytuacją, której powinnyśmy się przyjrzeć.

– Położyła ręce na teście.

– Tak?

– Tak. Sprawa lokalna. On... cóż, to już trzecia skarga na niego. I normalnie nie przejęłabym się tym tak, ale tym razem mamy powody podejrzewać, że dziecku

może się dziać krzywda.

Jakby pięść zacisnęła się na wnętrznościach Ivy. Nienawidziła widzieć dzieci w niebezpieczeństwie.

– Kto to zgłosił?

– Członek rodziny. Poszłam dzisiaj porozmawiać z ojcem, a on wyrzucił mnie ze swojej posesji. Nie chciał mnie nawet wysłuchać, a co dopiero zgodzić się na ocenę warunków domowych. – Otworzyła teczkę. – Myślę, że powinniśmy się temu przyjrzeć, zobaczyć, czy mamy wystarczające podstawy, by przeprowadzić natychmiastowe usunięcie dziecka z tego domu.

Natychmiastowe usunięcie. Ivy doświadczyła tego raz na własnej skórze. Wciąż pamiętała swój cieniutki głosik, gdy dzwoniła pod numer alarmowy, oraz przekleństwa jej matki, gdy opieka społeczna wydierała ją z jej rąk.

Czasami wciąż była w stanie poczuć ten strach, gdy przenosili ją do nowego domu, pełnego obcych zapachów i zbyt wielu ludzi, zbyt wielu dźwięków.

– Zaraz się tym zajmę.

– Zbliża się weekend, a więc nie mamy czasu do stracenia – powiedziała Diane. Oddała jej teczkę. – Dziecko jest teraz ze swoimi dziadkami, ale nie wiem, jak długo to jeszcze potrwa. Proponuję, by złożyć wniosek o natychmiastowe odebranie dziecka i przekazanie go chwilowo pod opiekę dziadkom, wydać ojcu zakaz zbliżania się do dziecka, a potem skontrolować warunki domowe i ocenić całą sprawę.

– Brzmi sensownie. Przeanalizuję sprawę i jeśli faktycznie odebranie dziecka będzie uzasadnione, wypiszę dokumenty.

– Dobrze.

Spodziewała się, że Diane wyjdzie, ale kobieta po prostu nadal siedziała na krześle. Jakby na coś czekała.

Hm. Ivy wzięła teczkę i ją otworzyła.

Nie... Oddech uwiązł jej w gardle. Sięgnęła po swoje okulary do czytania, włożyła je na nos. Starła się powstrzymać drżenie ręki.

– Mieliśmy łącznie trzy skargi, wszystkie złożone w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Robiliśmy zdjęcia po każdej skardze. Wszystkie są w teczce.

Niestety, zdjęcia Tigera sugerowały raczej brutalną historię. Z ranami na twarzy wyglądał, jakby ktoś faktycznie się nad nim znęcał.

– No i mamy zeznania dwóch świadków o tej awanturze, w którą Darek wdał się wczoraj wieczorem. – Diane złożyła ręce, starając się nawiązać z Ivy kontakt wzrokowy. – Słuchaj, wszyscy wiemy, że Darekowi jest ciężko z tym wszystkim, co się dzieje. Ale Nan zgłosiła racjonalne obiekcje, a my tutaj w opiece społecznej podchodzimy poważnie do każdego zgłoszenia.

Ivy miała ochotę cisnąć teczką o ścianę. To nie była sytuacja, która wymagałaby interwencji. Nie. Dzieci, które spały w autach i w noclegowniach albo zebrały

na ulicy o jedzenie – coś *takiego* mogłoby wymagać natychmiastowej reakcji.

Chociaż, jak podpowiadał jej rozum, gdyby nie znała Dareka i całej sytuacji, pewnie byłaby tak samo zaniepokojona.

I to był właśnie problem. Znała Dareka.

Co gorsza, gdy podniosła wzrok, miała wrażenie, że Diane również o tym wiedziała.

Ivy wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze razem z prawdą.

– Nie mogę sprawiedliwie ocenić tego raportu. Ja... Mam osobistą wiedzę na temat tej sytuacji i mogę ci powiedzieć, że...

– Masz osobistą wiedzę, co oznacza, że musisz odsunąć się od tej sprawy.

– Zgadza się, ale z drugiej strony, znam Dareka...

– To nie ma znaczenia. Fakty pozostają faktami.

– Ale o tym właśnie mówię: fakty się mylą.

– Nie jesteś bezstronna. – Diane westchnęła, a przez jej twarz przemknął cień jakby współczucia. – Słuchaj, ja też znam Dareka. I niekoniecznie muszę dawać wiarę tym oskarżeniom. Ale są na tyle mocne, że musimy je bliżej zbadać. I tu jest problem: jeśli je odrzucisz, a Nan będzie dalej naciskać, może powiedzieć, że byłaś uprzedzona wobec tego raportu i odmówiłaś ochrony dziecka. I nagle Darek znajdzie się pod lupą nie tylko hrabstwa, ale całego stanu. I wtedy Theo zostanie zabrany ze swojego domu i z domu Nan i skończy w rodzinie zastępczej w Duluth, co stanie się koszmarem dla wszystkich.

– Ale nie mogę wydać nakazu natychmiastowego usunięcia, gdy wiem, że nie ma do tego podstaw.

– A więc przekaz tę sprawę komuś innemu. Co powiesz na Jodi? Przejrzy ją i napisze rekomendację zamiast ciebie.

Której Ivy będzie musiała przestrzegać albo znowu będzie to wyglądać, jakby miała uprzedzenia wobec raportu.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

– Nie jestem bez serca. Znam Dareka od lat i, pomijając kilka szalonych eskapad w liceum, wydaje się być dobrym ojcem. Ale ludzie zmieniają się, gdy są pod wpływem stresu, a on właśnie tego doświadczył. Musimy działać w najlepszym interesie dziecka.

– W najlepszym interesie Tigera nie leży, aby ktoś zabrał go od ojca.

– Chcesz w to wierzyć. Ale to nie twoja decyzja. Jeśli nie zachowamy się tutaj zgodnie z prawem, Nan się nie podda. Kto wie, Darek może nawet stracić prawa rodzicielskie.

– Dlaczego Nan to robi?

Diane wstała.

– Pewnie nie powinnam tego mówić, bo Nan jest moją przyjaciółką, ale prawda jest taka, że wciąż nie wyzbyła się złości. Wciąż obwinia Dareka o to, że

odbił serce Felicity człowiekowi, którego Nan uznawała za lepszego kandydata na męża.

Ivy spojrzała na nią.

– Kogo?

– Jensa Atwooda, oczywiście. Chodzili ze sobą, gdy Darek wrócił do domu i został ojcem dziecka Felicity. Nan nigdy mu tego nie wybaczyła.

– Wydaje mi się, że Felicity dokonała wyboru. – O rany, czy ona naprawdę to powiedziała? I to by było na tyle, jeśli chodzi o bezstronność.

– Zależy, z kim będziesz o tym rozmawiać. W momencie, gdy Felicity zmarła tamtej okropnej nocy, miasteczko podzieliło się. A Nan stoi po przeciwnej stronie niż Darek. Jeśli chcesz mu pomóc, powinnaś się odsunąć i zaufać systemowi.

Zaufać systemowi. Oczywiście. Została prawnikiem, bo *nie* wierzyła w system. Ponieważ wiedziała, że zawodził ludzi. Zawiódł ją.

A teraz przyszła kolej na Dareka i Tigera.

– Przekaż ten raport Jodi – powiedziała Diane. – I cokolwiek zrobisz, nie możesz mu o tym nic powiedzieć.

Diane zamknęła za sobą drzwi, a Ivy ukryła twarz w dłoniach.

Przez dłuższą chwilę żałowała, że w ogóle postawiła stopę w Deep Haven.

trzynaście

Gibs nie mógł zostawić go w spokoju. Jensen miał wrażenie, że staruszek siedzi mu w głowie, kopie w niej, a jego słowa są jak kosiarka, której koła kręcą się w miejscu.

Jak na człowieka, który myśli, że nie potrzebuje przebaczenia, zdecydowanie starasz się usilnie na nie zasłużyć.

Skończył poszerzać drzwi do domu Gibsa, nim słońce wychyliło się zza horyzontu. Stał teraz na plaży należącej do staruszka i popijał kawę. Pomarańczowa luna nad jego głową świadczyła o trwającym pożarze na północy. Dało się wyczuć w powietrzu gryzący zapach płonącego drewna.

Pojechał quadem z powrotem do domu, po czym pochodził po osiedlu i sprawdził, tak na wszelki wypadek, czy zraszacze działają bez zarzutu. Po pożarze nad jeziorem Moose jego ojciec kazał zainstalować na całym obszarze Pine Acres najnowocześniejszy system ochrony przed ogniem. Woda była pompowana z jeziora i wszystko ustawiono tak, że zraszała i domy, i las.

Jensen usłyszał sygnał komórki, gdy brał prysznic. Wyszedł z kabiny i zobaczył, że przegapił telefon od ojca. Pewnie dowiedział się o nadchodzącej porażce syna i perspektywie więzienia. Jensen wiedział, że jego ojciec wciąż ma kontakty w mieście. Pewnie sam Mitch do niego zadzwonił i powiedział mu o wszystkim.

Zanim wczoraj Jensen udał się do domu Gibsa, wyczyścił klatki w schronisku dla zwierząt, posortował ubrania w sklepie z używanymi rzeczami i zastanawiał się, co też jeszcze mógłby zrobić, by odrobić jeszcze parę godzin. Wszystko, aby tylko nie iść do więzienia, aby zostać w Deep Haven.

I pomyśleć, że parę dni temu chciał stąd uciec. Ale to było, zanim pocałował Claire. Zanim przypomniał sobie, dlaczego w ogóle pragnął zostać w Deep Haven, co takiego sprowadzało go tutaj każdego roku, gdy się stąd wyprowadził.

Claire. Nie Felicity. Wiedział to teraz.

Poprzedniego popołudnia zaniósł swoją nędzną kartę z godzinami do Mitcha, który dodał liczby do tabelki i powiedział mu: „Zostały ci siedemdziesiąt cztery godziny”.

Siedemdziesiąt cztery godziny w dwa tygodnie. Byłoby to wykonalne, gdyby miał więcej możliwości podjęcia pracy. Może.

Odstawił mustanga do garażu, po czym wsiadł do furgonetki i pojechał do miasta.

Wstąpił do cukierni, gdzie za ladą stała Lucy Brewster. Jej mąż, Seb, obecny burmistrz, stał z tyłu i posypywał pączki cukrem pudrem.

– Poproszę jednego z lukrem i skizzle’a[9] – powiedział Jensen. – I może jeszcze kilka z cukrem pudrem.

Nie był pewny, co teraz lubił Gibs, ale kiedyś dałby się pokroić za skizzle'a.

– Jak się masz, Jensen? – spytała Lucy. Zawsze była dla niego taka miła, nawet po wypadku. – Widzisz już ogień ze swojego domu?

– Widzę łunę nad horyzontem, ale myślę, że to nic poważnego.

Seb spojrział na niego i przytaknął.

– Słyszałem, że sprowadzają więcej drużyn strażackich. Szkoda, że nie szukają żadnych ochotników...

– Nie, to bardzo techniczna robota, wierz mi – odparł Jensen. – Ludzie myślą, że pożary lasów to tylko kopanie. Jednak bycie częścią drużyny strażaków oznacza o wiele więcej. Musisz rozumieć ogień, wiedzieć, jak zadbać o swoje bezpieczeństwo.

– Byłeś członkiem drużyny?

– Tak, ale niezbyt długo – odparł Jensen. – Dzięki za pączki.

Mewy wołały za nim, gdy wsiadał do samochodu. Kłęby dymu przenikały do miasta, przyciemniły niebo. Pojechał do centrum opieki w Deep Haven. Claire wspominała, że Gibs przeniósł się w tym tygodniu do prywatnego pokoju.

Jensen wciąż musiał zrewanżować się za ostatnią partię warcabów.

No i chciał zadać mu parę pytań. Chociażby o to, jak człowiek może zostawić swoją przeszłość za sobą? Naprawdę można ją zostawić?

Jensen zatrzymał się przed centrum opieki, zaparkował furgonetkę, wziął pączki i przeszedł przez podwójne rozsuwane drzwi. Idąc długim korytarzem, zaglądał do kolejnych pokoi. Serce mu się krajało na widok tak wielu starszych ludzi czekających na koniec swojego życia.

Miał dość czekania na jutro. Czekania, aż jego wyrok dobiegnie końca.

Chciał się nauczyć, jak żyć.

Znalazł właściwy pokój. Zobaczył Gibsa w łóżku. Rozmawiał on z jakimś mężczyzną, którego nie było widać z korytarza. Jensen zatrzymał się. Zaczął słuchać. Zamarł.

– Naprawdę chciałbym sprzedać tę ziemię tobie, John. Naprawdę. Ale już obiecałem ją Jensenowi. Oferuje niezłą cenę, dzięki czemu Claire będzie mogła pójść do college'u. Wreszcie.

John... Christiansen? O nie.

I właśnie w tym momencie Gibs podniósł wzrok i dostrzegł go. Z uśmiechem spojrział na jego torbę.

– Dostawa pączków, w samą porę.

To aż dziwne... Gibs zawsze potrafił sprawić, że Jensen czuł się, jakby zrobił coś dobrego. Chociaż... Cóż, może pomijając ostatni raz, gdy przepłoszył go z pokoju.

Ale teraz Gibs ożywił się i zaprosił go gestem do środka. Jensen nie chciał patrzeć na Johna Christiansena, który siedział na krześle, założywszy nogę na nogę.

Ale Johnowi najwyraźniej nie przeszkadzała jego obecność, nawet wstał i podał mu rękę.

– Jensen. Jak się masz?

Dziwne.

– Dobrze.

– Pracujesz teraz?

– Tak. Robię to i owo.

– Ośrodek twojego taty wygląda dobrze. Świetnie się tam sprawujesz.

– Dzięki.

Żadnych złościwości, żadnej nienawiści. John nawet uśmiechnął się do niego. Na jego twarzy nie czaiły się wyrzuty.

– Do zobaczenia, Gibs. Wpadnę zobaczyć, co tam z tobą, gdy wrócisz do domu. – John uściskał mu rękę.

Jensen patrzył, jak odchodzi.

– Te pączki są dla mnie, synu?

Jensen podał mu torbę. Gibs uśmiechnął się, gdy wyciągnął skizzle'a.

– Pamiętałeś.

– John Christiansen chce kupić twoją ziemię?

– Najwyraźniej mój syn powiedział mu, że może to zrobić. Ale wciąż rozważam twoją ofertę. – Puścił do niego oko. – Jest o wiele lepsza.

– Ale Gibs, ja... Claire bardzo czeka na to, aż wrócisz do domu i... – Nie chciał wypaplać mu niczego o jej projekcie, skoro sama nic mu nie powiedziała. – Przygotowała parę rzeczy.

– Tak, wiem. Jak na przykład przymierza się, by rzucić swoją pracę w pizzerii.

Naprawdę?

– I chce wynająć swoje mieszkanie.

Jakim cudem o tym nie wiedział? Czy wciąż był tak mocno zaabsorbowany swoim światem, że nie słuchał jej?

– Ale mam dla niej wiadomość. Nie mogłem dać swojemu synowi wiele, ale jeśli mówisz serio o tej ofercie, to ja ją na serio przyjmę. Dzięki temu zapewniłbym Claire przyszłość. Złożyłem prośbę o przeniesienie do domu spokojnej starości w miasteczku. Wszyscy moi przyjaciele tam mieszkają. I byłbym trochę bliżej pubu.

Jensen gapił się na niego tępo. Claire by go zamordowała, gdyby...

– Chyba jednak nie mogę kupić tej ziemi.

Gibs zmarszczył czoło, wziął głęboki oddech i odłożył skizzle'a, z którego na jego piżamę posypało się trochę lukru.

– A więc będę musiał przyjąć ofertę...

– Nie. Nie rób tego! – A niech to. – Słuchaj, Claire wcale nie chce opuszczać Deep Haven.

– Wiesz, Bóg mówi, że jest czas płaczu i czas śmiechu. Claire już zbyt długo płakała nad tym, co wydarzyło się w Bośni. Musi iść naprzód ze swoim życiem.

Iść naprzód. Ale...

– Bóg oczekuje, że będziemy ciągle iść naprzód, nawet jeśli przydarzyły nam się okropne rzeczy. Siedziałem sobie tutaj i czytałem akurat Księgę Jozuego, rozdział pierwszy. Bóg mówi Jozuemu, który wciąż oplakuje Mojżesza, aby poszedł dalej, objął ziemię w swoje posiadanie. Mówi mu, że zaplanował już dla niego zwycięstwo, że każde miejsce, którego dotkną jego stopy, On już mu podarował. Bóg ma plan wobec Claire i musi się ona zacząć do niego zbliżać.

– Ale co jeśli jej plan jest tutaj?

Czy wyglądał na bardzo zdesperowanego?

– Z tobą?

Widać dokładnie tak wyglądał.

– Ja... nie...

– Przyszła tu wczoraj, energiczna i piękna, a ja zacząłem się zastanawiać, czy nie miało to czegoś wspólnego z tobą, młodzieńcze.

Śmieszne, że gdy Gibs wypowiedział to w ten sposób, Jensen poczuł się jak jakiś szesnastolatek.

– Nie. Może. Tak, spotykam się z Claire. Ale nie będę jej stać na drodze, jeśli o tym myślisz.

– O nie, oczywiście, że nie. To robisz sobie sam.

Co?

– Za każdym razem, gdy tutaj przychodzę, rzucasz się na mnie z pazurami...

– To dlatego, że cię kocham, Jensenie. Jesteś dla mnie jak syn. Siedziałem tu tak i patrzyłem, jak marniejesz, gdy twoje błędy zjadały cię żywcem przez ostatnie trzy lata. Nadszedł czas, żebyś ty też przestał oplakiwać siebie.

Jak syn. Te słowa niemal go paliły, czuł je głęboko w środku. Odwrócił wzrok.

– Nie mogę. Nie wiem jak.

– A właśnie, że wiesz. Musisz poprosić o przebaczenie i odpokutować.

– Za coś, czego nie zrobiłem?

– Nie, za wszystko to, co *zrobiłeś*. Może i nie zabiłeś Felicity specjalnie, ale wciąż ciąży na tobie grzech odebrania życia. A jeśli nie on, to co powiesz na tę całą nienawiść w twoim sercu do...

– Nie nienawidzę Deep Haven.

– Chciałem powiedzieć do samego siebie.

Aha.

– Jesteś taki zagniewany z powodu tego, co się stało, i nie masz nikogo, kogo mógłbyś obwinić, i nie masz co zrobić z tym gniewem. A więc dusisz go w sobie, starając się sobie wmówić, że jesteś niewinny, ale prawda jest taka, że nikt z nas

nie jest niewinny. Wszyscy jesteśmy okropnymi grzesznikami, nieważne, o co się nas oskarża. I cokolwiek zrobiliśmy, szatan pragnie nas tam zatrzymać, więzi nas w naszej przeszłości. Bóg pragnie cię wyzwolić od przeszłości i pozwolić ci iść na przód. Ale musisz przyznać przed sobą, że Go potrzebujesz, nieważne, jakiej zbrodni jesteś winny. Lub niewinny.

Jensen przymknął oczy. Wziął głęboki oddech. Chciał przyszłości, ale...

– Nie wiem... Udało mi się poważnie zniszczyć sobie życie.

– A więc plan A okazał się klapą. Bóg może sprawić, że plan B będzie o wiele lepszy. Lepszy niż plan A, gdyby ten się nawet spełnił.

Plan B. Albo nawet C. Jak Claire.

Starszy mężczyzna wyciągnął rękę i ujął dłoń Jensena.

– Ale najpierw musisz pozwolić, by Bóg cię uleczył. Naucz się sobie przebaczać, uwierz, że Boża miłość jest dla ciebie.

Ech, nie wiedział, czy mógłby posunąć się tak daleko.

– Wiem, że nie jestem dobrym człowiekiem, Gibs. Jestem pewny, że Bóg nie kocha kogoś takiego jak ja.

– Bóg nie kocha cię dlatego, że jesteś albo nie jesteś dobrym człowiekiem, Jensenie. Kocha cię dlatego, że tak chce. Ale masz rację: nigdy nie staniesz się dobrym człowiekiem bez Boga, który przebaczy ci i cię wyzwoli. Nie jesteś porażką, nie jesteś uwięziony przez swoje grzechy, dopóki nie przestaniesz ku Niemu sięgać.

Sięgać. Tak, to mógł robić.

A przynajmniej chciał.

– Gibs!

Nic dziwnego, że Gibs chciał zostać w mieście. Miał tutaj więcej gości, niż Jensen kiedykolwiek widział w jego domu. Do pokoju wszedł Joe Michaels. Miał na sobie dzinsy i niebieski T-shirt z napisem na przedzie: „Straż pożarna Deep Haven”.

– Jonah, przyjacielu, jak się masz? Chcesz pączka? Jensen przyniósł mi śniadanie. – Gibs podał mu torbę.

Joe zajrzał do środka i wziął sobie jednego pączka z lukrem.

– Dan jest na korytarzu. Odwiedzamy chorych. Hej, Jensen.

– Hej. – Jensen znał Joego tylko ze słyszenia i z powodu jego sławy. Pisarz, którego żona była właścicielką księgarni, nad którą mieszkała Claire. Ale z drugiej strony Jensen też był sławny. A może raczej niesławny.

Ku jego zdumieniu, Joe zwrócił się do niego.

– Miałem do ciebie dzwonić. Mój przyjaciel Mitch powiedział mi, że możesz podjąć się jakiejś pracy jako wolontariusz. Potrzebuję pomocy przy zabezpieczeniu „Ogrodu” przed ogniem. To ośrodek opiekuńczy, w którym mieszka mój brat, zaraz za miastem. Tak na wszelki wypadek, gdyby ogień zwrócił się na wschód.

- Chętnie pomogę. Co mam zrobić?
- Potrafisz wykopać dziurę?
- Zdaje się, że to jedna z moich specjalności.

Gdyby sędzia spędził jeden dzień z Darekiem i jego synem, Ivy byłaby pewna, że zrozumiałby, jak okropnym błędem byłoby rozdzielanie ich.

Tiger piszczał, gdy Darek łaskotał go, przytrzymując go kolanami. Łuna z ogniska oświetlała roześmianą buzię chłopca. Darek wyszczerzył się i wypuścił hałaśliwie powietrze w szyję Tigera. Chłopiec odwrócił się i przycisnął dłonie do ramion ojca.

– Tatuś!

Tatuś. Może właśnie to Ivy kochała u Dareka najbardziej. Nie, nie kochała, raczej upodobała sobie.

Ivy chętnie wymazałaby tę okropną teczkę. I fakt, że czekała aż do piątej, kiedy Jodi wyjdzie z pracy, by położyć ją na jej biurku.

Tiger wcale nie był w niebezpieczeństwie, Jodi na pewno się tego domyśli, prawda?

– Zrób sobie s'more'a, Ivy. – Ingrid usiadła obok niej i podała jej długi widelec oraz paczkę pianek. Po drugiej stronie ogniska Amelia i Grace śmiały się, oglądając na cyfrowym aparacie zdjęcia, które Amelia zrobiła Tigerowi.

– Zaraz pękne, pani Christiansen. Nie przełknę już ani kęsa.

– Proszę, mów mi Ingrid. Mogę ci obiecać, że te słodkości upychają się idealnie w ostatnie wolne przestrzenie i napełnią cię ciepłem i słodyczą.

Nie. To ta rodzina napełniała ją ciepłem i słodyczą. Powitali ją dzisiaj jak siostrę, zapędzając ją do robienia ponczu, mieszania kolejnej ziemniaczanej kombinacji Grace i nakrywania do stołu. Tiger podbiegł do niej z bratkiem, którego zerwał z ogródka babci. Ivy nie mogła się powstrzymać i przytuliła chłopca mocno. A gdy pocałował ją w policzek, aż ją zamurowało.

Gdy Darek zadzwonił do niej i zaprosił ją do ośrodka, nie miała pojęcia, że właśnie może zostać przyjęta do rodziny.

Adoptowana.

Gardło jej się zacisnęło, więc przełknęła głośno ślinę.

– Czy robicie to co tydzień? Ognisko?

– Jakoś tak. – Ingrid nadziała piankę na czubek widelca. Miała na sobie skórzane buty, dzinsy podwinięte do kostek, flanelową kamizelkę narzuconą na hokejowy T-shirt z logo Deep Haven Husky. – Lubię, gdy dzieciaki wracają do domu chociaż raz w tygodniu, mogę wtedy zobaczyć, jak im się wiedzie. Oczywiście, skoro Casper zostaje w domu przez kolejny tydzień...

– Może dwa, mamó – wtrącił Casper z drugiej strony ogniska, gdzie siedział

na ławce zahipnotyzowany płomieniami. – Muszę naprawić motocykl. Czekam na części.

– Nie rozwaliłeś mojego motoru, prawda? – spytał Darek, wycierając Tigerowi buzię serwetką. Osiągnął jedynie to, że wmasował cukier w brud na jego skórze.

– *Mojego* motoru – poprawił Casper. – Płakał z ulgi, gdy mi go oddawałeś.

– Dzielę z tym kawasaki wspaniałe wspomnienia. Jak na przykład wiele wycieczek do Montany i z powrotem.

– Właśnie o to mi chodzi. Zajeździłeś go. – Podniósł kijek. – Potrzebuje nowego tłumika, może nawet łańcucha rozrządu. Chcę nad nim jeszcze trochę popracować, nim pojedę do Keys.

Tiger obrócił się w ramionach Dareka.

– Chcę pojeździć na motorze, tatusiu!

– Tatusz już nie jeździ na motocyklu, mistrzu. – Darek wciąż starał się ujarzmić rękę Tigera.

– No to chcę pojeździć spycharką! Proszę!

– Spycharką? – spytała Ivy.

Darekowi udało się wreszcie schwycić dłonie Tigera. Podniósł wzrok.

– Wziąłem starą spycharkę, żeby poszerzyć pas przeciwpożarowy wokół posesji. Chcę pozbyć się dodatkowego paliwa dla ognia.

– To tylko dlatego, że lubi jeździć wielkimi maszynami – powiedziała Grace, zwracając się do Ivy. – Nie daj sobie wmawiać, że jest inaczej.

– Ja! Ja chcę pojeździć spycharką!

Darek spojrzał Tigerowi w oczy.

– Nie. To zbyt niebezpieczne.

– Naprawdę myślisz, że ogień mógłby dotrzeć aż tak daleko na południe? – spytała Ivy.

– Mógłby – odparł Casper. – Rozmawiałem dzisiaj z Jedem. Powiedział, że sprowadzają jeszcze cztery drużyny strażaków, dwie drużyny hotshotów i trzy Beavery dla transportu.

– Beavery?

– Hydroplany – wyjaśnił Darek. – Jed powiedział, że na drodze sto pięćdziesiąt trzy powstało miasteczko namiotowe, kawałek na wschód od ognia. Rezyduje tam teraz kilkaset osób ze służby ogniowej. Jed pozwala pilotom i kilku nadzorcom mieszkać w domkach, ale większość znajduje się na pasie przeciwpożarowym dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Naprawdę? Walczą też w nocy?

Uśmiechnął się i zacząć okręcać swoją piankę nad ogniem.

– Jest coś niesamowitego w patrzeniu na ogień w nocy; ta jasność w kontraście z ciemnością... Ogień jest żywy i cię obserwuje...

– Przerażasz mnie, Dare – powiedziała Grace.

– Myślę, że to trzeba zobaczyć na własne oczy. Jest jakaś dziwna niesamowitość w ogniu, zwłaszcza nocą w lesie. Linia ognia sycząca w ciemności, drzewa jak pochodnie. Wszystko nuci swoją melodię i trzaska. Jak mówiłem, żyje. To prawie magiczne.

– Chociaż może cię zabić – zauważyła Amelia.

– I spalić twój dom – dodała Ingrid.

– Ale... czy naprawdę mogłby dojść aż tak daleko, do Evergreen? – Ivy pytała ponownie.

Cisza.

– Mogłby podejść aż do Deep Haven, jeśli się go nie zatrzyma – powiedział John. – Ogień robi to, co mu się żywnie podoba, jeśli się go nie opanuje. Może pochłonąć wszystko i nie bierze zakładników.

Ivy patrzyła na migoczące ognisko, na iskry rozsypujące się w powietrzu.

– Ale nie martw się, Ivy. Ośrodek Evergreen wie, jak przetrwać – powiedział John cicho. – Jak tę powódź w osiemdziesiątym siódmym. A jakieś dziesięć lat temu trzy domki zostały zniszczone przez nawałnicę. Nie martw się. Żaden ogień nie wymaże nas z mapy.

– Owen dzwonił, tak przy okazji – powiedziała Ingrid. – Martwił się tym ogniem. Powiedziałam mu, że Darek oczyścił teren wokół ośrodka.

– Darek i *Casper*, rany – sarknął Casper, przewracając oczami dla lepszego efektu.

– Darek oczyścił teren? – spytała Ivy.

– Pomyślałem, żeby poszerzyć polną drogę wokół posesji. To tylko tak na wszelki wypadek, bo jakieś trzy mile naszej posesji znajdują się w lesie... Przeworny zawsze ubezpieczony.

– Prawdziwy z niego skaut – stwierdził Casper.

Darek rzucił w niego pianką.

– Eden pracuje nad artykułem dotyczącym pożaru. Ma nadzieję, że uda się jej podrzucić go swojemu redaktorowi – powiedziała Ingrid.

– Biedna Eden – westchnęła Grace. – Musi być jej ciężko. Pracowała tak wytrwale na dyplom, a teraz pisze nekrologi.

Pianka Ingrid przybrała piękny bursztynowy kolor.

– Widzisz? Nasze cotygodniowe ogniska sprawiają, że pozostajemy w kontakcie. Sprawdzamy, co u siebie słychać. Rodzina.

Rodzina.

Ivy wsunęła dłonie między kolana, żałując, że nie wzięła ze sobą kurtki.

Tiger przesunął się do Ingrid.

– Mogę twoją piankę, babciu?

Ingrid zaśmiała się.

– Chyba zapomniałeś zjeść tę poprzednią, maluchu. Masz ją całą na twarzy.

Trzeba to wytrzeć. – Spojrzała na męża, jakby oczekując, że odbierze od niej widelec.

– Wezmę go do domu – zaoferowała się Ivy. Wyciągnęła dłoń. – Chodź, Tiger.

Rzeczywiście cały był pokryty pianką. Jego ręka skleiła się z jej dłonią, gdy prowadziła go do domu.

– Lubię cię – powiedział Tiger, zadzierając głowę, by na nią popatrzeć. – Zostaniesz moją nową mamą?

Och. Eee...

Szukała odpowiednich słów, nie mając pewności, co powinna odpowiedzieć. Na szczęście spod werandy wynurzył się pies, który gonił za wiewiórkami, i Tiger puścił jej dłoń, by ruszyć w pościg za suczką.

– Chodź, Tiger! – zawołała Ivy, gdy dotarła do werandy. – Czas doprowadzić się do porządku.

– E tam, to chłopiec. Nigdy nie będzie czysty. – Ingrid pojawiła się za nią, niosąc miskę z sałatką ziemniaczaną i kielbaski, które zostały. – Moi synowie chyba całe dzieciństwo spędzili pokryci liśćmi, brudem i drzazgami. – Mrugnęła i udała się w stronę domu.

Tiger podbiegł do niej i Ivy przytrzymała mu drzwi. Ingrid wstawiała talerze do zmywarki. Ivy złapała szmatkę i wytarła nią twarz chłopca oraz jego ręce.

Gdy ją płukała, zobaczyła, jak Tiger wybiega z domu, pędząc z powrotem ku ognisku.

– Będę miał przygodę! – oświadczył na odchodnym.

– Cieszę się, że przyszedłeś dzisiaj, Ivy. – Ingrid wciąż ładowała talerze. – Jesteś dobra dla Dareka.

Była dobra?

– Nie słyszałam, by śmiał się w ten sposób od... już od lat.

Ingrid zamknęła zmywarkę i zaczęła napszczać do zlewu ciepłą wodę, by zająć się talerzami, które już się nie zmieściły. Wzięła gąbkę i kubek. Ivy sięgnęła po ściereczkę.

– Zmienił się po tym, jak wziął ślub z Felicity. Myślę, że zdał sobie sprawę z tego, że jeśli popełniło się jeden błąd, nie znaczy to, że należy popełniać kolejny. Ale musiał podejmować swoje własne decyzje. Myślę, że wydawało mu się, że oczekujemy, aby wziął z nią ślub, ale my po prostu chcieliśmy, by wziął odpowiedzialność za swoje czyny. Małżeństwo tylko wszystko pogorszyło. Żyje pod taką presją.

Podawała Ivy kubek.

– Dlatego właśnie cieszę się, gdy widzę go takiego zrelaksowanego. – Spojrzała Ivy w oczy. – Cieszę się, że tu jesteś.

Ivy zaśmiała się.

– Tak, cóż, byłam najlepszą gosposią w rodzinach zastępczych.

Mała zmarszczka przecięła czoło Ingrid. Odwróciła się z powrotem do zlewu.

– Jak długo byłaś w rodzinach zastępczych?

– Miałam łącznie czternaście domów. Pierwszy w wieku dziewięciu, ostatni w wieku osiemnastu lat. Na szczęście chesne za college mogłam pokryć dzięki pomocy społecznej i stypendium, a więc wszystko skończyło się dobrze. – Postawiła kubek na blacie.

– Czternaście. Wow. Myślałam, że opieka społeczna stara się, aby ludzie adoptowali dzieci.

– Ja nie nadawałam się do adopcji.

Ingrid spojrzała na nią i znów zmarszczyła czoło.

– Nie, nie chodzi o to, że nikt nie próbował. Ale... nigdy jakoś nie wyszło. – Wzięła kolejny kubek z rąk Ingrid i zaczęła go wycierać. – Bardzo szybko zdałam sobie sprawę, że rodziny zastępcze to interes. Rodzice dawali mi miejsce do spania i jedzenie, a ja dawałam im wypłatę. Byłam towarem wartym trochę więcej każdego roku.

Ingrid zamarła. Wyjęła ręce z wody. Ociekały jeszcze mydlinami.

– Nie tak powinno być. Nie jesteś towarem, Ivy. Byłaś małą dziewczynką, która potrzebowała mamy, taty i rodziny. Aby cię kochano, przytulano, hołubiono.

Ivy zapiekły oczy i zaczęła się śmiać, robić wszystko, byle tylko się nie rozkleić.

– Nie. Wszystko było w porządku. Czułam się w porządku.. Wszystko ułożyło się po prostu... świetnie. Nie potrzebowałam żadnych czułości. I tak nie byłyby prawdziwe.

Odwróciła wzrok, szybko mrugając, i odstawiła kubek na blat.

Ale Ingrid nie ruszyła się z miejsca. Woda z jej rąk kapiała na drewnianą podłogę.

– Nie, *nic* nie było w porządku. Powinnaś wtedy mieć kogoś, kto by się o ciebie troszczył. Kochał cię. Powinnaś stać się częścią rodziny.

Ivy spuściła wzrok, spojrzała na otwarte drzwi. Powinna sprawdzić, co z Tigerem, zobaczyć, czy wrócił do ogniska.

Jej głos, gdy wreszcie się pojawił, brzmiał słabo.

– Radziłam sobie dobrze sama. Nauczyłam się, jak się wpasowywać, jak nie sprawiać problemów, przynajmniej do momentu, kiedy rodziny orientowały się, że nie pasuję, a wtedy znów próbowałam się podporządkować. Uczyłam się pasować gdzie indziej. – Okropna fala gorąca minęła. Sięgnęła po kolejny kubek, ale Ingrid chwyciła jej dłoń w swoje mokre ręce.

– Nie musisz się uczyć, jak pasować tutaj, Ivy. Po prostu bądź sobą. To nam wystarczy. I to wystarczy Bogu. Nie jesteś dla Niego towarem. Jesteś cennym

dzieckiem, które On kocha.

Wrócił ten ucisk w jej piersi, pieczenie w oczach, a teraz... O nie, musiała odwrócić twarz, bo jej maska zaczynała się kruszyć. Chciała to powiedzieć – *nie, Bóg wcale mnie nie kocha* – ale wydawało jej się to zbyt... smutne. Żalosalne nawet. Zamrugnęła, starając się z tego otrząsnąć

– Ech, moja kochana dziewczyno. Tak się cieszę, że Bóg cię do nas przypro-wadził. – I wtedy Ingrid wyciągnęła ręce i przyciągnęła Ivy do siebie, zamykając ją we flanelowym uścisku.

A Ivy nie wiedziała, co robić. Bo wydawało się to takie... takie... A niech to. Uścisk Ingrid był mocny, trzymała ją w objęciach, jakby naprawdę nie żartowa-ła. Ivy po prostu nie mogła się powstrzymać, by nie oprzeć głowy na ramieniu In-grid, nie mogła się powstrzymać przed ukryciem twarzy w dłoni, nie mogła się po-wstrzymać przed wydaniem z siebie cichego szlochu.

No i rozplakała się. Naprawdę się rozplakała i nie była pewna dlaczego. Po prostu nie mogła powstrzymać tego okropnego przyływu emocji, który się z niej wydobył. Wyszła ze skorupy i ledwo mogła uwierzyć, że naprawdę przytulała się do Ingrid, płacząc jej w rękaw w kuchni.

Ingrid wciąż ją trzymała. Nie próbowała jej uciszać, nie czuła się niekomfor-towo z tym huraganem emocji Ivy. Po prostu nie wypuszczała jej ze swoich objęć. Jakby Ivy naprawdę tu pasowała.

A więc Ivy zamknęła oczy i pozwoliła sobie poczuć uścisk Ingrid, oddychać nim. Po prostu oddychać.

Wreszcie powstrzymała szloch i odsunęła się, przyciskając ściereczkę do oczu. Pewnie leciało jej też z nosa.

– Przepraszam – powiedziała, odsuwając materiał od twarzy.

Ingrid skinęła głową. Jej oczy tak bardzo przypominały oczy Dareka – nie-bieskie, pełne współczucia. Ujęła twarz Ivy w ręce. Dłonie miała już suche, ale tro-chę zimne i pomarszczone.

– Żadnego przepraszania. Nie krępuj się, aby tu przyjść, kiedy tylko masz ochotę się przytulić. Albo ja sama będę cię ściagać ze swoimi ramionami. – Puściła do niej oko.

Ivy uśmiechnęła się, nie będąc pewna, co właściwie powinna teraz zrobić.

Ingrid odwróciła się z powrotem do zlewu, puszczając więcej ciepłej wody. Zamoczyła talerz po hamburgerach.

Ivy stała tam, wyczerpana.

– Tu jesteś! – Darek wszedł do środka przez szklane, przesuwane drzwi. Trzymał w rękach słoik korniszonów i torebkę z piankami. – Gdzie Tiger? Chcia-łem pokazać mu zorzę polarną.

– Widać zorzę polarną? – spytała Ingrid, sięgając po ręcznik.

– Nie jest z tobą? – zapytała w tym samym momencie Ivy.

Darek zamarł. Odłożył słoik i torebkę.

– Umyłam go i popędził w stronę jeziora. Widziałam go...

– Nie wrócił – odparł Darek.

Ingrid odwiesiła ręcznik i powiedziała:

– Bawił się z Butterscotch. Może jest z nią.

Darek wypadł przez drzwi.

– Tiger!

Ivy wybiegła za nim na podwórko, podczas gdy Ingrid wyszła przez frontowe drzwi. Powietrze wydawało się ciężkie od dymu, ale może to tylko wina ogniska. W ciemnościach pomarańczowa luna widniejąca daleko na horyzoncie wydawała się bardziej złowroga, jakby gdzieś tam za drzewami znajdował się Mordor.

– Może jest w chacie – powiedział Darek i pognął ścieżką.

Casper i jego siostry wrócili od ogniska razem z Johnem, który trzymał latarkę. Podał ją Casperowi.

– Sprawdź pozostałe domki.

– Zobaczę, czy nie schował się czasem w budzie Butter – powiedziała Grace.

Amelia ruszyła w stronę głównej chaty. John obszedł domek i sprawdził tyły.

Ivy słyszała różne głosy nawołujące Tigera.

Jak mogła stracić z oczu syna Dareka? I to by było na tyle, jeśli chodzi o wpasowanie się w rodzinę.

Jeśli kiedykolwiek pragnęła, aby los jej sprzyjał...

Albo... *Nie jesteś dla niego towarem. Jesteś cennym dzieckiem, które On kocha.*

No dobrze, jeśli Bóg ją kochał – naprawdę ją kochał – to... to pomoże jej teraz myśleć.

Myśl.

Raz, gdy miała jakieś dziesięć lat, oddaliła się od swojego domu zastępczego i szła labiryntem alejek, wyobrażając sobie życie rodzin w środku mijanych domów.

Będę miał przygodę, powiedział Tiger.

Czym mogła być przygoda dla pięciolatka? Motocykl?

Albo może... spycharka.

Gdzie Darek ją zostawił? Na starej polnej drodze wokół posesji? Gdy tu przyjechała, widziała pokrytą koleinami drogę wiodącą od strony parkingu.

W kiepskim świetle dotarła na parking. Miała nadzieję, że spotka tam Johna, ale go nie było. Tak czy siak, wypatrzyła drogę i pobiegła nią, czując pod stopami góry i doliny świeżo wzburzonej ziemi.

– Tiger!

Nie chciała nawet myśleć, co mogłoby się stać, gdyby go nie znaleźli, gdyby musieli wezwać policję, aby pomogła go szukać. Zwłaszcza, że teczka z opieki

społecznej leżała na biurku Jodi.

Jej kariera dobiegłaby końca. Przynajmniej w Deep Haven. Co gorsza, Darek mógłby stracić prawo do opieki nad synem.

Ale to wszystko blakło wobec możliwości, że w tych lasach...

– Tiger! – Pobiegnij szybciej, gdy ujrzała spycharkę w oddali, ogromny kloc w ciemnościach.

Dotarła do niej, znalazła schodek, wspięła się do kabiny i otworzyła drzwi.

– Tiger?

Pusto. Zapatrzyła się w ciemność, upadając na duchu i dysząc ciężko, starając się odzyskać oddech.

I wtedy usłyszała pociągnięcia nosem. Zamknęła drzwi, zeszła na dół. Wysłuchała się w odgłosy.

Dochodziły z przodu spycharki, blisko szufli. Przesunęła się wzdłuż boku maszyny.

– Tiger?

Siedział tu. Miał podrapane ręce z plackami obdartej skóry. Musiał o coś się poharatać. Nie mogła ocenić, co mu się dokładnie stało, ale zdawał się być bardziej przestraszony niż ranny.

Ivy kucnęła obok niego.

– Wszystko w porządku, kolego? Martwiliśmy się o ciebie.

– Przewróciłem się.

– Widzę. – Ujęła go za dłonie. – Zaraz cię umyjemy i wszystko będzie dobrze.

I wtedy rzucił się jej w ramiona. Trzymała go, kołysząc go delikatnie.

– Już dobrze, kolego. Znaleźliśmy cię.

Jego ciało było ciepłe, a uścisk wokół jej szyi żelazny. Trzymała go równie mocno, gdy wstała. Jego nogi zaplotły się wokół niej. Ruszyła drogą, ostrożnie stawiając kroki pomiędzy nierównościami powierzchni.

Słyszała już głosy, które wykrzykiwały imię Tigera, nim jeszcze wyszła pomiędzy drzew, ale nie chciała straszyć chłopca. Zaczekała więc, aż dojdzie do parkingu. Wypatrzyła Johna i krzyknęła:

– Znalazłam go!

John podbiegł do niej, a za nim Casper, wymachując latarką na boki.

– Gdzie był?

– Przy spycharce. Przeżywał przygodę, prawda, kolego? – Starła się spojrzeć mu w oczy, ale nie chciał poluzować uścisku.

Darek przybiegł drogą.

– Znalazłeś go?

– Ivy go znalazła – odparł Casper. Grace dołączyła do nich, nadchodząc od strony ogniska.

Ivy zdawało się, że w oddali słyszała syrenę. Ale może to tylko w jej głowie, w jej sercu.

Oddychaj, po prostu oddychaj.

Darek wyciągnął ręce, pochylił się, by sprawdzić, co z Tigerem.

Chłopczyk uniósł rączki.

– Przewróciłem się!

Darek oddychał ciężko, ale udało mu się zachować spokojny ton głosu.

– Gdzie byłeś? Tatuś się o ciebie martwił.

Tiger odchylił się w ramionach Ivy.

– Poszedłem mieć przygodę!

– Kolego, nie możesz tak się zachowywać. Mógłbyś sobie zrobić krzywdę.

Ivy podziwiała Dareka, że udawało mu się nie ujawniać w tonie głosu emocji widocznych na twarzy.

Syreny stały się głośniejsze. Ivy spojrzała na Johna. To nie było...

– Ivy poszła za mną. – Tiger uśmiechnął się do niej przez łzy.

– Tak zrobiła, prawda? – spytał Darek. Spojrzał na nią z tak wielką wdzięcznością, że Ivy zabrakło słów. – Cóż, Ivy wie, jak znajdować małych zagubionych chłopców.

– Nie zgubiłem się, tatusiu. Następnym razem daj mi mapę.

– Się robi, kolego – powiedział i wziął Tigera w ramiona. Schował twarz w ramieniu chłopca.

Ivy położyła dłoń na plecach Dareka. Drżał.

I wtedy dźwięk syren rozdarł noc. Do wtóru z błyskającymi światłami pojawił się na parkingu.

Darek obrócił się na pięcie.

– Co...?

Amelia wypadła z domu.

– O, znaleźliście go!

Butterscotch podbiegła do nich, szczekając. Casper skrzywił się.

John wypuścił powietrze z płuc, pokręcił głową. Wszyscy stali pogrążeni w pełnej napięcia ciszy, gdy policjant wysiadł z radiowozu.

Darek, który stał obok Ivy, westchnął ciężko. Dźwięk rezygnacji.

– Hej, Kyle.

– Darek. Dostaliśmy zgłoszenie o zaginionym dziecku.

– Mamy go – powiedziała Amelia. – Tylko trochę się oddalił...

Ivy nie była pewna, co się stało i dlaczego, ale nagle przyszłość Dareka – jej własna przeszłość – stanęła jej przed oczami i słowa same wypłynęły jej z ust. Szybkie.

Nieprawdziwe.

– Właściwie to bardzo mi przykro, panie władzo. Tiger i ja odeszliśmy na

chwile przeżyć przygodę i zapomnieliśmy o tym powiedzieć rodzinie.

Policjant, mniej więcej w jej wieku, podszedł bliżej do grupki. Spojrzał na Tigera, który obrócił się w ramionach Dareka.

– To prawda, Tiger? Przeżyłeś przygodę? – spytał.

Chłopiec skinął głową. Niech go Bóg błogosławi...

– Ivy i ja byliśmy przy spycharce!

Kyle roześmiał się.

– Okej. Cóż, Amelia przez telefon brzmiała, jakbyście mieli tutaj stan wyjątkowy.

– Przepraszam – wymamrotała. – Spanikowałam.

– Obiecuję, że następnym razem powiem wam, gdy wybierzemy się z Tigerelem na spacer – przyrzekła Ivy.

– A kim pani jest? – spytał Kyle.

Darek dotknął jej ramienia.

– To Ivy Madison. Moja dziewczyna.

Dziewczyna.

– No więc dobrze. Zgłoszę to jako fałszywy alarm. Życzę wam dobrej nocy – powiedział Kyle.

Nikt się nie poruszył, gdy patrzyli, jak odjeżdża. Światła samochodu zniknęły w ciemności.

– Dziewczyna? – powiedział Casper, obracając się i patrząc na Dareka. – Wreszcie. – Pochylił się i pocałował Ivy w policzek. – Witamy w rodzinie, Ivy League[10].

W rodzinie. Stała jak wryta, gdy ruszyli z powrotem do domu, ciesząc się tym uczuciem, które jak pianka, gorące i lepkie, wypełniło jej puste przestrzenie.

[9] Płaskie ciastko drożdżowe smażone w głębokim oleju (przyp. tłum.).

[10] Gra słowna. Ivy League (pol. Liga Bluszczowa) to zbiorcza nazwa ośmiu elitarnych uczelni amerykańskich (przyp. tłum.).

czternaście

Gdy tylko woźny otworzy budynek sądu, Ivy zakradnie się po prostu do biura swojej asystentki, kryjąc się w cieniach poranka, i usunie teczkę z biurka Jodi. Bez wątpienia nie miała jeszcze okazji, aby na nią spojrzeć. Nie tak wcześnie rano w poniedziałek.

I bez wątpienia nie otrzymała jeszcze żadnej informacji z departamentu szeryfa o zgłoszeniu zaginionego dziecka w ośrodku Evergreen.

Ta myśl chwyciła Ivy za gardło.

I do tego jeszcze skłamała. *Skłamała. Policji.* W tamtym momencie słowa wezbrały i wymknęły się jej, tak prosto jak ciepła wiosenna bryza, naturalna i świeża.

Tiger i ja odeszliśmy na chwilę przeżyć przygodę i zapomnieliśmy o tym powiedzieć rodzinie.

Teraz każde słowo w tym zdaniu było jak kolejna mina przeciwpiechotna, spośród tych, które zaczęły wybuchać, jak tylko minęło jej uniesienie po słowach Dareka.

To Ivy Madison, moja dziewczyna.

Nie wspomniał już o tym więcej po odjeździe policjanta. Darek trzymał Tigera na rękach tak długo, aż chłopiec w końcu zaczął się wyrwać. Niechętnie przekazał syna Amelii, która zabrała go, aby go wykąpać i położyć do łóżka.

Darek odwiózł Ivy do domu. W ciszy.

Ale słowo *dziewczyna* ciskało gromy pomiędzy nimi.

To słowo rozgrzało ją, uwięziło jej słowa w klatce piersiowej, sprawiło, że zapagnęła zatonać w jego oczach, może uciszyć to dudnienie w jej wnętrzu.

I wtedy wyciągnął rękę, sięgnął do niej przez siedzenie i ujął jej dłoń.

Pocałował ją znowu na ganku. Tak wiele emocji dzisiejszego wieczoru – strach, panika, ulga – czaiło się w jego dotyku, a ona trzymała się go kurczowo, czując to samo. Pomogło jej to zapomnieć się i zapomnieć o jej piramidalnie głupich słowach na tyle, aby stanąć w progu i pomachać mu na do widzenia.

Prawie tak, jakby mogła zachować się jego dziewczyna.

Dopiero gdy odjechał z podjazdu, cały ogrom jej kłamstwa zaczął ryczeć jej w głowie. Scenariusze, jakie pisał jej umysł, zawładnęły nią na resztę weekendu. Były na tyle głośne, że wyłączyła komórkę, unikała Facebooka i zatopiła się w starej powieści Johna Grishama.

Udało jej się przebrnąć może przez dwa rozdziały.

Głównie starała się ułożyć plan, co by tu powiedzieć, jeśli Diane zjawiłaby się w jej biurze w poniedziałek z kopią policyjnego zgłoszenia w ręce.

Czy Ivy była w domu Dareka w ten weekend? Hmm...

Tak, Deep Haven stało się mikroskopijne.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o pozostawanie bezstronną. Ivy wybrała stronę, praktycznie rozbiła namiot na trawniku Christiansenów w momencie, gdy to kłamstwo opuściło jej usta.

Nigdy nie sądziła, że przeskoczy tak wysoko i tak szybko ponad linią etyki.

Ale Darek nie zasługiwał na to, aby stracić syna i może tylko ona sobie to uświadamiała. Tylko ona wiedziała, że słuszne i sprawiedliwe byłoby odrzucenie tej skargi.

Ivy spostrzegła swoje odbicie w szybie i skrzywiła się, gdy przeszła przez drzwi do sądu. Wyglądała, jakby zarwała nockę na Uniwersytecie Minnesoty w bibliotece wydziału prawa, zakuwając do egzaminu. Oczy miała podkrążone ze zmartwienia, ściągnęła włosy w niedbały kucyk, włożyła na siebie legginsy i T-shirt. Ale wejdzie do środka tylko na chwilę, weźmie teczkę i zamknie ją w szufladzie biurka. Potem – no dobrze, była tchórzem – pójdzie na chorobowe.

Czuła się chora.

Śmiertelnie, gwoli ścisłości.

Do czasu aż przyjdzie jutro do pracy i odda teczkę Jodi, będzie mogła skontaktować się z Jacobem – nie wspominał czasem, że będzie pod telefonem w czwartek? Jacob znał Dareka i jego rodzinę. Przypomni o tym Diane i odmówi podpisania tego natychmiastowego usunięcia chłopca.

A Darek nigdy się nie dowie, jak blisko był utraty Tigera.

Albo raczej ona nie będzie zmuszona, aby wybierać pomiędzy Darekiem a swoją pracą. Darekiem a Deep Haven. Darekiem a...

Dziewczyna.

Tak, cały jej świat stał się nagle strasznie skomplikowany, gdy padło to słowo.

Uderzenia jej klapków o podłogę przerywały ciszę poranka, gdy pędziła tak przez korytarz do biur.

Biurko Nancy stojące przy drzwiach było uprzątnięte, ciemne. Oczywiście drzwi do gabinetu Ivy były zamknięte. Na szczęście te do Jodi też.

Dokładnie tak, jak zostawiła je w piątek o siedemnastej trzydzieści siedem.

Ruszyła prosto do gabinetu Jodi i zapukała, tak na wszelki wypadek.

Cisza.

Popchnęła drzwi, uchylając je. Przez boczne okno wpadało światło na czyste biurko Jodi – kalendarz, zamknięty laptop, pojemnik na listy, teczki...

Ivy stanęła jak wryta. Teczki Christiansenów nie było na wierzchu. Podniosła mały stosik i przejrzała go.

Nic.

Może położyła go przez pomyłkę w pojemniku na listy.

Nie.

Stała tam, czując serce w przetyku. Jodi musiała wpaść tutaj w weekend i...

– Puścimy papiery w ruch, jak tylko Ivy podpisze nakaz natychmiastowego usunięcia.

Ivy zamarła jak bandyta złapany w światło reflektora. Głos Diane. A potem Jodi.

– Cieszę się, że do mnie zadzwoniłaś.

Ivy nie była na tyle sprytna, by schować się za drzwiami albo przybrać nonszalancką pozę „tak, powinnam tu być”.

W końcu, gdzie właściwie mogłaby uciec? Ukryć się pod biurkiem? O nie, to wcale nie wyglądałoby podejrzanie.

A więc po prostu stała tam, gdy Jodi weszła do środka.

– Myślałam, że zamknęłam... O, cześć.

Ivy zmusiła się do uśmiechu. Starła się wyglądać, jakby tutaj właśnie miała być. W legginsach.

Dzień zwyczajnego stroju.

– Cześć, Jodi. Cieszę się, że widzę cię tak wcześnie. Przyszłam sprawdzić jedną teczkę.

Diane weszła za nią.

– Ivy. Super, że jesteś. Jodi przyjrzała się bliżej Christiansenom przez ten weekend.

– Aha... To świetnie.

Jodi podała jej teczkę.

– Tej szukasz? To ta skarga, którą zostawiłaś na moim biurku w piątek. Przepraszam, że jej nie wzięłam. Musiałam wyjść wcześniej.

Diane uniosła brwi.

– Żaden problem – odparła Ivy. Wzięła teczkę. Ledwo była w stanie ją czytać. Jej gardło było tak ściśnięte, że mogła zaraz paść na ziemię i udusić się.

Oddychaj.

Ale tak jak się obawiała, Jodi napisała rekomendację czasowego usunięcia Tigera spod opieki Dareka. Sporządziła nawet wniosek o natychmiastowe odebranie dziecka.

– A więc zalecasz, aby umieścić dziecko czasowo z jego dziadkami? – spytała Ivy cichutko. Oby jej głos wydał się poważny, a nie taki, jakby ktoś właśnie wbił jej tasak w serce.

– Tak. W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin odbędzie się rozprawa w trybie pilnym, by ustalić, jakie kolejne kroki podejmiemy.

Ivy patrzyła po prostu na tę skargę, słuchając ryku w swoich uszach. Przypominała sobie oczy Dareka, gdy wyszedł z lasu i zobaczył ją z Tigerem.

Może tego nie przeżyć.

– Musisz to tylko podpisać, Ivy. Jodi poświadczy. Przefaksuję pismo do biu-

ra sędzi Magnusson i dodadzą go na wokandę jeszcze tego ranka.

Ivy się nie ruszyła.

– Ivy...

– Chłopiec nie jest w niebezpieczeństwie – wyszeptwała Ivy.

– A wiesz to, bo..? – zapytała Diane. Jej głos był miękki pomimo tych słów.

– Wiesz, że musisz się odsunąć od sprawy z powodu Dareka. I dlatego, że byłeś tam w ten weekend, gdy Kyle przyjechał na wezwanie.

Ivy zamknęła oczy.

– Kyle wspomniał o tym wczoraj w kościele. Przykro mi, kochanie, ale to małe miasteczko.

Takie małe, że można się w nim udusić.

– Jeśli nie podpiszesz, będę musiała to zawieźć do kogoś, kto to robi, do Duluth. A wtedy Tiger może nie skończyć ze swoimi dziadkami, ale w domu dziecka. Kto wie, co może stać się później.

– To niesprawiedliwe.

– Taki jest system. Ale jeśli Darek zasługuje na Tigera, to go odzyska. Nie pozwól, aby ceną twoich emocji była twoja praca. Albo utrata przez Dareka jego prawa do syna.

Dziewczyna. Słowo to zagnieździło się w gardle Ivy i odcięło jej tlen, gdy składała podpis na dokumencie.

Jodi poświadczyła go i podała Diane. Pracownica opieki społecznej zatrzymała się na chwilę w progu.

– Idź się ogarnąć. Będziesz musiała reprezentować swój wniosek w sądzie za godzinę.

Nie, jeśli Ivy wcześniej ucieknie z miasta.

Im dalej Darek jechał drogą leśną numer sto pięćdziesiąt trzy, powietrze gęstniało coraz bardziej niby mgłą, która schodzi na ziemię, ograniczając mu widoczność, nawet gdy światła samochodu przebijały się przez kłęby dymu. Było późne popołudnie, a zdawało się, że zapadła już noc.

Tylko dziesięć mil od jeziora Evergreen tajga przypominała pobojuwisko – i tak też pachniała. Gryzące, smoliste powietrze drażniło go w nos, piekło w oczy.

Jak łatwo znój – i triumf – bycia częścią drużyny strażaków powróciły do niego. Ciężka, wyczerpująca praca, która zdawała się nie mieć końca, gdy atakowali las, ścinając krzaczaste iglaki, klony i mirt, wypalali las do zmineralizowanej gleby, by tylko powstrzymać pochód pożogi. Bez trudu wyobraził sobie ryk pił łańcuchowych, terkot buldożerów niszczących drzewa i okazjonalny szum wody z węża, gdy jakiś węgielek przeskoczył jednak za pas przeciwpożarowy.

Zawsze wydawało mu się to bardzo pożyteczną pracą, wyczerpującą, ale

uczciwą, a widok Jeda, który metodycznie wyznaczał lokalizację ognia na mapie w chacie w kuchni, przywołał w Dareku wspomnienia tego wojskowego braterstwa.

Ale słowa Caspera o dodatkowych ekipach wreszcie sprawiły, że wspiał się do jeepa, aby usłyszeć najnowsze wieści. Zwłaszcza, że Jed przeniósł się do obozu, zostawiając domki dla pilotów i nadzorców, którzy co rano albo udawali się na lotnisko, albo do kwatery służb leśnych w Deep Haven.

Gdy Darek odjeżdżał, jego matka trzymała wnuka za rękę i przez chwilę wydawało mu się, że na progu stoi Felicity z Tigerem na ramieniu, patrząca na niego w ten sam sposób.

Wczoraj Darek zostawił trzy wiadomości na komórce Ivy i, szczerze mówiąc, jeśli nie oddzwoniłaby szybko, zamierzał pojechać do miasta i ją wytropić.

Zobaczyć, czy wystraszył ją użyciem słowa *dziewczyna*.

Pozwolił temu słowu wymościć się w pustych miejscach jego serca i zorientował się, że nie sprawia mu to bólu. *Dziewczyna*.

I może, pewnego dnia, *matka. Żona*.

Okej, chwila – odetchnął głęboko, by przegnać ucisk z piersi, ale pozwolił, by to słowo zawisło przez chwilę w powietrzu.

Żona.

Tak, może.

Skręcił w niedawno odnowioną drogę pożarową. Widoczne były na niej świeże ślady użytkowania – porozrzucane połamane gałęzie, ślady opon po furgonetkach hotshotów zawożących sprzęt do bazy.

Droga przechodziła w łąkę wielkości kilku boisk do futbolu amerykańskiego. Stare pastwisko zamieniono w małe miasteczko dwu- i czteroosobowych namiotów rozłożonych w rzędach na skraju lasu. Przenośne toalety ustawione w szeregu po drugiej stronie zapewniały jako takie warunki sanitarne, tak samo jak prowizoryczne kabiny prysznicowe zrobione z brezentu i pięciogalonowego worka z wodą ogrzewaną jedynie przez słońce. Pysznice nie miały nikogo relaksować, ale po prostu zmyć warstwę albo i dwie popiołu oraz sadzy, które wgryzały się w skórę po tygodniu pobytu na pasie przeciwpożarowym. Prawdziwe doczyszczenie się było możliwe dopiero na przepustce z dala od obozu.

Brudni mężczyźni, a także kobiety, wszyscy w żółtych koszulkach, stali przy okienku przyczepy, służącej za kuchnię polową, i wyglądali żałośnie. Byli brudni, wyczerpani i znużeni walką. Zanosili plastikowe tace z jedzeniem do przenośnych stołów piknikowych ustawionych pod ogromnym wojskowym namiotem, który dawał odrobinę ochrony i ochłody przed prażącym słońcem.

Darek zawsze wolał spożywać posiłek na świeżym powietrzu. Zapach zbyt wielu niemytych ciał i upał skutecznie psuły mu apetyt.

Wzdłuż tyłu przyczepy przyklejono taśmą izolacyjną mapy terenu, zaraz obok białych tablic, na których znajdowała się bieżąca prognoza pogody oraz naj-

nowsze wieści. Całość chronił żółty brezent wsparty na żerdziach.

Darek zaparkował na trawie, znajdując miejsce obok wysłużonej półciązarówki pośród około czterdziestu innych pojazdów. Wysiadł, poprawiając czapkę na głowie. Czuł się łyso bez swojego pomarańczowego kasku i żółtej koszulki służb leśnych. I bez sadzy na twarzy.

Znalazł Jeda przy kobiecie, która przewiązała długie ciemne włosy bandaną, a na nosie miała okulary przeciwsłoneczne pilotki chroniące jej oczy. Studiowali razem mapę okolicy. Kobieta przesuwiała palec wzdłuż czerwonej linii narysowanej kredką świecową.

Darek podszedł do map. Aż zabrakło mu tchu, gdy zobaczył, jak bardzo rozprzestrzenił się pożar, jak blisko jego rodzinnej posesji znajdowała się czerwona linia. Musiał wydać z siebie jakiś dźwięk, gdyż Jed się obrócił.

– Hej, Dare. Dobrze cię widzieć. Miałem nadzieję, że wpadnę i podziękuję twojej mamie za ciasteczka.

– Zrobiła więcej. Są w jeepie.

– Niech ją Bóg błogosławi. A to jest Katie Whipple. Mówimy na nią Whip. Ma dyplom technika pożarnictwa, pracuje w jednej z ekip. – Obrócił się znów do mapy.

– A więc, jak widzisz, ogień został opanowany na razie tylko w jakichś trzydziestu procentach. Około dziewięćdziesięciu tysięcy akrów lasu spłonęło. Chcieliśmy skierować go na zachód, w kierunku jeziora Two Island, zakładając, że jest ono na tyle duże, aby go zgasić. – Wskazał na jezioro oddalone jakieś osiem mil na północny zachód od Evergreen. – Nieźle się namęczyliśmy, aby wyciąć pas przeciwpożarowy tutaj, łącząc Pine i Two Island. – Przejechał teraz palcem wzdłuż zielonej linii, jakieś dwie mile od obozu. – Zaczęliśmy wypalać roślinność i udało nam się zniszczyć większość paliwa na wschód od tej linii. Niestety... – Jed zdjął hełm, otarł czoło przedramieniem. – Ostatniej nocy ogień przeskoczył tę linię, o tutaj.

Wskazał wąski teren pomiędzy pasem przeciwpożarowym, a ujściem jeziora Two Island.

– Drużyny widziały, jak skupiska drzew stawały w płomieniach, a przy zwiększającym się wietrze pożar zaczynał się przesunąć na południe od Two Island.

Na południe od Two Island. Na drodze do Evergreen.

Darek przyjrzał się mapie, przesuwając palcem po linii ognia.

– Wciąż znajduje się tam mnóstwo nieuprzątniętych resztek po nawałnicy. I ogień zaczyna przemieszczać się niepokojąco blisko położonych na uboczu chat, nie wspominając nawet o „Ogrodzie”, ośrodku opiekuńczym. Być może będą musieli się ewakuować.

– Poinformowaliśmy o tej możliwości biuro szeryfa w Deep Haven. Na razie

udajemy się na południe i zobaczymy, czy nie uda nam się wzmocnić pasa. Może znów zaczniemy wypalanie i skierujemy ogień na jezioro Dick.

– To może się udać – myślał na głos Darek, po czym dodał: – Ale przy wiatrach wiejących z północnego wschodu, jeśli nie zmienimy kierunku ognia, będzie on dalej gnał na południe. I spali wszystko, aż do jeziora Evergreen.

Zawiesił głos, ale po ruchu klatki piersiowej Jeda domyślił się, że ten dodał dwa do dwóch.

Jeśli ogień obszedłby jezioro, nic nie stanęłoby pomiędzy nim a Deep Haven. Chociaż...

– A co, jeśli wzmocnilibyśmy pas tutaj, pomiędzy Evergreen a jeziorem Thompson? – Darek wskazał na jezioro za Evergreen, na zachodzie. Malutkie, ale nie zaludnione zbyt gęsto. – Jest tam droga pożarowa, a jeśli ogień skręci na południe, możemy przekierować go w kierunku Thompson. W końcu natknąłby się na rzekę Cascade.

Jed spojrział na niego i zmarszczył brwi.

– Ta droga jest na południe od twojego domu, Darek. Wypalanie mogłoby zniszczyć twój ośrodek.

– Nie, jeśli skończę pracę ze spycharką wokół posesji. Zaczniemy wypalanie tutaj, na północ od Evergreen, i popchniemy ogień na zachód, ku Junco. W ten sposób, jeśli ogień przeskoczy rzekę, nie będzie już miał się czym karmić. Zgaśnie.

– Przejechałeś spycharką wokół swojej posesji?

– Zostało mi jeszcze kilka mil, ale mogę dokończyć robotę. Zacznę wycinać pas tutaj. A jeśli ściągniemy tam drużynę, uda nam się wyciąć pas może w jakieś czterdzieści osiem godzin. – Wziął do ręki zieloną kredkę woskową i narysował linię na mapie. Wydawała się taką małą linią obrony, ale jeśli przetną stare pastwisko Gibsa, po czym poszerzą drogę pożarową, zaczną wypalanie i stawią ogniowi czoło...

– Może to zadziała – powiedziała Whip. – Ale, szczerze mówiąc, to strasznie dużo gdybania, jak na nasze ograniczone zasoby ludzkie. Przy Junco mamy już naturalny pas przeciwpożarowy. Myślę, że powinniśmy skierować ludzi tam, zabrać ogniowi paliwo i odepchnąć go w kierunku jeziora Dick. – Narysowała swoją własną linię wokół ognia.

– Plan nie jest zły, jeśli wiatr będzie wiał z południa, ale...

– Kim ty właściwie jesteś? – Spytała Whip, naskakując na niego. – Przepraszam, wcale nie chcę być niegrzeczna, ale pracujemy przy tym ogniu już od jakichś dziesięciu dni. Jeśli nie chcesz złapać za kask i toporek, jesteś tylko cywilem, który zagląda nam przez ramię. Pozwól, by służby leśne się tym zajęły. Uwierz mi, dajemy sobie radę.

Zobaczył, że Jed unosi brew, może w ramach ostrzeżenia, ale wybuch nastąpił szybko i gwałtownie.

– Serio? A więc powiedz mi, czy widziałaś kiedyś pożar torfu? Pod ziemią, jak ogień piekielny, potrafi płonąć przez całe miesiące, nawet lata. Pod chodnikami, pod domami, pod ogromnymi połaciami ziemi. Czasami nawet pod śniegiem, utrzymując się aż do wiosny, kiedy to ożywa na nowo. Jeśli jest głęboko, niszczy korzenie drzew i glebę. Jedynymi roślinami, jakie wyrosną po pożarze torfu, są osty i ciernie. Torf nie zapala się łatwo, ale gdy już zacznie płonąć, ugaszenie go jest prawie niemożliwe. Mamy tutaj jakieś sześć milionów akrów torfowiska w wyschniętych bagnach i zarośniętych trzęsawiskach. A wiesz, czym jest jezioro Dick? – Wskazał na mapę, na południowy brzeg jeziora. – Trzęsawiskiem. Przynajmniej z tej strony. A więc jeśli chcesz zmienić północne krawędzie Minnesoty w jeden wielki rozżarzony węgielek, zignoruj wszystko, co teraz powiedziałem, i skieruj ogień właśnie w tamtą stronę.

Patrzyła po prostu na niego, mrugając. Mięsień drgał w jej szczęce.

Jed, stojący obok Dareka, wziął głęboki oddech.

– Dare był kiedyś jednym z hotshotów hrabstwa Jude, Whip.

Jej usta zacisnęły się w wąską linię.

– Przepraszam.

Przeprosiny pomogły wyciągnąć Dareka z tej szalonej ciemności, która objęła go w swoje posiadanie. Może kobieta wcale na to nie zasłużyła – nie, na pewno na to nie zasłużyła.

Może prawda była taka, że w czasie, gdy myślał, że daje jej nauczkę, w jego wnętrzu też palił się taki torf. Wziął głęboki oddech. Zmusił się do uśmiechu.

– Słuchaj, to wcale nie jest zły pomysł, żeby odciąć ten ogień tutaj. Mówię po prostu, żeby mieć plan awaryjny...

– Za jakieś pół godziny Beaver wzbije się w powietrze, by zrobić rozpoznanie ognia i terenu. Może dołączysz do mnie i Whip? – spytał Jed.

Półciężarówka podjechała za plecami Dareka i kilku nowych wyposażonych w sprzęt wojowników wspięło się na pakę. Jechali w kierunku pasa pożarowego.

Mógł do nich dołączyć.

Albo... albo mógł jechać do domu, do Tigera i dokończyć robotę ze spycharką. Wtedy on i jego syn mogliby pojechać do Deep Haven, znaleźć Ivy, może pójść razem na lody. To nie tak, że nie przejmował się tym ogniem, ale...

Dziewczyna. Patrzył na mapę, na znaczniki, na brudną twarz Jeda z oczami jak u szopa pracza, na odległy blask ognia widoczny nawet w środku dnia... i nagle wszystko zniknęło. Ta powłoka żalu, płomienie frustracji w środku. Jakby ktoś sięgnął i wzburzył ten płonący torf, a potem zalał go czymś świeżym i czystym.

Ivy. Widział ją, jak trzymała Tigera w sobotni wieczór, widział ją, jak stawia się Kyle'owi i jej wzrok, gdy Darek ją pocałował. Szeroko otwarte oczy, ten słodki uśmiech.

Mógł podarować jej dom, którego nigdy nie miała, zbudować z nią przy-

szłość. I mogli być rodziną.

– Nie. Muszę wracać do domu. – Klepnął Jeda w ramię. – Poradzisz sobie z tym. – Spojrzał na Whip. – Uważaj na siebie.

Skinęła głową.

– Dziękuję za uwagi. – Napięcie zeszło jej z twarzy, a w kącikach ust zamigotał uśmiech. – Będę pamiętać o twoim pomysle.

Wrócił do jeepa, zabrał stamtąd ciasteczka swojej mamy i położył je na stole przed mapami. Jed pomachał mu, trzymając w dłoniach krótkofalówkę.

I nagle Darek zmierzał do domu, z dala od ognia, z dala od hałasu obozowiska, od powabu przeszłości. Gdy jechał na południe, rozciągało się przed nim jezioro, ten wspaniały błękit. Promienie słońca przenikały przez dym, aby pogłaskać czule ziemię.

Może zabierze Ivy na przejażdżkę kajakiem na środek jeziora Evergreen, opowie jej, jak to kiedyś złapał sandacza wielkiego jak jego ramię. Albo jak to wybrał się z Casperem po raz pierwszy polować na niedźwiedzie. Albo gdy on i Jensen...

Jensen.

Tak, może opowie jej, jak to kiedyś, dawno, dawno temu, on i Jensen byli sobie bliżsi niż bracia. Jak czasami patrzył na dom Jensena po drugiej stronie jeziora, co wypominała mu matka.

Jak czasami chęć, aby puścić to wszystko w niepamięć, aby mu przebaczyć, pożerała go od środka. Tak, o tym też by jej powiedział. Nie to, żeby Darek naprawdę zamierzał mu przebaczyć, ale... A co, jeśli by to jednak zrobił?

A co, jeśli bycie z Ivy obudziłoby w nim jakąś nową łaskę?

Skręcił w drogę do ośrodka, uśmiechając się. Ivy potrafiła to zrobić – pomóc mu przebaczyć, zacząć od nowa.

Zwolnił, gdy wjechał na parking. Jakaś słodkość rozlała się w jego wnętrzu, gdy zobaczył jej pathfindera. A więc dostała jego wiadomości. Wyobraził ją sobie, jak stoi w kuchni z jego matką, może degustuje jakiś nowy przepis Grace.

Ale wtedy obok jej samochodu zauważył... radiowóz?

Zaparkował, zgasił silnik jeepa. Wysiadł. I wtedy ich usłyszał.

– Nie możecie go zabrać, nie dając mu możliwości pożegnania się...

– Nie czyn tego trudniejszym, niż już jest...

– Po prostu współpracuj z nami, John, proszę...

– Panie Christiansen, obiecuję, że wszystko się ułoży...

– Zaczekajcie na Dareka...

– Chcę do tatusia!

Darek puścił się pędem w stronę domu. Głosy dochodziły z tyłu, a więc wybrał drogę przez werandę.

Wszyscy odwrócili się, gdy wbiegł po schodach. Tiger trzymał swoją babcie

za szyję. Ingrid wyglądała na wściekłą – Darek zawsze bał się tej miny – a jego ojca dzieliła tylko chwila od bycia zaaresztowanym i wrzuconym na tył radiowozu.

Kyle spojrzął Darekowi w oczy. Uniósł dłonie w uspokajającym geście, jego spojrzenie wyrażało żal.

– Uspokój się, Dareku.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała to Ivy, która stała trochę z boku w stroju prawniczki, z rękami założonymi na piersi. Jej twarz była kredowobiała.

– Tatus! – Tiger wyciągnął do niego rączki, a Darek oczywiście wziął go w ramiona.

I wtedy naskoczył na Diane, której usta były zaciśnięte. W dłoni trzymała teczkę.

– Co się tu dzieje?

– Sąd zarządził dla Thea natychmiastowe usunięcie z domu, Dareku. Przykro mi, ale musi pójść z nami.

Na chwilę – wieczną, ścinającą krew w żyłach sekundę – jego serce po prostu się zatrzymało. Odmówiło bicia, gdy patrzył na Diane.

A potem na Ivy.

Przełknęła ślinę z bolesnym wyrazem twarzy. W oczach błyszczały jej łzy.

– Przepraszam – wyszeptała.

– Ja... – Zamknął usta, starał się znów zacząć oddychać. – Po moim trupie.

– Darek... – zaczął Kyle, ale przerwała mu Diane.

– Nie masz wyboru. Dlatego jest tutaj Kyle. Pójdiesz do więzienia, jeśli nie oddasz syna.

– O czym ty mówisz? Dlaczego...? Nie rozumiem. – Odwrócił się do swojej matki, ale przyciskała dłoń do ust. Jego ojciec patrzył na niego, zaciskając szczęki, i pokręcił lekko głową.

– Wiemy, że w sobotnią noc Theo zgubił się w lesie.

Ivy odwróciła wzrok.

Darek zamrugał niepewnie.

– Oddalił się od nas samowolnie.

– To nie ma znaczenia. Sąd zdecydował, że opieka społeczna musi przyjąć się bliżej sytuacji Tigera. W ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin odbędzie się rozprawa, aby przedyskutować, jakie kroki dalej podjąć.

– Trzy dni? I gdzie niby podzieje się Tiger przez te trzy dni? Diane? Nie mów mi, że rodzina zastępcza...

– Zostanie z Nan i George'em.

Oczywiście.

– Nie.

– Proszę, Dareku – powiedziała Ivy, wracając nagle do życia. – Zaufaj mi.

Patrzył na nią, a wszystko w nim zamieniło się w płonący węgiel.

– Co się tu dzieje, Ivy? Wiedziałaś o tym?

– Nie obwiniaj jej, Dareku. Ona tylko wykonuje swoją pracę.

Wykonuje swoją...?

– O czym ty mówisz? Czy ty... Czy ty się na to *zgodziłaś*?

Wyciągnął ręce i wyrwał Diane teczkę, którą trzymała. Otworzył ją i zaczął czytać ponad ramieniem Tigera.

Miał ochotę zawyć, gdy zobaczył podpis Ivy zalecający natychmiastowe usunięcie dziecka z domu.

– Dareku... – zaczęła Ivy, ale wyraz jego twarzy musiał ją przestraszyć, bo zamknęła usta. Wzdrygnęła się.

– Obiecuję, że zajmiemy się nim dobrze – powiedział Kyle. – Tiger, masz ochotę zobaczyć mój radiowóz? – Pochylił się ku chłopcu, zerkając na Dareka. Bezgłośnie przekazał mu słowo *przepraszam*.

Tylko to powstrzymało Dareka, by w tej chwili nie uderzyć policjanta pięścią w twarz i narazić się na nie wiadomo jakie konsekwencje.

Zamiast tego wziął głęboki oddech i spojrzał na matkę, która skinęła głową.

O nie, nie mógł tego zrobić.

Ale pomimo pazurów szarpiących go za serce, nakłaniających go, by uciekć, by zabrał Tigera, przypiął go do fotelika w aucie i odjechał z nim, zmusił się do uśmiechu.

– Hej, kolego. Chcesz spędzić parę dni u babci i dziadka? – Darek pochylił się, patrząc synowi w oczy.

– Nie. Chcę zostać z tobą!

– Wiem, stary. Ale twoja babcia naprawdę bardzo chce cię zobaczyć. A Ivy cię tam zabierze, prawda, Ivy?

– Tak, oczywiście, kolego. Może zatrzymamy się po drodze na chwilę i zjemy lody. – Pogłaskała Tigera po plecach.

Tiger podniósł na nią wzrok. W oczach błyszczało mu tyle zaufania, że Darek miał ochotę udusić Ivy gołymi rękami. Ale może właśnie tak grała przed ludźmi. Sprawiała, że zaczynali jej ufać, wierzyli jej, nim niszczyła im życie.

Prawdziwy prokurator. Manipulator.

Powinien wcześniej się tego domyślić. Czy nie mówiła tego sama, nie ostrzegała go nawet? *Mam coś dobrego w życiu, a potem wszystko psuję. I wtedy nadchodzi koniec.*

Tak, zdecydowanie nadszedł koniec.

– Idź z Ivy. – Pocałował swojego syna i pomimo jego żelaznego uścisku był jakoś w stanie go od siebie oderwać i postawić na ziemi. Złączył dłoń Tigera z Ivy.

Chwyciła ją, uśmiechnęła się do chłopca.

– Obiecuję, że wszystko będzie dobrze.

Gdy spojrzała na Dareka, zmrużył na nią groźne oczy. Odsunęła się.

– Będziemy w kontakcie – powiedziała Diane. – Idziemy, Theo. – Sprowadziła ich z werandy.

Darek poszedł za grupką na skraj parkingu i patrzył, jak Kyle zapina Tigera w foteliku w radiowozie, a Diane siada obok niego. Darekowi ledwo wystarczyło odwagi, by choć unieść rękę i uśmiechnąć się, gdy Tiger przycisnął swoją małą dłoń do szyby w oknie samochodu.

Ech, mógłby się całkiem załamać, tu i teraz.

Ojciec Dareka położył dłoń na ramieniu syna.

Ivy podeszła do samochodu, otworzyła drzwi. Zatrzymała się.

– Dareku...

– Wynoś się z mojej posesji – powiedział Darek cicho, czując ogień pod skórą. – Nie pasujesz tutaj.

piętnaście

Ivy patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, gdy jechała z powrotem do Deep Haven.

Nie powinna się angażować. Dlaczego to zrobiła?

Nie mogła się załamać. Musiała się po prostu wziąć w garść. Pozostać niezależna.

Podążyła za radiowozem Kyle'a całą drogę do domu Nan. Gdy zobaczyła kobietę stojącą na ganku, poczuła się jak zdrajczyni. Diane wysiadła z samochodu, trzymając Tigera za rękę, ale smyk wyrwał się jej i pognął do babci.

Ivy nie poczekała, co powie Diane, nie chciała tego słuchać. Nieważne, że złamała obietnicę o kupieniu Tigerowi lodów. W całym jej zbiorze zdrad ta wydawała się najmniej istotna.

Uruchomiła silnik pathfindera i pojechała do domu. Weźmie sobie chorobowe.

Albo może po prostu całkiem zrezygnuje z pracy.

Gdy otarła policzek dłonią, poczuła na niej wilgoć. Ten głupi Darek przyciągnął ją do siebie, sprawił, że zaczęła troszczyć się o Tigera i o niego samego. Zaczęła wierzyć, że stanie się częścią jego życia.

Ale przecież wiedziała lepiej. Złamała swoją główną zasadę – *nie przejmuj się. Nie przywiązuj się. Pozostań bezstronna.*

Jakoś przez to przejdzie. Nie musiała rozpadać się na kawałki.

Ivy wjechała na podjazd, wciąż się trzęsąc. Wciąż słyszała płacz Tigera, widziała, jak chłopiec trzymał się kurczowo Dareka.

Tak, знаła to uczucie. Sama miała ochotę objąć Dareka i nie puszczać. Sprawić, by jej wysłuchał, zaufał jej. Powiedzieć mu, że nie dysponował wszystkimi informacjami.

Sprawić, by cofnął te słowa. *Nie pasujesz tutaj.*

Ale nie mogła mieć do niego pretensji. Nie tak naprawdę.

Ręka Ivy drżała, gdy otwierała drzwi, wchodząc do cichego mieszkania. Woda kapiała z kranu do zlewu. Lodówka szumiała, jakby z dezaprobatą. Słońce zeszło z najwyższego punktu nieba i zaczęło powoli chylić się ku horyzontowi, rzucając cienie na podłogę.

Miała na koncie w banku wystarczająco pieniędzy, by przenieść się do Minneapolis. Albo do Chicago. A może do Rhode Island? Tak daleko, jak tylko mogła, jak najdalej od Deep Haven. Ale co dobrego by to przyniosło?

Tak, Bóg zdecydowanie jej nienawidził.

Przymknęła oczy, czując znajome uderzenie paniki. Tej, która pojawiała się za każdym razem, gdy na jej progu stawał pracownik opieki społecznej.

Znowu. Znowu się to działo, a ona była taka głupia, że tym razem na to pozwoliła.

Ivy dała radę dotrzeć do swojej malutkiej sypialni, gdzie położyła się na kołdrze, przyciągnęła kolana do siebie i objęła je rękami.

Wytrzymaj. Panika, ta pustka, one miną. Znajdź jakiś sposób, by wstać, umyć twarz, nie poddawać się.

Cieszę się, że przyszedł dzisiaj, Ivy. Głos Ingrid palił ją teraz w środku. *Jesteś dobra dla Dareka.*

Jasne.

Nie zrezygnuję z nas.

Miała ochotę zakryć uszy dłońmi.

Zsunęła buty i zdjęła gumkę z włosów, pozwalając, by loki opadły jej na ramiona. Zamknęła oczy. Tak, to minie. Wzięła głęboki oddech.

Odejście stąd wydawało się słuszne. W końcu jej nieobecność nie zostawi w czyimkolwiek życiu pustki. Wcześniej nigdy tak się nie stało.

Kartony. Potrzebowała swoich kartonów. Tego wieczoru, gdy wszyscy opuszczą już budynek sądu, mogłaby zabrać swoje rzeczy, jakkolwiek są one nędzne. A do rana już jej tutaj nie będzie.

Zniknie. Tak jak bywało to wcześniej, czternaście razy.

Ivy usiadła, przycisnęła dłonie do żołądka. Lepiej, dużo lepiej.

Gdy wstawiała, pochwyciła swoje odbicie w lustrze. O rany, wyglądała jeszcze marniej niż rano. Włosy wisiały w strąkach wokół jej twarzy, jej policzki były pokryte czerwonymi plamami, a oczy przekrwione. Odwróciła się, nie mogąc znieść widoku samej siebie.

Tak, potrzebowała tych kartonów. Napisze wiadomość Lizie, że może zatrzymać pozostałą część czynszu. Klucz zostawi na progu mieszkania Claire.

– Ivy? – Głos sprawił, że podskoczyła i zamarła, stojąc na środku sypialni. – Ivy, jesteś tam? Pukałam, ale...

Ivy nie wiedziała, co powiedzieć Ingrid, gdy odwróciwszy się, napotkała jej wzrok.

Ingrid sprawiała wrażenie, jakby niedawno płakała.

– Och, kochanie – westchnęła. – Dobrze się czujesz?

Ivy po prostu patrzyła na nią, mrugając szybko i czując, jak potworna fala ciepła zalewa jej ciało i wypełnia gardło.

– Ja... Ja... – I wtedy poczuła, że się rozpada. Opadła na łóżko, przyciskając dłonie do ust. – Tak mi przykro.

– Ivy – powiedziała Ingrid, a delikatność w jej głosie wystarczyła, aby Ivy straciła do reszty panowanie nad sobą.

Ivy pokręciła głową.

– Przepraszam. Tak mi przykro.

Ingrid dotknęła ręką jej pleców.

– Nie miałam wyboru. Gdybym tego nie podpisała, Darek znalazłby się w jeszcze gorszej sytuacji. W ten sposób... – Ivy spojrzała w górę. – Gdyby istniał jakiś inny sposób, znalazłabym go.

– Wiem. – Ingrid usiadła obok niej na łóżku i przyciągnęła ją do siebie. – Wiem.

– Wiesz? – Ivy odchyliła się. Spojrzała Ingrid w oczy. – Ale...

– Ivy, wierzę w ciebie. Wiem, że troszczysz się o Dareka. I o Tigera.

– Ale na wniosku widnieje mój podpis.

– Ale prawda odbija się w twoich oczach.

– Naprawdę?

– Tak. Oczywiście. Wiem, że nie skrzywdziłabyś umyślnie ani Dareka, ani Tigera.

– Ale Darek...

– Darek jest zły. Pozostaje zły już przez długi, długi czas. Głównie jest wściekły na siebie, ale ciężko mu to dostrzec. Czasami łatwiej obwiniać innych, niż zajrzeć w głąb siebie.

– Jest dobrym ojcem.

– Oczywiście, że jest. Ale będzie jeszcze lepszym, gdy wreszcie upora się z tym gniewem, gdy zacznie opierać się na Bogu. Może właśnie w ten sposób Bóg stara się sprowadzić Dareka na kolana.

– Nie rozumiem. Dlaczego Bóg miałby pozwolić, aby przydarzyło mu się coś takiego?

– Bóg widzi więcej niż my. A ja nie rozumiem umysłu Wszechmogącego. Ale znam Jego serce i wiem, że chce ocalić swoje dzieci, chce pokazać im, jak bardzo je kocha.

Ivy odwróciła wzrok.

– Nie jestem dzieckiem. Nie potrzebuję Bożej miłości.

Ingrid milczała przez chwilę. A potem:

– To straszna rzecz, wierzyć w coś takiego. Wszyscy musimy pokładać w Nim wiarę, bo On nas kocha. Inaczej, tak, zostajemy sami.

Ivy wypuściła powietrze z płuc, wytarła dłonie w swoje eleganckie spodnie.

– Nie ma znaczenia, w co ja wierzę. I nie ma znaczenia, jaka jest prawda. Darek będzie mnie obwiniał o to, że odebrałam mu Tigera, nieważne, co mu powiem. Ludzie wierzą w to, co chcą, pomimo faktów. Emocje ich zaślepiają.

– Zgadza się.

Ivy zmarszczyła brwi. Ingrid ciągnęła dalej.

– Och, Ivy, ty i Darek jesteście do siebie tacy podobni. Ty opierasz swój pogląd na tym, że Bóg cię nie kocha, na swoich emocjach. Na swoich doświadczeniach. Na tym, jak według ciebie powinna wyglądać Boża miłość. Ja też tak się kie-

dyś czułam. Straciłam dziecko po Amelii. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, i poświęciłam swoje życie na zostanie matką. Byłam taka zła na Boga. Nie miał prawa odbierać mi dziecka. Myślałam, że na pewno mnie nie kocha. Gdyby kochał, ocaliłby moje dziecko. – Dotknęła ręki Ivy. – W tamtym momencie zapomniałam o pozostałych dzieciach, jakimi mnie obdarzył. Ale nawet to nie było największą prawdą. Ponieważ Bóg w swojej miłości do mnie pozwolił mi któregoś dnia zobaczyć moje dziecko. To ten fakt i to uczucie wreszcie mnie uleczyły.

Ivy zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem.

– To są proste fakty. Bóg obdarzył nas zbiorem praw, a my każdego dnia, mniej lub bardziej, je łamiemy. Jesteśmy chciwi albo samolubni. Kochamy siebie bardziej niż Boga. Biblia mówi nam, że jeżeli uważamy siebie za bezgrzesznych, oszukujemy samych siebie. Za łamanie prawa zasługujemy na potępienie. Nawet na śmierć. Ale widzisz, Bóg w swojej nieskończonej łasce wcale tego nie chce. A więc ofiarował w twoje miejsce Jezusa. Ty możesz żyć, bo Chrystus odbył za ciebie karę. Bóg nie jest bezstronny. Gdyby był, nie posłałby do nas Jezusa. Właściwie możesz powiedzieć, że Bóg kieruje się tylko emocjami. Miłością.

Ivy patrzyła na nią.

– Bóg cię kocha, Ivy. I kochał cię każdego dnia twojego życia. Pomyśl sobie, że ocalił cię, umieszczając w rodzinach zastępczych. Nie zrezygnował z ciebie, nie opuścił cię i przywiódł cię właśnie do tej chwili, abyś mogła usłyszeć prawdę. *Zawsze należałaś do Niego.* – Pochyliła się i pocałowała Ivy w policzek. – Ta prawda powinna cię wyzwolić, byś kochała, nieważne za jaką cenę.

– Nie wiem. Emocje wpędziły mnie w kłopoty.

– Bóg jest Bogiem emocji. I to dobrze. Nie musisz się bać troski o innych. Miłości do mojego syna i mojego wnuka.

Ivy spojrzała na nią.

– Patrzysz na niego tak, jak ja patrzyłam na Johna. Jak wciąż na niego patrzę. Jakby on był moim jutrem. Miejscem, do którego należę.

Nie, wcale nie należała do niego... prawda?

– Nie wiem, co mam robić. Nie wiem, jak to wszystko naprawić.

Ingrid ścisnęła jej rękę.

– Postaw na Boga. W końcu to On postawił na ciebie pierwszy. I mogę się założyć, że On będzie umiał to wszystko naprawić.

Może Bóg cały czas chciał, aby Claire została w Deep Haven. Może Jego milczenie nie miało nic wspólnego z tym, co zrobiła, albo z tym, czego nie zrobiła ze swoim życiem. Może wszystko opierało się na tym... – jak to Jensen ujął? – *Masz do tego dar, Claire. Potrafisz przywrócić coś do życia...*

Te słowa zostały w niej, dawały jej siłę. Po raz pierwszy mogła uwierzyć, że wcale nie zawiodła samej siebie, swoich rodziców ani Boga.

Ściągnęła rękawice, odłożyła je obok nożyc ogrodowych i zagłębiła dłoń w ziemi, szukając wilgoci, aby ustalić, na jak długo powinna ustawić zraszacze. Po czerwcowych upałach róże wymagały wyjątkowo dużo troski. Założyła ponownie rękawice i chwyciła nożyce.

Może przez cały ten czas szukała po prostu dla siebie jakiegoś celu. Jak opieka nad dziadkiem. Jak wierne wspieranie Jensena.

Jak kochanie Jensena.

Uśmiechnęła się, pozwalając, by te słowa wypełniły ją całą. Tak naprawdę zawsze go kochała, ale jak mogła mu to powiedzieć wcześniej, gdy na jej drodze stała Felicity? Miał w sobie łagodność, tak wiele troski o innych ludzi, czego większość nie dostrzegała. I nie potępiał jej za to, że chciała tu zostać, czuć się bezpieczna. Tak, on to rozumiał.

Wciąż starała się przekonać samą siebie, że wcale nie przyśnił się jej ten moment, gdy Jensen wypowiedział jej imię, przyciągnął ją bliżej. Pocałował ją, jakby wstrzymywał oddech przez trzy lata – może dłużej – i wreszcie mógł zaczerpnąć powietrza.

Ale po całych dniach jego milczenia, bez żadnej aluzji, że tam na werandzie wydarzyło się pomiędzy nimi coś magicznego, Claire starała się zwalczyć wzbierającą panikę. Pojechała wczoraj do domu dziadka, ale nawet w nocy dom Jensena pozostawał ciemny. Może powinna do niego zadzwonić albo pójść do niego i znaleźć w sobie tyle odwagi, by zapukać do jego drzwi.

Martwiło ją trochę, że nie wiedziała, gdzie był.

Claire obciąła odrosty wyrastające z krzaka róży, a potem kilka wątłych pędów, które tylko wysysały z rośliny życie.

W końcu ona też była zajęta. Brała podwójne zmiany w soboty i niedziele, starając się wykarmić dodatkowych strażaków rozlokowanych w różnych ośrodkach wokół miasteczka.

Jensen miał na pewno jakiś powód. Musiała mu po prostu zaufać. Uwierzyć w niego.

Po tym wszystkim, zasługiwał na to.

Nim dodała świeżą warstwę ściółki, rozsypała nawóz na ziemi. Następnie przeniosła się do kolejnej rośliny.

– Dlaczego krzywdzisz kwiatki?

Odwróciła się w stronę głosu i zobaczyła za sobą Angelikę Michaels. Dzieściolatka miała na sobie szorty i żółtą koszulkę z krótkim rękawem. Jej blond włosy były splecione w dwa warkoczyki, a jej oczy w kształcie migdałów wypełniała troska.

– Cześć, Angie. Nie krzywdzę ich. Podcinam je, aby mogły lepiej rosnąć.

Widzisz, obcinam te małe gałązki, bo one tylko osłabiają roślinę. A żeby mogły urodzić się wielkie, zdrowe kwiaty, usuwam te małe pączki. Dzięki temu wszystkie środki odżywcze pójdą do jednego kwiatka i uczynią go silnym.

Mama Angeliki, Mona, wyszła z siłowni.

– Cześć, Claire.

– Pani Michaels.

– Myślałam, że zobaczę cię w „Ogrodzie”. Personel martwi się, że będą musieli urządzić ewakuację, więc wykopują krzaczki truskawek, by ocalić różne gatunki. Sądziłam, że poproszą cię o pomoc ze względu na twoje ogrodnicze zdolności. Joe siedzi tam od trzech dni, wycinając las, i instaluje też chyba system spryskiwaczy, żeby ocalić dom.

– Nie miałam pojęcia, że ogień jest już tak blisko.

Mona skinęła głową.

– Jadę tam teraz, żeby zabrać brata Joego i przywieźć go do miasta. Jeśli będą musieli się ewakuować, pobyt w znajomym miejscu będzie dla Gabriela mniej stresujący.

– Przywieziemy wujka Gabe’a – powiedziała Angie.

Mona pocałowała ją w czoło.

– Zgadza się, kochanie. – Zwróciła się do Claire. – Myślisz, że jesienią znów zajmiesz się grupą czytelniczą? Angie uwielbia słuchać, jak czytasz w księgarni „Na Progu Nieba”.

Claire uśmiechnęła się.

– Tak się składa, że raczej tak.

Ponieważ tak, będzie tutaj. Po raz pierwszy od trzech lat czuła, że jej odpowiedzi oraz decyzje są słuszne. A nawet idealne.

Obcięła jeden z pąków, który właśnie zaczynał kwitnąć, i podarowała go Angie.

– Włóż go do wody, a otworzy się za dzień lub dwa.

Oczy Angie błyszczały.

– Dziękuję, Claire. Zawsze sprawiasz, że wszystko robi się takie piękne. – Mona wzięła córkę za rękę i ruszyły ulicą.

„Ogród”. Czy dziadek nie wspominał czasem w piątek o tym, że Jensen pracował z Joem? Może został tam, by pomóc im zabezpieczyć budynek przed ogniem.

Zbyt łatwo wyciągała pochopne wnioski. Tak jak w przypadku tak zwanego romansu Jensena z Felicity. Powinna wiedzieć, że Jensen nie należał do osób, które mogły coś takiego zrobić. Zdradzić przyjaciela.

Nie. Jensen był dobrym, życzliwym człowiekiem. Zawsze to wiedziała.

Claire skończyła nawożenie, podcinanie i ściółkowanie, po czym ustawiła zraszacze tak, aby zaczęły przyskać wodą w chłodzie dnia. Gdy skończyła sprzątać,

słońce wisiało już nisko nad horyzontem. Na północy smugi dymu unosiły się ku niebu. Ogień zdawał się być bliżej, ale może to tylko wiatr popychał kłęby w stronę jeziora.

Przebrała się w dzinsy i koszulkę z krótkim rękawem, po czym udała się do centrum opieki. Miała nadzieję, że złapie tam doktora Samsona podczas jego popołudniowego obchodu i porozmawia z nim o oddaniu dziadka pod jej opiekę. Po zamontowaniu ramp i wysprzątaniu domu, nadszedł wreszcie czas, by Gibs wrócił do siebie.

Doniczkom z bodziszkiem stojącym przy drzwiach wejściowych przydałoby się podlewanie. Ziemia była popękana i twarda. Dobrze, że bodziszki są odporne.

Pani Westerlind siedziała w środku przy oknie, wpatrując się w lepsze czasy. Claire kucnęła przy jej wózku inwalidzkim i dotknęła jej cienkiej jak papier skóry.

– Dobry wieczór, Minnie. Kwiaty w parku Presley’a są piękne. O Timothy’em pisano w piątek w gazecie. Wygrał konkurs wędkarski z okazji czwartego lipca. Masz takiego przystojnego prawnika.

Minnie zamrugała i powoli odwróciła się w jej stronę. Claire uśmiechnęła się do niej.

– Bóg cię kocha, Minnie – powiedziała.

Wstała i pomachała do Ellery’ego, który siedział na krześle przy stole. Miał przed sobą planszę do gry w scrabble i układał kostki sękatą ręką.

Poszła wzdłuż korytarza do pokoju dziadka. Może uda jej się zostać tutaj wolontariuszką, gdy jej dziadek wróci już do domu.

Zatrzymawszy się przy dyżurce pielęgniarek, spytała:

– Czy jest jeszcze doktor Samson?

Siostra przybrała współczujący wyraz twarzy.

– Przykro mi, Claire. Już wyszedł. Ale myślę, że zdążył porozmawiać z twoimi rodzicami.

– Dzwonili?

– Kochanie, oni są *tutaj*, z twoim dziadkiem.

Claire zamarła. Tutaj? Teraz?

Głęboki oddech.

To wcale niczego nie musiało zmieniać. Gdy tylko zobaczą dom, przyznają, że Claire jest w stanie zajmować się dziadkiem... Udało jej się uśmiechnąć.

– Dzięki.

Wzięła krótki, ale pełny oddech i poszła korytarzem. *Mamo, tato. Tak się cieszę, że udało się wam tutaj przyjechać. Tak się cieszę, że was widzę!* Obracała te słowa w głowie, aż wreszcie zaczęła tak myśleć. Otworzyła wtedy drzwi do pokoju dziadka.

– To moja posesja. Mogę z nią zrobić, co mi się podoba.

Zatrzymała się tuż za progiem, pozwalając, by drzwi za nią trzasnęły. Co...?

– Claire, misiaczku! – Jej matka, ubrana w dżinsy, białą bluzkę i mokasyny, wstała z krzesła i podeszła do Claire z otwartymi ramionami. Wanda Gibson nie miała zaufania do farb do włosów, więc wśród jej ciemnych, krótko ściętych włosach pojawiały się pasma siwizny. Postarzała się, ale niezbyt mocno, i wciąż miała silny uścisk chirurga nawykłego do podejmowania trudnych decyzji. Zamknęła córkę w swoich objęciach. – Tęskniłam za tobą, kochanie.

Claire wykorzystała tę okazję, by zatopić się w matce, cieszyć się jej objęciami, chociaż przez ten krótki moment. Ponieważ nie miała wątpliwości, że słowo jej dziadka było prawem. Miał rację. To była jego posiadłość i nie mogli tak po prostu tu przylecieć i mu jej odebrać.

Jej ojciec także wstał i podszedł, by się z nią przywitać. Przybrał na wadze kilka kilogramów, ale nie raziło to zbytnio przy wysokiej sylwetce. Jego włosy posrebrzyły się mocno, ale oczy wciąż miał pełne ciepła. Przypominał bardziej pomarszczonego, starego profesora niż misjonarza i lekarza internistę. Pocałował ją w czubek głowy.

– Dopiero przyjechaliliśmy, nawet nie zdążyliśmy zadzwonić – wyjaśniła jej matka. – Dobrze wyglądasz. Znowu pracowałaś w ogrodzie? – Uniosła rękę córki, przyglądając się jej paznokciom.

– Zajmowałam się różami w parku Presley’a.

– Claire opiekuje się wieloma ogrodami w miasteczku, Wando – powiedział jej dziadek. Spojrzał na nią z uśmiechem, jako jej partner w rewolucji.

– Cóż, to bardzo porządne hobby – przyznała Wanda. – Ja nie potrafię utrzymać kaktusa przy życiu.

– Nic nie szkodzi, kochanie. Zostań przy ludziach. – Rick Gibson złożył pocałunek na policzku żony.

Claire wiedziała, że wcale nie chciał, by zabrzmiało to jak obelga. Nie tak naprawdę.

– Jak się dzisiaj czujesz, dziadku? Przepraszam, ale minęłam się z lekarzem. Rozmawiałeś z nim o zwolnieniu do domu? Dał ci na to zielone światło?

Musiała poruszyć trudny temat, bo nagle w pokoju zapadła cisza. Dziadek sięgnął po jej dłoń.

Patrzyła się na nią, jego ręka w jej, na to jak się zacisnęła. I... O nie. Zaczęła kręcić głową.

– Claire, wszyscy wiemy, że ten dom zaczyna być dla mnie ciężarem. Piec opalany drewnem, odśnieżanie przed każdym wyjściem z domu zimą. Prawda jest taka, że moje kości są już zmęczone.

Ścisnęło ją w gardle.

– Ale ja mogę się tym wszystkim zająć...

– Nie, kochanie. Musisz przestać martwić się o mnie, a zacząć myśleć o tym, co chcesz robić ze swoim życiem.

Ale... dziadek był jej życiem. I Deep Haven, i Jensen...

– Poza tym Jensen zaoferował mi bardzo dobrą cenę. Wystarczy, bym wykupił sobie miejsce w domu spokojnej starości... i wysłał cię do college'u.

Jensen zaoferował...

– Kiedy?

– Rozmawiałem z nim w piątek.

Nie mogła się ruszyć, nie mogła oddychać z powodu skurczu klatki piersiowej. Piątek. Po tym, jak ją pocałował. Po tym, jak sprawiał wrażenie, że zamierza tutaj zostać. Tutaj w Deep Haven. Z nią.

Dłoń matki zacisnęła się wokół jej ramienia.

– Tak będzie najlepiej, kochanie. I to takie szczodre ze strony twojego dziadka, że chce ci zapewnić dobry start, prawda?

Claire spróbowała się uśmiechnąć. Udało jej się to. Ale w jej oczach zbierały się chmury.

– Musimy rozpakować nasze rzeczy w domu misjonarskim, którego pastor użyczył nam na resztę lata, a jutro zaczniemy przeglądać rzeczy twojego dziadka. – Matka wyciągnęła rękę i dotknęła jego nogi. – Nie martw się, tato, pomożemy ci się wprowadzić, nim wyjedziemy.

Zwróciła się ponownie do Claire.

– A ty... Myślę, że musimy zacząć wypełniać jakieś aplikacje. Co powiesz na St. Scholastica? Albo nawet Uniwersytet Minnesoty w Duluth?

Dziadek spojrzał jej w oczy. Czaiła się tam iskra współczucia.

– Claire...

– Nie mogę uwierzyć, że Jensen to zrobił. Nigdy nie powinnam była mu ufać. – Obróciła się i precisnęła obok ojca.

– Claire?

Nie miała dla niego żadnych słów, dla nikogo z nich. Nie, gdy w gardle zakleszczyło się jej serce, co groziło uduszeniem.

Claire wyszła z pokoju, przeszła korytarzem, ignorując mieszkańców w holu, i wypadła głównym wyjściem prosto w upał późnego popołudnia.

Jensen to zrobił.

Jeśli nigdy nie zamierzał pozwolić, by jej dziadek zamieszkał w domu, dlaczego kontynuował prace?

Stała na parkingu w prażącym słońcu. Uświadomiła to sobie w końcu. Oczywiście. Dlatego, żeby dotrzeć do dziadka. Im bardziej podrywał Claire, tym łatwiej mógł ją usunąć z drogi. Na wystarczająco długo, by przekonać jej dziadka do sprzedania posesji.

Wystarczająco długo, by ją zdradzić.

Kolejne oszustwo. Kolejna nagła tragedia spowodowana przez Jensena Atwooda. Dlaczego uwierzyła jego słowom? Pewnie kłamał nawet na temat swoje-

go romansu z Felicity.

Och, była taka głupia.

Claire wsiadła do swojej toyoty yaris. Siedziała tak w okropnym skwarze przez dłuższą chwilę, po czym uruchomiła samochód. Klimatyzacja zaczęła włączać do środka letnie powietrze. Po plecach płynął jej pot, gdy jechała w stronę chaty dziadka.

Prawie nie zwolniła przed znakiem stopu i pojechała na wzgórze. Jej oczy zwilgotniały. Oho, Bóg musiał się z niej teraz śmiać. Znowu zaatakowano ją zniecka. Uderzono w głowę, rzucono o podłogę, kopnięto.

Bóg wcale nie był łaskawy i świadomość tego wniknęła głęboko w jej kości, sprawiając, że miała ochotę się rozplakać. Ale tym razem nie miała dziadka, który opatrzyłby ją, przytulił, sprawił, że będzie się czuła bezpieczna.

Wybrała Evergreen Road, skręcając w jej północne odgałęzienie. Dom jej dziadka był oczywiście pograżony w ciemności. Wsiadła z samochodu, wciąż drżąc. Poszła na werandę.

Dom Jensena także pozostawał ciemny, bez śladu życia. Zupełnie jak jego serce.

– Naprawdę cię nienawidzę. – Nie była pewna, do kogo właściwie się zwracała, może do Jensena, może do życia, ale echo powtórzyło jej słowa.

Ignorując nową rampę zrobioną przez Jensena, weszła bocznym wejściem, znajdując po omacku drogę do wnętrza. Wiedziała, gdzie stało każde krzesło, każda lampa, każdy bibelot. Opadła na fotel dziadka, wyczuwając jego nierówności pod plecami.

Ile razy wyszła ze swojego pokoju późno w nocy, widziała, jak dziadek się w nim bujał. Modlił się. Wspinała mu się wtedy na kolana, nawet gdy miała już piętnaście lat, a on ją przytulał, modlił się za nią, cytował jej wersety biblijne.

Jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamysłam co do was – wyrocznia Pana – zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam przyszłość, jakiej oczekujecie.

Claire odpędziła to wspomnienie. Potem sięgnęła po jeden z ręcznie tkanych koców swojej babci. Zrolowała go i włożyła sobie pod głowę, wdychając słodki aromat dzieciństwa.

Nie obchodziło jej, jakie plany miał dla niej Bóg. Nigdzie się nie wybierała.

Po całych dniach kopania w ziemi, ścinania drzew i tworzenia strefy ochronnej wokół „Ogrodu” Jensen nie marzył o niczym innym, jak tylko o tym, by wrócić do domu, wziąć prysznic i położyć się spać.

Ale najpierw zadzwoni do Claire. Wspomnienie tego, jak przytulała się do niego, oraz jej pięknych oczu utkwionych w nim, jej uśmiechu... – tak, to wszystko

sprawiło, że przez ostatnich kilka dni robił wraz z małą grupką ochotników z kościoła to, co nadzorca Joe mu kazał. Udało im się oczyścić dwadzieścia stóp lasu wokół granic posesji, a Joe ustawił węże i spryskiwacze, nakierowując je na dom z bali.

Dym wisiał nad nimi jak zjawa, snuł się pomiędzy drzewami, opadając niżej na posesję z każdą mijającą godziną. Jensen zasłonił usta i nos chustą, a oczy chroniły mu gogle, które jeden z wolontariuszy specjalnie zakupił w mieście. W uszach miał specjalne zatyczki tłumiące hałas. Trzymał teraz w dłoniach piłę łańcuchową i ścinał wysoką białą sosnę, która mogła zmienić się w śmiercionośną pochodnię, gdyby dotarł tu ogień. Mogła przewrócić się na budynek, na bezpieczną strefę, którą wyznaczyli, i zapaliłby się od niej dom.

Zdrzemnął się tylko na chwilę. Strach w oczach mieszkańców motywował go do pracy. Wyczerpanie sprawiło, że jego ciało bliskie było agonii. Ale w nocy widział łunę ognia na tle nieba. Powiększała się.

Wiedział oczywiście o „Ogrodzie”, domu opieki w środku lasu dla dorosłych z problemami psychicznymi. Mieszkańcy zarabiali trochę pieniędzy dzięki akrowi truskawek, które zbierali i sprzedawali w lecie.

Nie miał jednak pojęcia, że Gabe, brat Joego Michaela, tu mieszkał. Zbliżający się do czterdziestki Gabe przebywał w okolicy od ponad dekady. Joe przedstawił mu Jensena jako „przyjaciela z Deep Haven”.

Przyjaciela.

Podobało mu się, jak to brzmiało, pewnie nawet aż za bardzo. Wspomnienie Claire w jego ramionach oraz usłyszane teraz słowa Joego – to razem sprawiło, że Jensen nabrał wiary w siebie.

Piła przebiła się przez pień, niemal na drugą stronę. Wycofał się, po czym wyłączył ją i oparł się o nacięte drzewo, naciskając na nie ciężarem ciała.

Na początku ani myślało drgnąć. Wziął więc młot i zamachnął się na nie mocno. Drzewo zadrzało. Kolejne uderzenie i usłyszał głośny trzask. Drzewo nieśmiało się przechyliło. Popchnął pień na zachętę i sosna zaczęła spadać, zmierzając coraz szybciej w stronę podłoża. Gałęzie plątały się w ramionach lasu, raniąc inne drzewa, aż wreszcie sosna wylądowała na ziemi. Towarzyszył temu głuchy odgłos.

Jensen zdjął hełm i otarł czoło przedramieniem. Pot przykleił mu do ciała koszulkę z długim rękawem, pokrytą brudem i trocinami. Podniósł piłę i zbliżył się do chaty, gdzie zostawił swoją łopatę. Wykopał pas o szerokości pięciu stóp, jak polecił Joe, ale wydawało mu się to niewystarczającą ochroną, aby zatrzymać napór ognia, który trzaskał i buchał płomieniami w oddali.

Jensen napił się wody z manierki. Była ona już prawie gorąca. Joe, który właśnie nadszedł, wyglądał tak samo jak on – był wyczerpany i brudny. Ziemia wgryzła mu się nawet w trzydniowy zarost, a jego dżinsy były umazane i podarte. Obok niego jeszcze ktoś przystanął. Jensen rozpoznał pastora Dana, znanego też

jako komendanta ochotniczej straży pożarnej. Przyszedł z Joem. W rękach trzymał mapę.

– Co tam?

– Mieliliśmy telefon od służb leśnych. Martwią się, że ogień zdążyła w tę stronę. Zalecają nam ewakuację.

– System spryskiwaczy jest gotów, by zacząć działać w każdej chwili – zapewnił Joe. – A Ruby, kierowniczka domu, kazała mieszkańcom spakować swoje rzeczy.

– Gdzie się przenoszą?

– Nie wiemy jeszcze – odparł Dan. – Dzwonimy teraz po ludziach, używając kościelnej linii. Znajdziemy dla nich domy.

Joe odkaszlnął.

– No nie wiem, Dan. Mieliliśmy tutaj pożar jakieś dziesięć lat temu. Musieliśmy odesłać pensjonariuszy do domów opieki w całym stanie, nim się odbudowaliśmy. Było im bardzo ciężko. Mój brat prawie całkiem się rozkleił. – Potrząsnął głową. – Mona przyjedzie, aby go zabrać, ale prawda jest taka, że każdy z nich potrzebuje stabilizacji. Czegoś znajomego. Najlepiej by było, gdyby mogli zostać wszyscy razem.

– Mamy tutaj dwudziestu mieszkańców, Joe. Hotele są już pełne, a nie mogą mieszkać w kościele...

– A co z moim domem? – podsunął Jensen. Pomysł uformował się w jego głowie w momencie, gdy słowa opuściły jego usta. – Jest duży, ma pięć sypialni i moglibyśmy zawsze przynieść więcej materacy. Wiem, że sklep z używanymi rzeczami ma kilka na zapleczu. A także koce i poduszki. Miejsca jest dużo, wszyscy mogliby być razem.

Uśmiech powoli rozjaśnił twarz Joego.

– To świetny pomysł. Dzięki.

– Przygotuję spryskiwacze, a ty zajmij się przygotowaniem pensjonariuszy do transportu.

Joe skinął głową i odeszli razem Danem w stronę domu.

Jensen zabrał swoje narzędzia, podbiegł do półciężarówki i zrzucił je do środka na stosik. Krzyknął do kilku innych ochotników, żeby dołożyli także swoje narzędzia, na wszelki wypadek, gdyby okazały się jeszcze potrzebne w nowym miejscu.

Przy jego domu znajdował się jednak najnowocześniejszy system spryskiwaczy oraz odpowiedni pas przeciwpożarowy, który Jensen wyznaczył zgodnie z zaleceniami służb leśnych, a poza tym Pine Acres znajdowało się na południe od jeziora.

Tak, pensjonariusze będą tam bezpieczni.

Zdawało się to lepszym wykorzystaniem jego domu – sanktuarium zamiast

kryjówki przed światem.

Jensen podbiegł do budynku „Ogrodu”, znalazł kurek i odkręcił go, jak tylko się dało. Woda zaczęła polewać dom i trawę na terenie posesji. Przebiegł przez mgiełkę wody, ciesząc się zimnem, po czym włączył kolejny rząd spryskiwaczy, odkręcając kurek za domem.

Główki automatycznych spryskiwaczy wystawały z ziemi w ogródku z truskawkami. Joe przekręcił je tak, aby pryskały teraz wodą jak najdalej, tworząc kurtynę wodną.

Gdy Jensen dotarł do ostatniego kurka, pensjonariusze zapakowali się już do samochodów osobowych, furgonetek i SUV-ów należących do ochotników.

Jensen wsiadł do swojej półciężarówki, zabierając do kabiny Joego. Wycofał się i ruszył na południe. W świetle reflektorów dym wyciągał już swoje macki ponad drogą.

– Dzięki, że to robisz, Jensen – powiedział Joe.

– Cieszę się, że mogę pomóc. – Naprawdę się cieszył.

– Cóż, zdaję sobie sprawę, że miasteczko nie traktowało cię zbyt dobrze przez ostatnie trzy lata.

Jensen spojrzał na niego, czując dziwny ucisk w piersi. Przez te dni w „Ogrodzie” był w stanie zapomnieć, przynajmniej przez chwilę, że w Deep Haven miał status outsidera. Podczas pracy czuł braterską więź z ochotnikami z kościoła. Ale teraz...

– Prawda jest taka, że nie wiedziałem, co myśleć. Byłem w zespole pogotowia ratunkowego, który wyjechał do zgłoszenia tamtej nocy, i zobaczyłem, jak płakałeś nad Felicity. Według mnie wyglądało to jak wypadek.

Jensen patrzył prosto przed siebie, jego ręce były mocno zaciśnięte na kierownicy.

– Muszę oddać ci sprawiedliwość, że tutaj zostałeś.

– Nie miałem wielkiego wyboru. – Nie chciał wcale, aby zabrzmiało to tak ostro.

– Nie, ale obserwowałem cię. Ludzie cię lubią. Jesteś uprzejmy i pracowity.

– Ludzie mnie nie lubią, Joe. Tolerują mnie, w najlepszym razie.

Joe wydał z siebie dziwny dźwięk, który zabrzmiał, jak wyraz dezaprobaty.

Jensen spojrzał na niego.

– Gibs ciebie nie „toleruje”. On ma o tobie jak najlepsze zdanie.

– To dlatego, że ocaliłem mu życie.

– Myślę, że powinieneś w tym momencie zrobić krok do tyłu i przyjrzeć się swoim własnym słowom. Uratowałeś jego życie.

– No dobrze, nie jego życie, ale...

– Nie kłóć się z tobą. Staram się ci pomóc, abyś zobaczył prawdę. Nie jesteś takim outsiderem, za jakiego się uważasz.

– Nie rozumiesz, Joe. Miasteczko chce, żebym przeprosił. A ja nie mogę.

– Dlaczego nie?

Jensen na niego spojrział.

– Bo... nie jestem winny?

– Nie możesz przeprosić i powiedzieć, że także cierpisz? Że jeśli byś mógł, zmieniłbyś wszystko?

Jensen skręcił w Evergreen Road, nie spoglądając w kierunku ośrodka. Ośrodka Dareka.

Kiedy był tam ostatnim razem, pomagał Felicity złożyć plastikowy zestaw zabawek dla Tigera. Okręcał chłopcem wokół jego własnej osi, łapał go na dole zjeżdżalni. Siedział przy piknikowym stole wychodzącym na jezioro i słuchał, jak Felicity płacze, opowiadając o swoim psującym się małżeństwie.

Trzymał ją w ramionach, odgarniał włosy z jej twarzy. I w głębi cieszył się faktem, że Darek zawiódł. Wielki i wspaniały Darek Christiansen poniósł sromotną porażkę.

Ale... stał przecież przy swoim przyjacielu w dniu jego ślubu. Zobowiązał się, że pomoże mu być dobrym mężem.

Pokręcił głową.

– Nie zmieniłbyś tego? – spytał Joe.

– Zmieniłbym. Oczywiście, że bym zmienił. Ale jak mogę to teraz naprawić? Szczerze mówiąc, nie dziwię się, że Darek mnie nienawidził. – Słowa te oplotły go; wciągnął je w płuca. Tak, Darek pewnie miał powód, żeby go nienawidzić, żeby go obwiniać, nie tylko dlatego, że zabił Felicity... W końcu jakby sam się czuł, gdyby inny mężczyzna pocieszał jego żonę, wysłuchiwał jej żali, został jej najlepszym przyjacielem?

Tak, za to należały się Darekowi od niego przeprosiny.

– Może Darek wcale cię nie nienawidzi. Może on też jest w pułapce. Może przeprosiny, przyznanie się do cierpienia mogłoby mu pomóc przebaczyć.

– Darek nigdy mi nie przebaczy. Nigdy, Nawet jeśli poproszę.

Joe milczał, gdy jechali drogą wzdłuż południowego krańca jeziora. Za nimi toczył się jeszcze jeden samochód, a jego światła ślizgały się po drzewach.

– Może cię to zaskoczyć – odezwał się wreszcie Joe. – Przez dziesięć lat żyłem w nienawiści do mojego ojca za to, że odszedł od mojej rodziny, opuścił mnie i Gabe'a. Nienawidziłem go i wierzyłem, że mam do tego prawo. Problem w tym, że tak mocno trzymałem się tego przekonania, iż prawie przegapiłem wszystko, co Bóg dla mnie przygotował. O mało co nie opuściłem Deep Haven na dobre, bez Mony, bez Gabe'a. Prawie przegapiłem życie, które mam teraz. Ponieważ trzymałem się kurczowo bezwartościowego bożka prawa do gniewu. Ty robisz to samo. Trzymasz się kurczowo swojej niewinności.

Podjechali pod ogrodzone osiedle, zatrzymali się przy bramie i Jensen opu-

ścił szybę, by wklepać kod.

– Swoją drogą, tak naprawdę mam na imię Jonah.

– Wiem. Czytałem twoje książki. – Brama się otworzyła.

– Zawsze robiły na mnie wrażenie słowa Jonasza, gdy modlił się w brzuchu wieloryba, choć był już powoli trawiony. „Czciciele próżnych marności opuszczają Łaskawego dla nich”. Trzymałem się tej marności, swojego poczucia słusznego gniewu. Ale mój własny gniew stał się moim brzemieniem, tak jak opuszczenie nas stało się nim dla mojego ojca. Musiałem przebaczyć i poprosić o przebaczenie, aby wreszcie odnaleźć to, czego szukałem.

– Co to było?

– Moje życie tutaj.

Jensen zatrzymał się na podejździe. Siedział nieruchomo przez dłuższą chwilę, patrząc w lusterku wstecznym na światła innych samochodów, które przyjechały za nim.

Chciał ułożyć sobie tutaj życie. Z Claire. Z tymi ludźmi.

Nawet jeśli nie udałoby mu się uzyskać łaski, bo zdawał sobie sprawę, że nie ma na to wielkich szans. Praktycznie całkiem porzucił nadzieję. Ale może, jeśli Claire wytrwa przy nim podczas jego pobytu w więzieniu, mógłby tutaj do niej wrócić. Jakoś udałoby mu się wykombinować, jak ułożyć sobie nowe życie, nie jako prawnik, ale jako wolny człowiek. Był całkiem zaradny. Może mógłby utrzymać się ze stolarstwa.

Joe miał rację. Trzymanie się kurczowo swojego gniewu, swojej niewinności, powstrzymywało go przed zaakceptowaniem tego, co tutaj miał. Claire. Życie. Może nawet przyszłość. Może nadszedł czas, aby pogrzebać przeszłość i zaufać Bogu, że będzie to, co ma być.

Jeśli Gibs miał rację, wszystko zaczynało się od żalu za grzechy. Ale Jensen nie miał pojęcia, jak zacząć mówić, że mu przykro. Ani nawet, od czego zacząć.

Wysiadł z samochodu i otworzył drzwi do garażu.

– Chodźcie wszyscy. Czujcie się jak u siebie w domu.

Księżyc nad głową Dareka, zbyt jasny, wydawał się okiem, które obserwo-
wało go, gdy oczyszczał kawałek lasu na północnym skraju ośrodka Evergreen.
Oko, czasami zmętniało od dymu i mgły, zdawało się wysyłać promienie Roentgena, prześwietlać go. Kości, tkanki i serce. Sprawdzało go. Oceniało.

Oskarżało go.

A jazgot sycharki atakującej drzewa nie mógł zagłuszyć słów jego ojca, które zagnieździły mu się w głowie.

Nie pozwól, żeby cię to pochłonęło, Darek.

Jakim cudem ojciec potrafił czytać w jego myślach, tego Darek nie wiedział,

ale stał tam w swoim cichym domu, patrząc na niezaścielone łóżko Tigera, na rządki jego pluszaków, i prawie zrobił dokładnie to.

Dał się pochłonać.

To nie tylko furia, ale też zimne kleszcze paniki, ta dziura w jego klatce piersiowej, która mogła przenicować go.

A co, jeśli straci Tigera?

Stał tam tak, starając się jakoś uporać z okropnym hałasem w swojej głowie, gdy ojciec wszedł cicho do środka.

– Wiem, że jesteś zły i masz do tego prawo. Ale masz wybór. Możesz sprawić, że gniew będzie płonąć, tlić się cały czas w twoim sercu albo możesz przebaczyć.

Przebaczyć.

– Tu nie chodzi o przebaczenie – odparł Darek. – Tu chodzi o zdradę.

Podszedł wtedy prosto do szafy, znalazł swoje gogle ochronne i stary kask, zawiązał chustę wokół twarzy. Właściwie założył na siebie prawie cały stary uniform – rękawice, koszulę z ognioodpornego materiału, wytrzymałe trapery. Udał się na obrzeże posesji i wspiął się do kabiny spycharki, pozwalając, by jej hałas zagłuszył płacz Tigera.

Został mu już tylko ośrodek Evergreen.

Praca przy jego zabezpieczeniu powstrzymywała go przed tym, by wsiąść do jeepa, pojechać do Nan i porwać z powrotem swojego syna.

Porwanie. Tak, tak by to nazwali, pomimo faktu, że opieka społeczna zrobiła dokładnie to samo.

Zacisnął dłonie mocniej na dźwigniach sterujących. Czuł w kościach dudnienie maszyny. Brud i piach pokrywały mu twarz, a pot spływał ciurkiem po jego plecach. Reflektory oświetlały splecione gałęzie zwisające nad drogą pożarową. Oceniał, że musi wyciąć jeszcze jakieś pół mili. Czekają go długie, długie godziny pracy. Chaszcze w głębi posesji spowolniły jego wysiłki i wycięcie pasa zajęło mu więcej czasu, niż przewidywał. Przekopał wszystko aż do zmineralizowanej gleby, niepalnej ziemi, która mogła powstrzymać pochód ognia.

Niech Deep Haven spłonie. Będzie bronił ośrodka Evergreen ze wszystkich sił, jakie tylko miał.

Darek zepchnął wysoki świerk; widział, jak machał gałęziami, kiedy opadał na runo leśne. Wycofał spycharkę i uderzył w piękną sosnę.

Nie pasujesz tutaj.

Pozwolił, by te słowa napędzały go.

Uratuje swoją własność, odzyska Tigera i nigdy, nigdy więcej nie wpuści żadnej kobiety do swojego życia. Ich życia.

Darek, kopiąc głęboko i nabierając ziemię do szufli, powyrywał z korzeniami kępę młodych drzewek, patykowatych i pełnych bocznych pędów topoli. Rzucił

je na ziemię, po czym przykrył warstwą gleby.

Ech, był takim głupcem, że jej zaufał. Ivy okazała się taką samą manipulatorką jak Felicity. I zdrajczynią, jak Jensen.

Jensen. Ojciec wspomniał mu o nim, stojąc w drzwiach i patrząc, jak Darek zbiera swój sprzęt.

– Pozwalasz, aby pochłaniał cię gniew od dnia, gdy Felicity umarła. Przestałeś chodzić do kościoła, oszczędłeś od Boga i pozwoliłeś, by spłonęły twoje fundamenty, to, jakim człowiekiem jesteś, jakim mógłbyś być.

Zabolało, ale Darek zignorował te słowa i złapał pojemnik z wodą.

Jednak ojciec nie ruszył się ze swojego miejsca w drzwiach, zagradzając Darekowi przejście.

– Bóg mówi, że ten, kto swojego brata nienawidzi, żyje w ciemności i działa w ciemności, i nie wie, dokąd dąży, ponieważ ciemności dotknęły ślepotą jego oczy. Nie pozwól, aby twoja odmowa przebaczenia trzymała cię w ciemności, synu. Pozwól Bogu, aby pomógł ci wybaczyć. Tylko w ten sposób przez to przejdziesz. Tak naprawdę, przebaczenie jest obowiązkowe.

Darek naskoczył wtedy na niego.

– Żartujesz sobie? Przebaczyć Jensenowi? Gdyby nie on, Tiger byłby teraz bezpieczny w domu ze swoją matką. I nie wspominajmy nawet o Ivy.

– Czy pomyślałeś kiedyś, że pomimo wypadku Bóg potrafi uleczyć? Nawet użył go, by czynić dobro?

Nie odpowiedział, po prostu przepchnął się obok ojca.

Dobro? Nie bardzo.

Darek nie pozwolił, by słowa jego ojca zagnieździły się w nim, dopóki nie znalazł się w ciemnościach kabiny. Włączył spycharkę i zaczął przeciskać się przez las.

Gdyby Felicity wciąż żyła, nie miałby swojego syna. Wiedział o tym, ponieważ pod koniec jego małżeństwo zmierzało ku rozwodowi, i to szybko. A w momencie, gdy rozwiązałyby swoje więzi z Felicity, ruszyłyby w drogę, nie oglądając się za siebie ani razu.

Nie, śmierć Felicity nigdy nie będzie czymś dobrym, ale dzięki temu Darek uświadomił sobie, że ma syna. Zdał sobie sprawę, co mógł stracić – i co stracił.

Zamrugał, by przepędzić pieczenie oczu.

To, co stracił. W jego głowie znów siedziały słowa ojca. Szedł on teraz za nim, tak jak wtedy, gdy Darek schodził z werandy.

– Czy myślisz, że jesteś jedynym, który stracił syna? Czy jesteś jedynym, który musiał przebaczyć komuś za to, że zabił ci kogoś bliskiego?

Darek spojrział na niego, marszcząc brwi.

– Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że Bóg zrobił dla ciebie dokładnie to samo? Ty, Dareku, byłeś Jego wrogiem. Twój grzech zabił Jego Syna. A jednak

wyciąga do ciebie rękę, aby ci przebaczyć, jeśli tylko zechcesz. Nawet jeśli nie wiesz, jak o to poprosić. Nawet jeśli *nie chcesz* prosić o wybaczenie.

Tak, ale to było co innego. Darek nie był Bogiem.

Powiedział to samo swojemu ojcu.

– Nie musisz Nim być. Przebaczenie zaczyna się od padnięcia na kolana, od popatrzenia w głąb siebie. Wiem, że to trudne. Boisz się tego, co możesz tam znaleźć. Ale Bóg nie będzie trzymał się od ciebie z daleka, Dareku, gdy Go potrzebujesz. I mogę ci obiecać, że Jezus może ci pomóc dokonać niemożliwego.

Wiara jego rodziców zawsze zaczynała się od „padnij na kolana”. Cóż, nie mieli pojęcia, jakie to uczucie, gdy wszystko zostało ci odebrane. Nie wiedzieli, jak to jest, gdy ktoś, kogo kochasz, cię zdradzi...

Nie. Nie kochał Ivy. Nie mógłby pokochać Ivy, nie tak szybko...

Ale nie wiedział też, jak inaczej mógłby to opisać, to uczucie bycia pełnym... Cóż, może mógłby to nazwać miłością, ale...

Cokolwiek czuł, mówiło mu to prawdę. Nigdy nie kochał Felicity.

Darek zepchnął szczątki zarośli w kierunku lasu. Ta prawda uderzyła go do głębi.

Tak, jeśli miał być szczery ze sobą, uległ jej tylko dlatego, bo...

Bo Jensen z nią był.

Bo Darek chciał wygrać.

Darek zamknął oczy, oddychając ciężko. Niezależnie od tego, co czuła Felicity, zdradził Jensa. A potem zdradził Felicity, idąc z nią do łóżka, wykorzystując ją. A potem biorąc z nią ślub, chociaż wiedział, że wcale nie traktował tego *tak* poważnie.

Pozwolił, by spycharka zatrzymała się, trzęsła, dudniła, by prawda przeniknęła go aż do szpiku kości.

Obwinił Jensa, bo było to o wiele prostsze, niż spojrzenie na samego siebie. Dostrzeżenie swoich własnych grzechów.

O, Felicity. Przez moment pozwolił, by wypełniła jego myśli. Widział, jak się do niego uśmiechała. Te wszystkie razy, gdy siadała za nim i masowała jego zmęczone ramiona albo dzwoniła do niego na komórkę tylko po to, by usłyszeć jego głos. Te wszystkie razy, gdy przystawiała słuchawkę do ucha malutkiego Tigera, nakłaniając go, by powiedział mu *ta-ta*.

Felicity czekająca na jego powrót tamtego pierwszego roku... Nawet przystroiła wtedy ich małą chatkę. A gotując jego ulubioną potrawę, niemal wywołała pożar.

Tak, powinien ją kochać. Może gdyby nie był taki wściekły... nie tylko na Felicity, ale też na siebie... Zdradził samego siebie, zdradził mężczyźnę, jakim pragnął być.

Rozmowa z jego matką tamtej nocy, gdy Tiger spadł z łóżka, wróciła do nie-

go.

Czy istnieje przebaczenie dla kogoś, kto zabił czyjąś żonę?

Mam nadzieję. Ze względu na ciebie.

Może nie mówiła wtedy tylko o Jensenie, ale także o Dareku.

Brak przebaczenia zniszczył jego życie – a przynajmniej jego małżeństwo. Brak przebaczenia wydrążył w nim dziurę gniewu prawie na wylot.

Może był trochę jak pożar torfowiska. Jego życie zmieniało się w popiół tuż pod powierzchnią.

Tak naprawdę przebaczenie jest obowiązkowe. Słowa jego ojca przykleiły się do niego jak rzep. Ale może i było obowiązkowe. Było, jeśli chciał zostać uleczony. Jeśli chciał się nauczyć, jak żyć, jak znów żyć naprawdę.

Jest obowiązkowe.

Obowiązkowe dla Felicity. Dla Jensena.

Dla samego siebie.

Zapatrzył się w noc, na dziwny blask ognia na tle ciemności, który podpałał niebo.

Dla Ivy.

Proszę, Dareku... Zaufaj mi. Głos Ivy – cichy, błagalny.

Jeśli miał być szczery z samym sobą, może zrobiłby to samo, gdyby był na miejscu Nan. Na miejscu Ivy. Przyjrzałby się bliżej sytuacji, aby upewnić się, że Tiger jest bezpieczny.

Nie wiedział, co się stało, ale może... może powinien przynajmniej jej wysłuchać. Wysłuchać prawdy.

Tak, jeśli chciał zacząć od nowa, pozwolić Bogu zasiać coś nowego w jego życiu, powinien najpierw przekopać tę płonąca ziemię, oczyścić ją.

Wyznać swoje grzechy. Wyrazić skruchę.

– Przepraszam. – Brzmiało to słabo, może nawet nieszczerze, a więc zgasił silnik. Pozwolił, by spycharka umilkła. Słuchał wiatru, który poruszał siatką w kabinie. – Przepraszam. – Zapatrzył się w oko na niebie, szare od dymu. – Ja... Tak mi przykro. ja... O Boże, naprawdę zawiodłem. Naprawdę... – Zamknął oczy. Wciąż wydawało mu się to takie... wyświechtane.

Padnij na kolana.

Znów usłyszał głos swojego ojca i z jakiegoś dziwnego powodu wydało mu się to właściwie.

A więc zsiadł ze spycharki. Przeszedł do przodu, gdzie światło księżyca igrało na szufli. I właśnie tam, w kałuży odbitego światła, uklęknął.

Ziemia pod jego kolanami była miękka, jej zapach świeży i mocny. Przycisnął do niej dłonie, pochylił głowę.

– Przepraszam. Tak bardzo przepraszam.

I nagle ten ogień, który zawsze tlił się tak głęboko w jego wnętrzu, że ledwo

to zauważał, zgasł, opuścił go, uciekł razem z jego słowami. Zatrzęsło nim od tej mocy, tej świeżości, która go napełniła, jakby pożar ugasiła nie tylko woda. Może samo życie. Wydał z siebie dźwięk przypominający szloch. Jak małe przerażone dziecko.

Albo może wolne.

Tak, o tak. Wolne.

Podniósł wzrok, odnalazł oko na niebie.

– Nigdy nie chciałem skrzywdzić Felicity, Panie. Ale miała rację. Byłem samolubny. Jestem samolubny. Nienawidziłem Jensena i... nienawidziłem Felicity. A przynajmniej nie kochałem jej tak, jak powinienem był ją kochać. Nie ceniłem jej... Zdradziłem ją, Panie.

Usiadł na ziemi, zsunął chustę z twarzy. Zdjął gogle. Dym piekł go w oczy, sprawiał, że łzawiły.

– Proszę, przebacz mi.

Wiatr poruszył gałęziami drzew. Darek przebiegł dłonią po ziemi, nabrał garść i pozwolił, by przesypała mu się przez palce.

– Chcę stać się lepszym człowiekiem, Panie. Chcę przebaczyć. Proszę, pokaż mi jak.

Pokaż mi jak.

Darek nie był pewien, jak długo tam siedział, po prostu słuchając szumu wiatru w gałęziach, starając się usłyszeć coś, cokolwiek.

Położył dłoń na sercu. Ta pustka, ta ciemność, którą czuł, znikła. Zamiast tego tkwiła tam tylko blizna, pamiątka dawnego bólu. Piętno cierpienia. Ale zdawało się, że po raz pierwszy mógł myśleć jasno. Widział Felicity siedzącą na kanapie i tulącą Tigera. Widział Jensena stojącego obok niego na ślubie. Widział obok Felicity Claire, która uśmiechała się do niego, lecz jej wzrok błędził ku Jensenowi.

Tak, może ta dwójka była sobie przeznaczona.

I widział Ivy. Słodką Ivy. Która trzymała Tigera na kolanach. Która ocaliła Dareka przed nim samym podczas festiwalu sztuki i wybroniła go przed Kyle'em.

Ivy wtulająca się w niego, przylegająca do niego. Należąca do niego.

Wcale nie obróciła się przeciw niemu. Ta myśl zapuściła korzenie w jego głowie.

Cokolwiek się stało, usiłowała go chronić.

Zaufaj mi.

Słyszał te słowa, ale nie pochodziły one od Ivy.

Dym przesłonił oko na niebie, ale ono wciąż tam było. Mimo że nie mógł go zobaczyć. Nawet jeśli straci Tigera, ośrodek... Ivy.

Myśl o niej wypełniła jego wnętrze, wszystkie zakamarki, które wciąż się goiły. Ciepła. Idealna.

Dziękuję. Dziękuję Ci za Evergreen. Za moją rodzinę, mojego syna, moją

wiarę...

Dziękuję Ci za Ivy.

Jutro ją odnajdzie. Wysłucha jej. Jutro znajdą razem jakiś sposób, by odzyskać Tigera. I wtedy może... Może uda mu się znaleźć sposób, aby powiedzieć Ivy, że ją kocha.

Tak, kocha.

Darek uśmiechnął się, myśląc o tym. Wyglądał głupio i cieszył się, że nikt nie może go zobaczyć. Wstał i obchodził akurat spycharkę, gdy zobaczył strumień światła podskakujący szybko na ścieżce, jakby ktoś biegł.

– Halo?

– Darek!

– Tutaj!

Casper pojawił mu się przed oczami.

– Masz telefon od Jeda. Mówi, że kierunek wiatru się zmienił. Pożar odchodzi od Junco Creek.

– To dobrze, prawda?

– Stary, on kieruje się w stronę jeziora Evergreen, i to bardzo szybko.

szesnaście

Musisz poluzować korzenie, aby ich nie złamać.

Może sprawił to zapach jej babci ukryty w kocu lub w miękkości skóry fotela, a może to wpływ historii zatopionej w obitych panelami ścianach domu albo smak jej przeszłości – opowieści, śmiechu i poczucia bycia w domu – ale coś pobudziło jej wspomnienia. Claire zatopiła się prosto w swój sen, czując niemal dotyk czarnej ziemi pomiędzy swoimi palcami, gdy jej babcia była tuż obok i podawała jej niecierpki do przesadzenia.

Stały przy stole piknikowym na podwórku z tyłu domu. Kilka okrągłych doniczek wypełnionych ziemią czekało na przyjęcie kwiatów, które babcia kupiła w szkółce w miasteczku. Jezioro było jasne i zachęcające, gdy fale łagodnie obmywały brzeg.

– Roślinom jest miło i przytulnie w ich małych doniczkach, a więc musimy je przesadzić delikatnie, żeby nie przeżyły wstrząsu. – Babcia sięgnęła palcami do korzeni i poluzowała je. Potem, drugą ręką rozszerzyła w ziemi dołek, który wcześniej zrobiła, i ostrożnie wsadziła roślinę do środka.

Obok niej Claire zrobiła to samo. Sięgnęła palcami do korzeni, wyciągnęła je delikatnie, po czym wsadziła sadzonkę do doniczki i lekko ubiła ziemię wokół niej.

– Nie za mocno, ale wystarczająco, aby było jej dobrze. Korzenie muszą się przyjąć, rozrosnąć w nowej glebie. – Dłonie babci spoczęły na dłoniach Claire. Jej dotyk był silny z idealnym naciskiem.

– A teraz czas na wodę. – Podała Claire konewkę z wodą, by podlała rośliny w doniczkach.

– Och, więcej, kochanie. Potrzebują się dobrze napić. Po podróży ze szkółki są spragnione. Dobry ogrodnik zawsze pilnuje, by jego rośliny były dobrze nawodnione.

Spragnione, faktycznie. Claire nie była pewna, kiedy przeszła od snu do rzeczywistości, ale leżała teraz w ciemności. Błede smugi księżycowego światła wsuwały się do środka domu przez szczelinę w zasłonach i muskały tweedową kanapę w szkocką kratę, ciągnąc się dalej przez podłogę aż do fotela. Głos jej babci zniknął wraz ze snem.

Claire usiadła prosto i zdała sobie sprawę, że zasnęła w fotelu. Ile razy wracała do domu z liceum i widziała, jak dziadek drzemał tutaj, a babcia siedziała na kanapie i, czekając na nią, robiła na drutach.

Była taka spragniona, gdy przeniosła się do Deep Haven z Bośni. Spragniona przyjaciół. Spragniona bezpieczeństwa. Spragniona świadomości, że może zostać uleczona. *Że zostanie uleczona.*

Claire wstała, poszła do łazienki. Jej twarz wydawała się lepka, opuchnięta.

Nie pamiętała, żeby płakała tak długo, aż usnęła, ale może tak było. Nie musiała zapalać światła, by zorientować się w ustawieniu mebli w pomieszczeniu, by wiedzieć, że na blacie stało zdjęcie jej rodziców, a na ścianie wisiał wyhaftowany werseł z Ewangelii według Świętego Jana z rozdziału piętnastego: *Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity, ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić.*

Umyła ręce i przeniosła się do sypialni. Nawet po tym, jak po ukończeniu szkoły średniej przeprowadziła się do miasteczka, wciąż spędzała tu wiele nocy, delektując się posiłkami przygotowanymi przez babcię, a potem opiekując się nią, zanim odeszła.

Claire leżała teraz na jej narzucie. Gniew, który czuła wieczorem, stał się tylko odległym echem. Gałęzie bzu rosnącego za oknem rzucały cienie na sufit. Powietrze wypełniał zapach dymu – może ktoś palił niedaleko ognisko.

Mogła niemal usłyszeć śmiech Felicity, gdy ta wślizgiwała się do jej wielkiego łóżka i, leżąc obok, snuła marzenia na temat Dareka. Felicity była zakochana w najstarszym Christiansenie od tak dawna, że czasami Claire zastanawiała się, czy nie została jej przyjaciółką tylko po to, by mogła zbliżyć się do niego. Ale w tamtych dniach, na początku, Claire nie zadawała pytań.

A potem w jej życiu pojawił się Jensen.

Wciąż miała przed sobą obraz, jak stoi na jej werandzie w dżinsowych szortach i koszulce powiewającej na wietrze, szczerząc do niej zęby w uśmiechu.

Jak wiele razy – gdy Darek już sobie poszedł, a Felicity drzemała przy ognisku – Claire i Jensen spędzali całe godziny na rozmowach, opierając się na łokciach i patrząc w gwiazdy.

Może kochała Jensena od tamtego pierwszego lata.

Masz do tego dar, Claire. Przywracasz rzeczy do życia.

Nie, to Jensen przywrócił ją do życia. Jensen i jej dziadkowie, nawet Felicity i Darek.

Prawda była taka, że to Bóg przywrócił ją do życia. Poprzez to miejsce. Poprzez to życie.

Może Bóg *był* łaskawy. Ponieważ po tym, jak została z niej ruina, pozwolił jej się schronić w tym bezpiecznym miejscu. Z ludźmi, przy których czuła się bezpiecznie. I została tutaj przez dziesięć lat. Leczyła swoje rany. Stawała się silniejsza.

Jej słowa wypowiedziane do Angie Michaels wróciły do niej.

Nie krzywdzę ich. Podcinam je, aby mogły lepiej rosnąć.

Może Bóg wykorzystał te wszystkie lata, aby ją podciąć, uleczyć, aby mogła wydać owoce. Nie była rozczarowaniem, ani porażką. Po prostu potrzebowała czasu, aby rozkwitnąć.

Przypomniała sobie, co powiedziała Jensenowi: *Chciałabym otworzyć szkół-*

kę w mieście, może zajmować się architekturą krajobrazu. Może Jensen wcale jej nie zdradził. A co, jeśli ją uwolnił?

– Nie znaczyło to, że powinna mu ufać, ale może nie powinna go też nienawidzić. Trzy lata nienawiści do Jensena prawie pożarły ją żywcem.

– Musiała tylko dać sobie z nim spokój.

– Ponieważ zostanie w Deep Haven. I może sprzedaż tego domu wyjdzie jej na dobre. Potrzebowała kiedyś tego miejsca, ale Bóg ją uleczył. Wzmocnił ją. A teraz dawał jej szansę, by stworzyła coś nowego. Za pieniądze, które podarowałby jej dziadek, mogłaby otworzyć własną szkółkę. Sprawić, że ogrody w Deep Haven będą bujne i piękne.

– Cichutko przywróciłaby je do życia.

Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity.

– To polecenie nie kazało jej *opuszczać* tego miejsca. Kazało jej *trwać*. A skoro Bóg nigdzie jej nie wysyłał, to wcale nie musiała odchodzić, prawda?

– Claire przewróciła się na drugi bok, owijając się narzutą. Może najpierw zostanie *tutaj* jeszcze trochę, zbierając się na odwagę, by powiedzieć o wszystkim rodzicom.

– Odpowiedź jest tylko jedna, Dareku.

Jego ojciec stał przy stole w kuchni, patrząc na mapę, którą rozwinął Casper. Przyglądał się linii ognia, którą opisał Casperowi Jed jeszcze w obozie. Wskazał na pastwisko na zachód od posesji Gibsa. – Jest tam naturalny pas przeciwpożarowy, ale jeśli ogień przesunie się na zachód od jeziora Evergreen, co go powstrzyma przed skręceniem na południe? – Spojrzał na Dareka, uniósł brew. – Nie mamy innego wyboru.

– Tato, jeśli nie dokończę wycinania pasu wokół posiadłości...

– Powiedzmy, że to zrobisz. A wtedy co? Nim zaczniesz pracować nad kolejnym, ogień może być już zbyt wielki. Nie uda ci się przeprowadzić wypalania w porę. Ogień przedostanie się na drugą stronę pasa i nic go nie zatrzyma, aż dotrze do Jeziora Górnego. Musisz zacząć w tej chwili i wyciąć pas do jeziora Thompson. I wtedy ty i oddziały strażaków będziecie mogli skoncentrować się na wypalaniu wszystkiego na północy, zabraniiu pożarowi potencjalnego paliwa, nim ogień dotrze do Deep Haven.

– A co z ośrodkiem Evergreen? – spytał Darek.

Matka stała w szlafroku z rękami splecionymi na piersiach i ustami zaciśniętymi w wąską linię.

Ojciec spojrzał na nią, a potem na Dareka.

– Ufamy Panu, że nas ochroni. Słyszałem nie raz, jak wspominałeś, że wyszłoby ośrodkowi Evergreen na zdrowie, gdyby spalić go do gołej ziemi i zbudować

wać na nowo.

– Nie mówiłem poważnie, tato.

– Nic na to nie poradzimy. Ale prawda jest taka, że nie możemy trzymać się czegoś kurczowo, kosztem zniszczenia całej reszty, którą kochamy. W tym przypadku naszego miasteczka. Musimy wierzyć, że Pan nas ocali, synu, nawet jeśli będzie to oznaczało, że spali naszą przeszłość.

Darek odsunął się od stołu. Pewnie roznosił błoto po drewnianej podłodze, o którą dbała matka. Zapatrzył się na jezioro, po którym świt rozlewał się jak płomień.

– No dobrze. Idę na pastwisko koło domu Gibsa i zacznę wycinać ten pas. – Obrócił się. – Casper, zadzwoń do Jeda i powiedz mu, żeby przysłał tam ekipę. Zaczniemy wypalanie, jak tylko skończę pas.

Czekał na jakąś odzywkę w stylu „Tak jest, kapitanie”, ale Casper tylko skinął głową.

– Mamo, spakuj rzeczy i wyjedź stąd. Nie wiem, jak szybko zbliża się ten ogień, ale ty, Grace i Amelia musicie stąd uciekać.

– Nigdzie się nie ruszam bez twojego ojca – uparła się Ingrid.

– Casper i ja zmoczymy dom, Ingrid. Nie chcę, żebyś znalazła się w pobliżu niebezpieczeństwa – odparł ojciec.

– Dzięki Bogu, że nie ma tutaj Tigera – powiedziała Ingrid. Spojrzała na Dareka. – Przykro mi, synu, ale po prostu cieszę się, że jest bezpieczny.

Nie widział tego w ten sposób, ale może powinien być w tej chwili wdzięczny, że jego syn – tak podatny na wchodzenie ludziom pod nogi, gubienie się albo robienie sobie krzywdy – spał bezpieczny w domu swojej babci.

Małe okruchy łaski. Ale po tych chwilach na klęczkach, gdy płomień w nim wreszcie zagasty, Darek zamierzał doceniać takie okruchy łaski.

– Biorę walkie-talkie – oświadczył Darek. – Informuj mnie na bieżąco. I uważaj na siebie.

Poszedł ścieżką do spycharki, którą zostawił przy drodze pożarowej, na granicy pomiędzy posesjami ich i Gibsona. Pojedzie spycharką wzdłuż drogi, po czym przejedzie za domem Gibsona i zacznie tworzyć pas biegnący przez pastwisko. Potem zajmie się lasem.

Przydałaby mu się pomoc. Ktoś z piłą łańcuchową. Ktoś, kto wiedział, jak z nim pracować. Ktoś, kto przeszedł szkolenie ogniowe.

Ktoś taki jak Jensen.

Wspiął się do kabiny spycharki, odpalił silnik.

Darek prawie zabił swojego najlepszego przyjaciela, gdy ten porzucił go w Montanie. Może nie porzucił, ale... Tak, porzucił. Tak samo, jak porzucił go, gdy przeprowadził się do Minneapolis – nawet jeśli to nie był jego wybór.

Jensena ominęły te wszystkie momenty, które Darek dzielił z innymi. Te całe

dnie ciężkiej, uczciwej pracy, gdy wychodzili w góry, by ugasić pożar, patrzyli, jak się dopala, jak węgielki żarzą się w ciemności. Darekowi brakowało wspólnego podziwiania zorzy polarnej, gdy spali pod gwiazdami w stanie Waszyngton, gdy pływali w jeziorze polodowcowym w Montanie.

Przyjaźń z Jensenem była silniejsza niż więź z własnymi braćmi, a jednak...

Tak, brakowało mu go. Może gdyby nie był tak wściekły, że Jensen – taki samolubny – go zostawił, nie przygarnąłby Felicity tak łatwo w swoje ramiona. Nie miałby tej cichej satysfakcji, że zdobył jej serce i odebrał ją Jensenowi.

Jensenowi należały się przeprosiny. Ale minęło już tyle czasu, że Darek nie miał pojęcia, jak to naprawić.

Światło poranka zmieniło pole w mieszankę ognia i cieni. Gdy na nie wjechał, dym przerzedził się na tyle, by mógł zobaczyć, jak czerwona kula wisi nisko nad horyzontem, przeganiając ciemność.

Opuścił szufłę i zaczął ryć ziemię, nie zostawiając tam nic poza glebą.

Proszę, niech to wystarczy, aby odepchnąć ogień.

Prawda wyzwoli ją, by kochała.

Słowa Ingrid dodawały pewności Ivy, gdy stała na progu domu Nan, trzymając dwa kubki z kawą. Wraz z oddechem uleciały jej właśnie resztki zdrowego rozsądku.

To dopiero było naruszenie zasad etyki.

Ale Ivy nie spała całą noc, chodząc z kąta w kąt i zastanawiając się nad swoją decyzją, nad tym, czy mogłaby spojrzeć sobie w oczy, gdyby chociaż nie spróbowała.

Bóg nie jest bezstronny. Bóg kieruje się tylko emocjami. Miłością.

Musiała zrobić sobie spacer po plaży, gdzie w świetle księżyca fale jeziora obmywały brzeg, i przyjrzeć się dokładnie swojemu życiu, by odkryć, że tak, jednak Bóg trochę się w nim pojawiał. Na przykład uratował ją od jej matki. I dał jej ciepłe łóżko, choć bez rodziny. Postawił na jej drodze Daniela, który w nią wierzył, a potem... a potem Dareka, Tigera. Ingrid i całą rodzinę Christiansenów.

Może nadszedł czas, aby dała Mu szansę.

Pozwoliła, by ta prawda zatopiała się w jej sercu, pozwoliła sobie w nią uwierzyć.

Bóg kochał ją wystarczająco mocno, aby podarować jej rodzinę, i nie chciała jej stracić, jeśli mogła coś z tym zrobić.

Napisała więc dla Jacoba najlepsze streszczenie sprawy w swoim życiu. Nakreśliła w nim swoje postępowanie i – co najważniejsze – dołączyła swoje zeznanie z perspektywy świadka, dotyczące wydarzeń z życia Tigera, które zakończyły się dla niego obrażeniami. Opisała zachowanie Dareka, bez uprzedzeń, dodała swoje

wnioski ze spotkania z Nan i wreszcie wyraziła swoją opinię.

Tak, swoją opinię. Ale o to także chodziło w prawie. Sędzia powinien być bezstronny, ale prawnik musi stać po stronie prawdy.

Trochę o tym zapomniała. Przyznała się do tego w swoim liście, w którym rezygnowała z pracy. Ponieważ nie mogła być i prokuratorem, i obrońcą. No i właśnie zamierzała przeskoczyć linię etyki tak daleko, że nic już nie miało znaczenia.

Ale etyka i prawda jakoś się ze sobą rozeszły. A ona musiała żyć w prawdzie. Musiała żyć w miłości.

Zostawiła list i streszczenie wraz notatką do Jacoba, w której napisała mu, że może przyjąć jej rezygnację albo nie.

Miała nadzieję, że jednak *nie*. Ale dopóki nie знаła jego decyzji, mogła stać teraz przed frontowymi drzwiami domu Nan i prosić w sprawie Dareka.

Zapukała do drzwi.

Boże, proszę... Zaczęła tę rozmowę wczoraj w nocy nad jeziorem i teraz ją kończyła. *Boże, proszę, pozwól, by poszło dobrze. Proszę, bądź po mojej stronie.*

Drzwi drgnęły.

Nie, bądź po stronie Tigera.

Tak, to wydawało się słuszne.

Drzwi otworzyły się i pokazała się w nich Nan. Spoglądała na nią, marszcząc brwi.

– Cześć, Nan. Mam nadzieję, że możemy porozmawiać. – Ivy uniosła w górę kubek z kawą.

Nan tylko się na nią patrzyła.

– Proszę? Myślę...

– Jeśli jesteś tutaj, aby bronić Dareka, nie jestem zainteresowana.

No dobrze. Uśmiechnęła się, przybierając wyraz twarzy prawnika, którego nic nie potrafi wstrząsnąć.

– Tak się składa, że chciałam ci opowiedzieć pewną historię.

I wreszcie...

– Niech będzie. – Nan spojrzała gdzieś ponad jej ramieniem, po czym wyszła na ganek, odbierając od niej kubek z kawą. – Ale Tiger może obudzić się w każdej chwili.

– Wiem. I nie chcę, aby czuł się przestraszony albo zagubiony. Uwierz mi, wiem, jak to jest. – Wypuściła powietrze z płuc. – Widzisz, odkąd skończyłam dziewięć lat, mieszkałam w czternastu rodzinach zastępczych. Pamiętam każdy poranek, gdy budziłam się w obcym domu. Ten strach, ta obcość. Nadzieja, że ta rodzina być może będzie mnie chciała. Że zdecyduje, że warto mnie zatrzymać. Że to może ostatni raz, gdy budzę się w obcym domu.

– Tiger nie jest w obcym domu.

– Wiem. I jestem za to wdzięczna, bo w życiu dziecka nie ma nic gorszego

niż hordy pracowników opieki społecznej, którzy chodzą za nim jak cień. Gdy wracałam do domu, to nigdy nie wiedziałam, czy oni tam na mnie akurat nie czekają. Albo czy nie przyjdą do szkoły. Albo czy nie zabiorą mnie z autobusu.

– Jeśli mielibyśmy prawo do opieki nad Tigerem...

– Naprawdę, Nan. Czy widziałaś Dareka z Tigerem? Bo możesz być pewna, że on tego tak nigdy nie zostawi. Może jakoś zdobędziesz prawo do opieki, ale mogę ci zagwarantować, że Darek zawsze będzie częścią życia Tigera. Kocha swojego syna. Żyje dla swojego syna. I tak mi przykro, że nie mogę być tutaj bezstronna, ale chcę ci pomóc zrozumieć, jaką krzywdę wyrządzasz Tigerowi za każdym razem, gdy składasz skargę albo wyciągasz go siłą z domu jego ojca.

– Darek nie zasługuje na Tigera.

– Tiger to jego syn i Darek nie zasługuje na to, aby mu go odbierano. Tak samo, jak ty nie zasługiwałaś, aby odebrano ci córkę.

Nan wzięła płytki oddech.

– Nigdy nie znalazłaby się na tej drodze, gdyby Darek nie urządził jej awantury.

– On o tym wie, Nan. Uwierz mi, on o tym wie. Ale to wciąż nie czyni go winowajcą. To był po prostu okropny, potworny wypadek.

Nan zacisnęła usta.

– Prawda jest taka... – zaczęła Ivy. – Jeśli wciąż będziesz to ciągnąć, zburzysz delikatne fundamenty Tigera. Zacznie wojnę pomiędzy sobą a Darekiem i Christiansenami, a jedyną jej ofiarą będzie chłopiec. Czy tego właśnie chciałyby Felicity?

Nan zamknęła oczy. Nic nie odpowiedziała.

Głos Ivy złagodniał.

– Ale nie to przyszedł ci powiedzieć. – Usiadła na jednym z krzeseł na patio Nan. Postawiła kubek z kawą na stole. – W jednym z wielu domów zastępczych, w których mieszkałam, znalazła się też inna dziewczynka, mniej więcej w moim wieku. Różnica była taka, że ona miała rodziców. Oboje walczyli o nią, a jej ojciec porwał ją, przejechał z nią granicę stanów. Matka wściekła się i gdy go dopadła, rzuciła się na niego, przez co wylądowała w szpitalu psychiatrycznym. A gdy wreszcie znaleziono Corrie, oddano ją do rodziny zastępczej, by jakoś uporządkować ten bałagan. Nigdy nie zapomnę tamtej nocy. Leżała w łóżku naprzeciwko mnie i płakała. Byłam taka zazdrosna, zła, że miała oboje rodziców, który ją chcieli, więc nie zachowałam się wobec niej zbyt przyjacielsko. Wydaje mi się, że kazałam jej siedzieć cicho. Ale ona wciąż płakała, a ja w końcu spytałam się jej, co jest nie tak. Powiedziała mi, że jej ojciec wcale jej tak naprawdę nie chciał, ale nie mógł znieść myśli, że jej matka ją dostanie.

Nan odwróciła się od niej i zapatrzyła na jezioro. Ivy mogła wyczytać jej emocje tylko z pełnego napięcia profilu.

– Wiem, że kochasz Tigera, Nan. Oczywiście, że go kochasz. Ale czy naprawdę chcesz go wychowywać, czy po prostu nie chcesz, aby miał go Darek? Chcesz ukarać Dareka, czy przychylić nieba Tigerowi?

– Myślę, że powinnaś już sobie iść.

Ivy westchnęła. Nie szło jej tak dobrze, jak chciała. Chyba że...

– Ja też go kocham, Nan.

Nan zerknęła na nią przez ramię.

– Dareka?

– I Tigera. Widzę zranionego chłopca, który potrzebuje mamy...

– Miał mamę.

– Tak, miał. Ale już jej nie ma. – Spodziewała się, że to bardzo poruszy Nan, i przygotowała się na to. – A ty nie możesz jej zastąpić. Jesteś babcią i to coś wspa-
niałego. Ale babcia to nie mama. Proszę, pozwól, aby Tiger miał rodzinę.

– Ciebie?

– Może. Albo kogoś innego... pewnego dnia. Pozwól, aby Darek mógł zacząć od nowa. Pozwól mu zostać mężem takim, jakim powinien być dla Felicity.

Nan westchnęła.

Dzień wciąż pozostawał szary jak grafit. W powietrzu unosił się gęsty dym, żaden blask słońca nie mógł rozproszyć ciemności.

– Nie kochał jej tak, jak powinien – powiedziała Nan cicho. – A ona go uwielbiała.

Ivy potaknęła.

– Jestem taka zła cały czas – ciągnęła Nan. – Czuję się, jakby wokół mojej piersi zaciskało się imadło. Powstrzymuje mnie to przed racjonalnym myśleniem. Muszę kogoś obwiniać. Kogokolwiek. – Spojrzała Ivy w oczy. – Chcę obwiniać Dareka.

– Ale im bardziej go obwiniasz, tym intensywniej płonie twoja złość i tym mocniej powstrzymuje cię przed dostrzeganiem tych błogosławieństw, które masz. Musisz przestać obwiniać innych i przebaczyć. Przebacz i Darekowi, i Felicity, i Jensenowi. – Ivy wzięła głęboki oddech. – Przebacz mi.

Przebacz mi. Pozwoliła, by te słowa zawisły w powietrzu.

Nan spojrzała na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Za co?

Ivy przełknęła ślinę.

– Ponieważ to ja przygotowałam ugodę obrońcą dla Jensena.

– Nie rozumiem. – Nan usiadła na krześle naprzeciwko.

– To długa historia, ale to właśnie ja zasugerowałam, że Jensen powinien otrzymać prace społeczne w zamian za przyznanie się do winy.

Nan po prostu na nią patrzyła. Ivy mówiła dalej.

– Musisz wiedzieć, że pomimo faktu, iż bardzo ci współczuję twojej straty,

Jensen mógł zostać oczyszczony z zarzutów, gdyby sprawa trafiła do sądu. Nie sądzę, aby był winny zaniedbania.

Nan odwróciła wzrok.

– Ja też nie.

– Słucham?

– Znałam Jensena. Oczywiście, że go znałam, wszyscy go znaliśmy. Był dobrym dzieciakiem, świetne oceny z góry na dół, utalentowany sportowiec. Bardzo mu współczułam, gdy jego rodzice się rozeszli. Właściwie to chciałam, aby Felicity za niego wyszła... ale... ona kochała Dareka i cóż, była gotowa na wszystko, aby go zdobyć. Włączając w to zajście w ciążę. – Otarła dłonią policzek. – Byłam na nią taka wściekła za jej zachowanie, ale ona... czuła się przeszczęśliwa, że poślubi Dareka. I wtedy przyszedł na świat Tiger, i myślałam, że wszystko jakoś się ułoży. – Przejechała kciukiem wzdłuż krawędzi pokrywki kubka z kawą. – Powinnam być nieco bardziej wyrozumiała dla Dareka z powodu wszystkiego, przez co przeszedł.

– Darek dokonał swoich wyborów. Ale on się stara, Nan. Naprawdę. Gdybyś zobaczyła go z Tigerem, wiedziałabyś, że to dziecko jest bardzo... aktywne. A Darek robi wszystko, co w jego mocy, aby jego syn dorastał bezpiecznie i był zdrowy.

Nan skinęła głową.

– Poprzedniego wieczoru Tiger wspiął się na stół i skoczył znienacka na plecy George'a, gdy ten przeszedł przez drzwi.

Ivy zaśmiała się lekko.

Nan upiła łyk swojej kawy. Trzymała kubek w dłoniach. Nad ich głowami dym trochę się przerzedził i na niebie rozbłysła odrobina różowego złota.

– Niech będzie. Zadzwońię do Diane o jakiejś bardziej ludzkiej godzinie i porozmawiam z nią.

Niech będzie? Ivy nawet nie zauważyła, że wstrzymuje oddech.

– Dziękuję, Nan. Obiecuję, że wszystko będzie dobrze.

Ciekawe, że nagle to zdanie wydało się jej prawdziwe.

Nan skinęła głową.

– Ma szczęście, że cię ma.

– Tiger?

– Darek.

Ivy pokręciła głową.

– Cóż, jest teraz na mnie wściekły. Nie jestem pewna, czy...

– Jesteś asystentką prokuratora hrabstwa, czy nie? – Nan uśmiechnęła się, a w jej oczach zajaśniała życzliwość. – Na miłość boską, idź i wygraj swoją sprawę.

Gdy Jensen się obudził, poczuł bekon, a z kuchni dobiegał brzęk garnków. Sugerowało to jakąś namiastkę rodziny, a przynajmniej obecność gości w domu.

Zasnął na sofie, ubrany w luźne, ale czyste dżinsy i szarą koszulkę. W ustach czuł posmak pizzy, którą zjadł wczoraj. Wstał więc i udał się do łazienki. Umył zęby i twarz, starając się znów wyglądać jak człowiek. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz miał gości. Było to tak dawno temu, że naprawdę zapomniał, jakie to uczucie, mieć ludzi, którzy są jakoś połączeni z twoim życiem.

Ruby, dyrektorka „Ogrodu”, stała w kuchni w fartuchu zawiązanym wokół talii. Smażyła naleśniki.

– Dzień dobry, młody człowieku. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

Nalał sobie kubek kawy, kręcąc głową.

– Zwykle wstaję wcześniej.

– Weź sobie jakiegoś naleśnika, bo gdy obudzą się mieszkańcy domu, nic już dla ciebie nie zostanie.

Poczęstował się więc całą górą naleśników, które polał syropem, i wziął talerz, by je zjeść na werandzie. Wczesnym porankiem dym wisiał ciężko nad jeziorem, a powietrze pachniało spalenizną. Wydawało mu się, że w oddali dostrzega błysk płomieni, ale mogły być to tylko promienie słoneczne przenikające przez mgłę.

Dopijał kawę, starając się dojrzeć dom Gibsa.

Claire nie było wczorajszego wieczora w Pizzerii Pierre’a, gdy pojechał do miasta zabrać materace ze sklepu z używanymi rzeczami oraz odebrać pizzę zamówioną przez Joego. Liczył na to, że zobaczy jej piękną twarz, pochyloną nad stołem w kuchni. Ale wyglądało na to, że wyszła wcześniej.

Chciał ją zobaczyć. Powiedzieć jej, że nie mógł przestać o niej myśleć, że chciał znaleźć jakiś sposób, aby tu zostać, i że jeśli będzie gotowa na niego poczeekać, aż wyjdzie z więzienia, wtedy do niej wróci. Mogliby razem zbudować sobie tutaj życie.

Zaniósł talerz z powrotem do środka i włożył go do zmywarki.

– Jadę do miasta. Potrzebujesz czegoś?

– Jesteś taki słodki, Jensen. Nie, ale dziękuję – powiedziała Ruby.

Nie pamiętał, kiedy ktoś ostatni raz nazwał go słodkim.

W miasteczku zatrzymał się najpierw w sklepie z pączkami, a potem zapukał do drzwi Claire. Wprawdzie było jeszcze wcześniej, ale i tak po pięciu dniach rozłąki ta wizyta zdawała się aż nazbyt spóźniona.

Nie było odpowiedzi. A więc zapukał ponownie. Nacisnął na klamkę. Drzwi się otworzyły.

– Claire? – Nie chciał jej przestraszyć, a więc starał się narobić trochę hałasu. – Jesteś tam?

Przeszedł przez mieszkanie i zobaczył, że jej pokój jest pusty, a łóżko zaścielone.

Może pojechała do centrum opieki.

Udał się więc tam. Na biurku w recepcji zostawił paczka dla pielęgniarki, po czym zakradł się na palcach do pokoju Gibsa.

Gibs leżał w łóżku, gapiąc się w telewizor. Oglądał wiadomości.

– Jensen!

Jensen wszedł do środka i podał mu skizzle'a.

– A ja już myślałem, że tu skóra i kości po mnie zostaną. Utrzymasz tę tradycję, gdy przeniosę się do domu spokojnej starości?

– O czym ty mówisz, staruszkule? Wracasz do siebie. Claire wszystko przerebiła. – Podszedł do okna, otworzył rolety. Nawet tutaj, w Deep Haven, światło здавало się jakieś blade, zablokowane przez dym z północy.

– Claire nic ci nie mówiła? Zdecydowałem się przyjąć twoją ofertę kupna tego miejsca.

Jensen zamarł.

– Słucham?

– Mówiłem ci o tym w zeszłym tygodniu. Moja odpowiedź brzmi: tak. Przeniosę się do domu spokojnej starości, a Claire będzie miała wystarczająco pieniędzy, by pójść do college'u.

– Ona wcale nie chce iść do college'u! – Głos Jensena zabrzmiał ostrzej, niż on tego chciał. Wziął głęboki oddech. Zapanował nad głosem. – Panie Gibson, Claire jest szczęśliwa w Deep Haven.

– Kto tak twierdzi?

Pytanie wyszło od człowieka, którym mógł być tylko Richard Gibson – młodsza wersja Gibsa, z ciemnymi włosami, mniejszym brzuchem, większą zadziornością w oczach. Richard Gibson. Kiedy ostatni raz przyjechali rodzice Claire, Jensena tutaj nie było, bo razem z Darekiem walczył z pożarami, ale kojarzył jej ojca ze zdjęć.

Wanda Gibson weszła za mężem. Trzymała w rękach zawinięte w materiał naczynie żaroodporne.

Jensenowi udało się odzyskać głos.

– Uhm, Claire. Nie chce się wyprowadzać. Podoba jej się tutaj...

– Czy my się znamy? – To wyszło od Wandy, która odstawiła naczynie i wyciągnęła do niego rękę.

– Jensen Atwood. Jestem sąsiadem Gibsa. – Okej, to zabrzmiało naprawdę marnie. Ale *jestem chłopakiem państwa córki* też nie brzmiało zbyt dobrze. – Claire i ja jesteśmy przyjaciółmi. – Tak. Lepiej.

– Jensen, jestem pewna, że masz dobre intencje, ale Claire już zbyt długo tutaj tkwi. Musi iść naprzód ze swoim życiem, pójść do college'u, zrobić karierę.

– Wyjść za męża?

– Tak, oczywiście. Założyć rodzinę. Znaleźć swoje miejsce, gdzie będzie mogła służyć Bogu.

– A co, jeśli jest to tutaj, w Deep Haven?

Richard zaśmiał się.

Jensen nie.

– Jeśli zapytalibyście swoją córkę, powiedziała by wam, że chce zostać. Ale co więcej, Claire tutaj należy. Ona... ona opiekuje się różanym ogrodem...

– Jestem pewny, że znajdą sobie nowego ogrodnika.

– I gra w zespole...

– The Blue Monkeys. Wiemy. – Wanda spojrzała na męża i zaoferowała mu uśmiech pełen napięcia.

– A ona...

– Pracuje w Pizzerii Pierre'a. Jesteśmy jej *rodzicami*. Wiemy wszystko, co robi Claire. I wiemy, co jest dla niej najlepsze.

Jensen nie mógł powstrzymać powodzi słów, fali złości, pomimo jego wysiłków, aby zachowywać się grzecznie.

– Z całym szacunkiem, nie, nie wiecie. Jeśli faktycznie wiedzielibyście, co jest dla niej najlepsze, wrócilibyście do domu dziesięć lat temu, gdy potrzebowała czuć się bezpieczna. Gdy musiała opuścić Bośnię, nie wysłalibyście jej do domu samej...

– Miała tu dziadków...

– Potrzebowała was.

– Słuchaj, co ty sobie...

– Nie, to wy posłuchajcie. Claire jest wspaniała. Jest piękna i dobra, i wszyscy ją tutaj kochają. Robi więcej rzeczy, niż tylko pizzę. Czyta dzieciom w księgarni „Na Progu Nieba” i pracuje jako wolontariuszka, rozdając raz w miesiącu jedzenie mieszkańcom domu spokojnej starości. Zna imiona ich wszystkich. I przychodzi do domu Gibsa codziennie, aby sprawdzić, czy nie przypalił sobie obiadu.

Richard Gibson spojrział na swojego ojca.

– Spędziła ostatni tydzień, remontując dom, aby Gibs mógł się do niego przeprowadzić...

– Nikt jej o to nie prosił.

– Nikt nie *prosi* jej o nic. W tym problem. Po prostu zakładacie sobie różne rzeczy, a ponieważ ona tak desperacko pragnie wam zaimponować i nie chce sprawić wam zawodu, więc nie kłóci się. Ale ona wcale nie chce wyjeżdżać z Deep Haven.

Richard wypuścił powietrze.

– Jak długo kochasz się w mojej córce, Jensen?

To pytanie sprawiło, że cofnął się o krok, zabrakło mu tchu. *Nie Kocham się... Ale... cóż...*

Tak. Kochał się w Claire. Kochał się w niej prawdopodobnie od lat, pewnie od tamtej nocy na plaży, gdy opowiedziała mu swoją historię. Gdy chciał być tak

dzielny jak ona.

– Jakiś czas – odparł cicho.

– Myślisz, że będzie chciała zostać tu z tobą? – zapytał Richard.

Jensen zacisnął usta. A potem skinął głową.

– Mam taką nadzieję.

– Synu, przykro mi to mówić – wtrąciła Wanda – ale jeśli dobrze pamiętam, wspominała o tobie wczoraj, gdy wychodziła stąd.

Naprawdę?

– Powiedziała coś w rodzaju: „Nie mogę uwierzyć, że Jensen to zrobił. Nigdy nie powinnam mu zaufać”.

Otworzył usta. Zamknął je. Spojrzał na Gibsa.

Staruszek pokiwał smutno głową.

– Jest zła jak osa. Ale przejdzie jej...

– Nie kupię twojej ziemi, Gibs. Powiedziałem to raz i powinieneś wiedzieć o mnie jedną rzecz: nie kłamię.

Jensen wyszedł z pokoju, wyrzucając torbę z pozostałymi pączkami do kosza przy wyjściu. I tak stracił apetyt, skoro w żołądku kotłowały mu się słowa Claire. *Nigdy nie powinnam mu zaufać.*

Zmierzając w kierunku swojej półciężarówki, Jensen zaczął biec. Gdyby nie przeszukał już jej mieszkania, wróciłby tam, ale zamiast tego pojechał do ogrodu różanego, a potem na cmentarz. Nie zauważył żadnej zielonej toyoty yaris, żadnego czerwonego roweru.

Nie pojechała do domu Gibsa, prawda? Nie widział tam zapalonego światła ani ostatniej nocy, ani tego ranka. I tak jednak pojechał na wzgórze.

Nie mógł znieść tego, że jego głowę wypełniały wyobrażenia o jej reakcji, myśli o tym, jak bardzo wściekła – i zdradzona – musiała się czuć, słysząc wiadomość od dziadka. *Sprzedaję swój dom Jensenowi.*

Nic dziwnego, że nie mogła mu ufać.

Przepraszam, Claire. Myśl ta przyszła do niego tak łatwo, brzmiała tak idealnie. *Przepraszam.* Nie był to taki rodzaj cierpienia, który brał się z winy, lecz taki, który przyznawał się do bólu.

Tak bardzo przepraszam.

Proste słowa, które powinny zostać wypowiedziane do Dareka, do całego miasteczka Deep Haven. *Tak bardzo przepraszam za cały ból, który spowodowałem.*

Jensen wklepał cyfry przy bramie i zaparkował za furgonetką „Ogrodu”. Następnie wcisnął przycisk otwierania garażu i skierował się do swojego quada. Wskoczył na niego, ciesząc się, że zawsze zostawiał kluczyk w stacyjce. Wyjechał z garażu. Chciał sprawdzić system spryskiwaczy.

Dźwięk silnika, czegoś wielkiego i dudniącego, skierował go w stronę domu

Gibsa.

Droga była wyboista, tak jak tamtego wieczoru, gdy Gibs miał wypadek. Jensen zanurkował pod gałęziami, jechał przez koleiny, przysięgając sobie, że zajmie się lepiej tą ścieżką. Ponieważ żywił nadzieję, że będzie miał okazję podróżować tędy bardzo często, gdy on i Claire wszystko sobie wyjaśnią.

Boże, proszę, pozwól, byśmy sobie wszystko wyjaśnili.

Jensen wjechał na polanę na zachód od domu i niemal wpadł w poślizg, gdy znalazł się na pasie ziemi zostawionym przez spycharkę. Zatrzymał się, siedząc nieruchomo, lustrując wzrokiem teren wzdłuż linii aż do...

Darek siedział w swojej spycharce i oczyszczał ścieżkę prowadzącą do lasu, fragment drogi pożarowej ciągnącej się do jeziora Thompson. Drzewo zatrzeszczało i zważyło się ciężko na ziemię. Rozdrobnił je i zepchnął resztki w kierunku lasu.

Jensen zastanawiał się przez chwilę, po czym skierował swojego quada w stronę Dareka.

Zatrzymał się w tym momencie, gdy Darek wycofał się z lasu. Kiedy zamachał do niego rękoma, Darek zmniejszył obroty silnika i wyjął zatyczki z uszu. Jego twarz była niemal czarna od brudu, a oczy czerwone. Ściągnął chustkę z twarzy.

– Wow, cieszę się, że cię widzę – powiedział Darek, przekrzykując klekot spycharki.

Jensen gapił się na niego.

– Co?

– Musimy oczyścić pas przeciwpożarowy i zrobić wypalanie, bo w przeciwnym razie nie będziemy w stanie zatrzymać tego ognia.

Jensen spojrzał na spycharkę, a potem na Dareka, który patrzył na niego, jakby dopiero co ucieli sobie pogawędkę i teraz powiedział coś w rodzaju: „Hej, wybieramy się na ryby?”.

I wtedy Darek się uśmiechnął.

W efekcie powietrze uciekło z płuc Jensena, wywróciło w jego środku wszystko do góry nogami. Przełknął ślinę, rozpaczliwie chcąc odzyskać jakąś równowagę emocjonalną. W końcu zdołał skinąć głową.

– Czego potrzebujesz?

– Pił. Łopat. Ludzi. – Zrobił pauzę, spojrzał w stronę horyzontu. Nawet stąd Jensen mógł wypatrzeć płomienie. Darek ponownie obrócił się do niego. – Potrzebuję cię, Jens. Zbierz mi jakichś ludzi, a potem wróć tu i pomóż mi zdusić ten ogień.

– Masz to jak w banku – odparł Jensen.

siedemnaście

Ivy nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo rozpanoszył się ogień, jak bardzo zbliżył się do Deep Haven, dopóki nie wjechała na szczyt wzgórza górującego nad miastem. Z Deep Haven płomienie nie wydawały się niczym więcej niż tylko odległą łuną na horyzoncie. Jednakże będąc tylko kilka mil od jeziora Evergreen, mogła już dostrzec języki ognia, które pochłaniały drzewa niby oddech jakiegoś mitycznego smoka pustoszącego tę krainę. Jak okiem sięgnąć, niebo stało się pomarańczowe, a dym kłębił się i sypał popiołem. Smugi ognia pojawiające się od czasu do czasu sugerowały, że pożoga może nabierać prędkości.

Ivy czuła swój puls w gardle, gdy dodawała gazu, jadąc do ośrodka Evergreen. Darek i jego rodzina na pewno wiedzieli, że są w niebezpieczeństwie, prawda?

Może zagrożenie ogniowe sprawiłoby, że jej poranna wizyta nie byłaby źle widziana i Ivy mogłaby podejść znienacka do Dareka. Pozwoliłby jej wszystko wyjaśnić, wysłuchałby jej. Zdałby sobie sprawę, że Ivy, mając do dyspozycji tylko złe wyjścia, wybrała takie, które będzie dla Dareka najlepsze.

No dobrze, najlepsze także dla niej samej. Aż do wczorajszego wieczoru chciała uratować swoją pracę *oraz* swoją przyszłość z Darekiem.

Teraz... cóż, skrzyła w drogę prowadzącą do ich domu, nie przejmując się, czy będzie na nią potem czekać praca.

Wjechała tam szybko, niemal potrąciwszy przy okazji Ingrid, która zanosila kosz na bieliznę pełen albumów ze zdjęciami do otwartego bagażnika swojego samochodu.

Ivy wysiadła, podbiegła do niej.

– Co się dzieje?

Ingrid wyglądała, jakby była dekadę starsza niż wczoraj. Przyciągnęła Ivy mocno do piersi.

– Tak się cieszę, że cię widzę. – Przytrzymała ją jeszcze chwilę, po czym wypuściła ją ze swoich objęć. – Musimy się ewakuować.

Amelia wyszła z domu, taszcząc walizkę. Musiała niedawno płakać. Jej twarz była pokryta zaschniętymi łzami. Dziewczyna wyglądała, jakby dopiero co zwlekła się z łóżka, na co wskazywały jej włosy w nieładzie. Miała na sobie legginsy i T-shirt. Spojrzała na Ivy, zmarszczyła brwi i załadowała walizę do auta.

– Cześć, Amelio. Ja... Przyszłam przeprosić za to, co się stało...

– Ivy! – Grace podbiegła do niej, ciągnąc za sobą torbę na kółkach, i zarzuciła ramię na jej szyję. – Co tutaj robisz? – Puściła ją i upchała torbę do bagażnika.

– Przyszłam, żeby porozmawiać z Darekiem. Ale... mogę jakoś pomóc?

– W pudłach w salonie mamy jeszcze więcej zdjęć – powiedziała Ingrid. – I jeszcze kilka walizek.

Ivy poszła do domu. Zobaczyła, jak John wychodzi z drugiej strony i targa długi wąż. Casper zajęty był rozstawianiem główek spryskiwaczy. Wbijał je w ziemię gumowym młotkiem.

– Ustawiają kurtyny wodne, zobaczymy, czy to pomoże – wyjaśniła Grace.

Amelia odbiegła, nie patrząc na nią.

– Nie zwracaj na nią uwagi – poradziła Grace. – Myślę, że jest bardziej zła na siebie za ten telefon na policję niż na ciebie.

– Wezwanie policji było słuszną reakcją – powiedziała Ivy, wchodząc za Grace do środka. Cztery wielkie pudła zawierały zdjęcia rodzinne pościągane ze ścian.

– Możesz sobie wyobrazić, co by się tu działo, gdyby był tu Tiger? – Grace zerknęła na nią przez ramię w drodze powrotnej. – Zaczynam się zastanawiać, jak Bóg to wszystko planuje. – Wrzuciła pudło do samochodu.

Ivy dołożyła kolejne.

– Nie pomyślałam o tym.

Grace uśmiechnęła się.

– Widzisz? Wszystko to kwestia perspektywy.

Ivy miała nadzieję, że pewnego dnia stanie się taka jak Grace. Chciała umieć patrzeć na życie oczami Boga.

– Mam nadzieję, że Darek się z tobą zgadza.

– Nie ma go tutaj. Jest na posesji Gibsa, przygotowuje pas przeciwpożarowy. Wracając do domu, ustąpiły drogi Ingrid, która taszczyła pudło z książkami.

– Po co? Jakiś mały pas ziemi nie powstrzyma tego ognia.

Grace podała jej stosik ręcznie robionych narzut, które leżały złożone na blacie.

– Wytnie pas ziemi jako granicę i podpali teren za nią, dzięki czemu ogień zniszczy to, co mogłoby być tak zwanym paliwem dla pożaru. Dzięki temu, gdy główny pożar dotrze do tego wypalonego rejonu, zacznie tracić swą siłę i wygaśnie.

– Czy to w ogóle jest bezpieczne? A co, jeśli ogień zwróci się w jego stronę, przeskoczy przez pas przeciwpożarowy? – Ułożyła narzuty na górze pudeł w samochodzie.

– Tym właśnie zajmują się hotshoci. Kopią i kopią, a potem wypalają roślinność i powstrzymują najmniejszy nawet ogień od przekroczenia linii.

Czyste szaleństwo.

– Mogą zginąć.

Grace skinęła ponuro głową.

– Darek wie, co robi. I pracował już z ochotniczą strażą pożarną, a więc oni też wiedzą. Ale cóż... tak, musimy się za nich modlić.

Ivy podobało się bardzo, że modlitwa była oparciem dla Grace. Czuła, że

sama musi zacząć myśleć w ten sposób.

– Myślę, że to już wszystko – powiedziała Ingrid. Stała na środku salonu, którego ściany zostały ogołoczone. Spojrzała na jezioro. Migotało na brązowo. Pokręciła głową. – Boże, proszę, ocal nasz dom.

Grace położyła dłoń na ramieniu matki.

Nagle woda uderzyła w przesuwane szklane drzwi. To John i Casper zaczęli polewać dom.

– Amelio, chodź!

– Mamo! Nie skończyłam się jeszcze pakować! – Głos Amelii bliskiej szaleństwa dobiegł z góry.

– Pójdę po nią – powiedziała Grace.

Ingrid poszła do łazienki, otworzyła drzwi i złapała Butterscotch za obrozę.

– Przykro mi, kochanie, ale nie mogę ryzykować, że mi uciekniesz.

Ivy podeszła do przesuwanych drzwi i spojrzała w stronę domu Jensena. Jest bezpieczny po drugiej stronie jeziora. Stamtąd jest pewnie zapierający dech w piersiach widok na ogień.

– Ivy, idziesz?

Skinęła głową, po czym wyszła za trzema kobietami na zewnątrz.

– Czy ktoś zabrał rzeczy z domu Dareka?

Amelia spojrzała na Grace.

– Nie.

– Uwierzcie mi, Tiger będzie potrzebował kilku rzeczy. Wiem, jak to jest, gdy nie ma się niczego. Zaraz wrócę.

Ivy pobiegła drogą do domu Dareka. Czowała, jak pot ścieka jej po twarzy. Pośród prześwitami w lesie mogła dostrzec odległą pomarańczową lunę.

Otworzyła z impetem drzwi i wbiegła do pokoju Tigera. Rozejrzała się wokół. Spozrzegła obszarpanego pluszowego tygrysa obok poduszki. Złapała go i wyobraziła sobie Felicity siedzącą przy łóżku chłopca. Wybiegła na zewnątrz.

Kolorowy błysk światła w okolicy domu stojącego przy brzegu jeziora przyciągnął jej uwagę.

Toyota yaris należąca do Claire?

Ivy spojrzała w stronę drogi. Samochód Ingrid już odjechał.

Ktoś musi ostrzec Claire. Podbiegła do brzegu i zobaczyła ścieżkę.

– Claire!

Ale nikt nie wyszedł z domu. Rozejrzała się, lecz nie mogła dostrzec ani Johna, ani Caspera. Za jej plecami cały las zdawał się jaśnieć.

A niech to. Ivy rzuciła się pędem w kierunku domu. Biegła ścieżką prowadzącą wokół jeziora.

– Claire!

Usłyszała swoje imię jak przez mgłę, gęstą i ciemną. Z trudem przedarła się wreszcie przez warstwy snu i otworzyła oczy.

Zamrugła, dziwiąc się jasności panującej w pokoju. Wentylator na suficie obracał się – nie pamiętała, żeby go włączyła, ale unosił małe włoski na jej rękach i schładzał jej spocone czoło.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz spała tak dobrze, tak twardo. Tak spokojnie.

– Claire!

Rozgorączkowany głos wydawał się jej znajomy, ale nie mogła przypisać go do żadnej twarzy.

– Tutaj – wymamrotała.

Wstała, odsunęła narzutę i prawie krzyknęła, gdy w drzwiach jej sypialni pojawiła się Ivy. Była cała spocona i ciężko dyszała.

– Co ty tu robisz?

– Claire, ogień... wszyscy się ewakuują.

Że co?

Ivy złapała ją za nadgarstek.

– Musimy iść.

– Nie, o czym ty mówisz? – Claire wyrwała swoją rękę. – Czemu tutaj jesteś?

– Byłam u Dareka, gdy zobaczyłam twój samochód. Christiansenowie już się spakowali i odjechali. Ogień zbliża się do jeziora.

– Przesadzasz...

– Czyżby? – Ivy podeszła do tylnych drzwi, tych które wychodziły na jezioro. – Powiedz mi, że przesadzam. – Otworzyła je.

Gdy Claire dowlokła się do wejścia, zabrakło jej tchu w piersiach. Na północy, cały horyzont wydawał się płonąć, fale płomieni porывały korony drzew, a języki ognia sięgały ku niebu.

– Musimy iść. Teraz.

– Pozwól mi zabrać trochę rzeczy.

– Nie ma czasu!

– *Jest* czas! – Wzięła babciny koc i zdjęcie dziadków ze stołu. – Mam książki i albumy ze zdjęciami...

– Musisz je zostawić, Claire. Musisz je porzucić.

– Nie. To moje życie...

– Nie, wcale nie. To tylko przedmioty. Jesteś dużą dziewczynką. Obiecuję, że możesz bez nich żyć.

Żyć bez nich. Tak, mogła.

Claire chwyciła kluczyki. Ivy złapała ją za rękę i pociągnęła za sobą przez dom w kierunku frontowych drzwi.

Dym przenikał powietrze. Był tak gęsty, że Claire, zgięta wpół, zaczęła kaszleć. Mimo piekącego bólu oczu dotarła jakoś po omacku do samochodu i otworzyła drzwi.

Ivy wślizgnęła się na siedzenie pasażera.

– Jedź!

Claire potaknęła i uruchomiła silnik. Gdy wycofała się i wjechała na drogę, ogień odbijał się w lusterku wstecznym.

Las po jej prawej stronie płonął, drzewa otulone ogniem, ziemia gorąca. Na szczęście droga wyglądała na przejezdną...

Nagle usłyszała trzask i w tym samym momencie Ivy złapała ją za ramię. Od strony lasu na drogę przewróciła się sosna. Jej gałęzie stanęły w płomieniach, a jej korona eksplodowała iskrami. Claire zdążyła wdusić hamulec, nim wjechały w morze ognia.

Płomienie okrążyły samochód, zapalając las nad brzegiem jeziora.

– Cofaj! Cofaj w stronę domu!

Ivy nie miała oporów, aby nią dyrygować, a Claire nie wyrażała sprzeciwu. Wrzuciła wsteczny bieg, po czym zawróciła i zmusiła toyotę yaris do ekstremalnej jazdy przez strefę wojny. Płomienie szalały nad nimi i wokół nich, sięgając ku toyocie. Polana zasnęła się dymem.

– Myślę, że jesteśmy w pułapce!

– Po prostu jedź dalej!

Claire udało się wyjechać z lasu, a za nią buchały ognie piekielne.

Ivy trzymała się kurczowo tapicerki.

– Czy jest tu jeszcze jakaś inna droga?

– Jest ścieżka przy pastwiskach do Pine Acres...

– Jedziemy.

Ruszyła polną drogą ku pastwisku. W powietrzu wirowały iskry.

I nagle zobaczyły rzekę ognia rosnącą jak atomowy grzyb.

– Pastwisko płonie! – krzyknęła Claire. – Jesteśmy uwięzione!

Znów wrzuciła wsteczny bieg, zawróciła na dwóch kołach i ruszyła z powrotem do lasu.

Wtem przewróciło się kolejne drzewo i odcięło im drogę do domu.

Claire znów poczuła, jak budzi się w niej dawna panika, dusząca ją, tłamsząca jej myśli. Była jak sparaliżowana.

Chociaż nie... Tym razem nie zostanie na miejscu. Nie tym razem.

– Musimy się stąd wydostać! – wrzasnęła. – Chodź!

Ale Ivy się nie ruszyła. Kręciła głową, a jej oczy były szeroko otwarte. Nagle całkiem skamieniała. I dopiero wtedy Claire zauważyła, że przyciska ona do piersi małego, wytartego pluszowego tygrysa.

– Chodź, Ivy. Możesz to zrobić – Złapała ją za rękę. – Musimy iść. Już.

– Rany, Jensen, zwołałeś tu całe hrabstwo?

Darek trzymał łopatę w ręce, a na plecach miał pięciogalonowy baniak z wodą. Rozdeptywał ogniki, które mogły przeskoczyć przez pas przeciwpożarowy i podpalić trawę na pastwisku.

Jensen przemieszczał się obok niego. Miał na sobie ognioodporne ubranie, ciężkie trapey, czerwony kask i gogle, a twarz obwiązał sobie chustką. Zdusił kilka iskier, zakopując je szpadlem w ziemi.

– Zadzwoiłem do Marnie, do centrali. No i zwołała ona służby ratownicze z całego hrabstwa. Powiedziałeś, że chciałeś pomocy. Prawda?

– Mamy tutaj prawdziwy zjazd. – Przybyły trzy lokalne oddziały strażackie. Dotarli też hotshoci z hrabstwa Jude, którzy zjawili się zaraz po tym, jak Jensen odjechał na swoim quadzie. Przybyli drogą do Evergreen tuż przed ogniem i starali się wzmocnić pas przeciwpożarowy pomiędzy domem Gibsa a pastwiskiem.

Jeśli będą mieć szczęście, ogień zatrzyma się, nim strawi dobytek Gibsona.

Darek nie chciał nawet myśleć o domkach w ośrodku Evergreen.

Jensen sprowadził także dodatkowe trzy spycharki, a to dzięki lokalnej firmie zajmującej się kształtowaniem krajobrazu. Wyładowali maszyny i potroili swoje wysiłki, jadąc powoli w stronę jeziora Thompson, jakby wybrali się na wycieczkę.

Zespoły strażackie rozpoczęły wypalanie roślinności wzdłuż pasa, używając palników. W ten sposób niszczone paliwo dla nadchodzącego morza ognia.

Płomienie kłębiły się przed nimi, pochłaniając bujny las. Popiół padał wokół nich jak confetti. Samoloty cysterny zrzucały pomarańczową maź, chcąc spowolnić ogień. Strażacy musieli dopilnować, aby ogień nie cofnął się przez pas ziemi, nim dotrze tu czoło głównego pożaru.

Podczas gdy spycharki wycinały pas, Jensen przerzucił swój system spryskiwaczy z Pine Acres i przekierował jego część tutaj. Przeciągnął wąż przez las aż na pastwisko. Woda, którą zasysała z jeziora pompa w Pine Acres, zalewała teraz trawę, nawadniając ją.

Niebo nad nimi stało się czarne, popiół sypał się jak śnieg.

Jensen znalazł kolejne zarzewie ognia i zdeptał je. Kawałek dalej, na pasie, Darek zobaczył drużynę Jeda, która ścinała drzewo palące się od połowy pnia aż do korony.

– Dareku, uważaj!

Martwe drzewo stanęło w płomieniach i zaczęło przechylać się nad pasem przeciwpożarowym, zmierzając ku trawie.

Jensen zdążył złapać Dareka za ramię i odciągnąć go, nim dąb runął na ziemię, wzbijając fontannę iskier. Jeden z hotshotów zaczął polewać gałęzie wodą z

węża, podczas gdy drugi zaatakował je piłą.

– Dzięki! – krzyknął Darek.

Nawet przez chustę widział, że Jensen się uśmiecha.

Tak, on też się z tym dobrze czuł.

– Powinniśmy pobiec do domu Gibsa i zobaczyć, czy da się wziąć stamtąd węże, by zmoczyć dach.

Jensen skinął głową.

Zaczęli biec wzdłuż drogi.

Ogień wzmógł się jeszcze, gdy biegli pod wiatr. Darek widział, jak płomienie pożerają drzewa przy jeziorze i zaczął biec szybciej.

– O nie, wygląda na to, że pożar przeskoczył pas...

Przebiegli krawędź pastwiska i wbiegli do lasu, kierując się w stronę domu Gibsa. Darek czuł gorąco, wokół wirowały iskry. Przed nim, na środku drogi, płonął samochód. Płomienie wychodziły z okien i dało się wyczuć drażniący zapach płonącego plastiku.

– Musimy wrócić na pas. Już za późno, by ocalić dom Gibsa!

Jensen nie zatrzymał się.

Darek złapał go za ramię, ale Jensen wyrwał się i odwrócił do niego.

– To samochód Claire!

Claire.

Jensen obrócił się znów szybko i zboczył z drogi do lasu, biegnąc na skróty do domu Gibsa. Wciąż był szybszy niż pożar. Darek pędził za nim. Pod butami chrzęszczały mu tłące się szyszki, które w każdej chwili mogły zająć się ogniem. Dym ograniczał mu widoczność, zatykał płuca.

Jensen nie zwalniał. W biegu uderzał gałęzie łopata, wykrzykując imię Claire.

Znaleźli się z przodu domu. Ogień zdążył już okrążyć podwórko, wypluwając z siebie iskry, które podpalały trawę. Zbliżał się do budynku. Udali się na tyły domu i tam również napotkali ogień, ciągnący się falą w stronę plaży.

– Claire!

– Tutaj!

Darek obrócił się. Zamarł.

Nie.

Ivy stała razem z Claire w progu domu, na szczycie rampy, ściskając kurczowo w rękach coś, co wyglądało jak pluszak Tigera.

Jensen podbiegł do rampy.

– Jazda! – Wyciągnął dłoń, a Claire ją ujęła. Ale Ivy stała jak sparaliżowana, kręcąc głową.

Darek wbiegł na rampę.

– Ivy, musimy uciekać!

Wpatrzona w niego rozszerzonymi oczami, ciężko oddychała.

– Ivy!

– Nie, nie mogę...

– Ivy. Jestem tutaj. Jestem *tutaj*. Wszystko będzie dobrze. Złap mnie za rękę.

Wokół nich płonęło coraz więcej drzew. Kolejne zwały się na ziemię, sypiąc iskrami.

– Nie... – Cała drżała i tuliła tygryśka do piersi.

– Proszę, Ivy. Zaufaj mi.

Spojrzała na jego rękę, a potem znów na niego. Jej zielone oczy wpatrywały się w niego intensywnie. Wreszcie sięgnęła po jego dłoń.

Złapał ją mocno.

– Trzymaj się blisko mnie i nie przestawaj uciekać. – Sięgnął po wąż przytwierdzony do baniaka na jego plecach. Zbiegli wzdłuż rampy, za Jensenem, który wpadł na ten sam pomysł, polewając sobie drogę do jeziora.

Wokół nich iskry podpaliły trawę, zamieniając ją w pole minowe. Płomienie zatrzymywały się, zetknąwszy się z jeziorem, sypiąc popiół na jego powierzchnię.

Kolejny pień upadł, tym razem sycząc im pod stopami. Darek zlał go wodą. Od razu uniosła się para, jakby w proteście. Razem z Ivy przeskoczył przez drzewo, opadając stopami na piasek.

Jensen był już w wodzie. Starał się odepchnąć Claire jak najdalej od brzegu. Darekowi przypomniało się, jak schronił się już raz w jeziorze podczas burzy ogniowej, która odessała tlen z powietrza i poparzyła płuca tych, którzy utrzymywali się na powierzchni.

– Biegnij do wody! – krzyknął do Ivy i puścił ją przodem. Sam popędził w stronę kanadyjki leżącej na brzegu, złapał za dziób i zaczął ciągnąć ją po ziemi.

I wtedy Jensen pojawił się z drugiej strony. Uniósł łódkę od tyłu i pognął za Darekiem. Rzucili kanadyjkę do jeziora. Darek czuł, jak woda wsiąkała w jego spodnie i chłodziła rozgrzaną skórę, gdy oddalał się od brzegu.

– Przewróć ją! – nakazał Darek, ale Jensen trzymał już dłonie na kilu. Wciąż potrafił czytać w jego myślach. Razem przewrócili kanadyjkę i wyciągnęli ją dalej na jezioro, w kierunku brodzących w wodzie dziewcząt.

Darek trzymał dziób nad głową.

– Chodź tu, Ivy. Wejź pod spód! – Jego baniak zaczął unosić się na wodzie, a więc zrzucił go, gdy Ivy do niego podpłynęła. Złapał ją i przyciągnął bliżej do siebie. Drżała, gdy się w niego wtuliła. Wciąż trzymała w rękach przemoczonego tygryśka. – Puść go i złap się mnie.

Posłuchała. Lekko uniósł kanadyjkę, widząc, że Jensen robi to samo. Wszyscy szybko schronili się pod łodzią. Claire trzymała się ławki na rufie, radząc sobie sama, gdy otoczyła ich ciemność.

Dookoła las ryczał w gorączkowej furii.

Jensen odpychał się nogami i kierował ich dalej, na środek jeziora. Pewnie po to, by uchronić ich przed drzewami, które, spadając do wody, mogły ich zatopić. Mądra decyzja.

Darek trzymał się ławki na dziobie. Dno jeziora usunęło się spod jego stóp. Ivy zdawała się taka mała obok niego, drżąca, gdy unosili się z dala od brzegu. Przycisnął usta do jej czoła. Cała wcześniejsza złość czy poczucie zdrady wyparowały.

– Co tutaj robiłaś? – wyszeptał w ciemnościach.

– Przyjechałam... przyjechałam cię przeprosić – powiedziała miękko. Jej usta poruszały się po jego szyi. – Chciałam ci powiedzieć, że rozmawiałam z Nan i przekonałam ją, że Tiger powinien być z tobą.

Zrobiła to? Nie mógł jej dostrzec, ale bardzo chciał spojrzeć jej w oczy, wyczytać z nich wszystko.

– Kiedy to zrobiłaś?

– Tego ranka. Po tym, jak zrezygnowałam z pracy.

– Zrezygnowałaś z pracy?

– Tak. Nie wiem, co innego mogłam zrobić. Bardzo mi się tutaj podoba, naprawdę. I ogromna część mnie chce tutaj zostać, ale za bardzo mi zależy, Dareku. Na tym mieście i na tobie. Jednak jako asystentka prokuratora hrabstwa zawsze bym się wplątywała w te niezręczne, okropne sytuacje.

Ale nie to uderzyło go tak mocno, sprawiło, że poczuł uścisk w piersi.

– Wyjeżdżasz? – Nie czekał na odpowiedź, po prostu pozwolił, by słowa wypłynęły z niego, desperackie i prawdziwe, takie jakie powinny być. – Nie wyjeżdżaj, Ivy. Proszę. Ja... ja cię kocham. Chcę być z tobą.

Zamarła. Może to i lepiej, że wypowiedział te słowa po ciemku, chociaż tak bardzo chciał teraz spojrzeć jej w oczy. Zobaczyć, czy ona także mogła mu przebaczyć.

– Przepraszam, za to, co powiedziałem. Należysz do tego miejsca. Razem z Tigerem. I ze mną, jeśli tylko będziesz tego chciała. Wiem, że naprawdę wszystko skiepszciliśmy, ale obiecuję, że będę bardziej cierpliwy, będę słuchać i przebaczać, i naprawię wszystko...

Pocałowała go. Była mokra i trzęsła się jak osika, ale zarzuciła ramię na jego szyję i przycisnęła usta do jego warg. Całowała go tak, jakby naprawdę mu przebaczyła.

Tak, należała tutaj, razem z nim.

Darek objął ją ręką w talii, przytulając się do niej. Czuł na jej ustach smak jeziora, jej mokre włosy przyczepiały się do jego twarzy. Ivy.

– Co wy tam robicie?

– Ciii, Claire. Zostaw mojego najlepszego przyjaciela w spokoju.

Najlepszego przyjaciela. Jensen cieszył się przez moment tymi słowami, nim pochylił się w stronę Claire, odnalazł jej ucho i szepnął w ciemnościach:

– Ja też cię kocham, wiesz. Zawsze cię kochałem, nawet kiedy byłem głupi.

– Głupi?

– Kiedy goniłem za Felicity. Wiedziałem, że kochała Dareka, a ja zachowałem się jak drań. Zwłaszcza, że najlepszym dniem mojego życia był ten, w którym spotkałem ciebie.

Jensen prawie umarł, gdy zobaczył toyotę yaris w płomieniach, i przeżył kolejny atak serca, widząc Claire uwięzioną w domu. Ale naprawdę wykończyłoby go to, gdyby musiał zwlekać choć jeden dzień dłużej z ujawnieniem prawdy.

– Wiem, że twój dziadek powiedział ci, że złożyłem mu ofertę kupna jego domu. I to prawda, tak zrobiłem. Ale musisz też wiedzieć, że wycofałem się z tego. Nie zabiorę ci twojej ziemi...

– To nie jest moja ziemia – odparła Claire. Obróciła się w wodzie i poczuł jej delikatny oddech na twarzy. – A jeśli mój dziadek chce ją sprzedać, może to zrobić, ma do tego prawo. Bóg ma dla mnie inne plany.

Ma? Och, nie chciał wyjść na głupca, ale...

– Proszę, powiedz mi, że w tych planach jest miejsce dla mnie.

Proszę.

– A chcesz, żeby było?

Opierał rękę na siedzeniu na rufie, pilnując, by kanadyjka unosiła się pewnie na wodzie. Claire objęła ramieniem jego szyję, trzymając się go.

– Tak – powiedział. – Bardzo. Nie wiem, co się stanie. Pewnie będę musiał odsiedzieć swoje w więzieniu. Ale jeśli na mnie poczekaasz, to... cóż, pójdę za tobą, Claire. Tutaj albo gdziekolwiek indziej. Jeśli pozwolisz mi, będę wciąż przy tobie. Będę wierzył w ciebie.

Objęła go drugą ręką i przytuliła się do jego klatki piersiowej.

– Albo może to ja będę wierzyć w *ciebie*.

I wtedy wyciągnęła się i pocałowała go. Delikatnie, ale całkiem z zaskoczenia. Jego słodka, nieśmiała, świątobliwa Claire, przytulała się do niego mocno, pozwalając mu zrozumieć, że w istocie wiele lat temu gonił za niewłaściwą dziewczyną.

– Też cię kocham, Jens. – Wyszepiała mu to do ucha, po czym przycisnęła usta do jego szyi.

O rany! Miał ochotę ją objąć, ale wtedy kanadyjka mogłaby się przewrócić. Tak czy inaczej, widział jej twarz w swojej pamięci, gdy pochylił się do przodu i pocałował jej piękny mały nosek i te zachwycające oczy, które zawsze go widziały i kochały mimo wszystko.

Mimo jego błędów. Jego grzechów. Nie dlatego, że na to zasłużył, ale ponie-

waż ona tak zdecydowała.

Tak, może w kazaniach Gibsa było coś na rzeczy.

Wokół nich iskry wpadały do jeziora, sycząc. Jensen unosił się wolno na wodzie. Dno kanadyjki było gorące, a powietrze pod nią parne. Udało im się oddalić od brzegu. Nie wiedział dokładnie jak daleko, ale wystarczająco, by woda stała się chłodniejsza. Ognista furia na zewnątrz zdawała się przygasać, chociaż trochę.

– Muszę zobaczyć – powiedział wreszcie Darek z drugiej strony łódki.

– Jesteś pewny? – spytał Jensen.

– Co? – wyszeptała Claire.

– Chce zobaczyć, czy ośrodek Evergreen wciąż stoi.

Nic nie odpowiedziała, po prostu skłoniła głowę na jego piersi.

– Gotowy, Dare?

– Tak. – Jego głos był jednak pełen napięcia.

Jensen napał na kanadyjkę, unosząc ją nad ich głowami. Opadła z pluskiem na powierzchnię wody.

Dalej trzymał się nadburcia, bo na ten widok opuściły go wszystkie siły.

Ogień całkiem zniszczył dom Gibsa. Został z niego popiół i zwęglone drewno, które gdzieś jeszcze się tliło, oraz kominiek – ocalały sterczał samotnie. Nawet weranda spłonęła – wciąż płonęła, stare drewno spadało do wody z westchnieniem.

Och, Claire. Zacisnął ramię mocniej wokół niej.

– Tak mi przykro.

– Żyjemy. Tylko to się liczy – wyszeptała.

Ogień rozprzestrzenił się wzdłuż brzegu i wtedy...

Zatrzymał się. Na skraju jego posesji, na pastwisku, gdzie Jensen spędził całe godziny na ustawianiu spryskiwaczy. Ogień gasł tam, pokonany przez kurtyny wody chroniące Pine Acres.

Dalej od brzegu spalony las zmieniał się w mokrą, zieloną polanę, na której teraz można było dostrzec strażaków w żółtych koszulkach wciąż polewających wodą płomienie.

Jensen obrócił się i ocenił zniszczenia na północnym brzegu.

Ośrodek Evergreen spłonął. Domki przy jeziorze wciąż stały w ogniu. Dostojne wiecznie zielone drzewa, od których ośrodek wziął swoją nazwę, runęły do wody. Dom Dareka, ten który zbudował dla Felicity, dopalał się. Zostały tylko resztki szkieletu.

Jensen trzymał Claire, obracając się i przesuując wzrok wzdłuż zniszczonych domków...

Główna chata z bali Christiansenów przetrwała. Jensen po prostu się na nią gapił, a Claire przyciskała dłoń do ust. Wężę wciąż polewały wodą z jeziora. Kropelki w powietrzu mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Chata stała, mocna i

błyszcząca w świetle poranka.

W pobliżu prawie nienaruszonej werandy unosili się na jeziorze Casper i John. Trzymali się trampoliny.

Jensen spojrział na Dareka.

Przyciskał dłoń do twarzy, a jego ramiona drżały. Jensen popatrzył znów na posesję. Widział, jak dom Dareka zmienia się całkiem w ruinę, wzbijając w powietrze morze iskier.

Podpłynął do Dareka.

– Tak mi przykro, Dare. Naprawdę strasznie mi przykro.

I wtedy wraz z tymi słowami coś się w nim uwolniło. Może sprawiła to trauma, emocje, jakie wywołał pożar. Albo poczucie rozpoczynania wszystkiego od nowa, jakiś rodzaj chrztu w wodzie. On także poczuł, że jego oczy wilgotnieją.

– Przepraszam cię. Za wszystko. Przepraszam cię za Felicity i za... mój gniew. Byłem na ciebie wściekły. Winiłem cię za śmierć Felicity, wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale tak było. I... Dareku... gdybym... gdybym tylko mógł zamienić się z nią miejscami wtedy... Jest mi tak przykro, stary. Proszę...

– Siedź cicho, Jensen. – Darek spojrział na niego. – Po prostu siedź cicho.

Zmarszczył brwi, nie będąc pewnym...

– Nie tylko ty nawaliłeś. – Głos Dareka stał się zachrypnięty. – Już ci przebaczyłem, okej?

Uhm... Okej. Jensen skinął głową.

– Ja tobie też.

Wtedy Darek skrzywił się, zrobił grymas, który mówił: *A niech to, stary, chyba nie beczymy, no nie?* Jensen roześmiał się.

Jensen zobaczył, że Claire do niego podpływa. Patrzyła na brzeg.

– Przykro mi z powodu twojego domu, Dare.

– Ach, nieważny mój dom, popatrzcie na dom moich rodziców. Przetrwał!

Popatrzcie na dom rodziców.

A więc popatrzeli. Lśniący i jasny, dekady historii cudem ocalone od pożogi.

Tak, popatrzcie na dom rodziców.

epilog

– Nie jestem gotowy, Claire. Nie jestem...

– Ciii... – Claire stanęła przed nim, poprawiła jego krawat i wygładziła klapy marynarki. – Wszystko będzie dobrze. Wszystko jakoś się ułoży.

Złapał ją za nadgarstki.

– Nie, nie boję się. Jestem gotów odsiedzieć swój wyrok. Po prostu... Nie chcę być z dala od ciebie. Nie teraz.

Stanęła na palcach i pocałowała go w usta. Jensen miał ochotę po prostu zamknąć ją w swoich ramionach i tak już zostać. Albo zatopić się w jej ramionach i powtarzać sobie, że może to zrobić. Że może ją tutaj zostawić, aby rozkręciła biznes, zaczęła nowe życie, podczas gdy on pojedzie więzienną furgonetką do Stillwater, by odsiedzieć tam swój wyrok. Cztery lata. Swój obowiązkowy wyrok w zawieszeniu za zabójstwo drogowe, rezultat złamania zwolnienia warunkowego.

Przymknął oczy, oparł swoje czoło o jej. *Proszę, Boże, pomóż mi to zrobić. Daj mi wiarę.*

Claire nauczyła go tego – by wierzył, że Bóg się o niego troszczył, że dawał mu drugą szansę. Nigdy nie był z niej bardziej dumny, jak wtedy, gdy postawiła się rodzicom i powiedziała im dokładnie, jak się czuła, gdy porzucili ją po wydarzeniach w Bośni. I co więcej, powiedziała im też, że zamierza zostać w Deep Haven, nie dlatego, że musiała, nie dlatego, że nie miała się gdzie podziać, ale dlatego, że Bóg tego chciał.

Wyglądało na to, że ucięła sobie z Bogiem pogawędkę, a w tej rozmowie przewinął się też temat Jensena.

Druga szansa. Szkoda, że uświadomienie sobie, że tylko łaska Boska, która przychodzi z żalem za grzechy, może oczyścić jego sumienie, zajęło mu trzy lata i prawie trzy tysiące godzin prac społecznych.

Ale przed ludźmi, cóż, prawo było prawem.

Jensen wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze z płuc.

Claire ujęła jego twarz w ręce i spojrzała mu w oczy, wlewając w to spojrzenie wszystko, czego potrzebował.

– Zaufaj mi. Wszystko będzie dobrze.

Tak. Pokiwał głową, chociaż kiedy woźny sądowy wprowadził go do sali, posadził go samego na miejscu dla oskarżonego, dopadły go wątpliwości. Ale to była jego decyzja – żadnego prawnika i... musiał się nauczyć żyć z konsekwencjami swoich wyborów.

Powiedział to samo ojcu, gdy starszerek zadzwonił, oferując mu pieniądze na obronę.

Jensen wciąż odtwarzał sobie w głowie tę rozmowę. *Kocham cię, synu, i*

będę trzymać za ciebie kciuki.

No proszę. Może jego ojciec uderzył się mocno w głowę. Ale Jensen brał to, co mógł.

Usłyszał za plecami jakiś ruch, ale nie odwrócił się. Nie chciał patrzeć na Claire. Żałował, że nie udało mu się jej przekonać, aby nie przychodziła.

Zobaczył Mitcha przy stanowisku oskarżyciela i starał się nie czuć zdradzo-ny.

I wtedy weszła Ivy. Wiedział, że jako asystentka prokuratora hrabstwa będzie musiała wnieść akt oskarżenia podczas rozprawy o naruszenie warunków jego zwolnienia warunkowego. Ale spodziewał się chociaż uśmiechu czy czegoś w tym stylu, gdy podchodziła do stanowiska oskarżyciela. Jacob Teague wszedł tuż za nią. Jensen starał się nie okazać poruszenia faktem, że ten również zdecydował się przyjść.

Zdaje się, że wytoczyli ciężką artylerię przeciwko zatwardziałemu krymina-liście.

Woźny zaanonsował wejście sędzi Magnusson i Jensen wstał, gdy pojawiła się ona w sali. Wyglądała na surową kobietę. Jej blond włosy były gęste i zaczesane do tyłu, a wokół szyi miała zawieszony okulary do czytania.

Tak, pójdzie do więzienia – i nic go już od tego nie uratuje.

Jensen wpatrywał się w swoje dłonie, gdy woźny sądowy odczytał numer sprawy, zarzuty wobec niego i powód rozprawy.

– Panie Atwood, widzę, że broni pan samego siebie. Dlaczego?

Spojrzał w górę.

– Wysoki Sądzie, znałem warunki swojego zwolnienia warunkowego i zła-małem je. Nie mam niczego na swoją obronę.

Zdawał sobie sprawę, że Claire wzdryga się gdzieś za nim w sali. Walczyła z nim dwa tygodnie, aby zdecydował się na adwokata. Ale on był już zmęczony za-pasami z prawem i tą wojną defensywną.

Zabił kobietę. Przyjaciółkę. Żonę swojego najlepszego kumpla. Nic nie mo-gło go przed tym obronić, może poza faktem, że nigdy nie chciał, aby to się wyda-rzyło.

Winny albo niewinny, nie mógłby już znieść ani jednego dnia w tym mia-steczku, udając, że nikogo nie skrzywdził, udając, że nie ponosi za to jakiejś odpo-wiedzialności. Pójście do więzienia było tysiąc razy łatwiejsze.

Oczywiście, pomijając kwestię Claire.

– Dobrze, panie Atwood. Pani prokurator, proszę odczytać akt oskarżenia.

Usłyszał, jak odsuwa się krzesło.

– Wysoki Sądzie, nim zaczniemy, chciałabym się zwrócić do Sądu, jeśli mogę.

Jensen spojrzał na Ivy. Patrzyła sędzi prosto w oczy.

– Proszę, panno Madison.

Ivy zajęła miejsce przy mównicy.

– Podczas ostatniego roku moich studiów prawniczych pracowałam dla kancelarii Atwood and Associates. Dostałam od nich akta sprawy i poproszono mnie, abym znalazła sposób na to, by oskarżony uniknął obowiązkowego wyroku w sprawie o zabójstwo drogowe. Ojciec oskarżonego był moim szefem i kochał swojego syna, ale nie reprezentował oficjalnie tej sprawy. Dlatego poprosił o pomoc mnie.

Jej ręce zacisnęły się na obu krawędziach mównicy.

– Wcale nie znałam Jensena Atwooda. Był dla mnie tylko sprawą, a ja, jako ambitna studentka prawa, pragnęłam zaimponować mojemu szefowi. Przestudowałam więc sprawę dokładniej i odkryłam, że składa się w większości z poszlak. Oskarżyciel nie mógł udowodnić, że Jensen wykazał się nieuwagą, chociaż otwarty telefon komórkowy w jego samochodzie budził wątpliwości. Tak na marginesie, prawo dotyczące używania komórek w samochodach nie przyczyniło się w tamtym czasie w stanie Minnesota do ani jednego wyroku skazującego. Przyjrzałam się faktom i doszłam do wniosku, że nie ma wystarczająco mocnych dowodów, by wytoczyć sprawę. Znając jednak miejsce, gdzie odbędzie się rozprawa – tutaj, w Deep Haven – i przewidując, jaki będzie rezultat wyroku skazującego, zaproponowałam niestandardową ugodę. Jensen przyznał się do winy, a ja przedstawiłam notkę, w której proponowałam zrezygnowanie z wytycznych orzecznictwa w tej sprawie, a w zamian – zasądzenie oskarżonemu wyroku w zawieszeniu oraz skazanie go na trzy tysiące godzin prac społecznych.

Jensen nie mógł złapać tchu. To ona stworzyła jego ugodę obrończą?

– Zbieg okoliczności jest taki, że dzisiaj pragnę bronić niewinności Jensena. Ale, jak Wysoki Sąd wie, nie mogę tego zrobić, bo przyznał się on już do winy i został skazany za swój czyn. A więc rezygnuję ze swoich obowiązków, jako prokurator, i dołączam do jego obrony, aby prosić o łaskę.

Ivy zamknęła wtedy teczkę. W sądzie zapanowała cisza jak makiem zasiał. Wreszcie sędzia ją przerwała.

– Panie Atwood?

Skinął tępo głową.

Ivy podeszła do Jensena i usiadła obok niego. Nie spojrzała na niego, tylko dotknęła jego ręki. Ścisnęła ją.

Czuł w uszach pulsowanie swojego serca. Nie mógł znaleźć słów. Oprócz... pochylił się do niej.

– Dziękuję, Ivy.

Za to, że w niego wierzyła, że podarowała mu jego życie tutaj, nawet jeśli wszystko zaprzepaścił.

Sędzia Magnusson wreszcie skinęła na Jacoba.

– Wysłuchamy teraz aktu oskarżenia prokuratora.

Jacob wstał i streścił głosem pełnym napięcia okoliczności naruszenia postanowień zwolnienia warunkowego, a zakończył słowami:

– I zgodnie z warunkami wyroku w zawieszeniu stan Minnesota apeluje, aby Jensen Atwood odbył pełny wyrok w więzieniu, do którego skieruje go Wysoki Sąd. – Jacob wziął głęboki oddech i zamknął akta. – Chociaż, przyznaję, zabrakło mu tylko dwunastu godzin prac społecznych.

Dwunastu.

Nawet z godzinami, które policzono mu za pomoc w „Ogrodzie” – dzięki Joemu Michaelsowi, który dostarczył odpowiednie papiery Mitchowi. A Mitch szczerze policzył mu te godziny – podwójnie za niebezpieczną pracę. I te wszystkie dodatkowe godziny, które odrobił. Dwanaście godzin za mało.

Ale dwanaście godzin za mało to wciąż... za mało.

– Dziękuję panu, panie Teague. Obrona?

Ivy wstała.

– Wysoki Sądzie, chciałabym złożyć wniosek o łaskę. Wiem, że jest to raczej niecodzienne, ale w przypadku tej sprawy, myślę, że jak najbardziej na miejscu.

Woźny sądowy odebrał od niej prośbę o łaskę.

Jensen miał wielką ochotę, aby się odwrócić i podziękować Claire za te wszystkie godziny, które poświęciła na spisanie tego dokumentu, i za to, że powstrzymała go przed zwinięciem papieru w kulkę i wyrzuceniem go do kosza. Ale teraz i tak zdawało się to za mało, zbyt późno.

– Czy to wszystko, panno Madison?

– Absolutnie nie, Wysoki Sądzie. Jeśli Wysoki Sąd wyrazi zgodę, mam świadków poświadczających moralność oskarżonego, którzy są gotowi zeznawać w związku z tą petycją.

– Świadkowie poświadczający moralność? – spytała sędzia.

O to samo chciał zapytać Jensen. Zerknął na Ivy. Ale ona nie poświęciła mu nawet spojrzenia.

– Zgadza się, Wysoki Sądzie. Mam tutaj listę wszystkich, którzy zgodzili się zeznawać. – Znów otworzyła teczkę.

– Ilu ich tam jest, panno Madison?

Ivy zrobiła pauzę, spojrzała na Jensensa, po czym obejrzała się za siebie.

– Cóż, proszę przekonać się samej.

Jensen zmarszczył brwi. Odwrócił się.

I wtedy zmienił się w dziecko, które gapiło się na wszystko z otwartą buzią. Sala sądowa była wypchana po brzegi, ludzie stali nawet z tyłu, podpierając ściany. Zobaczył Kyle'a Huestona i Emmę Nelson, członków zespołu Claire. Byli także Sharron i Noelle, z którymi pracował w sklepie z używanymi rzeczami. Annalise Decker ze schroniska dla zwierząt i jej mąż, Nathan, agent nieruchomości, dla którego czasami sprzątał. Wyszczeryli się do niego. Obok nich stali: Lucy Brewster i

jej mąż Seb – burmistrz Deep Haven – oraz Caleb Knight, dla którego kosił szkolne boisko każdego lata. Zobaczył też oczywiście Joego Michaela. Marnie Blouder z biura szeryfa pomachała mu. Pastor Dan trzymał się z tyłu, położył dłoń na ramieniu żony. Uśmiechał się z aprobatą. Phyllis McCann z wydziału terenów zielonych i rekreacji uniosła kubek z kawą i mrugnęła. W pierwszym rzędzie siedziała Donna Winters z biura odpowiedzialnego za rozwożenie posiłków, która pokazała mu kciuki uniesione do góry. Ruby i mieszkańcy „Ogrodu” zajęli cały rząd. Gabe Michaels pomachał mu, a siedząca obok niego Grace Christiansen promieniowała uśmiechem. No i Ingrid, która wyglądała, jakby miała się zaraz rozpląkać.

Tak, on też miał na to ochotę.

Poczuł na ramieniu dłoń Ivy.

– Kto chce być pierwszy? – skierowała pytanie do tłumu.

Na sali wyrósł las rąk.

Jensen zacisnęła szczękę, czując, że jest bliski łez.

I wtedy na środek wyszedł Darek. Odstawił się, miał na sobie... nie, garnitur? Trzymał Tigera za rączkę i przekazał go teraz Nan Holloway, która zajmowała miejsce w pierwszym rzędzie. Zmierzył synowi włosy.

Tiger pomachał im.

– Cześć, Ivy!

Przez salę przetoczył się cichy śmiech.

Darek obrócił się i spojrzał na sędziego.

– Wysoki Sądzie, chciałbym być pierwszym świadkiem z ramienia obrony, jeśli mogę.

– Mam nadzieję, że nie przyniosłam ci zbyt wiele wstydu? – spytała Ivy, gdy zamknęła za sobą drzwi do swojego mieszkania.

Darek musiał dokonać wyboru pomiędzy udzieleniem jej odpowiedzi a cieszeniem się po prostu jej widokiem. Jej pięknymi, zielonymi oczami oraz rudymi włosami, które opadały teraz na jej koszulkę w kolorze ciemnopomarańczowym.

– Nie jesteś chyba zły, prawda?

Zły? Ledwo mógł oddychać, czując taką radość w sercu. Udało mu się pokręcić głową.

– Nie, Ivy. Nie jestem zły. – Ujął jej twarz w dłonie i unióś ją lekko, by złożyć na jej wargach pocałunek. Tylko jeden, bo jeśli dałby się ponieść, to wtedy... cóż, wiedział, że to jeszcze za wcześnie, by pytać ją, czy za niego wyjdzie, ale... wkrótce.

Bardzo niedługo.

Ale nie tego wieczoru. Dzisiejszy wieczór był przeznaczony dla kogoś innego. Wsunął swoją dłoń w jej.

– Cieszę się jednak, że powiedziałaś mi wcześniej, zanim ogłosiłaś to całemu Deep Haven.

Nigdy nie zapomni tego momentu, gdy wyjawiała mu swój udział w skazaniu Jensena. Siedziała wtedy odsunięta od niego, z rękami wciśniętymi pomiędzy kolana, gdy pilnowali Tigera bawiącego się na huśtawce na placu zabaw. Ani razu nie popatrzyła na niego, dopóki nie skończyła. A wtedy jej oczy powiedziały wszystko.

A co on mógł wtedy zrobić?

– Oczywiście, że ci wybaczam – odparł. – Nie ma czego wybaczać, tak naprawdę. Ujrzałaś prawdę i chciałaś znaleźć dla nas wszystkich sprawiedliwość w sprawie, gdzie nie było sprawiedliwości. Jak mogła być? Zrobiłaś coś dobrego, nawet jeśli było to dla nas trudne.

Objął ją wtedy i przytulił, czując, jakby ostatnia rzecz, która ją powstrzymywała, uciekła. Wtuliła się w niego. Nie miał pojęcia, jak mógłby ją kiedykolwiek wypuścić.

Nie miał takiego zamiaru.

Powietrze przesiąknięte było zapachem deszczu i wciąż wilgotne, tak jak i ulice, po wczorajszym oberwaniu chmury.

Jensenowi udało się załatwić, że rodziny, które straciły swoje domy, mogły wynająć domki letniskowe od mieszkańców Pine Acres. Darek miał wrażenie, że Jensen będzie płacił wiele rachunków z własnej kieszeni. W najbliższych dniach rodzina Dareka miała się spotkać z agentem ubezpieczeniowym. Planowali wykorzystać dodatkowe pieniądze na zakup posesji Gibsa.

Darek nie spodziewał się telefonu od rodziców Claire, którzy zaoferowali mu tę ziemię. Ani nie spodziewał się tego, że gdy powie o tym Claire, dziewczyna się zgodzi.

– Nie potrzebuję jej już – odpowiedziała. Zgadywał, że sposób, w jaki Jensen tulił ją w ramionach, miał z tym coś wspólnego.

Jeśli zachowają się mądrze, a rodzina pomoże w odbudowie, będą mogli sobie pozwolić na tę ziemię. Któregoś dnia ośrodek Evergreen mógł stać się czymś więcej, niż każdy z nich kiedykolwiek marzył. Właśnie w ten sposób najwyraźniej działał Bóg.

Darek trzymał Ivy za rękę, gdy schodzili po schodach i wyszli na podjazd.

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Wzięłaś swój motocykl?

– Tylko do czasu, aż Casper nie wróci do college’u. Jego piracka przygoda w Key West nie wypaliła, a skoro mama i tato starają się jakoś odbudować to wszystko, zostanie tu do końca lata. Pomyślałem sobie, że może miałabyś ochotę na przejażdżkę.

– Bardzo chciałabym się przejechać – odparła. Wsiadł na motor i pomógł jej, gdy przerzucała nogę nad maszyną. Wtedy, tak jak tego oczekiwał, pochyliła się,

splotła ręce wokół jego bioder i trzymała się go mocno.

Trzymaj się mocno.

Wycofał motor z podjazdu, ale zamiast skierować się do miasta, ruszył w stronę cmentarza.

– Muszę się tam zatrzymać na minutę. Masz coś przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie. Nie spiesz się. Poczekam tutaj.

Miał ochotę ją pocałować, ale nie wydawało się to właściwe, a więc zaparkował po prostu motor i zostawił Ivy.

Odwiedził grób tylko raz, zaraz na początku, ze swoją matką, ale nie zapomniał miejsca, gdzie leżała Felicity. Ktoś – pewnie Claire – zasadził ogródek wokół niego, a piękne czerwone i fioletowe kwiaty leżały na jej grobie.

Położył dłoń na gładkiej, zimnej powierzchni kamienia.

– Cześć, Felicity. – Nie był pewien, co właściwie chciał powiedzieć, ale... – Przepraszam. Powinienem kochać cię lepiej. Powinienem sprawić, by wszystko się ułożyło. I nie powinienem cię obwiniać za moje własne porażki.

Uklęknął przed kamieniem nagrobnym, zatrzymując wzrok na inskrypcji: *Ukochana matka Thea, córka, żona.*

Tak.

– Zachowam żywą pamięć o tobie, dla niego. Będę mu przypominał o twoim śmiechu, nauczę go pływać i cieszyć się wszystkimi rzeczami, które kochałaś. I ja także będę go kochał. – Poczul ścisk w gardle. – Dziękuję ci za naszego syna. Dziękuję, że kochałaś mnie, chociaż na to nie zasługiwałem.

Kucał tam jeszcze przez moment. Przycisnął dłoń do warg i przekazał pocałunek na kamień.

– Brakuje nam ciebie.

Ivy siedziała okrakiem na motorze i czekała, tak jak obiecała. Nie odezwała się ani słowem, gdy znów znalazł się za kierownicą. Objęła go ponownie ramionami i pojechali wzdłuż Main Street.

– Gdzie Tiger?

– U Nan.

– Dobry z ciebie człowiek, Dareku Christiansenie.

Uśmiechnął się, słysząc to.

– Staram się.

Podjechali pod pub dla weteranów, gdzie zaparkował motor.

– Czy to właśnie nasza wielka superrandka? – spytała, marszcząc nos. Ale w jej oczach błyszczały figlarne błyski.

– Słuchaj, to najlepsze miejsce w miasteczku. – Faktycznie, muzyka już wydobywała się na zewnątrz. The Blue Monkeys podbijali okolicę piosenką zespołu Lynnyrd Skynyrd.

– *So don't ask me no questions, and I won't tell you no lies...* [11].

Tłum śpiewał razem z zespołem, gdy weszli do środka. Darek położył dłoń na plecach Ivy, prowadząc ją przez salę. Uniósł na powitanie rękę w kierunku Jeda, który siedział przy barze z Pete'em Holtem i kilkoma innymi hotshotami. Spędzili oni kilka ostatnich tygodni na zlewaniu pogorzelniska wodą dla pewności, że nie rozpocznie się żaden nowy pożar. Pomogły im intensywne deszcze, które sprawiły, że niedługo stąd wyjadą.

Zobaczył, jak ten nowy, Conner, rozmawia w kącie z Lizą Beaumont. Przy wysokim stole siedzieli rodzice Dareka. Uśmiech matki, gdy zauważyła go wchodzącego do środka, nappełnił syna dziwną, chłopięcą radością.

Ivy wskazała na krzesło obok Jensena i Darek skinął głową. Jensen wstał, ściskając dłoń Dareka.

Tak, czuł się wczoraj dobrze, gdy mógł bronić w sądzie swojego przyjaciela i przebaczyć mu.

– Gotowy? – zapytał Darek.

Ivy spojrzała na nich, marszcząc czoło.

Jensen skinął głową.

Gdy usiedli, zauważyła u stóp Jensena psa.

– Pozwolili ci tu wprowadzić zwierzę?

– To Rusty! – powiedział Jensen, przekrzykując ostatnie akordy piosenki. – To moje moralne wsparcie.

– A ja to niby co?

Jensen wyszczerzył się do niego.

– Ty już wiesz, czym dla mnie jesteś.

Piosenka dobiegła końca przy akompaniamencie gwizdów i entuzjastycznych okrzyków. I wtedy Emma zrobiła krok do tyłu, a do mikrofonu podeszła Claire. Wyglądała dzisiaj pięknie w prostej biało-niebieskiej sukience w kwiatki, legginsach i wysokich czerwonych trampkach. Jej ciemne włosy opadały kaskadą wokół jej twarzy. Spojrzała na widownię, a jej wzrok zatrzymał się na Jensenie.

– Mam dzisiaj dla was coś specjalnego. Pewnie tego nie wiecie, ale na widowni siedzi jeszcze jeden muzyk.

Uśmiech Jensena zbladł.

– Jeśli mieszkacie w pobliżu jeziora Evergreen, czasami możecie usłyszeć dźwięki samotnej harmonijki snujące się nad wodą. To właśnie magiczne melodie naszego jedyne w swoim rodzaju Jensena Atwooda! Jens, chodź tutaj i dołącz do mnie na scenie.

Jensen spojrzał na Dareka, a na jego twarzy pojawiły się ślady paniki.

– Wiedziałeś o tym?

Darek sięgnął do kieszeni i wyjął z niej harmonijkę.

– Dorwę cię za to.

– Spróbuj, jeśli potrafisz – odparł Darek.

Jensen wyrwał mu harmonijkę i zajął miejsce na scenie zachęcany okrzykami tłumu.

Ivy wsunęła swoją dłoń w dłoń Dareka i ścisnęła ją.

– Co będziemy śpiewać, kochanie? – Jensen zwrócił się do Claire.

– Co powiesz na *Ring of Fire*?

Uśmiechnął się.

– Okej. – Przybliżył się wtedy do mikrofonu i zaczął wygrywać melodię, po czym dał znak zespołowi i zaczął śpiewać. Darek pamiętał jego tenor.

Tłum śpiewał razem z nimi, a Darek wyszczerzył się do Ivy, gdy ta, klaszcząc, spojrzała mu w oczy.

– *The taste of love is sweet when hearts like ours meet...*[12]

Ivy nagle pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– Za co to?

– Za bycie dobrym kawalerem, na którego można postawić.

– Ba, racja. Nie jestem pewny, czy dostałaś wystarczająco dużo za swoje pieniądze.

– Jeszcze nie – odparła, ale mrugnęła do niego.

Claire zaśpiewała kolejny wers, śmiejąc się, a Jensen dokończył, nie spuszczać z niej oka.

Tłum oszalał. Na scenie Claire weszła w ramiona Jensena.

– Są razem tacy uroczy.

Darek nachylił się, by pogłaskać psa Jensena.

– Och, poczekaj, będzie jeszcze lepiej.

Faktycznie. Jensen wypuścił ją z objęć, chwycił mikrofon, po czym ujął rękę Claire i opadł przed nią na kolano.

Tak, o wiele, wiele lepiej.

– Nie mogę w to uwierzyć, ale naprawdę trochę mi zimno – powiedziała Ivy, siedząc okrakiem na motocyklu Dareka w punkcie widokowym Pincushion nad Deep Haven. Opierała się plecami o jego klatkę piersiową. Wiatr poruszał drzewami rosnącymi wokół parkingu i zawiewał w kierunku atramentowego jeziora w dole.

– Mogę rozwiązać ten problem.

Ivy przytuliła się do piersi Dareka, a on objął ją rękoma. Pachniał dworem, wiatrem we włosach, odrobiną ciężkiej pracy, którą wykonał przy sprzątaniu posesji. Czekał ich pewnie co najmniej rok pracy, nim wszystko odbudują i będą mogli ponownie otworzyć ośrodek. Ale Darek już nad tym rozmyślał, starał się przekonać rodziców do wprowadzenia modyfikacji, które tchną nowe życie w Evergreen.

Od czasu pożaru zdawał się być innym człowiekiem. Nie dość, że nie poddał się, nie złamał, to jeszcze przybyło mu energii. Zmienił się w człowieka, na którym jego rodzice mogli polegać, że odbuduje ich dziedzictwo.

Przycisnął usta do jej szyi, a ona zadrżała, choć nie od chłodu.

– Czy nie wspominałeś mi czasem, że w czasach liceum zabierałeś tutaj dziewczyny, by się z nimi obściskować?

– A skąd – odparł. – Tylko ciebie. Jesteś jedyna, kochanie.

Pacnęła go żartobliwie w ramię.

– Darek, wiesz, że mogę dokopać się do prawdy. Jestem prawnikiem. Wiem, jak wydobywać informacje od ludzi.

– Okej, okej, dobra. Przyprowadziłem tutaj kilka dziewczyn. Ale zawsze chodziło o widok. Naprawdę. Przysięgam.

Zaśmiała się i wtuliła się w jego objęcia. Widok był piękny. Miasteczko skrzyło się pod nocnym niebem. Tysiące jasnych światełek migotało na tle aksamitnej ciemności. Mogłaby wskazać palcem, gdzie stał budynek sądu, gdzie jej kawalerka na tyłach księgarni „Na Progu Nieba” i gdzie oczywiście latarnia morska, przy której po raz pierwszy pocałował ją Darek. Dzięki niemu wreszcie uwierzyła, że nie jest sama. Że to miejsce naprawdę mogło się stać... domem.

– Twoja mama powiedziała do mnie dzisiaj najdziwniejszą rzecz. Powiedziała: „Witaj w domu”.

Darek uniósł głowę.

– Dziwne. To samo powiedziała też do mnie.

– Ale ty mieszkałeś tutaj całe swoje życie. Dla ciebie to wcale nie jest „witaj w domu”.

– Może, ale jakoś tak się właśnie wydaje. Jakby nie było mnie tutaj przez długi czas, jakbym znajdował się w podróży i nie potrafił znaleźć drogi powrotnej do domu. Aż do teraz. Aż nie pojawiłaś się w moim życiu, Ivy. Może to ty przyprowadziłaś mnie do domu.

Objęła dłońmi jego ręce.

– Albo to Bóg przyprowadził nas oboje do domu.

– Wierzysz w to?

– Zaczynam. Chcę w to wierzyć.

– Tak – odparł. – Ja też.

Oparł policzek o jej głowę, w ciszy napawając się z nią widokiem. Statek płynął po jeziorze, a jego światła unosiły się w ciemności. Intensywny zapach sosu wypełniał powietrze, gdy powiedział:

– Kocham cię, Ivy Madison. Witaj w domu.

[11] „Więc nie zadawaj mi pytań, a ja nie będę mówił kłamstw...” (przyp. tłum.).

[12] „Smak miłości jest słodki, gdy spotykają się serca, jak nasze” (przyp. tłum.).

kilka słów od autorki

Żyjemy w świecie winy. Z jakiegoś powodu w ciągu ostatnich dwóch albo trzech generacji zmieniliśmy się w społeczeństwo, które wytyka palcami, które szuka kogoś do obarczenia winą.

Wszyscy słyszeliśmy o różnych absurdalnych oskarżeniach – gorąca kawa wylana na kolana w McDonalddie przyczyną pozwu; ludzie wchodzą nielegalnie na czyjaś posesję, a właściciel zostaje pozwany za śliski chodnik. Obwiniamy wierzycieli, że pozwalają nam kupować zbyt dużo rzeczy na kredyt – jakby to była ich wina, że za wiele wydajemy. A co z tymi ważnymi zdarzeniami, które naprawdę mogą odcisnąć piętno na naszym życiu? Strzelaniny w szkołach. Wybuchy gazu. Wypadki samochodowe. Prawda jest taka, że chaos w świecie jest przerażający, a kiedy zdarza się coś okropnego – wypadki, błędy, nawet tragedie – po prostu czujemy się lepiej, obwiniając kogoś, zamiast mu przebaczyć. Przebaczenie kosztuje nas tak wiele wysiłku. Może wymagać nawet spojrzenia w głąb siebie i zastanowienia się, czy nie mamy jakiegoś udziału w całej historii. Ktoś może nawet zasugerować, że niektóre rzeczy są niewybaczalne. Że prośenie o ich wybaczenie to zbyt wiele. Co więcej, w społeczeństwie, które od razu obrzuca winą, niszczy odczuwanie smutku – nie ma po prostu na to czasu, gdy jesteśmy zbyt zajęci obroną samych siebie przed winą.

Szybko zmieniamy się w społeczeństwo, w którym nie ma litości. Nie ma łaski. Nie ma przebaczenia.

Parę lat temu w naszym miasteczku wydarzyła się tragedia, która była podobna do tej, jaka została przedstawiona w tej powieści. Inni ludzie, inna sytuacja, ale użyłam tego pomysłu, aby pokazać, co się dzieje, gdy żal i złość przejmują kontrolę i wzniecają nienawiść. Tracimy perspektywę. Tracimy nasz kontakt z łaską.

Nienawiść roznieca pożar torfu w naszych sercach, który niszczy nasze wnętrza. Jediną nadzieją na jego ugaszenie jest przebaczenie. Łaska. Uważne przyjrzenie się nam samym i zastanowienie się, czy oceniamy innych w ten sposób, w jaki sami byśmy chcieli zostać ocenieni. A może raczej mierzymy ich ilością bólu, jaki sprawili?

Jestem wdzięczna, że Bóg nie mierzy nas ilością bólu, jaki Mu zadaliśmy. Który wciąż Mu zadajemy. Jestem wdzięczna, że Jego miarą jest Jezus. Jego miarą jest łaska.

Jestem taka podekscytowana tą serią! Już od dłuższego czasu chciałam napisać historię o rodzinie z północnej Minnesoty i ich dorosłych dzieciach. Jesteśmy na tym etapie życia – wychowujemy nasze dorosłe dzieci. Jako rodzic pielęgnujesz swoje dzieci, potem dajesz im wskazówki, potem idziesz z nimi ramię w ramię... i wreszcie odsuwasz się, gdy podejmują kroki w dorosłe życie. I dopiero wtedy na-

prawdę zaczynasz się gorąco modlić! Te książki są właśnie o tych latach... obserwowania, żywienia nadziei, modlitwy za twoje dorosłe dzieci, by przyjęły dziedzictwo wiary. Dziękuję, że zrobiliście ze mną pierwszy krok na drodze z rodziną Christiansenów. Mam nadzieję, że dotrzymacie mi towarzystwa, gdy „wrócimy do domu Christiansenów”.

Z łaską Pana,

Susan May Warren

podziękowania

Za każdym razem, gdy pisarze tworzą jakąś historię, podejmują ryzyko. Czy uda im się wykreować bohaterów, których losem przejmą się czytelnicy? Czy uda im się wymyślić fabułę, która do nich trafi? Czy uda im się postawić odpowiednie pytania i udzielić na nie właściwych odpowiedzi? Jedną z największych zagadek stanowi dla mnie ustalenie wszystkich faktów. Jestem niezwykle wdzięczna osobom, które na mnie stawiają i pomagają mi rozstrzygnąć te dylematy.

Moją dozgonną wdzięczność kieruję do:

- Molly Hickham, asystentki prokuratora hrabstwa w hrabstwie Cook, która odpowiadała na wszystkie moje pytania i pomogła mi się uporać z zagadnieniami prawniczymi. Ewentualne błędy, jakie mogą się pojawić, są tylko i wyłącznie z mojej winy.

- Rachel Hauck, która przebrnęła razem ze mną przez każdą scenę, zawsze wierna po drugiej stronie słuchawki. Nie mogłabym napisać tej książki bez niej.

- Davida Warrena, z którym przeprowadziłam burzę mózgów na temat praw do opieki nad dziećmi i który pomógł mi właściwie przedstawić napięcie pomiędzy Ivy i Darekiem (i któremu dziękuję też za podsuniecie imienia Darek!). Stajesz się bardzo szybko moją tajną bronią!

- Karen Wilson, która zawsze wie, jak właściwie zakończyć historię, by stała się jeszcze lepsza. Doceniam naszą współpracę.

- Sarah Mason, która posiada niesamowite zdolności redaktorskie. Dziękuję, że wyłapywałaś wszystkie najmniejsze błędy i sprawiałaś, że brzmię dobrze!

- Steve'a Laube'a, mojego agenta, za jego zdolność słuchania i dostrzegania całości. Dziękuję, że zawsze grasz w mojej drużynie. Rządzisz!

- Mojej rodziny, dzięki której życie i ta przygoda są bogate i błogosławione. Według mnie wszyscy jesteśmy Christiansenami.

o autorce

Susan May Warren to laureatka RITA Award, autorka ponad czterdziestu powieści i nowelek, których wciągające fabuły i niezapomniani bohaterowie wciąż podbijają serca zarówno czytelników, jak i krytyków. Przez osiem lat razem z mężem i czwórką dzieci mieszkała w Rosji, pracując jako misjonarka. Potem wróciła z rodziną do Stanów. Obecnie zajmuje się etatowo pisarstwem, podczas gdy jej mąż prowadzi dom wypoczynkowy nad Jeziorem Górnym w północnej Minnesocie, gdzie osadzona jest akcja wielu jej książek. Lubi wraz z rodziną wędrować po górach, pływać łódką i angażować się w działalność lokalnego Kościoła.

Susan zdobyła dyplom licencjata z komunikacji masowej na Uniwersytecie Minnesoty. Kilka z jej ciepło przyjętych przez krytyków książek zajęło wysokie miejsca w rankingu czasopisma „Romantic Times”, wygrało konkursy organizowane przez „Romance Writers of America” oraz zdobyło nagrodę Książki Roku Amerykańskich Pisarzy Chrześcijańskich (American Christian Fiction Writers). Pięć jej książek znalazło się w finale konkursu Christy Award. Oprócz pisania Susan uwielbia wygłaszać prelekcje na kobiecych spotkaniach, gdzie opowiada o niezwykłej łasce Bożej w naszym życiu.

Aby śledzić na bieżąco aktualności, zobaczyć książki tej autorki, odwiedź jej stronę internetową: www.susanmaywarren.com.

Projekt okładki: Alicja Krygier

Zdjęcia na okładce: fotolia.com (pololia), www.susanmaywarren.com

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Originally published in the U.S.A. under the title: *Christiansen Family #1: Take a Chance on Me* autorstwa Susan May Warren

Copyright © 2013 by Susan May Warren

© for the Polish edition by Święty Wojciech Dom Medialny Sp. z o.o.,

Poznań 2016 with permission of Tyndale House Publishers, Inc.

All rights reserved.

ISBN: 978-83-8065-019-0

Wydawca:

Święty Wojciech Dom Medialny Sp. z o.o.

Wydawnictwo

ul. Chartowo 5, 61-245 Poznań

tel. 61 659 37 13

wydawnictwo@swietywojciech.pl

Zamówienia:

Dział Sprzedaży i Logistyki

ul. Chartowo 5, 61-245 Poznań

tel. 61 659 37 57 (-58, -59), faks 61 659 37 51

sprzedaz@swietywojciech.pl • sklep@mojeksiazki.pl

www.swietywojciech.pl • www.mojeksiazki.pl

Konwersja do e-wydania: Wydawnictwo Święty Wojciech

